

Adele Parks

SPOTKANIE W CHMURACH

*Jakie są szanse, że osoba, która usiadła koło
ciebie w samolocie na zawsze odmieni twoje życie?*



Adele Parks

SPOTKANIE
W CHMURACH

Z angielskiego przełożyła
Monika Wyrwas-Wiśniewska



Tytuł oryginału:
THE STATE WE'RE IN

Copyright © Adele Parks, 2013
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7999-269-0

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.zo.o)
VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga
ukazały się następujące powieści tej autorki:

Opowieści młodych mężatek
Mów do mnie jeszcze
Romantyczne kłamstwa
Mężczyźni, których kochałam

Jimmy'emu

Prolog

– Czyli wiesz wszystko o miłości, tak?

– Może nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

– A ja zupełnie nic. Podobnie jak o przybyszach z innych planet, duchach i innych nieudowodnionych zjawiskach.

Zaśmiała się, jakby uznała, że żartuje, a ten śmiech wpisał się w ich historię; głośny i szczery, i zaskakująco silny.

Poprawił się na siedzeniu, wyraźnie skrępowany, że zaintrygowały go jej nonsensy.

– Dlaczego nie wierzysz w miłość? – spytała, nie kryjąc zdumienia.

– Och, sama wiesz. Głównie wiąże się z bólem – powiedział, przybierając drwiący wyraz twarzy, przykrywający wszelkie inne uczucia. Kpił z siebie, żeby nie odgadła, jak poważnie traktował swoje słowa.

– Ale nienawiść też nie jest zbyt zabawna, prawda? – zauważyła. – Nigdy nie spotkałam szczęśliwego cynika. Ani nieszczęśliwego optymisty, skoro już o tym mowa. Czyli lepiej być optymistą. Co należało udowodnić. – Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona ze swego wyводу. Powoli pokręcił głową, skonsternowany. Rozbawiony.

Zaintrygowany.

1976

Eddie

Eddie oparł się o poręcz schodów bliźniaka w Clapham i odetchnął głęboko. Wciągnął do płuc tyle tej granatowoczarnej, chłodnej nocy, ile tylko zdołał. Miał nadzieję, że te powolne, uspokajające oddechy usuną zapachy dobrej zabawy, które zapewne wzbudziłyby obiekcje Diane. Dym papierosowy z ubrania, whisky i piwo z ust; żeby pozbyć się zapachu kobiety, będzie musiał wziąć prysznic. Mimo woli zauważył, że sąsiedzi też skuwają czarno-białe wiktoriańskie płytki ze schodów wejściowych. Sam pozbył się ich, gdy tylko odziedziczyli ten dom. Wyrzucił też starą wannę i zastąpił bardziej higieniczną, plastikową, w kolorze awokado. I kazał zainstalować centralne ogrzewanie, żeby nie zawracać sobie głowy paleniem w kominkach. Robiąc to wszystko, miał wrażenie, że uwalnia się z kajdan. Precz ze starociami, niech żyje postęp. Właśnie o to chodziło. Żeby nie oglądać się za siebie. To nigdy nie było w jego stylu. I nigdy nie będzie. Diane protestowała przeciwko tym ulepszeniom. Wolą starocie, twierdziła, że pewnego dnia znów będą modne. Nie chciała nic zmieniać, chciała, żeby dom pozostał taki, jak go urządzili jej rodzice, kiedy była mała.

– Pamiętaj, że jak nam będzie potrzebny nowy dom i będziemy musieli ten sprzedać, nikt nawet nie spojrzy na taką zapuszczoną norę – wytknął jej Eddie. Prawdę mówiąc, irytowało go trochę, że Diane jakby nie zdaje sobie sprawy, że teraz wszyscy chcą mieszkać nowoczesnie. Złościła się i zachowywała irracjonalnie. Właściwie weszło jej to w zwyczaj, szczególnie po kieliszku wina.

– Nie potrzebujemy większego domu. Nie stać nas na większy dom – jęczała. Jej głos zawsze był albo jękliwy, albo piskliwy. Od ładnych kilku lat.

To prawda, że z trudem utrzymywali ten, ale mimo to Eddiego irytował jej brak ambicji. W każdym razie to był teraz jego dom, choć to ona odziedziczyła go po rodzicach. Tak mówiło prawo. Gdyby zechciał, mógłby go sprzedać, tak po prostu. Uważał, że te drzwi z kolorowymi szybami, parkiety i kamienne zlewy są przygnębiające. Oświadczył Diane, że nie

zamierza mieszkać w muzeum i pozbył się tych śmieci.

Westchnął, uświadomiwszy sobie, że nie posunął się w remoncie od co najmniej roku. Doszedł też do wniosku, że żadna ilość pomarańczowych plastikowych krzeseł nie zmieni domu pod numerem 47 w miejsce, w którym chciałby mieszkać.

Otworzył drzwi i niechętnie przekroczył próg. Od razu uderzył go kwaśny zapach ulanego mleka i moczących się pieluch. Miał ochotę odwrócić się i uciec.

Do holu wyszła Diane, zapyziała jak zwykle. Wokół twarzy wisały jej smutno tłuste strąki, ubrana była w brudne dżinsy i podkoszulek z plamami od potu. Mimo to Eddie nie mógł zaprzeczyć, że nadal ma świetną figurę, choć urodziła dwoje dzieci. Zawsze go to uderzało, kiedy ją widział. Chociaż karmiła piersią, cycki miała wciąż małe i nie musiała nosić stanika. Maleńkie, twarde sutki prawie zawsze sterczały prowokująco pod bluzką. Miała długie nogi i zgrabny mały tyłek. Eddiego zawsze zdumiewał jej opór przed wszelkim postępem, choć miała ciało po prostu stworzone na miarę tej epoki. W latach sześćdziesiątych mężczyźni nie zwracaliby na nią uwagi, bo wtedy chcieli mieć za co złapać, ale w latach siedemdziesiątych ta smukła figura czyniła z niej boginię. A przynajmniej czyniłaby, gdyby Diane czasami pofatygowała się umyć. Bez słowa wepchnęła mu w ramiona niemowlę, gestem tak kategorycznym, że musiał upuścić na podłogę scenariusz. Kartki rozsypały się po podłodze jak płatki zwiędniętej róży. Pożałował od razu, że nie ponumerował stronic. Diane tylko wzruszyła ramionami i poszła prosto do kuchni. Nie zawracali już sobie głowy słowami, nie stać ich było na taką grzeczność. Zresztą Eddie i tak nie miał ochoty słuchać, że Diane znów miała zły dzień, że mała ząbkuje i trudno ją uspokoić i że robi dziś wyjątkowo śmierdzącą kupę. Diane w kółko mu o tym mówiła i przy tym dziecku, i przy poprzednim, aż Eddie miał wrażenie, że codziennie słyszy tę samą historię. Bez przerwy. Nie mógł jej pomóc, choć Diane uważała, że po prostu nie chce. W tej chwili nie wiedział już nawet, czy to jeszcze jakaś różnica.

Odruchowo posadził sobie marudzące dziecko na biodrze i oparł czoło o ścianę. Czuł się trochę rozpalony, zapewne z powodu whisky. Powinien był się ograniczyć do piwa. W ogóle nie powinien był pić w porze lunchu, ale nie zdołał się oprzeć. To taka zabawna dziewczyna. Frywolna. Zalotna. No

i wiedział, że po whisky robi się łatwiejsza. Nie ma to jak wolne popołudnie w łóżku, ryzykowne i trochę sprośne. Hol wytapetowany był gładką i chłodną winylową tapetą, brązowe kwadraty na nieco jaśniejszym brązowym tle. Podłogę wyłożyli korkiem. Eddie wybrał jedno i drugie, ale teraz tego pożałował. Czuł się tu jak w celi dla psychicznie chorych, tyle że bez miękkich ścian. Niechętnie spojrzął na Zoe. Taki gruby niemowlak. Kiedy stare babcie zaglądały do wózka, ochały nad nią i achały, i zapewniały, że prawdziwy z niej cherubinek. Same zostały matkami w czasie wojny, więc ceniły grube dzieci. Eddiemu córka się nie podobała. Wolałby, żeby nie była taka gruba. Miał wrażenie, że wylewa się z pieluch i ubranek. Czapeczki zsuwały jej się z głowy, nie sposób było wciągnąć śpioszków na jej grube uda. Czoło niemal opadało jej na nos i w ogóle nie miała szyi. Dean tak samo. Eddie miał nadzieję, że syn schudnie, jak zacznie chodzić, ale nie schudł. Teraz miał pięć lat, ale musiał nosić ubrania przeznaczone dla ośmiolatek i doły nogawek miał zawsze utyłane w błocie, ponieważ Diane nie chciało się ich skracać. Bo była leniwa. Leniwa albo nieporadna. Jeśli chodzi o chłopaka, można było sobie przynajmniej wmawiać, że jest po prostu przysadzisty, można się było pocieszać, że będzie świetnym graczem w rugby. Na litość boską, mieli przecież 1976 rok! Szczupła sylwetka była symbolem zamożności, mody, pożądania. Natomiast tusza... no cóż, oznaczała odwrotność tego wszystkiego.

Eddie pisał scenariusze i pracował w BBC, więc ludzie oczekiwali od niego prezencji i stylu. Należał do TYCH kręgów. Znał ludzi, którzy pewnego dnia zmieniają się w ikony. Oczekiwano od niego, że będzie nosił włosy sięgające poniżej kołnierzyka i długie baczki. Że będzie się ubierał w sztruksy opadające niebezpiecznie nisko na biodrach i bezlitośnie obcisłe golfy, które nie pozwalały na choćby odrobinę zbędnego ciała. Zakładano, że bierze miękkie narkotyki i uprawia wolną miłość, spodziewano się, że jego żona była kiedyś modelką, ale teraz troszeczkę za bardzo polega na valium i winie. I że każdy jego wieczór to impreza.

Nikt natomiast nie spodziewał się dzieci, no ale skoro już były, to powinny być chude i kapryśne. Powinny nosić wymyślne stroje i mieć długie blond włosy, które utrudniały określenie płci. Wzorem dla nich powinny być dzieci amerykańskie i skandynawskie. Tymczasem Dean wyglądał, jakby wzorował się na Billym Bunterze. Eddie winił za to wielkie ilości

puszkowanego puddingu ryżowego, deserów Angel Delight i naleśników Findus Crispy Pancakes, które wpychała w niego Diane. Wiedział, dlaczego to robi: dzieci nie płaczą, kiedy mają pełne gęby. Leniwa krowa.

Matka ostrzegła go, że Diane nie będzie dobrą żoną. Że nie potrafi ugotować porządnego obiadu, szyć i sprzątać. Zgadzał się z tą opinią; pociągały go w niej jej niedoskonałości. Myślał, że jest taka jak on. Że jest śmiała i ma wszystko w nosie. Że jest samolubna. Wydawała mu się atrakcyjna, ale teraz stała się po prostu niewygodna.

Poszedł za żoną do kuchni. Przez chwilę łudził się nadzieją, że ugotowała coś na kolację, ale sama taka myśl była śmieszna. Nawet gdyby należała do żon, które gotują mężowi obiady, spóźnił się przecież dwie godziny, więc każdy posiłek byłby w tej chwili zimny i zapewne przypalony. Zresztą nie czuł zapachu domowego jedzenia. W kuchni czuć było wilgocia i stęchlizną, starym tłuszczem i zatkanym zlewem.

Diane zawsze trzymała włączone radio, ale ściszała dźwięk, zapewne żeby nie budzić dzieci. To dodatkowo zirytowało Eddiego. Jak niby miał słuchać muzyki albo wiadomości? Ze złością wyłączył radio i teraz ciszę przerywało tylko kapanie z kranu. Już dawno miał to naprawić. I wątpił, czy kiedyś to zrobi.

Zawsze go dziwiło, że choć kuchnia w zasadzie jest nieużywana, nieodmiennie panuje w niej bałagan. Linoleum lepiło się do podeszew; Eddie miał wrażenie, że brodzi w morzu plasteliny, jego buty wydawały przy chodzeniu dziwny grząski dźwięk. Na okrągłym plastikowym stole stały brudne naczynia po podwieczorku, lunchu i śniadaniu dzieci. Wzrok Eddiego zarejestrował otwarte opakowanie masła, które niewątpliwie zdążyło już zjełczeć, lepkie słoiki z dżemem, butelkę ze skisłym mlekiem, oblepioną czerwoną mazią butelkę keczupu i talerze z tłustymi zaciekami; najwyraźniej Dean jadł na kolację smażone jajka. Znów zalęgną im się myszy, jeśli Diane nie weźmie się do roboty.

Rzadko siadali przy tym stole do posiłków. Eddiego nie przeszkadzało, że nie jadają razem obiadów w niedzielę – rodzina zebrana nad mięsem z warzywami to było coś, co ceniło poprzednie pokolenie – ale nie miałyby nic przeciwko domowemu spaghetti albo curry. Te potrawy nie były burżuazyjne, ponieważ pochodziły z zagranicy. Tak, spaghetti i curry były w porządku. Mógłby zaprosić przyjaciół na kolację, wyciągnąć zestaw do

fondue i podać czerwone wino. Kiedy byli w Hiszpanii, w podróży poślubnej, kupili karafkę do wina. Gdzie ona teraz jest, do diabła? Jak to możliwe, że nigdy nie widział tej karafki, choć każde naczynie, jakie mieli w domu, wałało się w tej kuchni gdzieś na wierzchu? Czyżby Diane pozbyła się wszystkich pamiątek z miesiąca miodowego? To było sześć lat temu, ale Eddie miał wrażenie, że w innym życiu. W tej obskurnej kuchni stałym elementem była drewniana suszarka, a wiszące na niej ubrania Eddiemu zawsze kojarzyły się z martwymi ciałami. Przy drzwiach stały dwa plastikowe wiaderka, których Diane używała do splukiwania brudnych pieluch. Wszędzie stały kubki i kieliszki, w każdym rozwijał się mały ekosystem pleśni, a okalały je okruchy jak rozsypane confetti. Diane pochłaniała dziennie dziesięć herbatników Rich Tea. Do tego dwa jabłka i dwa kieliszki wina. Poniżej tysiąca kalorii, gwarancja, że kości miednicy nie przestaną jej sterczeć. A ostatnio zamieniła jabłka na dodatkowy kieliszek wina.

Należałoby tu wywietrzyć, ale okno się zacięło. Ta kuchnia to był prywatny pokój 101 Eddiego. Bez klatki ze szczurami przyciskanej do twarzy jak u Orwella. Tu wymierzano śmierć przez obowiązki domowe. W tej kuchni nie rozmawiali o strajkach, muzyce Davida Bowiego czy choćby o trwałej ondulacji i rowerach robionych na wzór harleyów. Rozmowy, do których ograniczali się Eddie i Diane (o ile w ogóle się do siebie odzywali), koncentrowały się na tym, że jedno dziecko przewróciło się i zrobiło sobie siniaka, a drugie dostało dziwnej wysypki. Albo Diane jęczała, że potrzebuje pieniędzy, że wpadła jej ciotka i powiedziała, że muszą sobie kupić nowe zasłony i że pytała, kiedy Eddie znajdzie sobie lepszą pracę. Jeśli wypła dostatecznie dużo, zaczynała krzyczeć, że ona też się nad tym zastanawia. Przecież skończył studia, ma dyplom, więc dlaczego marnuje to wszystko na jakąś pisaninę? Z pisania nie ma pieniędzy. Powinna była wyjść za księgowego. Tak powiedziała jej ciotka. Tak myślała też sama Diane.

Eddie znał mężczyzn, którzy bili żony. On tego nie robił. Bicie żony źle się komponuje z czytaniem „Tribune”, ale czasami, kiedy tak gadała i gadała, i gadała bez końca, wyobrażał sobie, że łapie jedną z tych brudnych ścierek z kuchennego blatu i wpycha jej do ust. Nie chciał jej udusić, przynajmniej tak sądził. Chciał tylko, żeby wreszcie zamilkła.

Popatrzył na swoją grubą złotą obrączkę. Nie tak to sobie wyobrażał.

Dusił się tutaj.

1982

Clara

Clara ze zniecierpliwieniem wyłączyła telewizor. Nigdy nie podawali dobrych informacji, donosili wyłącznie o bombach, porwaniach, ryzyku strajków. Zwykle oglądała tylko końcówkę wiadomości, kiedy mowa była o królowej. O tym, że odwiedziła park publiczny albo jakieś centrum dla młodzieży. Ale dziś miała się nie dowiedzieć, co robiła monarchini, ponieważ wyłączyła odbiornik, nim doszli do tej części. Podali, że w tej chwili w Anglii są trzy miliony bezrobotnych. Trzy miliony! Czy ktoś nie może im znaleźć czegoś do roboty? Powinien, ponieważ nic dobrego nie wyniknie z takiej masy bezczynnych ludzi. Wiedziała dobrze, jak destruktywna potrafi być nuda. Powiedziała Timowi, że może powinni ich wcielić do wojska. Wprawdzie żołnierze i marynarze świetnie radzili sobie na Falklandach, ale bez wątpienia przydałaby im się pomoc, kilku towarzyszy więcej. W gruncie rzeczy Clara nie miała pojęcia, co tam się dzieje; prawdę powiedziawszy, musiała sprawdzić w atlasie, gdzie leżą Falklandy, ale ojciec Neila Todda zapewnił ją pod szkołą, kiedy odbierała dziewczynki, że nie ma się czego wstydzić, bo właściwie nikt tego nie wie. Wiadomo było tylko tyle, że toczą się tam walki i że młodzi ludzie wracają do domu ze wstrząsającymi obrażeniami. Jak się tak zastanowić, to pewnie tym na zasiłku jest lepiej w domu. Clara westchnęła. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. I nie lubiła o tym myśleć, więc zaczęła rozważać, jak zabić te kilka godzin, które jej pozostały do odebrania dzieci ze szkoły. Co ma zrobić z tym popołudniem? Obejrzeć coś na wideo? Oglądanie nagranych na kasety odcinków *Dynastii*, kiedy dzieci były w szkole, stanowiło jej małą grzeszną przyjemność. Oczywiście próbowała oglądać serial wieczorem, kiedy puszczała go w telewizji, ale nie mogła się skupić, bo dzieci zawsze kłóciły się przez cały odcinek albo jeszcze gorzej – zadawały jej irytujące i nieodpowiednie pytania. Zwykle była bardzo cierpliwą matką, gotową prowadzić niekończące się dyskusje na temat lalek Barbie i Dzielnej Myszy (nie, nie miała pojęcia, że pełne nazwisko Barbie brzmi Barbara Millicent

Roberts, ale tak, podziela opinię, że Barbie Millie brzmi ślicznie, oraz owszem, Dzielną Mysz na pewno uczyła się z Jamesem Bondem; przynajmniej w tej samej szkole, jeśli nie w tej samej klasie), ale znacznie trudniej było wyjaśnić dzieciom zawiłości życia bogatej rodziny z Denver, która dorobiła się majątku na ropie naftowej.

– Czy tata robi coś z ropą? – spytała z zaciekawieniem Joanna, kiedy ostatnim razem oglądały razem serial.

– Nie, ty głupku, tata jest bankierem – odparła Lisa lekceważąco. Choć różnica wieku między nimi wynosiła niecałe dwa lata, wydawała się większa, ponieważ czternastoletnia Lisa weszła już w świat nastolatek, pełnego martensów i czarnego tuszu do rzęs, natomiast dwunastoletnia Joanna nadal zadowalała się ubieraniem lalek.

– To może powinien, mielibyśmy wtedy taki duży dom jak Krystle – stwierdziła teraz, a jej dziecinny głosik nie do końca ukrywał całkowicie już ukształtowaną ambicję, by dobrze wyjść za mąż. Joanna postanowiła na własnej skórze przeżyć bajkę o Kopciuszku.

– Nam też się dobrze powodzi – przypomniała córce Clara; często przypominała o tym i sobie. – Mieszkamy w większym domu niż wszystkie twoje koleżanki.

– A zresztą co Krystle robi w tym domu przez cały dzień? – spytała Lisa i wstała, żeby iść odrobić lekcje.

Joanna wzruszyła ramionami, wyraźnie nie przejmując się nieróbstwem celebrytki. Nagle coś jej wpadło do głowy.

– Nie rozumiem, dlaczego Blake ożenił się aż z dwiema paniami – stwierdziła. – Tak wolno?

Clara spróbowała jej to wyjaśnić.

– No wiesz, Krystle była jego sekretarką, ale teraz jest jego żoną. Alexis była jego żoną wcześniej.

– A kim jest teraz?

– Jego byłą żoną.

– A co to znaczy? – spytała Jo, wyraźnie zaskoczona. W jej bezpiecznym świecie, na zielonym przedmieściu Wimbledon, pojęcie „była żona” pozbawione było treści; nie wiedziała, że w innych dzielnicach rozwody są na porządku dziennym. Do Wimbledonu nie miały wstępu. Clara wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

– Ona nie jest tylko jego byłą żoną, jest też szefem ogromnej firmy wartej miliony albo nawet miliard dolarów – mruknęła Lisa, wywracając oczami.

– A którą żonę wolisz, mamusiu? – naciskała Joanna.

– Krystle. Jest taka cierpliwa, pogodna i opanowana – odparła Clara, choć w głębi duszy uważała, że Alexis bawi się lepiej. Bezbarwna druga żona nie była nawet w połowie tak ciekawa, jak ta pierwsza: pełna życia, przewrotna i zawsze z nowym młodym kochankiem u boku. Niemniej Alexis Carrington nie była dla Clary Russell wzorem do naśladowania. Przynajmniej oficjalnie.

– Dlaczego przestali szukać Adama? Gdyby ktoś mnie porwał, też przestałabyś mnie szukać? – spytał z obawą Mark, jej najmłodsze dziecko. Kręcił się na kolanach Clary, która napawała się jego pulchnym ciepłem.

– Oczywiście, że bym nie przestała, kochanie. Szukałabym cię przez cały czas, poszłabym na koniec świata, żeby cię znaleźć.

– Ziemia jest okrągła, więc ściśle rzecz biorąc, nie ma końca – zauważyła Lisa.

– Liso, on ma pięć lat.

– Tym bardziej nie powinnaś mu nabijać głowy głupotami – stwierdziła córka, wskazując wymownie ruchem głowy Joannę i nie spuszczać zimnego wzroku z matki. Clara wiedziała, że zdaniem Lisy Joannie należy wybić z głowy bajki, w które wierzyła jak w Biblię, i że matka nie jest szczególnie dobrym wzorem do naśladowania dla młodszej córki.

Czy córki były nią rozczarowane? Tak bardzo się starała. Prawie zawsze robiła to, co należy, choć zrobienie czegoś złego było o tyle łatwiejsze, o tyle zabawniejsze. Clara święcie wierzyła, że jest świetną gospodynią domową. To nie podlegało dyskusji. Dom był nieskazitelnie czysty, posiłki zdrowe i podawane punktualnie, ubrania starannie wyprasowane (nawet bielizna Tima, halki i piżamy), ale Lisa bez wątpienia wolałaby, żeby Clara odnosiła sukces w życiu zawodowym; żeby nosiła żakiety z watowanymi ramionami i nie ruszała się nigdzie bez grubego terminarza. Kiedy Joanna poszła do szkoły, przez krótki czas Clara istotnie pracowała. Przez dawną przyjaciółkę znalazła posadę w BBC; zajęcie polegało głównie na pisaniu na maszynie i układaniu dokumentów w archiwum, ale dzięki niemu wychodziła z domu na kilka godzin dziennie i spotykała takich ciekawych ludzi. Zbyt ciekawych. Niebezpiecznie ciekawych. Więc po tym incydencie Tim nie chciał nawet słyszeć, żeby znów poszła do pracy. Stwierdził, że praca nie jest dla kobiet,

które mają męża i dzieci, i trudno było odmówić mu racji. W tygodniu rzadko wracał do domu przed dziewiątą, czasami dużo później. Jak by sobie poradzili, gdyby oboje chodzili do pracy? Clara często czuła się niezręcznie pod oskarżycielskim spojrzeniem Lisy; dosłownie i w przenośni. Podejrzewała, że Lisa pojmuje dużo więcej niż powinna. Czy zdaje sobie sprawę, że Mark był dzieckiem, które miało załatać dziurę po... jak by to ująć... trudnym okresie Clary w BBC? Uparła się na trzecie dziecko, chciała mieć coś, co by ją zakotwiczyło w dawnym życiu. Czy Lisa wie, że choć matka starała się nie faworyzować żadnego z dzieci, wołała towarzystwo syna niż córek? Nie w tym rzecz, że lubiła go bardziej. Nie aż tak. Po prostu z nim wszystko wydawało się łatwe. Był pewny siebie, niezależny i pod pewnym względem inny. Dziewczynki były z nią związane w bardziej fundamentalny, pierwotny sposób. Niewykluczone, że był to skutek tego ciągłego porównywania córek z nią; o dziewczynkach mówiono, że są albo zabawniejsze, albo mniej zabawne niż ona, albo ładniejsze, albo nie tak ładne jak ona, albo bardziej, albo mniej pewne siebie niż ona. Czuła wobec nich uciążliwą odpowiedzialność, która z jakichś powodów nie rozciągała się na syna. Poza tym zanim pojawił się Mark, straciła na niewinności i uległości; może dzięki temu stała się bardziej pewną siebie matką. No bo przecież miała raptem dziewiętnaście lat, kiedy urodziła się Lisa. Sama była jeszcze dzieckiem.

Przestała oglądać ulubiony serial z dziećmi, kiedy pewnego dnia Joanna zapytała:

– Dlaczego Steven nie ma żony? Czy on chce się ożenić z tym mężczyzną? Czy tak wolno?

Zamiast odpowiedzieć, Clara posłała dzieci prosto do łóżek.

No więc, czym wypełnić popołudnie? Nie miała nic do roboty. Przygotowała już chilli z ziemniakami w mundurkach na kolację, dość łagodne, ale żeby zachęcić dzieci. Upiekła ciasto czekoladowe; wiedziały doskonale, że dostaną deser tylko, jeśli zjedzą wszystko. Rita, ich sprzątaczką, zmieniała pościel. Wyprane prześcieradła wisiały już na sznurze, powiewając na wietrze. Tim tego nie rozumiał, ale Clara lubiła zajmować się domowymi sprawami, choć mogła zostawić wszystko na głowie Rity. Dzięki temu miała coś do roboty. Odkurzyła nawet swoją kolekcję porcelanowych figurek – było ich dwadzieścia osiem, więc nie było to takie znów banalne –

a teraz rozglądała się po salonie, zastanawiając się, czy nie zostało jeszcze coś do zrobienia.

Pokój był nieskazitelnie czysty, wysprzątnany i modnie urządzone: pastelowe kolory, kremowy, brzoskwiniowy i łososiowy, mieszały się i przechodziły jeden w drugi. Jej teść stwierdził kiedyś, że czuje się w ich domu jak we francuskim burdelu; uznała za stosowne nie zaszczyścić jego uwagi odpowiedzią. No bo przecież nigdy nie był we francuskim burdelu, prawda? A może był? W końcu rodzice to też ludzie. Jej teść potrafił być ordynarny. Na szczęście Tim tego po nim nie odziedziczył.

Dywan był jasnobezowy. Wolałaby kremowy, ale uznała, że przy trójce dzieci będzie niepraktyczny. Bez przerwy biegały do ogrodu przez drzwi na taras, a kiedy wracały, nanosiły błoto. Więc musiała się zadowolić bezowym dywanem, jednak postanowiła zaryzykować z kanapą i fotelami i kazała je obić materiałem w pastelowe kwiaty; zdawała sobie sprawę, że wystarczy jedna wylana szklanka soku pomarańczowego, żeby obicie było do wyrzucenia, więc nie pozwalała dzieciom przynosić napojów do bawialni. Tapetę też wybrała w pastelowe kwiaty, ale nieco mniejsze i bardziej skupione niż te na obiciach. Sięgała tylko do połowy ściany; wyżej przechodziła w niezwykle wykończenie, w którym było coś niemal królewskiego – na pomalowaną na brzoskwiniowo ścianę nałożono nieregularnie opalizującą złotą farbę. Clara sama nakładała to złoto i była z tego bardzo dumna, choć Tim stwierdził, że mogła przecież zlecić to robotnikom. Chociaż nie było łatwo – kiedy skończyła, miała prawie tyle samo farby na kombinezonie, co na ścianie – teraz za każdym razem, kiedy patrzyła na swoje dzieło, po prostu puchła z dumy, że dokonała tego sama. Nad telewizorem wisiał obraz przedstawiający rzekę i wzgórze. Clara nie знаła nazwiska malarza, ale widziała oryginał w National Gallery i kupiła reprodukcję w sklepie muzealnym. Kolory były nieco mniej jaskrawe niż oryginału, ale to jej nie przeszkadzało; w ten sposób obraz pasował jeszcze lepiej. Jeśli dodać do tego dwa mosiężne świeczniki i odjąć paskudny, ciemny barek w kącie (Tim się na niego uparł), pokój był idealny. Tak właśnie sobie wyobrażała swoje królestwo, którym będzie rządzić jako żona i matka. To był jej szczyt marzeń o życiu mężatki.

Nienawidziła go z całego serca.

Westchnęła i sięgnęła po „Radio Times”. Przejrzała gazetę uważnie, jak

zawsze, szukając jego nazwiska. Znalazła je tylko dwa razy w ciągu sześciu lat, mignęło jej też w napisach trzech programów w telewizji. Za każdym razem miała wrażenie, że przeszył ją prąd, nisko, w podbrzuszu. Czy to nie dziwne, że nazwisko wydrukowane na papierze wywoływało taki efekt? Nie żałowała swojego wyboru. Nie było sensu niczego żałować. Kochanek wprowadzał zamieszanie, nic więcej. A jednak wciąż nie była obojętna.

Natrafiała na artykuł o Harrisonie Fordzie, który bardzo ją ucieszył. Nie przestawała o nim myśleć od pierwszej części *Gwiezdnych wojen*. Zapewne dzięki temu, że tak nisko na biodrze nosił pas z bronią. Pod wpływem tej myśli całe jej ciało jakby się uśmiechnęło. *Poszukiwaczy zaginionej arki* widziała dwa razy, raz z Timem, ale raz sama. Nigdy nie powiedziała o tym Timowi. Uznałby to za niemądre, ale ona bawiła się świetnie. Siedziała w ciemności, sama ze swymi myślami i fantazjami. Małe sekrety były nieszkodliwe. I dozwolone. Kupiła sobie popcorn, ale pozostał nietknięty. Harrison Ford potrafił nosić fedorę, a ten bat w jego rękach... No cóż, podobał jej się.

Przeczytała cały artykuł, ale niewiele z niego wynikało; Ford nie zdradził, czy ta niesamowita chemia pomiędzy nim a Karen Allen jest prawdziwa, czy istnieje tylko na ekranie. No ale on nie należał do tych, którzy się przechwalają. Prawdziwi dżentelmeni tego nie robią. Rzecz po prostu w tym, żeby określić, kto jest prawdziwym dżentelmenem, a kto nie.

Clara starannie odłożyła magazyn do stojaka na prasę i zaczęła się zastanawiać, czy powinna włożyć nową bluzkę, gdy pójdzie po Marka. Kupiła ją wczoraj, w tym nowym sklepie, który nazywał się Next; była połyskliwa, srebrzysta i miała wielkie bufiaste rękawy, podkreślone rzędem obciągniętych materiałem guzików na przedramieniu. Bardzo strojna bluzka, odpowiednia do restauracji albo nocnego klubu, ale ostatnimi czasy Clara nie wychodziła już tak często na miasto, więc uznała, że równie dobrze może ją założyć, kiedy pójdzie po dzieci do szkoły. W końcu nic w tym złego, że się dobrze wygląda, szczególnie w czwartek. Bo w czwartek Neila Todda odbierał zawsze ojciec. Taki miły człowiek. Bardzo atrakcyjny. Zastanawiała się, jak wyglądałby w fedorze. Ciekawe, czy potrafiłby ją nosić?

*Środa, 20 kwietnia
2005 roku*

Dean

– Dean, telefon z Anglii.

– Czy to Rogers? – spytał i uśmiechnął się, czując falę podniecenia.

Dean był szefem działu obsługi kluczowych klientów w dużej międzynarodowej agencji reklamowej, Q&A. Oddział, w którym pracował, mieszczący się w Chicago, nieoficjalnie uważano za młodszego brata oddziału nowojorskiego, a to drażniło jego ambicję i dumę zawodową. Oba oddziały były równie duże, drapieżne i nowoczesne. Oba miały mniej więcej tyle samo kluczowych klientów, a ich działy kreatywne wykazywały się podobną innowacyjnością. Ale tam gdzie chodziło o pieniądze (a zawsze przecież chodziło o pieniądze), Nowy Jork bił na głowę oddział z Chicago, i to już od wielu lat. Dean nie był pewien od jak wielu, ale na pewno odkąd on sam pracował w Q&A. Irytowało go to, ale był pewien, że to się zmieni.

Rogers był szefem działu marketingu w wielkiej międzynarodowej firmie produkującej słodycze. Przez ostatnie pięć miesięcy Dean wraz ze swym dwunastoosobowym zespołem walczył o kontrakt na kampanię reklamową tej firmy, wart około 132 milionów dolarów. Taki dochód sprawiłby, że akcje oddziału z Chicago wystrzeliłyby w niebo, a razem z nimi jego kariera. A jego odpowiednik w Nowym Jorku zjadłby własny kapelusz. Dean wiedział, że w tej chwili wybór Rogersa ogranicza się do krótkiej listy trzech agencji i że Chicago znajduje się na tej liście. Sukces miał w zasięgu ręki, a sukces dla Deana oznaczał wszystko. Cenił go bardziej niż popularność, przyjaźń, a nawet miłość. Wprawdzie nie specjalizował się w słodyczach – lepiej czuł się w branży samochodowej albo elektronicznej – ale był w zasadzie pewien, że zaproponowali naprawdę przełomową strategię i śmiałą koncepcję kreatywną. Prawdziwie zwariowaną. W tej chwili Rogers omawiał w Londynie przedstawione oferty ze swoim międzynarodowym zespołem; zapewnił Deana, że zadzwoni, jak tylko podejmą decyzję. Dean nie był jakoś szczególnie arogancki; po prostu był realistą. Miał cięższe życie, niż sądzili ludzie, którzy znali go teraz, kiedy

mógł się ubierać w garnitury od Armaniego i jeździć audi TT. Ale ponieważ przeżył więcej rozczarowań niż inni, nauczył się osądzać wszystko z rozważą. Jego optymizm zawsze miał swoje granice, niemniej niemal oczekiwał, że Rogers podejmie decyzję na jego korzyść.

Jeśli Q&A z Chicago zdobędzie kontrakt, będzie z tego niezła premia. Dean obiecał sobie w nagrodę wyprawę do Vegas. Masa cycków bez zobowiązań, a do tego hazard, czego tam nie kochać? Zasługiwał na to. Pracował ciężko, żeby stać się tym, kim był teraz. Wiele godzin spędził na opracowywaniu solidnej strategii i szalonych koncepcji tej kampanii, ale niemal równie wiele poświęcił na nawiązywanie serdecznych stosunków z Rogersem. Obietnicę, że jako pierwszy dowie się o decyzji zarządu, otrzymał w klubie ze striptizem, gdzie zabrał swego przyszłego klienta. Okazało się, że biedak nigdy nie był w takim klubie, co Dean uznał za grzech.

– No to chodźmy! – powiedział ze śmiechem i poklepał Rogersa po ramieniu.

Ten próbował się opierać.

– Ale dzisiejsze wydatki nie pojawią się na fakturze, którą nam wystawicie? – spytał z obawą. Deanowi zrobiło się go żal, ale równocześnie poczuł lekką pogardę; ten facet na pewno nie był nieustraszony.

– W żadnym razie. Ja stawiam, przyjacielu. Jak kumpel kumplowi.

To pochlebiało Rogersowi. Widać było wyraźnie, że w jego oczach Dean stanowi kwintesencję cech, które większość marketingowców z korporacji przypisuje ludziom z agencji reklamowych. Że uważa go za prawdziwego gościa. Zresztą wszyscy tak myśleli o Deanie. Był zabawny, dowcipny, zawsze miał pod ręką jakąś celną uwagę. I był twardy. Wysportowany. Szybki. Zdeterminowany. Od pięciu lat co roku przebiegał chicagowski maraton, a choć był coraz starszy, osiągał coraz lepszy czas. Był takim facetem, którego ludzie zapraszają na przyjęcia, a jeśli nie odpowiadała mu data, to ją zmieniają. Był takim facetem, którego numer telefonu każda kobieta jest gotowa wytatuować sobie na cyckach, jeśli w windzie spyta ją: „Jedź pani w górę czy w dół?”. Był takim facetem, o byciu jakim inni faceci mogą tylko pomarzyć.

Dean niemal już słyszał brzęczenie monet sypiących się z jednorękiach bandytów.

Viva Las Vegas!

– Nie. Nie, to nie Rogers – odparła Lacey, jego osobista asystentka. – To ze szpitala. W Anglii. Szpital Królowej Anny w Londynie. Nie zapamiętałam, z którego stanu.

– U nas w Anglii nie ma stanów – wyjaśnił jej Dean z westchnieniem. Jego asystentka była ostrą laską, ale niezbyt bystrą. Chyba będzie musiał przemyśleć swoją politykę zatrudnienia. – Odbiorę u siebie. – Miał nadzieję, że ani Zoe, jego siostrze, ani jej dzieciom nic się nie stało.

– Czy pan Dean Taylor?

– Przy telefonie.

– Mówi Kitty McGreggor, pielęgniarka ze szpitala Królowej Anny, w Shepherd's Bush w Londynie.

– Czy coś się stało mojej siostrze Zoe albo jej dzieciom? Coś poważnego? – spytał.

– Dzwonię w imieniu pana Edwarda Taylora. – Pielęgniarka miała lekki szkocki akcent. Jej głos brzmiał bardzo konkretnie; była stanowcza, spokojna, opanowana.

Przez chwilę Dean nie rozumiał. Nie chodziło o ten szkocki akcent, tylko o imię: odległe, niejasne wspomnienia, o których nie mówiło się nawet szeptem. Nazwisko „Edward Taylor” budziło w sercu Deana Taylora strach i pogardę, tak jak imię „Makbet” wypowiedziane w teatrze przed premierą przerażało aktorów; to był pewny sposób na sprowadzenie nieszczęścia.

– Przykro mi, panie Taylor, ale muszę pana poinformować, że pański ojciec cierpi na raka trzustki. Niestety doszło do przerzutów i... – urwała, a w jej głosie pojawiła się łagodniejsza nuta – ...i obawiam się, że to stan terminalny. Nie zostało mu wiele czasu. Powinien pan o tym wiedzieć.

– To chyba jakaś pomyłka.

– Według lekarzy ma przed sobą tydzień życia, może mniej. Kilka dni. Nie ma mowy o pomyłce.

– Nie miałem na myśli diagnozy.

– Czy pan Dean Taylor?

– Tak.

– Syn Edwarda Taylora?

– Tak sądzę.

– Więc nie ma mowy o pomyłce.

– Chodzi mi o to, że poprosił panią, żeby pani do mnie zadzwoniła.

Jo

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że za siedemdziesiąt dwie godziny Martin będzie żonaty. Żonaty! – Wywlekam te słowa z mroków podświadomości i rzucam na stół, żeby moja starsza siostra mogła się im przyjrzeć, ale Lisa jest zdecydowanie bardziej zainteresowana wyborem deseru. Rozumiem ją; jest pracującą matką trojga dzieci, więc wieczorne wyjścia na miasto wymagają od niej planowania precyzyjnego jak w wojsku. Przede wszystkim chce się dobrze bawić, a to między innymi oznacza zamówienie wspaniałego deseru. Zdołałyśmy się wyrwać dziś wieczorem tylko dlatego, że chwilowo mieszkam u Lisy, a jej mąż uważa mnie za poważną przeszkodę w dostępie do pilota do telewizora. W jego opinii pozbycie się mnie z domu (wszystko jedno, z Lisą czy bez) to gra warta świeczki, więc zaproponował, że zostanie z dziećmi.

– Jak sądzisz, czekoladowy suflet czy tiramisu? Chyba wezmę tiramisu – mówi Lisa i stanowczym gestem zamyka menu. Wykorzystuje fakt, że jestem jej siostrą; nigdy nie zamówiłaby takiego niemodnego deseru, gdyby tu siedziała z koleżankami z City, gdzie pracuje, ale przy mnie może nawet pić kawę z baileysem, jeśli chce; siostry wybaczą sobie takie rzeczy. Kocham ją, ale w tej chwili mam ochotę ją udusić, ponieważ z wyraźną niechęcią odnosi się do tematu ślubu mojego eks, czyli jedynej rzeczy, o której ja potrafię myśleć.

– Za niecałe trzy dni – mówię więc z naciskiem. – A dokładnie za siedemdziesiąt dwie godziny.

– Naprawdę dokładnie? Siedemdziesiąt dwie? Wiesz, nie jestem taka pewna. Wzięłaś pod uwagę różnicę czasu? No wiesz, sobota po południu w Chicago to nie jest sobota po południu tutaj – wytyka mi Lisa. – U nich to chyba później, prawda? Chyba to będzie jakieś osiemdziesiąt godzin.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Wiesz, że nie o to chodzi.

– Doprawdy? – Pociąga łyk białego wina i robi niewinną minę. – Więc

o co?

Wyraz jej twarzy zdradza, że natychmiast żałuje tego pytania. Mam świadomość, że cała dzisiejsza rozmowa ma znamiona *déjà vu*. Wiem o tym równie dobrze jak ona. Właśnie dlatego potrzebna mi jej wyrozumiałość.

– To powinnam być ja! – wykrzykuję dramatycznie.

– Nieprawda – stwierdza Lisa. Najwyraźniej nie do końca wie, co to znaczy tolerancja.

– Owszem, prawda. Mnie pierwszą poprosił o rękę. – Sama słyszę, że to brzmi infantylnie. Mówię jak dziecko usiłujące się wepchnąć do kolejki w stołówce: ja byłam pierwsza!

– Ale przecież go nie chciałaś – wytyka mi Lisa.

– Wtedy nie. Może. Ale teraz chcę. Chcę! – upieram się.

Ten wieczór ma w sobie coś więcej niż tylko posmak *déjà vu* dlatego, że kiedy trzy miesiące temu dostałam sztywne, złocone zaproszenie na ślub Martina, też poszłyśmy z Lisą na kolację. Otworzyłam przed nią serce, a ona zarzuciła mi, że próbuję poprawiać historię. Tamten wieczór, podobnie jak dzisiejszy, aż ociekał świętym oburzeniem i uzalaniem się nad sobą. Z początku próbowałam mówić to, co powinnam, czego się po mnie spodziewano. Więc udawałam zachwyty, że Martin się pozbierał, że spotkał kogoś, na kim mu zależy, i znów pragnie się związać. Potem, po dwóch kieliszkach wina, zamieniłam „na kim mu zależy” na „kim się zadowoli” i „pragnie” na „jest gotowy”. Za trzecim podejściem do tematu (wypiłam już wtedy większość butelki shiraz) mówiłam natomiast o „nieprzyzwoitym pośpiechu”, z jakim Martin rzuca się w ten „niedobry związek” i mamrotałam niewyraźnie co drugie słowo „bo go nie chciałam”.

– Minęło prawie pięć lat, odkąd się rozstaliście. Moim zdaniem to nie jest z jego strony nieprzyzwoity pośpiech – zauważyła spokojnie (i z lekką irytacją) Lisa.

Zmierzyłam ją morderczym spojrzeniem.

– Owszem, ale Martin poznał tę kobietę zaledwie osiemnaście miesięcy temu. – Ta plotka dotarła z Ameryki do Londynu za pośrednictwem naszych nadal wspólnych przyjaciół. – A co najmniej tyle trzeba, żeby zorganizować przyzwoity ślub. Jego narzeczona musiała wpłacić zaliczkę w wieczór, kiedy się poznali – warknęłam.

– Niektórzy ludzie wiedzą od razu, że chcą ze sobą spędzić całe życie,

i nie widzą powodu, żeby z tym zwlekać.

Zwykle to ja robię uwagi w tym stylu, więc trudno mi się było spierać. Więc tylko zaproponowałam, żebyśmy zamówiły drugą butelkę. Tamten wieczór skończył się paskudnie. Mocno pijana zadzwoniłam do innego, nie tak ważnego, byłego, a potem poszłam do niego, żeby się pocieszyć seksem. Lisa nie kryła dezaprobaty, kiedy wsadzała mnie do taksówki.

– W jakiś sposób przypominasz mi Misia Paddingtona – stwierdziła.

– Mam słodki wyraz pyszczka? Smętne oczy? – spytałam pełna nadziei, że nie bełkoczę.

– Raczej jesteś równie bezradna i zagubiona – westchnęła. – Mam ochotę przyczepić ci kartkę „Proszę, zaopiekujcie się tym misiem. Jest bezradny, ponieważ obraził się na cały świat, że jest sam”. – Lisa spróbowała się uśmiechnąć, ale wiedziałam, że mówi serio.

– To bez sensu. Poza tym nawet nie wiem, czy wszyscy moi byli potrafią czytać – zażartowałam. To był smutny żart, bo obie wiedziałyśmy, że od czasów Martina trudno mi było zarzucić wybredność, jeśli chodzi o facetów. Lisa stwierdziła kiedyś, że preferuję mężczyzn „ordynarnych, niemal zwierzęcych”. Istotnie, moich byłych raczej nie interesowały powody, dla których zjawiam się u nich pijana w środku nocy; po prostu wykorzystywali ten fakt, żeby się ze mną przespać. Więc wieczór skończył się zgodnie z przewidywaniami: odbyłam pozbawiony znaczenia stosunek seksualny z pozbawionym znaczenia facetem, a kiedy się obudziłam, nie czułam się lepiej, tylko gorzej. Posiniaczona. Nie fizycznie, lecz uczuciowo.

Lisa przerywa moje rozmyślenia.

– Jo, musisz pamiętać, że to ty rzuciłaś Martina – sięga po moją rękę i ściska ją znacząco. – Nie kochałaś go – dodaje z naciskiem.

– No... nie, ale... – Nie chce mi przejść przez gardło wyznanie, że teraz, kiedy mam trzydzieści pięć, a w zasadzie trzydzieści sześć lat, kiedy praktycznie rzecz ujmując, mam na karku czterdziestkę, nie byłabym już pewnie taka wybredna. Tyle się zdarzyło w ciągu tych pięciu lat i dwóch miesięcy, które upłynęły od zerwania z Martinem. W tej chwili potrafię tylko myśleć o tym, że byłam na siedemnastu ślubach, a mam zaproszenie na trzy kolejne. – Martin był miły, wypłacalny i wysoki.

– I nudny. Ciągle powtarzałaś, że nie macie ze sobą wiele wspólnego.

– Mogłabym się nauczyć dzielić jego zainteresowania – upieram się.

– Założę się, że nawet nie pamiętasz, czym się interesowałam. Nim dostałaś zaproszenie na ten ślub, od dawna w ogóle o nim nie myślałam.

– Co roku wysyłam mu kartkę na święta.

– Co roku wysyłasz na święta kartki wszystkim swoim byłym. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem nadążasz je pisać, chyba zaczynasz już w październiku. Nie mam też pojęcia, po co to robisz.

– Ha, ha, bardzo zabawne. – Chodzi jej o to, że liczba moich byłych z ostatnich lat zdecydowanie przekracza średnią. Różni ludzie mają na ten temat różne poglądy: niektóre moje przyjaciółki, zamężne od ponad dziesięciu lat, uważają, że to super, inne, że jestem dziwką. Moja matka jest tym rozczarowana. A mnie krwawi serce.

– Nie mam pojęcia, dlaczego cię zaprosił – dodaje Lisa.

– Żeby zatriumfować? – mówię żałośnie. – Albo może jego narzeczona zaprosiła swoich byłych, a on chce jej udowodnić, że też miał przed nią jakieś życie. – Przygnębione wpatrujemy się obie w wypolerowany blat stołu między nami; żadna z wymienionych przyczyn nie jest szczególnie miła. Nagle wpada mi do głowy zdecydowanie bardziej radosna myśl. – A może to wołanie o pomoc?

– Co?

– No wiesz, chce, żebym...

– Żebyś go uratowała?

Usiłuję zignorować jej zaskoczenie.

– Czemu nie?

– Ponieważ...

Nie pozwalam jej dokończyć. Nie chcę tego słyszeć. Lisa i ja inaczej myślimy o sprawach serca. Przynajmniej mojego. Rozpromieniam się upojona tą myślą.

– Może chce, żebym przyjechała i udaremniła ten ślub?

– Przestań, Jo. Przerażasz mnie.

– To niewykluczone.

– Ale nieprawdopodobne. Słuchaj, w innych okolicznościach powiedziałabym, że to śmieszne, ale ponieważ coś takiego mówi moja siostra, uznam to raczej za tragiczne. Zejdź na ziemię, Jo. Po prostu pogódź się z tym, że Martin przebolewał twoją odprawę i żyje swoim życiem.

Znowu gromię ją wzrokiem. Zapewne uważa, że to, co mówi, jest

rozsądne i na miejscu, ale moim zdaniem jest tylko paskudne. Odwraca wzrok, wyraźnie wstydząc się za nas obie, a potem znów bierze mnie za rękę i ściska lekko. Cofam dłoń, nie chcąc jej dać satysfakcji, że mnie pociesza. Lisa wzdycha, a potem powoli, ostrożnie, dodaje:

– Jo, przykro mi, że to ja muszę ci zaaplikować ten zimny prysznic, ale prawda jest taka, że nic się nie zmieniło. Fakt, że Martin żeni się z kim innym, nijak się ma do tego, że nie jest dla ciebie odpowiednim mężczyzną. To po prostu nie ma sensu. Jeśli coś się zmieniło, to tylko na gorsze. Jest jeszcze mniej odpowiedni i kocha kogoś innego. Nie możesz się cieszyć jego szczęściem?

Czy ja w ogóle jeszcze jestem w stanie cieszyć się cudzym szczęściem?

Choć brzmi to okropnie, chyba nie. Jeśli wyznam to Lisie, pewnie pełna niesmaku każe mi zapłacić za siebie, więc gryzę się w język i udaję, że jestem lepsza, że jestem tą osobą, którą byłam, nim odcisnęły na mnie swoje piętno niezliczone nieudane randki. Patrzę, jak obrączka Lisy błyszczy uwodzicielsko w przyćmionych światłach restauracji. Lisa jest mężatką od czternastu lat – jest szczęśliwie zamężna i zadowolona z życia – więc po prostu nie jest w stanie zrozumieć, przez co ja przechodzę. Kiedy była w moim wieku, miała już dwoje dzieci i chodziła w ciąży z trzecim, a przecież kiedy dorastałyśmy, nigdy jej nie zależało na zamążpójściu, tylko na nauce, a potem na karierze. Nie ma pojęcia, co to znaczy samotność, smutek albo wyrzuty sumienia, uczucia, które mnie prześladowają. Niemal na pewno nie postrzega swojego życia jako długiego korytarza z masą zamkniętych drzwi z tabliczkami Stracone Okazje, Niezrealizowane Marzenia, Zmarnowane Szanse, po którym krąży bez celu. Ja natomiast mam wrażenie, że od wieków włączę się po tym korytarzu. Nie potrafię jej tego wyjaśnić. To jest zbyt bolesne. I upokarzające. Zdaniem Lisy nie należy mi się współczucie, ponieważ to ja rzuciłam Martina. To ja z nim zerwałam. Ale szczerze mówiąc, czasami z tego powodu czuję się gorzej, nie lepiej. Żal jest bardziej ostry, bardziej przejmujący. Zawaliłam sprawę. To był taki świetny facet, doskonały materiał na męża. Mężczyzna, za którego kobiety chcą wyjść. Za którego powinny wyjść. Teraz to dostrzegam. Wszystkie moje przyjaciółki są zamężne albo mieszkają z kimś, a odkąd mają stałych partnerów, nie interesuje ich już chodzenie w miejsca, gdzie można kogoś poznać. (Och, no dobra, mówię o poznawaniu facetów). Moje horyzonty

kurczą się w zastraszający sposób. Kiedy byłam młodsza, spotykałam tłumy nowych ludzi: u znajomych, w barach, w klubach, a potem w pracy. Ale z upływem lat okazje zaczęły znikać. Koleżanki się rozjechały albo żyją w szczęśliwych związkach i nie mają ochoty włóczyć się po pubach i rozmawiać z obcymi ludźmi. Ja natomiast ledwie śmiem się pokazywać w barach i klubach, szczególnie sama; teraz przychodzą tam kobiety, które dosłownie mogłyby być moimi córkami, a ja mam ochotę je pouczać, że nie należy chodzić z biustem na wierzchu. A największa ironia polega na tym, że pracuję w redakcji pisma dla panien młodych, w której, pomijając już oczywiste szyderstwo tego faktu, nie ma ani jednego mężczyzny. Próbowałam znaleźć jakieś inne miejsca, w których poznaje się ludzi. Słowo honoru, że próbowałam. Nie poddam się łatwo, więc mam karnet na siłownię, chodzę na kurs francuskiego (to bardzo seksowny język) oraz na lekcje salsy, odbywające się co drugi wtorek w ratuszu w Wimbledonie. Potem zwykle nocuję u rodziców. Oczywiście wiem, że nocleg u rodziców zmniejsza moje szanse na noc pełną namiętnych rozkoszy, ale moja mama potrafi upiec lazanie, która nie ma sobie równych, więc trudno mi oprzeć się takiej pokusie. Zawarłam w ten sposób kilka nowych przyjaźni, ale nie z samotnymi mężczyznami, a taki przecież był cel. Na takie zajęcia przychodzi zawsze masa kobiet, które szukają romantycznych związków. A choć całkiem nieźle nawiązuję nowe przyjaźnie, uczestniczki kursów zaś są zawsze uśmiechnięte i nie gardzą kieliszkiem bordo albo margaritą po zajęciach, nieodmiennie odnoszę wrażenie, że moje nowe przyjaciółki są ode mnie zdecydowanie lepsze w znajdowaniu partnerów życiowych. I ciągle wychodzą za mąż. Jedna po drugiej. Stąd ta nieprzyzwoita liczba zaproszeń na śluby, jaką dostaję. Na tle tych kobiet szukanie miłości wydaje się takie łatwe. Mam wrażenie, że gdy tylko uznają, że są gotowe się ustatkować, natychmiast znajdują kogoś odpowiedniego. A potem przechodzimy przez niezmienny rytuał. Początkowo świeżo poślubiona sobie para zaprasza mnie na podwójne randki albo umawia mi randki w ciemno ze swoimi przyjaciółmi i kolegami, ale ja, z takich czy innych powodów, nigdy nie natykam się na bratnią duszę i wreszcie oferta facetów do wzięcia się wyczerpuje. Zachowuję przyjaźń z panią młodą, ale zadowolamy się dziewczynskimi wieczorami, podczas których zajmujemy się rozpamiętywaniem moich katastrofalnych randek, a kiedy robi się zbyt

przygnębiająco, wybieramy serwisy obiadowe do ich nowych domów.

Co jest ze mną nie tak?

Mam niesamowite poczucie humoru (piszę tak zawsze w swoich profilach w serwisach randkowych, ale to szczerą prawdą), jestem osobą ciepłą, życzliwą, troskliwą i wspaniałomyślną. I zabawną, przynajmniej we własnej opinii. Wiem, że to szczęście mieć tyle ciekawych, zabawnych i oddanych przyjaciółek – przyjaciółek, które zdobyłam dzięki swej niezachwianej lojalności i umiejętności bezbłędnego zapamiętywania dat urodzin ich dzieci – ale mam również całe zastępy niewiernych, nieodpowiedzialnych i aroganckich byłych, z którymi związałam się, i jestem tego całkowicie świadoma, jedynie z rosnącej desperacji.

Naprawdę nie wyglądam na swój wiek. W przyćmionym świetle mogę uchodzić za trzydziestotrzylatkę, a z tyłu za jeszcze młodszą, ponieważ staram się jeść rozsądnie i ubierać się odpowiednio. Mam długie ciemne włosy i wielkie brązowe oczy otoczone długimi rzęsami. Zawsze uważałam, że oczy są moim największym atutem, ale teraz już nie jestem tego taka pewna, bo otaczają je naprawdę dołujące kurze łapki. Poważnie zastanawiam się nad botoksem, chociaż kiedy wspominam o tym przyjaciółkom albo siostrze, wyśmiewają mnie i mówią, że nie mam się czym martwić jeszcze przez kolejne dziesięć lat.

– Jesteś jeszcze dzieckiem – powtarza często Lisa, ale podejrzewam, że to nie jest komplement.

No bo nie jestem dzieckiem, prawda? Jeszcze jedno urodziny i będę miała trzydzieści sześć lat, będę się oficjalnie zbliżać do czterdziestki. Wiem, to tylko matematyka, coś na co nie ma się wpływu. Rzecz w tym, że ja zawsze chciałam wyjść za mąż. Niektórzy ludzie nie chcą brać ślubu, uważają, że małżeństwo to przestarzała instytucja, że narzuca niepotrzebne ograniczenia, ale ja zawsze uważałam, że właśnie na tym będzie polegać sens mojego życia. Moi rodzice są po ślubie trzydzieści osiem lat – w ten weekend mają rocznicę. Złote gody, chociaż nie, może rubinowe? Wszystko jedno, wiadomo, o co mi chodzi. Są szczęśliwi, spełnieni i nierozłączni mimo upływu lat. Lisa i Henry też są ze sobą od wieków, jak już chyba wspomniałam. Nawet mój młodszy brat Mark ożenił się trzy lata temu i jest szczęśliwy. W gazetach trąbi się o rosnącej liczbie rozwodów, twierdzi się nawet, że Brytyjczycy częściej zmieniają partnera niż fryzurę, ale ja nie mam

takich doświadczeń. Czasami mam wrażenie, że znam jedynie żonatych ludzi. Sama aktywnie próbuję wyjść za mąż przez ponad połowę życia. Kiedy miałam szesnaście lat, błagałam rodziców, żeby mi pozwolili pójść do liceum, do którego właśnie zaczęto przyjmować dziewczęta, żebym mogła poznać masę chłopaków, szykując się do egzaminów. Wybrałam kierunek studiów, najpierw ustaliliśmy nie tylko stosunek studentów do studentek na wydziale, ale również kobiet do mężczyzn w samym zawodzie. Oczywiście nie byłam aż tak głupia, by sądzić, że poznam mężczyzn w redakcji miesięcznika „Uroczą Panna Młoda”, ale kiedy się tam zatrudniłam, byłam już zaręczona z Martinem i nie szukałam faceta. Sprawa była przypieczętowana, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zważywszy wszystkie moje wysiłki w kwestii znalezienia partnera życiowego, to doprawdy zaskakujące, że spałam sprawę i nadal jestem sama.

Wiem, że popełniam błędy. Pociągają mnie faceci niewłaściwego rodzaju, tacy, którzy raczej nie interesują się żeniactwem. Mam fatalną skłonność do tych trochę niewyżytych; takich o męskich rysach twarzy, w świetnych ciuchach i z niebezpiecznym błyskiem w oku. Czyli seksownych i nieosiągalnych. A także zranionych albo rozwiedzionych. Albo, co jeszcze gorsze, żonatych, którzy „zapomnieli” wspomnieć o istnieniu małżonki; dowiaduję się o niej, kiedy do mnie dzwoni albo – jak mi się niestety raz przydarzyło – nakrywa mnie we własnym łóżku. Lecę na tych niegrzecznych i przebojowych; takich, którzy potrafią wzrokiem rozebrać kobietę. Czyli na całkowicie niewłaściwych i niestosownych.

Na tym polega mój problem.

Niewłaściwi i niestosowni faceci potrafią wytrwać w związku góra kilka miesięcy. Tymczasem do mnie to nie dociera. Zupełnie. Każda taka znajomość napędza mnie nową nadzieją. Jestem romantyczką. Lisa twierdzi, że jestem beznadziejna i że powinnam się wreszcie czegoś nauczyć. Że powinnam czerpać naukę z własnych błędów. Ale ja tego nie potrafię. Słyszę, co do mnie mówi, szanuję jej zdanie, niewykluczone, że sama udzielam podobnych rad przyjaciółkom, ale jakoś nie umiem się nauczyć. Kiedy spotykam nowego faceta, który unika rozmowy o swoim stanie cywilnym, nigdy nie zakładam, że ma żonę i dwoje dzieci. Nie, ja konstruuje jakieś skomplikowane uzasadnienia dla tych monosylabowych odpowiedzi i niechęci do podania mi numeru stacjonarnego. Na przykład, że

opłakuje tragiczną stratę miłości. Że jego ostatnia dziewczyna umarła albo że nigdy się z nikim nie umawiał, ponieważ pielęgnował umierającego członka rodziny, albo że kochał z całego serca partnerkę, a ta okazała się lesbijką... Słyszy się przecież o takich przypadkach. Może niezbyt często, ale mężczyźni bywają powściągliwi z więcej niż jednego powodu, prawda?

Masę czasu i energii poświęcam na wyobrażanie sobie, jak go ocalam, jak sprowadzam go z powrotem do krainy żywych i wypełniam jego świat miłością, miłością, która jest lepsza, głębsza i znaczy więcej niż wszystko, czego dotąd doświadczył.

Nie wierzę, żebym tylko ja tak robiła.

A poza tym zawsze zaczynam od seksu.

Może to dziwne, co powiem, ale wiem, że jestem dobra w łóżku (wielu facetów dało mi to jasno do zrozumienia, wiecie, w jaki sposób). A mężczyźni lubią seks, więc łóżko wydaje mi się doskonałym punktem wyjścia dla dalszej znajomości. I jakoś nie potrafię pogodzić się z prostą prawdą, że związki, które zaczęły się od seksu, zwykle na nim się kończą.

Martin był inny. Nie był śmiały ani niegrzeczny. Był spokojny i można było na nim polegać. Chodziłam z nim przez cztery lata i przeżyłam coś, co moja mama określa mianem narzeczeństwa. Nie spieszyliśmy się. Na początku byliśmy naprawdę szczęśliwi, a przynajmniej zadowoleni. W Martinie nie ma niczego niestosownego i już to jedno wyróżnia go spośród moich byłych. Jest przystojny (moja matka zawsze to powtarza, chociaż ja wolę ciemne włosy i jasne oczy, a Martin jest blondynem z ciemnymi oczami). W przeciwieństwie do wielu innych moich chłopaków, wcześniejszych i późniejszych, ma dobrą pracę; kiedy ze sobą chodziliśmy, wspinał się bezustannie po szczeblach kariery; awansował z analityka na starszego managera w firmie konsultingowej. Lisa zawsze mi powtarzała, że nie powinnam mieć pretensji, że pracuje do późna i że zawsze przedkłada pracę ponad nasz związek. Faceci, którzy się żenią, często tak robią. Rozumieją, jakie to ważne odnieść sukces i zapewnić rodzinie bezpieczeństwo finansowe. Ale ja tylko chciałam, żeby czasami wrócił do domu wtedy, kiedy obiecywał, żeby wziął sobie wolne w moje urodziny albo żeby chociaż wyłączył tę cholerną komórkę, kiedy jesteśmy w łóżku. Mimo to wszystko szło dobrze. Po dwóch latach randek zamieszkaliśmy ze sobą; po roku zaś wspólnego życia, w moje dwudzieste dziewiąte urodziny, Martin

mi się oświadczył, a ja go przyjął. Planowaliśmy się pobrać w moje trzydzieste urodziny. A właściwie dzień wcześniej, żebym nie musiała mówić, że wyszłam za mąż po trzydziestce. I zaczęliśmy planować ślub na całego: ja, Martin, mama i cała moja redakcja. To miał być bajeczny ślub, z białymi gołąbkami, czekoladowymi fontannami i rzeźbami z lodu. Myślałam, że osiągnęłam wszystko, czego zawsze chciałam, aż pewnego dnia uświadomiłam sobie, że nie jestem zakochana w Martinie.

Kochałam go.

Zapewne.

Na pewno go lubiłam. Ale serce (ani żadna inna część ciała) nie podskakiwało mi na jego widok.

Dotarło to do mnie nagle podczas ostatniej przymiarki sukni ślubnej, zaledwie na dwa tygodnie przed wielkim dniem. Wycucie czasu nigdy nie należało do moich mocnych stron.

Ale teraz, teraz zaczynam się zastanawiać, czy może jednak się nie pomyliłam. Te cztery lata naszego związku były ważne, miały znaczenie. Kiedy weszłam w ten związek, byłam beztroską dwudziestokilkulatką; kiedy zwracałam prezenty ślubne, zauważyłam, że praktycznie wszyscy, których znam, już założyli rodzinę. A później robiło się coraz gorzej. Gdzie się podział cały ten czas? Może Martin był jednak tym moim jedynym, a to, czego doświadczyłam, patrząc na swoje odbicie w sklepie z sukniami ślubnymi, to nie było przerażenie, tylko zwykła przedślubna trema? Niewykluczone, a nawet prawdopodobne, ponieważ od tamtej pory nie spotkałam nikogo, kogo polubiłabym bardziej niż Martina. A przynajmniej nikogo, kogo polubiłabym bardziej, a on nie byłby żonaty i też by mnie polubił. Kiedy tak siedzę w przytulnej restauracji z moją starszą siostrą, popijając wino i jedząc tiramisu, a alkohol usuwa bariery i zahamowania, nagle uderza mnie myśl, że straciłam swoją największą szansę.

Że, mówiąc obrazowo, wysikałam się na swoje „i żyli długo i szczęśliwie”.

*Czwartek, 21 kwietnia
2005 roku*

Dean

– Czy ja cię nienawidzę? – spytał cicho Dean, przysuwając usta do ucha śpiącego starca. Zawsze sądził, że zna odpowiedź. Odkąd po raz pierwszy postawił sobie to pytanie, był pewien, że ją zna. Tak, nienawidził Edwarda Taylora, znanego wszystkim jako Eddie. Tak, nienawidził swego ojca.

Ale teraz?

Teraz, kiedy Eddie umierał, kiedy oddychał z trudem, chrapliwie, a skórę miał szarą i woskową jak pocący się ser, Dean z zaskoczeniem stwierdził, że nie znajduje w sobie dość energii, by nienawidzić. Pomarszczony starzec, który spał w szpitalnym łóżku, nie przypominał w niczym ojca ze wspomnień. Tamten człowiek był zdrowy i pełen życia. I był okrutny. Ojciec, którego pamiętał, miał długie czarne włosy, tak czarne, że niemal granatowe, tymczasem ten Edward Taylor był praktycznie łysy, miał czaszkę poznaczoną starczymi plamami, a te resztki włosów, jakie mu jeszcze zostały, były białe jak szpitalna pościel. Wyglądał... bezbronie.

Dean niejasno przypominał sobie, że Edward Taylor zawsze się chełpił swoimi włosami. Chyba pamiętał, że ojciec miał zwyczaj przeglądać się przy każdej okazji: w lustrze w przedpokoju, w bocznych lusterkach samochodu, w wystawach sklepów, a nawet w lśniących łyżkach. Był niemal pewien, że to pamięta, ale niewykluczone, że dawno temu usłyszał to od matki albo od ciotecznej babki i to ich słowa przerodziły się we wspomnienie.

Albo sam to wymyślił.

Wobec braku jakichkolwiek kontaktów – osobistych czy choćby w postaci listów lub telefonów – Dean miał tendencję do samodzielnego wypełniania pustych miejsc. Robił to przez wiele lat, a wraz z upływem czasu te fantazje i fałszywe wspomnienia utrwaliły się i teraz wydawały się tak wyraźne i rzeczywiste, jakby były faktami. Niebezpiecznie było brać coś za pewnik. Edward Taylor był nieobecnością, a nie realną osobą. Dean zawsze uważał za ironię losu fakt, że dręczy go tęsknota za nieobecnością. Jak to możliwe? Dorastał, nie mając pojęcia, czy jego ojciec pachnie papierosami, czy wodą

po goleniu. Nie wiedział, czy ma głos poważny, surowy czy łagodny. Mógł tylko zgadywać, której drużynie piłkarskiej kibicuje. Jako chłopiec zdecydował, że Fulham, ponieważ ojcowie wszystkich jego kumpli kibicowali Fulham. Przechodził przez taką fazę – trwającą dwa lata, a może dwa i pół – kiedy namiętnie oglądał w telewizji mecze Fulham, przypatrując się kibicom i szukając wśród nich kogoś, kto przypominałby, choćby troszeczkę, jego ojca. Wysilał wzrok, szukając szopy czarnych włosów, kilkudniowego zarostu i obcistych sztruksów, choć moda się zmieniła i jego ojciec zapewne nosił już wtedy za duże, rozciągnięte swetry i podarte dżinsy w niechlujnym hołdzie Nirwanie.

Eddie Taylor był kiedyś taki duży i silny. Oczywiście nigdy nie kojarzył się z niezawodnością, ale sprawiał wrażenie masywnego. Jedno z niewielu wspomnień, których Dean był pewien, dotyczyło szerokich ramion ojca, praktycznie dotykających framugi po obu stronach wejścia, kiedy po raz ostatni opuszczał dom. Otworzył drzwi, pomarańczowe światło z ulicy wpadło do holu i rozlało się po podłodze, a on zasłonił je swoją masywną sylwetką, przekroczył próg i porzucił na zawsze dom rodzinny. Spieszył się. Nawet nie przejrzał się w lustrze w holu. Dean obserwował jego wyjście ze szczytu schodów.

Nie bardzo potrafił pogodzić tego wysuszonego staruszka w szpitalnym łóżku ze wspomnieniami, zmyśleniami i nienawiścią, które tak starannie przechowywał w sobie przez wszystkie minione lata. Groźna postać, kryjąca się w mroku, zmieniła się w bezradnego, umierającego człowieka. Nie miał rogów, kopyt ani ogona, żadnych atrybutów diabła. Kiedy Dean dorósł, przestał marzyć o ojcu. Tkwiła w nim pustka, której nie potrafił wypełnić masą drobnych szczegółów, więc zapchał ją jedynym faktem, którego był pewien: Eddie Taylor porzucił żonę, syna i córkę i nigdy więcej się z nimi nie skontaktował. Ani razu przez dwadzieścia dziewięć lat. Jego tęsknota zmieniła się w urazę, a potem zestaliła się w formie czystej nienawiści.

Co on tu w ogóle robił? Skoro nienawidził Eddiego Taylora, obecność przy jego łóżku nie miała wiele sensu. A jeśli go nie nienawidził, jeśli czuł wobec niego obojętność, sens był jeszcze mniejszy. W ogóle nie zamierzał tu przyjeżdżać. Wszystko przez jego asystentkę, Lacey. Kiedy zadzwoniła do niego pielęgniarka, zakończył rozmowę, a potem usiadł za biurkiem, gotów pracować jak zwykle. Dziękuję za informację, ale życie lub śmierć Edwarda

Taylora nie interesują mnie w najmniejszym stopniu.

Jednakże Lacey, śmiertelnie znudzona swoją pracą, rzuciła się chciwie na ten drobny kryzys i zmieniła go w pełnometrażowy i wysokobudżetowy dramat. Wpadła do gabinetu Deana chwilę po zakończeniu rozmowy.

– Podśluchiwałam – oświadczyła bez śladu zażenowania, nie próbując nawet przeproszać. Lacey była bardzo niska, nie miała nawet metra pięćdziesięciu. Wszystko w niej było maleńkie: talia, nogi, ręce; jedynym wyjątkiem były wielkie zielone oczy, no i wielkie piersi. Wyglądała jak ożywiona postać z mangi, lalka, jaką każdy mężczyzna chciałby się pobawić, i w konsekwencji nigdy nie musiała zwracać większej uwagi na takie kwestie, jak na przykład dobre maniery, gdyż wszyscy jej zawsze pobłażali. Prawdę powiedziawszy, Dean też by ją z chęcią przeleciał, gdyby nie pracowali razem. – Ta pielęgniarka powiedziała, że twój tata tak jakby umiera. Tak bardzo mi przykro. – Jej oczy, jeśli to w ogóle możliwe, stały się jeszcze większe. Dean poczuł się pod ich spojrzeniem jak przygwożdżony przez dwa szperacze.

– No tak.

– To okropne.

– Skoro tak twierdzisz.

Lacey zamilkła; obejrzała w telewizji dość głupawych reality show, by bezbłędnie rozpoznać tę chwilę. Wróciła pospiesznie do swego biurka, ale kilka minut później znów weszła do gabinetu Deana.

– No więc tak, zarezerwowałam ci lot na dzisiaj, czwarta pięć z lotniska O'Hare. Będiesz na Heathrow jutro rano, za pięć szósta. W którym hotelu zarezerwować ci pokój? W tym co zwykle, w Covent Garden, czy wolisz gdzieś bliżej szpitala? I gdzie w ogóle jest ten szpital? Ale, ale, Anglia podobno jest mała? No to Londyn też musi być niewielki i nie ma większego znaczenia, gdzie się zatrzymasz, prawda?

– Co? – Dean zagapił się na nią zaskoczony.

– Masz jeszcze masę czasu, żeby wrócić do domu, spakować się i zdążyć na lotnisko.

– Nie lecę do Londynu! – Dean skierował wzrok na ekran komputera; nie wytrzymał spojrzenia Lacey.

– Oczywiście, że lecisz. Przecież twój ojciec umiera.

– Ja mu do tego nie jestem potrzebny. Dotąd nigdy mnie nie

potrzebował. – Dean nie zdołał się powstrzymać od tej ostatniej uwagi.

Gdyby się zastanowił, domyśliłby się bez trudu, jak Lacey przyjmie jego słowa. Wiedziała o jego życiu prywatnym więcej niż to konieczne z czysto służbowego punktu widzenia. Często odbierała telefony od rozczarowanych kobiet, które wierzyły, że Dean naprawdę zadzwoni do nich, tak jak obiecał. Wiedziała, że jeśli chodzi o kobiety, był zimnym draniem, takim klasycznym typem, żyjącym wedle zasady przelecieć-i-porzucić. Jego podrywki, i te wciąż pełne nadziei, i te zupełnie jej pozbawione, regularnie zjawiały się w biurze pod lichym pretekstem, że właśnie przechodziły obok (jasna sprawa, w czerwonych szpilkach od Christiana Louboutina spaceruje się po prostu bosko). Chciały zamienić z nim słowo, może wyskoczyć gdzieś na lunch. Dean zawsze mówił Lacey, żeby się ich pozbyła. Dokładnie tymi słowami: pozbądź się jej. Poza tym Lacey zrobiła mu i odwołała tyle rezerwacji w restauracjach, i kupiła tyle świeżych koszul, że po prostu musiała wiedzieć, iż regularnie spotyka się z kobietami i często sypia poza domem, choć nigdy dłużej niż dwa tygodnie z tą samą kobietą. Nie zdołała jeszcze rozpracować, dlaczego ten poza tym porządny facet – wyraźnie inteligentny, a w dodatku wspinały brat i wujek – zachowuje się w ten sposób. Na litość boską, był przecież rok 2005! Przelotne podrywki wyszły z mody, trend się odwrócił i teraz na fali były stałe związki. Czy Dean o tym nie wiedział? Szmirowate talk showy raz za razem udowadniały, że kalectwo emocjonalne zawsze ma jakąś ukrytą przyczynę. Dlatego Lacey z radością przyjęła tę pierwszą wzmiankę o traumie w życiu Deana; nie chciała uwierzyć, że jej szef jest po prostu draniem, jeśli chodzi o kobiety. Na pewno miał jakiś problem z ojcem i proszę, właśnie sam to przyznał! Lacey uznała, że taka deklaracja to w istocie wołanie o pomoc. Wołanie, na które ona musi odpowiedzieć. Pomimo swego niewielkiego wzrostu dysponowała siłą, z którą należało się liczyć.

– Powiedziałam prezesowi, że jedziesz zobaczyć się z Rogersem. Że on chce, żebyś poznał ten jego międzynarodowy zespół. Lecisz klasą biznes, na koszt firmy. Możesz mi podziękować flakonikiem L'Interdit Givenchy ze sklepu bezcłowego. Tu trudno zdobyć te perfumy.

Koniec końców okazało się, że łatwiej wykonać plan Lacey, niż się od tego wykręcić. Prezesa bardzo podekscytowała wiadomość, że szanse na wygranie kontraktu są aż tak duże, a Dean po prostu nie miał siły mu

wyjaśnić, jak sprawy stoją naprawdę.

Nie miał zamiaru odwiedzać ojca. Pomyślał, że może faktycznie uda mu się zobaczyć z Rogersem. Coś takiego na pewno nie zaszkodzi, a może nawet zaważyć na decyzji; no i będzie kryty, gdyby ktoś zaczął sprawdzać. I spotka się z siostrą, Zoe. Tak, potraktuje wyjazd jak niespodziewane wakacje, nagrodę za niezliczone wieczory spędzone w firmie. Na pewno nie zamierzał odwiedzać człowieka, którego nie widział od dwudziestu dziewięciu lat. Niech sobie Edward Taylor idzie prosto do piekła. Obędzie się bez ostatniej rozmowy z Deanem. A jednak...

Samolot wylądował w Anglii o czasie. Dean przebrnął przez odprawę z nieprawdopodobną łatwością – w terminalu nie było żadnych kolejek – po czym wsiadł do metra, które bez problemów zawiozło go do centrum Londynu. Z zaskoczeniem stwierdził, że hotel nie ma nic przeciwko zameldowaniu go w godzinach porannych, więc wziął prysznic i postanowił się przespacerować. Chciał pozbyć się zmęczenia podróży, choć zdawał sobie sprawę, że dopadnie go ono później w ciągu dnia. Szedł bez jakiegoś wyraźnego celu. Może wpadnie do tego sklepu Paula Smitha w Covent Garden? Albo napije się kawy i zje croissant w Patisserie Valerie na Bedford Street? Z pewnością nie zamierzał tłuc się nigdzie metrem, a tym bardziej wysiąść z niego na stacji przy szpitalu w Shepherd's Bush.

Zaskoczył go zatem fakt, że o dziesiątej rano stanął przed dużym budynkiem z czerwonej cegły, ale powiedział sobie, że sam fakt obecności tutaj nie oznacza automatycznie, że musi wchodzić do środka. Nie musi oficjalnie zmieniać się w odwiedzającego, może pozostać przechodniem. Zresztą szpitale i tak przypominają labirynty i nie uda mu się odnaleźć Eddiego Taylora, nawet gdyby spróbował. Nagle poczuł na karku powiew zimnego wiosennego wiatru. Wzdrygnął się, postawił kołnierz i wszedł do środka.

Im dłużej przyglądał się temu mężczyźnie, tym bardziej czuł się zagubiony. Nie było w nim nic, dosłownie nic znajomego. Przez chwilę rozważał nawet niepokojącą myśl, że skierowano go do niewłaściwego pacjenta. Może to wcale nie jest Eddie Taylor? Jego ojciec przebywa pewnie na innym oddziale, na kolanach siedzą mu dwie pielęgniarki, a trzecia masuje mu kark. Czy nie tak powinno to wyglądać? Przecież zawsze tak było, przynajmniej w wyobraźni Deana i w opowieściach jego matki. Notoryczny

uwodziciel. Kobieciarz. Z fobią na punkcie związków.

Drań.

Dean przeszedł na koniec łóżka i sięgnął po kartę pacjenta. Wydrukowano na niej czarno na białym: Edward Charles Taylor. Oto miał swój dowód. Przeczytał jeszcze notatkę, że pacjent nie godzi się na reanimację i podawanie leków przedłużających życie, jedynie na terapię przeciwbólową.

– Przykro mi, ale muszę pana prosić o opuszczenie sali. Wizyty zaczynają się o jedenastej – odezwała się za jego plecami pielęgniarka, ale jej energiczny głos nie do końca maskował zmęczenie. – Pacjenci potrzebują odpoczynku.

– On śpi – zauważył Dean. Czuł z tego powodu równocześnie ulgę i rozczarowanie. Skoro ojciec spał, nie będzie musiał z nim rozmawiać, ale z drugiej strony, skoro ojciec śpi, nie może z nim porozmawiać. Którą opcję wolał? Sen Eddiego był głęboki, ale wyraźnie nie przynosił odpoczynku. Gałki oczne chorego poruszały się szybko – widać to było przez cienkie powieki – a pierś podnosiła się i opadała gwałtownie, z widocznym wysiłkiem. Nie tak Dean wyobrażał sobie scenę śmierci. Co za marnotrawstwo, przesypiać ostatnie godziny życia! Ale może tak było lepiej? On i jego ojciec stracili tyle czasu, całe życie. Jakie to miało znaczenie, czy stracą go jeszcze trochę więcej?

– Godziny odwiedzin są od jedenastej do pierwszej, a potem od trzeciej do piątej i od siódmej do dziewiętej – dodała pielęgniarka stanowczo.

– Jeszcze chwilkę. Proszę – Dean nie był pewien, dlaczego to powiedział. Nie chciał tutaj być. I chyba nawet nie powinien. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni był w szpitalu. Kiedyś często w sobotnie noce odwiedzał izby przyjęć; prawdę powiedziawszy, męski weekend nie był uważany za udany, jeśli ktoś sobie czegoś nie złamał albo nie wymagał szycia. Później firma kazała mu zrobić komplet badań na potrzeby ubezpieczenia, ale nie musiał wtedy odwiedzać szpitala; wszystko załatwiono w eleganckim gabinecie lekarskim na pierwszym piętrze modnego chicagowskiego biurowca. Nie pamiętał też, żeby kiedyś odwiedzał kogoś w szpitalu. Żeby siedział przy którymś łóżku. Żeby przy kimś czuwał. Kiedy jego siostra rodziła dzieci, był w Stanach, więc widział ją już w domu, otoczoną paczkami jednorazowych pieluch i bukietami kwiatów.

Szpital był ponury, pełen otępiałych pacjentów wędrujących bez celu po korytarzach. Oraz smutnych zdrowych ludzi sterczących pod ścianami albo zgarbionych na krzesłach przy łóżkach. Niektórzy czekali jeszcze na wieści o przyjaciółach lub członkach rodziny, inni już je dostali. Dean westchnął. To nie było miejsce dla niego. On lubił miejsca kipiące energią, atrakcyjne, pełne szczęśliwych i charyzmatycznych ludzi. Pracował ciężko, żeby móc się otoczyć luksusem i dekadencją. Tymczasem tu otaczały go twarde krzesła, stoliki na kółkach i słaby zapach środków dezynfekujących.

Nie chciał siedzieć na jednym z tych niewygodnych krzesel przy łóżku Eddiego Taylora. Więc dlaczego po prostu nie wyjdzie? No cóż, może dlatego, że nie znosił głupich reguł i chciał dowieść, iż jego godziny odwiedzin nie dotyczą? Niewykluczone. A może naprawdę chciał zostać przy łóżku tego człowieka?

Nie potrafił jasno myśleć. Zapewne potrzebował świeżego powietrza.

– Przepraszam, nie znam tych przepisów. – Obdarzył pielęgniarkę jednym ze swych promiennych uśmiechów. Często wykorzystywał ten uśmiech. Starannie przećwiczony przed lustrem i ukazujący zęby, które były dziełem jednego z najlepszych ortodontów w Chicago. Uśmiechał się tak, kiedy chciał, żeby sprzedawczyni przyjęła zwrot towaru, chociaż nie miał paragonu; albo żeby kierowniczka sali znalazła mu stolik, chociaż nie miał rezerwacji; albo żeby jakaś gorąca laska porzuciła skrupuły i wyskoczyła z majtek. Jeszcze nigdy go nie zawiódł.

– Należy pan do rodziny? – Pielęgniarka już szukała wymówki, żeby pozwolić mu zostać, choć mogła mieć z tego powodu kłopoty.

– Jestem jego synem – wyjaśnił Dean i rzucił okiem na ojca, jakby potrzebował potwierdzenia, że tak jest w istocie.

– Eddie nigdy nie wspominał o synu – stwierdziła pielęgniarka nieświadoma, że jej uwaga może sprawić mężczyźnie ból.

– Niewykluczone – odparł Dean i westchnął. Westchnienie przesączyło się na szpitalną pościel jak plama atramentu. – Chyba pójde zadzwoić do siostry i wrócę w godzinach odwiedzin.

– Och, to Eddie ma też córkę? – pielęgniarka spojrzała na pacjenta i rozpromieniła się. – Jak miło.

– Właśnie – Dean odwrócił się szybko, żeby nie zauważyła jego morderczego spojrzenia.

– Cześć Zoe.

– Dean! Czy coś się stało?

Ciekawe, czy kiedykolwiek nadejdzie taki dzień, kiedy jego siostra po prostu ucieszy się, że do niej dzwoni. Wątpił. Zapewne zawsze będzie się spodziewać, że ma dla niej jakieś okropne wieści. Trudne dzieciństwo nauczyło ich oboje zawsze oczekiwać najgorszego, choć oboje udawali z całych sił, że wcale tak nie jest; walczyli zajadle, żeby odbić się od dna i stać uczciwymi i szanowanymi członkami społeczeństwa, ale zawsze żyli ze świadomością tego, co się dzieje za pogodną fasadą normalności.

Zoe była wręcz uosobieniem osoby uczciwej i szanowanej. Starym, ale świetnie utrzymanym samochodem rodzinnym odwoziła maluchy na lekcje tańca albo jeździła na spotkania mieszkańców osiedla; ubierała się w swetry z White Stuff, a dzinsy kupowała w Gap. Zwykle nosiła przy sobie bawełnianą torbę na zakupy; pakowała w nią wartościowe produkty żywnościowe, które w domu przekształcała w smaczne posiłki dla rodziny. Większość ludzi dałaby jej więcej niż dwadzieścia dziewięć lat; przedwcześnie wydorosła, ponieważ żadne z nich nie chciało zostać dzieckiem dłużej niż to absolutnie konieczne. Gdyby ktoś spotkał ją teraz na brukowanych ulicach Winchesteru, gdzie mieszkała w małym, acz przytulnym domku, nigdy by nie odgadł, że moczyła się w nocy do trzynastego roku życia i że nadal nie potrafi zasnąć przy zgaszonym świetle.

Przemiana, jaką przeszedł Dean, była jeszcze większa. Pracował w reklamie, odnosił sukcesy w pracy, był bogaty, czarujący i wręcz emanował spokojem i pewnością siebie. Patrząc na jego kosztowne i eleganckie stroje, obserwując jego zachowanie w salach konferencyjnych i barach, nikt by się nie domyślił, że jako dziecko ubierał się wyłącznie w rzeczy z darów, przekazywane przez szlachetnie usposobionych ludzi, którym się powiodło. Ani że aż do szesnastego roku życia musiał chodzić do dziecięcego psychiatry, ponieważ miał kłopoty z kontrolowaniem gniewu. I Deanowi, i Zoe udało się zatem sprawiać wrażenie szanowanych i zrównoważonych osób, a w ten wizerunek wierzyli wszyscy, którzy ich znali. Gorzej było w stosunkach między rodzeństwem; nie mogli ukryć prawdy sami przed sobą.

– Hej, nie panikuj – powiedział uspokajająco.

– To za wcześnie dla ciebie. W Chicago jest dopiero piętnaście po

czwartej! Skoro dzwoniisz w środku nocy, to chyba normalne, że zakładam, że coś się stało.

– Tak się składa, że jestem w Anglii.

– Naprawdę? – usłyszał w jej głosie ulgę i radość. – Nigdy nie uprzedzasz o przyjeździe.

– No tak. Ale to był w pewnym sensie impuls.

– Świetnie! Będziesz miał czas na wizytę w Winchesterze, nim polecisz z powrotem?

– Taki jest plan.

– Wiem, że masz wymagającą pracę, ale z radością cię tu zobaczymy. Dzieci tak bardzo urosły, odkąd je widziałeś. Nie poznasz Hattie.

– Nie przyjechałem służbowo – Dean urwał, szukając właściwych słów. Nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła je znaleźć, więc powiedział po prostu: – Chodzi o naszego ojca.

– Naszego ojca? – powtórzyła Zoe zaskoczona.

– O Edwarda Taylora – wyjaśnił na wypadek, gdyby nie wiedziała, o kim mówi.

– Umarł?

– Nie.

– Szkoda.

– Daj spokój, Zoe. Nie mówisz poważnie. Jesteś zbyt miła, żeby tak myśleć – Dean sam myślał w ten sposób, ale uważał, że z nich dwojga Zoe ma w sobie więcej empatii.

– Owszem, jestem bardzo miła, ale nie tam, gdzie chodzi o niego.

– On umiera.

– I?

– I pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

– To źle pomyślałeś. Zupełnie mnie to nie interesuje – Dean słyszał w słuchawce jej oddech; był teraz szybszy, jakby właśnie przebiegła dziesięć kilometrów. Pewnie się zastanawiała, dlaczego zadzwonił do niej w sprawie Edwarda Taylora. Dlaczego znienacka zwałił jej go na głowę w czwartek rano. Zapewne właśnie zamierzała zabrać dzieci do parku, psa na spacer. Nie potrzebowała wieści o Edwardzie Taylorze.

– Skąd w ogóle o tym wiesz? – spytała.

– Kazał pielęgniарce zadzwonić do mnie.

- Skąd wiedział, gdzie cię znaleźć?
 - Nie mam pojęcia. Ale chyba nie tak trudno mnie znaleźć.
 - A jednak jemu zajęło to dwadzieścia dziewięć lat.
- Dean zignorował jej uwagę.

- To on zniknął, nie ja.
- Och, a więc tyle jeszcze pamiętasz.
- Owszem, tyle pamiętał. Codziennie, przez całe życie.
- Zoe, jestem na niego równie zły jak ty.

– Nie, najwyraźniej nie, bo inaczej nie przyjechałbyś z Chicago, żeby siedzieć przy nim w szpitalu. Bo zakładam, że to dlatego tu jesteś. Planujesz go odwiedzić.

Nie mógł jej okłamać.

- Jestem teraz w szpitalu.

– Rozmawiałeś z nim? – z oburzenia i gniewu zaczęła mówić skrzekliwie. Zoe zawsze podejrzewała, że Dean kryje się przed nią ze swoją potrzebą wybaczenia ojcu; ona nie miała takich potrzeb.

- Nie, śpi albo jest nieprzytomny, trudno powiedzieć.

– Dlaczego cię odszukał po takim czasie? Potrzebuje jakiegoś przeszczepu?

Deanowi coś takiego nie wpadło do głowy i poczuł się głupio. Nie mógł wykluczyć takiej możliwości.

- Nie sądzę – bąknął niepewnie.

- A co sądzisz?

- Podobno zostało mu już tylko kilka dni.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie znam go.

- W tym rzecz.

- Sądzisz, że zdołasz go poznać w tak krótkim czasie?

- Może.

– Jesteś idiotą, że do niego poszedłeś. Cholernym idiotą. Czy on nas kiedyś odwiedził?

Zamilkli oboje, przypominając sobie, każde na własną rękę, te wszystkie okazje, kiedy nadaremnie czekali na odwiedziny Edwarda Taylora; kiedy mieli nadzieję, że ich odwiedzi, a może nawet uratuje. Przez pierwsze trzy lata po zniknięciu ojca Dean wierzył, że pewnego dnia Eddie przyjdzie na szkolne zawody sportowe; wierzył w to z całą ufnością i uporem małego

chłopca. Był duży jak na swój wiek, co dawało mu przewagę nad innymi dziećmi, i był dobrym sportowcem, ale nikt mu nigdy nie kibicował ani nie oglądał jego zwycięstw. Więc jaki sens miało przybiegnięcie na metę dobre dziesięć metrów przed innymi, skoro nikt nie był z niego dumny? Dean zdziwiłby się, gdyby wiedział, że Zoe miała podobne nadzieje. Aż do dnia ślubu marzyła, że ojciec zjawi się znikąd i zaprowadzi ją do ołtarza. Ale oczywiście się nie zjawił.

– Mieliśmy siebie.

– Tylko dlatego, że nie było nikogo innego.

– Ale to przecież wystarczyło, prawda?

Oboje wiedzieli, że nie, ale żadne z nich nie chciało obrazić drugiego, mówiąc to na głos. Po krótkim milczeniu Zoe stwierdziła:

– Nie interesuje mnie to. Nie chcę nic o nim wiedzieć. Nie chcę znać żadnych szczegółów. I nie będziemy o nim rozmawiać, póki nie zadzwonisz z wiadomością o jego śmierci.

– Zoe... – zaczął Dean błagalnie.

– Nie, Dean, nawet nie próbuj, bo znenawidzę również ciebie.

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi. Przecież mogłem nie mówić ci prawdy. Nie chcę się kłócić.

– Muszę iść, bo pies zaraz nasika w kuchni.

Dean wiedział, że jej czekoladowy labrador jest doskonale wychowany i z całą pewnością nie załatwi się w mieszkaniu. Zoe po prostu chciała zakończyć rozmowę.

– Dobrze, siostrzyczko. Zadzwonię, kiedy... – Nie musiał niczego dodawać, bo Zoe odłożyła słuchawkę.

Jo

Czuję, że to początek czegoś wielkiego. Czegoś ważnego. A przynajmniej czegoś, co może być ważne. Mogłoby być ważne. Nie jestem idiotką – a przynajmniej nie zawsze. Przeżyłam dostatecznie wiele falstartów, by wiedzieć, że prawdziwą miłość – choć z pewnością istnieje – niełatwo spotkać. Ale i tak trzymam kciuki.

Leżę w łóżku całkowicie rozbudzona i staram się nie poruszyć. Nie chcę obudzić Jeffa. Zasnęliśmy dopiero przed trzecią nad ranem, a ogromny, elegancki zegar z aluminium pokazuje, że nie ma jeszcze szóstej. Nie mogę spać. Zbyt przepełniają mnie uczucia. Jestem zbyt podekscytowana.

Staram się nie wiercić, ale gapienie się w sufit jest nudne. Nie ma na co patrzeć: na suficie podwieszanym nie ma pęknięć ani łączeń, nie ma nawet plamy wilgoci wskazującej na problemy finansowe gospodarza lub niefrasobliwego sąsiada, który zapomniał zakręcić kran nad wanną. Ten sufit nic mi nie mówi, więc rozglądam się po pokoju. Jest nieskazitelny; czuję zapach świeżej farby. Może Jeff należy do osób, które co dwa lata zatrudniają malarza, żeby mieszkanie zawsze wyglądało nieskazitelnie? Niektórzy ludzie tak żyją, prawda? Na przykład moi rodzice, ale nie tylko.

Mogłabym tutaj mieszkać. Z Jeffem. No wiem, wiem, znowu się zagalopowałam. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli wszystko się ułoży, bardzo mi się tu spodoba. Gdy tylko pokonam obawy, że zaraz coś stłukę albo nabałaganę. Bo mieszkanie jest naprawdę wyjątkowo czyste i porządne. Powoli nabieram odwagi; ośmielam się poruszyć głową. Nie chcę jeszcze budzić Jeffa, ale muszę się zorientować w sytuacji. Wieczorem byłam zbyt upojona winem i namiętnością, żeby wiele zapamiętać. Tylko tyle, że kiedy wyciągnął wielki pęk kluczy i otworzył drzwi, pchnęłam go na ścianę. A potem uprawialiśmy wspaniały, dziki seks bez zahamowań, tam w przedpokoju, a potem jeszcze raz, w łóżku, tym razem wolniej i z większym zaangażowaniem. Dwa razy! Ha, w tym jestem lepsza od moich zameężnych przyjaciółek. Ile z nich może powiedzieć z ręką na sercu, że

kochały się dwa razy w ciągu jednej nocy? Wnosząc z ich aluzji, średnia wynosi raczej dwa razy w miesiącu. Dziwne, że chociaż o tym wiem, nadal chcę należeć do ich klubu.

Ależ sypialnia Jeffa jest po prostu wspaniała! Taka nowoczesna i wygodna. Ma świetny gust, naprawdę. Na ścianie wiszą dramatyczne czarno-białe fotografie plaży zimą, wszędzie pełno narzut, świec i poduszek. Faceci zwykle nie doceniają wagi takich rzeczy, ale Jeff ewidentnie do nich nie należy. Rozglądam się za fotografiami, które mogłyby mi coś powiedzieć o świecie mojego nowego faceta. Nie pamiętam, co mi wczoraj opowiadał, żadnych szczegółów. Zresztą niewiele rozmawialiśmy, nie było na to czasu. Pamiętam tylko, że lubi jeździć do Bude na windsurfing; tak, to i że pracuje niedaleko, w Hackney – mówiliśmy o tym, jak to dobrze mieszkać niedaleko miejsca pracy. Choć nie pamiętam, czym się zajmuje. Powiedział mi? Ma brata, a może dwóch. Mylą mi się szczegóły.

Nie widzę żadnych zdjęć, które pomogłyby mi wypełnić luki, nie ma też książek ani rupieci, mówiących zwykle wiele o właścicielu. Facet ma ewidentnie fioła na punkcie porządku. Jeśli kiedyś się tu wprowadzę, będę musiała kupić sobie stojak na biżuterię, ponieważ naszyjniki zawsze mi się splątują, a mam wrażenie, że ktoś taki jak on nie zniesie w sypialni kłębow splątanych koralii (albo rozrzuconych ubrań i butów). Będę też musiała kupić sobie komplet koszy na pranie, no wiecie, tych z napisem „białe” i „kolorowe”; widać wyraźnie, że Jeff ceni sobie system.

Odwracam głowę i napawam oczy widokiem mojego nowego faceta, który śpi spokojnie u mego boku. Wyczerpany. Do granic. Przypomina trochę Marka Wahlberga albo może Ryana Reynoldsa. Podobnie jak oni to typ chłopaka z sąsiedztwa, ale jest lepszy. Bardziej wysportowany. Odpowiednio namiętny. Ma ładnie zarysowany podbródek, ciemne oczy, ciemne włosy, wydatne, różowe i – powiedzmy to sobie szczerze – zmysłowe usta. Zastanawiam się, ile może mieć lat. Niewykluczone, że jest ode mnie rok czy dwa młodszy, a może nawet o trzy lub cztery lata. Będę musiała uważać, żeby nie zobaczył mojego prawa jazdy, przynajmniej w najbliższym czasie. Taki seksowny facet na pewno jest podrywany; może wybierać z całego tłumu kobiet. Młodszych, wyższych, ładniejszych i zabawniejszych ode mnie, kobiet, które odnoszą większe sukcesy w pracy. Takich powyżej średniej. Na tę myśl zaczynam oddychać szybciej. Świat jest trudnym

miejscem. Jest szybki i drapieżny; rytuały godowe w dwudziestym pierwszym wieku przypominają styczniową wyprzedaż. Walcz i rozpychaj się łokciami.

A jednak jest tutaj, leży koło mnie. A ja jestem w jego łóżku. Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Staram się w ten sposób opanować panikę i niepokój, tak jak pokazywali na DVD z jogą, które kupiłam sobie na ostatnie Boże Narodzenie. Oddycham spokojnie. Mamy czas. Oczywiście nie w sensie lat, tylko raczej miesięcy, a może nawet tygodni. No bo w przyszłym miesiącu kończę trzydzieści sześć lat (znowu do tego wracam!). Ale trochę czasu mamy. Mogę się dziś wykręcić od pójścia do pracy, a wówczas moglibyśmy spędzić cały dzień w łóżku. Jeśli zadzwonię i powiem, że mam gripę żołądkową, to mogłabym wagarować również w piątek, a wtedy mielibyśmy całe cztery dni na miłość. Kto wie, co się może zdarzyć w cztery dni? Dokąd nas to zaprowadzi? Do tygodni? Miesiący? No dobra, będę optymistką. Zaczynam sobie wyobrażać, że zakochujemy się w sobie; jak wyglądałby wtedy plan? Powiedzmy sześć miesięcy luźnego spotykania się, potem sześć miesięcy zaręczyn (wszystko, co powiedziałam o „nieprzyzwoitym pośpiechu” Martina, idzie w zapomnienie); w przyszłym roku o tej porze Jeff i ja moglibyśmy układać listę prezentów ślubnych w jednym z bardziej eleganckich domów handlowych. Potem przez rok moglibyśmy się cieszyć sobą jako małżeństwo, przez trzy miesiące starać się o dziecko, potem dziewięć miesięcy ciąży, no i pierwsze dziecko urodzę, jak będę miała trzydzieści osiem lat. Czyli zdążyłabym urodzić dwoje przed czterdziestką. Z trudem, ale nie jest to niemożliwe; plan może napięty, ale nie niewykonalny. Mam tendencję do myślenia podwójnymi zaprzeczeniami. Ostatnio na więcej mnie nie stać, jeśli chodzi o pozytywne myślenie.

Ale tym razem, tym razem jest się czym podniecać, ponieważ z wczorajszego wieczoru jedno pamiętam doskonale. Coś, co szepnął mi do ucha po drugiej rundzie, tej w łóżku. Powiedział: „Właśnie z taką dziewczyną powinienem się ożenić”.

Mężczyźni nie rzucają takich słów na wiatr. Musiał mówić serio. No i ten seks. Seks był fenomenalny. Naprawdę. Nigdy dotąd nie doświadczyłam czegoś takiego. Sama myśl o nim sprawia, że czuję żar między nogami. Był taki... Szukam odpowiedniego słowa na określenie tego naszego maratonu.

Wciąż nie myśli mi się zupełnie jasno. Jakie będzie to właściwe słowo? Był taki... dynamiczny?

Trudno, muszę się wysikać. Ostrożnie podnoszę kołdrę i wstaję z łóżka. Rozglądam się w poszukiwaniu szlafroka, bo muszę się czymś zakryć. Bez względu na nocne akrobacje, w bezlitosnym świetle dnia moje ciało wymaga okrycia. Nie widzę szlafroka ani swetra, ani bluzy z kapturem wiszącej na krześle, więc nie pozostaje mi nic innego, jak iść do łazienki nago.

Łazienka jest wspaniała! Wygląda jak z pisma o urządzaniu mieszkań. Jeff na pewno ma sprzątaczkę. Pomyślcie tylko, stać go na sprzątaczkę! Wiem, że to płytkie, ale facet, który zarabia dość, żeby zatrudnić sprzątaczkę, to prawdziwy unikat. Zbyt wiele „randek” spędziłam na sprzątaniu mieszkań moich byłych, żeby tego nie doceniać. Na początku zawsze jest elegancka restauracja i klub, potem dwa tygodnie kina i popcornu, a jeszcze potem okazuje się, że mam szczęście, jeśli mogę obejrzeć film na DVD na kanapie. Próbuję sobie wmawiać, że randki, na których szoruję na kłęczkach piekarnik albo rozmrażam lodówkę, są intymne i domowe, że to element prawdziwego związku, ale w głębi duszy wiem, że jestem po prostu wykorzystywana.

Ręczniki, starannie poskładane i ułożone w idealny stos, leżą na półce obok wielkiej kabiny prysznicowej. Wokół brodzika stoją świece, równo jak żołnierze, a końcówka papieru toaletowego jest złożona w trójkąt. Dotąd widywałam coś takiego tylko w hotelach. To mieszkanie jest niesamowite! Mam ochotę uściskać sama siebie, ale tylko robię siusiu, myję ręce i zmuszam się, żeby spojrzeć w lustro. Kiedyś po całej nocy seksu wyglądałam promiennie. Obecnie takie akrobacje owocują raczej paskudnymi sinymi workami pod oczami. Ochlapuję twarz wodą i rozglądam się za mydłem, ale go nie znajduję. W zasadzie nie ma tu żadnych kosmetyków. Błat i szafka są puste. Zupełnie.

Te równiutko ustawione świece, które nigdy się nie paliły. Na palcach zakradam się do kuchni. Coś z tym mieszkaniem jest nie tak, wyczuwam w nim coś dziwnego, ale bez kawy nie zdołam tego rozgryźć. Kuchnia, połączona z jadalnią, jest równie nieskazitelna jak łazienka. Laminowana podłoga i błyszczące blaty; kurki i okna aż lśnią, a poduszki na krzesłach są miękkie i grube. Stół jest nakryty, jakby Jeff spodziewał się gości na obiedzie. Pokój przywodzi mi na myśl ślubne śniadanie panny Havisham, tyle że

naczynia są czyste, a nie pokryte pajęczyną. Kogo spodziewa się Jeff?

Muszę się napić kawy. Otwieram szafkę nad czajnikiem, ale jest pusta. Zupełnie. Powinien tam stać przynajmniej słoik z kawą rozpuszczalną i pudełko z herbatą, choć mieszkanie jest tak wyrafinowane, że bardziej na miejscu byłaby kawa w ziarnach, papierowe filtry i trzy różne rodzaje herbat ziołowych.

– Oczywiście będziemy musieli wstąpić gdzieś na kawę.

Aż podskakuję na dźwięk głosu Jeffa. Choć mamy za sobą intymną noc, nie poznaję tego tonu. Odwracam się; stoi nagi w progu. Ja też jestem naga. Nagle, nieco zakłopotana, dochodzę do wniosku, że w tej kuchni jest zbyt wiele nagości. Wciągam brzuch. Pośladki mam zwrócone w stronę błyszczących drzwiczek szafek; mam nadzieję, że nie aż tak błyszczących, żeby odbijać mój cellulit. W świetle dnia zawsze jest dużo trudniej.

– Skończyła ci się kawa?

Jeff nie odpowiada, tylko uśmiecha się i idzie do łazienki.

Wykorzystuję okazję, biegnę do sypialni i wskakuję pod kołdrę. Dzięki Bogu, że nie rozsunął zasłon; dzień wdziera się przez kotary, ale raczej ukrywa niż obnaża. Nasłuchuję, jak sika i spuszcza wodę. Wychodzi z łazienki, nie umywszy rąk. Staram się nie przywiązywać do tego wagi, ale dręczy mnie ta świadomość. Dlaczego mężczyźni nie myją rąk?

Spodziewam się, że Jeff wskoczy znów do łóżka, ale on pochyła się i zbiera swoje rzeczy.

– Przepraszam, moja piękna, ale nie mamy czasu na powtórkę. Musimy stąd uciekać, nim ktoś nas zobaczy.

Jestem tak zajęta przekonywaniem samej siebie, że on naprawdę uważa mnie za piękną i dlatego tak się do mnie zwrócił – a nie dlatego, że zapomniał, jak mam na imię – że początkowo nie rejestruję drugiej części jego wypowiedzi.

Zobaczy nas? O co mu chodzi? Kto ma nas zobaczyć? I dlaczego to takie ważne?

– Ale nie jadłam jeszcze śniadania. Nie wypłam nawet kawy. – Naprawdę potrzebuję kawy; kac zaczyna się o mnie upominać, jakby obudził się razem z Jeffem.

– Tu nie ma nic do jedzenia.

– Mogę iść i coś kupić, jeśli chcesz. Kiedy będziesz brał prysznic –

proponuję.

Jeff, który właśnie zapinał koszulę, nieruchomieje. Czyżby poczuł się urażony, że proponuję mu prysznic? Uznał to za uwagę na temat higieny osobistej? No cóż, w pewnym sensie to była taka uwaga. Kto się kocha przez całą noc, a potem wstaje rano i idzie do pracy, nie biorąc prysznic? Trzeba zachować pewne standardy.

– Nie mogę się wykąpać tutaj, inni agenci by to zauważyli. I dlatego nie możemy tu jeść. No już, wstawaj. Musimy zasłać łóżko, żeby nie było widać, że ktoś w nim spał. Mam tu żelazko, wyprasuję poszwę. Robię się w tym dobry.

Patrzę na niego zdeprymowana.

– Agenci? – O czym on mówi? – To nie jest twoje mieszkanie? – Nagle znajduję odpowiedź. – Wynajmujesz razem z kimś?

– Próbuję je sprzedać. Mówiłem ci wczoraj. To mieszkanie pokazowe. Jestem agentem. Jezu, byłaś aż tak pijana? – Jeff jest już całkowicie ubrany, wyjąwszy skarpetki. Siada na łóżku i zaczyna je wkładać. – No już, wstawaj. – Klepie mnie przez kołdrę po nodze, ale nie jest to czuła pieszczota; w jego głosie pojawia się zniecierpliwienie, którego wieczorem nie było. Wtedy jego głos był namiętny, teraz kojarzy się raczej z sierżantem w wojsku. – Musimy stąd wyjść przed wpół do ósmej albo mnie wyleją z roboty.

– Pracujesz w agencji nieruchomości?

– Tak. A myślałaś, że jakiej? Wywiadu?

Och, agent nieruchomości, coś mi się przypomina. Jaka szkoda, że to piękne mieszkanie nie należy do mojego faceta – w wyobraźni zdążyłam tu już poustawiać swoje książki – ale robię głęboki wdech i postanawiam, że nie okażę rozczarowania. Na pewno przyprowadził mnie tutaj, ponieważ jest tu tak fajnie i seksownie. Wielu mężczyzn lubi to robić na biurku w pracy albo jeszcze lepiej, na biurku szefa; następnego dnia mogą się w biurze podniecać wspomnieniami. Nie ma w tym przecież nic złego. Zastanawiam się, jakie jest jego prawdziwe mieszkanie.

– Przypomnij mi, gdzie mieszkasz?

– Nie mówiłem ci, gdzie mieszkam. – Czekam, aż uzupełni moją wiedzę, ale on wstaje i podnosi z podłogi moją sukienkę. Rzuca nią we mnie, a ja, nim ją jeszcze złapię, domyślam się jak będzie brzmiało następne zdanie. – No wiesz, źle się czuję, gadając o domu. Bo to trochę nielojalne wobec żony.

No już, wstawaj i ubieraj się. Mówiłem ci, tu nie ma nic do jedzenia, a ja naprawdę potrzebuję węglowodanów po wczorajszych występach. Szkoda, że w okolicach nie ma żadnego barku. Dałbym się zabić za coś smażonego.

– Żony?

Jeff patrzy na zegarek, a potem wzrusza lekko ramionami. Mam okropne wrażenie, że przeprasza mnie raczej za brak barku, a nie za żonę.

Nie pamiętam, żeby wczoraj wspominał o żonie. Wiem, że to bym zapamiętała na pewno, bez względu na ilość wypitych drinków. Zawsze bardzo uważnie słucham opowieści o stałych dziewczynach (albo chłopakach), narzeczonych i żonach. Szczególnie o żonach. Czegóż takiego nigdy nie przeoczę. Nie, na pewno nie wspominał o żonie. Żona to dla mnie znak stopu. Nieodwołalnie. Bez względu na to, jak bardzo chcę mieć męża, nie chcę cudzego. Nigdy, przenigdy nie doszłoby do tego, gdybym wiedziała, że Jeff jest żonaty.

Jest tylko jedno logiczne wyjaśnienie: z pewnością nie wspomniał wczoraj o żonie, ponieważ nie jest ona żoną w pełnym i prawdziwym znaczeniu tego słowa. Są w separacji. Rozwodzą się. Nie jestem przewrażliwiona w tych sprawach. Dawno temu pogodziłam się z myślą, że najprawdopodobniej będę czyjąś drugą żoną. To kwestia matematyki. Trzydziestopięciolatka wciąż polująca na męża równa się rozwodnik. Była żona to nie jest problem. Mężczyzna podobny do Ryana Reynoldsa musi mieć byłą żonę. Jest zbyt przystojny, żeby żadna go nie usidliła przed trzydziestką.

– Kiedy rozstałeś się z żoną? Niedawno? – pytam.

– Co?

– Jesteście w separacji – wyjaśniam, ale moje przekonanie już zaczyna słabnąć. Zdeprymowany i arogancki wyraz twarzy Jeffa wskazuje, że z pewnością nie jest w separacji.

Podciągam kołdrę nieco wyżej.

– Dziwne, myślałem, że wiesz, że jestem żonaty – mówi Jeff cicho.

– Skąd miałam wiedzieć, skoro mi nie powiedziałeś? Bo na pewno nie powiedziałeś. I nie nosisz obrączki. – Ale teraz widzę, że choć faktycznie jej nie nosi, na palcu ma pasek jaśniejszej skóry. Czyli zwykle nosi.

– Ha, dzięki, że mi przypomniałaś. – Grzebie w kieszeni spodni, wyjmuje platynową obrączkę i wkłada na palec. Nagle ogarnia mnie potworne

zmęczenie. – To jak, chcesz coś zjeść czy nie? Tu zaraz na dole jest sklep spożywczy, sprzedają niezłe wegetariańskie samosy.

– Często to robisz?

– Jadam śniadania?

– Uprawiasz seks z innymi kobietami.

Jeff wcale się nie peszy, jest tylko trochę znudzony.

– Jasne, jak zdarza się okazja. No wiesz...

– Co wiem?

Nic przecież nie wiem. Jest mi niedobrze. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z takim niefrasobliwym okrucieństwem. Rzucano mnie wiele, wiele razy; sama też rzucałam facetów, wymykałam się z łóżka bladym świtem, nim się obudzili, ale coś takiego? To całkiem nowy rodzaj upadku. Jego młoda twarz jest obojętna, pozbawiona skruchy. Jakim cudem nie zauważyłam tego wczoraj? Jest... niedostępna.

– Powiedziałaś, że powinieneś się ożenić z taką dziewczyną jak ja – protestuję słabo.

– Naprawdę? Jesteś pewna? Może i tak, ale to miał być żart. Żartowałem, bo taka z ciebie rozrywkowa kocica. Nigdy bym się nie ożenił z kimś takim jak ty.

– Takim jak ja. – To nie jest pytanie, ale Jeff tak to odbiera i spieszy z wyjaśnieniem.

– No wiesz, ze starszą i taką łatwą.

Wyskakuję z łóżka i zaczynam pospiesznie wkładać sukienkę. Równocześnie podnoszę rękę, usiłując w ten sposób powstrzymać jego słowa. Nie chcę słyszeć, co jeszcze ma mi do powiedzenia. Już i tak powiedział za dużo. To boli. Ale Jeff nie patrzy na mnie. Patrzy na swoje odbicie w lustrze, przeczesuje włosy.

– No wiesz, ostro się wczoraj za mnie zabrałaś – tłumaczy. – W ogóle nie musiałem się starać. Praktycznie wepchnęłaś siostrę do taksówki. Protestowała i chciała cię zabrać do domu, ale powiedziałaś, że wrócisz sama. Że jesteś już duża i że sama potrafisz o siebie zadbać.

– Kłamałam – mówię z westchnieniem.

– Co?

– Wątpię, żebym potrafiła o siebie zadbać. Kłamałam – wyznaję nieco głośniejszym głosem.

Jeff nie ma pojęcia, jakie to ważne wyznanie. Jakie trudne.

– Ja cię nie okłamałem – dodaje z wielką pewnością siebie. – Nie pytałaś, czy jestem żonaty. Miałem wrażenie, że wiesz, ale cię to nie obchodzi. Byłaś taka drapieżna.

Utykam zaplątana w sukienkę. Jest dopasowana, walczę rozpaczliwie, żeby znaleźć rękawy. Powinnam była w nią wejść, ale w pośpiechu zaczęłam ją wciągać przez głowę. Ze złością odwracam się do Jeffa, ale go nie widzę, ponieważ jeszcze nie udało mi się trafić głową w dekolt, a w dodatku sukienka utknęła mi na biodrach, więc prezentuję mu w całej okazałości swoją myszkę. Chociaż depiluję się starannie, bez wątplenia wyglądam żałośnie.

– Drapieżna jak kuguarzyca? – pytam, w końcu obciągając sukienkę na uda i wystawiając głowę z dekoltu.

– Tego nie powiedziałem. To nie jest miłe określenie.

Zastanawiam się, czy jego zdaniem określenie „rozrywkowa kocica” to komplement, ale mam już dość. Nie chcę cały czas stać na straconej pozycji, więc przypuszczam atak.

– Znam parę innych paskudnych określeń, które świetnie tu pasują. Na przykład cudzołóżnik, dupek, zdrajca.

– Hej, daj spokój. Nie będę się z tobą kłócił. Nawet cię nie znam. Bawiliśmy się świetnie, Jill, ale...

– Jo.

– Słucham?

– Mam na imię... Och, nieważne. – Odchodzi mnie wszelka ochota do sporów. Nie ma sensu się kłócić. Żadnego. Zaczynam zbierać swoje rzeczy – rajstopy, majtki, torebkę i zakiet – rozrzucone na dywanie mieszkania pokazowego. Wyglądają na nim jak blizny. Chcę stąd wyjść. Chcę oddalić się jak najszybciej z miejsca zbrodni, nim zostaniemy przyłapani. Sytuacja jest już wystarczająco upokarzająca, nie musi być bardziej bolesna.

– Żal mi twojej żony – mówię w progę.

– Moja żona nie ma tu nic do rzeczy. Niepotrzebny jej twój żal – odpowiada Jeff. Prasuje sam kołdrę, ponieważ ja odmówiłam pomocy.

– Być może, ale i tak mi jej żal.

Eddie

Otwieram oczy. Czyli jeszcze nie umarłem. Czuję się lekko rozczarowany tą konstatacją i dziwi mnie własne rozczarowanie. Nie tęsknię za śmiercią, nic z tych rzeczy, ale nie chce mi się z nią również walczyć. Ta obojętność jest przygnębiająca. Obojętność wobec własnej śmierci to najbardziej wymowny dowód na to, jak dokładnie i całkowicie spieprzyłem swoje życie.

W zasadzie nie rozpaczam – po co niepotrzebnie dramatyzować? Szczerze mówiąc, jestem po prostu znudzony. Znudzony chorowaniem. Znudzony bólem, długimi godzinami cierpienia. A przed rakiem? Wtedy też byłem znudzony, od dłuższego czasu. Nie odpowiadało mi starzenie się. Byłem dobry w byciu młodym. Miałem skłonność do nieodpowiedzialności, szalonych wyskoków, życia chwilą, beztroski. To pokusa – dać sobie z tym wszystkim spokój.

I co dalej? Ostatnio zacząłem myśleć o kościołach. A właściwie o Kościele, Bogu i życiu po śmierci. Chcę wiedzieć, czego mam się spodziewać. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w kościele. Pewnie na czyimś ślubie. Trzydzieści lat temu, może dawniej? Może nawet to był mój własny ślub. Nigdy nie poświęcałem wiele uwagi religii; moim zdaniem stanowi wygodne uzasadnienie wojen i nienawiści. Ale ponieważ musiałem sam zorganizować własny pogrzeb, zacząłem się trochę nad tym zastanawiać.

Nie wierzę w takie życie po śmierci, o jakim uczono mnie w dzieciństwie. Nie mogę zaakceptować nieba umiejscowionego w chmurach i brodatego faceta z aureolą, który otwiera bramę z macicy perłowej jak bramkarz w nocnym klubie. Nie potrafię sobie wyobrazić świętego Piotra, jak stoi i sprawdza na liście, kogo może wpuścić do nieba, a kogo ma odesłać z kwitkiem, bo nagrzeszył i jego miejsce jest na wieczność w piekle. To bez sensu. Choćby aspekty praktyczne; jak na przykład ci odprawieni dostają się z nieba do piekła? Mają tam może jakiś niewidzialny słup, jak w remizie strażackiej, po którym zjeżdżają w piekielne czeluście, albo może zsyp, do którego się ich wrzuca? I dlaczego ci źli nie przypuszczają

po prostu szturm na bramy nieba? Żli na ogół nie przestrzegają zasad i nie godzą się na ograniczenia; czy nie dlatego są źli? Co może zrobić jeden staruszek (wszystko jedno, święty czy nie) wobec tłumu morderców, złodziei, pedofilów, podżegaczy wojennych i najemników? Przecież by go roznieśli. A Diabeł? Dlaczego niby miałby torturować grzeszników, którzy trafiają do piekła? Przecież pracowali dla niego. Nie powinien raczej witać ich z otwartymi ramionami? Właż, Idi Amin, siadaj chłopie tutaj, między Stalinem a Hitlerem. Nie, nie tam, to miejsce trzymamy dla Kony'ego. Dlaczego miałby ich palić po wieczność ogniem piekielnym? Chyba że czegoś nie rozumiem. Może nie słuchałem w szkole dość uważnie. Może Bóg włada również piekłem, ale jeśli tak, to dlaczego Diabeł wciąż wyskakuje na Ziemię? To jakaś polityka otwartych drzwi czy jak? Dlaczego Bóg nie trzyma go pod kluczem?

Nie kwestionuję powodów, dla których Bóg miałby torturować grzeszników. To łapię. Ale jeszcze nie umarłem. Tyle wiem, ponieważ widzę innych pacjentów, obok mnie i naprzeciwko. I jest ta gruba, zacięta pielęgniarka, robi coś przy drzwiach. A to jest moja szafka. W przeciwieństwie do szafek innych pacjentów nie ma na niej kartek z życzeniami powrotu do zdrowia i kwiatów. Stoi tam tylko plastikowy dzbanek z wodą i plastikowy kubek z dzióbkiem. Nadal tkwię w swoim życiu, jakiegokolwiek ono jest. Poza tym wiem, że żyję, z powodu bólu. Tego koszmarnego bólu, który od miesięcy dręczy moje ciało; znów się na mnie rzuca. Gardło mam tak wyschnięte, jakby ktoś wyrwał mi język. Ale nie, nadal tam jest, przesuwam nim ostrożnie po wargach, daremnie usiłując je zwilżyć. Zupełnie jakbym przesuwiał papierem ściernym po drewnie.

Ktoś siedzi przy moim łóżku. Jakiś mężczyzna. Wstaje i pochyla się nade mną. Bierze kubek z dzióbkiem i przysuwa mi do ust. Biorę łyk wody.

– Kim ty jesteś, do diabła? – pytam.

Nie odpowiada. Patrzę na niego podejrzliwie. Czy to lekarz? Nie ma białego fartucha, ale niektórzy starsi konsultanci ich nie noszą. Powinien się ogolić; to może być lekarz, taki zbyt zajęty, żeby dbać o własny wygląd. Ale ten facet chyba się nie spieszy. Siedzi zupełnie nieruchomo.

– Jestem... – urywa z wahaniem.

Ból pozbawił mnie nawet tej odrobiny cierpliwości, jaką kiedyś miałem.

– Nie wiesz, kim jesteś? – pytam ze złością.

– A ty nie wiesz?

Waham się. Przyglądam się uważnie jego twarzy, włosom, oczom, łukom brwiowym, nosowi i rozpoznaję te rysy.

– Cześć, synu. Dzięki, że przyszedłeś.

Jo

Śmierdę. Śmierdę i wszystko mnie boli. Cuchnę potem, alkoholem i rozczarowaniem. Uda bolą mnie po nocnych baletach, a oczy szczypią od światła. Ściskam czubek nosa, ale bez względu na to, jak mocno to robię, nie mogę wycisnąć z głowy myśli o tym, co robiłam przez ostatnie dwanaście godzin.

Wiem, że powinnam wrócić do domu Lisy, wykąpać się i przebrać, nim pójdę do pracy: moje koleżanki z redakcji zawsze zauważają, jeśli ktoś jest ubrany w te same rzeczy dwa dni z rzędu. W większości biur byłby to powód do plotek i żartów, ale w „Uroczej Pannie Młodej” (świątyni „długo-i-szczęśliwie”) potępia się takie rzeczy. Trochę tak jak w latach pięćdziesiątych: upojne noce są dopuszczalne jedynie pod warunkiem, że zwieńczy je potem ślub. Oczywiście z Jeffem nie mam na to szansy. Wzdycham, gdyż podświadomie wiem, że nie było takiej szansy również w przypadku Micka (mojej przygody sprzed trzech tygodni) ani Darrena (faceta, z którym byłam przez krótki czas kilka miesięcy wcześniej). Takie wejścia zdarzają mi się dość regularnie; moje koleżanki z pracy w najlepszym razie mówią między sobą, że brak mi wycucia, a w najgorszym, że jestem śmieszna, zdesperowaną zdzirą.

Jeśli pójdę do Lisy wziąć prysznic i przebrać się, uniknę porozumiewawczych spojrzeń łowczyń sensacji, jednakże istnieje ryzyko, że wpadnę na kogoś z rodziny. Z przeraźliwą jasnością mogę sobie wyobrazić takie spotkanie: wślizguję się tylnym wejściem, a w kuchni jest pełno dzieci (oraz cudownych zapachów tostów z masłem i świeżo parzonej kawy); jeśli nawet uda mi się niepostrzeżenie przemknąć na górę, bez wątpienia natknę się na podeście na Lisę albo Henry’ego (pachnącego żelem pod prysznic Lisy), a oni rzucą mi to swoje spojrzenie, to, które w równych częściach wyraża rozczarowanie i troskę. Najbardziej zawstydzą mnie ich troska. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić mojego złajdaczonego, śmierdzącego ciała w ich ciepłym, słodko pachnącym domu. Nikt oczywiście nie powie mi złego

słowa, ale na pewno założą ręce na piersi w sposób znamionujący potępienie. Pod wpływem tej myśli zatrzymuję się na ulicy.

Stoję przez chwilę i zastanawiam się, co będzie lepsze: obnażyć się przed koleżankami czy przed rodziną? Smętny wybór. Mniej bym się przejmowała, gdybym mogła opowiadać, jak to zjadłam z Jeffem croissanty na śniadanie i jak to umówiliśmy się wieczorem do kina, ale sytuacja jest bezlitośnie oczywista. Jasne, mogę skłamać – opowiadać wszystkim, że przeżyłam tej nocy niezapomniane chwile i że to początek czegoś wyjątkowego – ale nie jestem aż tak żałosna. Jeszcze nie.

Wiosenny wietrzyk kąsa mnie paskudnie w gołe nogi. Przypomina mi te nieliczne, ale bolesne klapsy, które wymierzała mi w dzieciństwie matka, jeśli zrobiłam coś bardzo złego. Tak jak teraz. Nie miałam czasu włożyć rajstop, zresztą najpewniej poszły mi w nich oczka, bo wczoraj zdejmowaliśmy je ze mnie w pośpiechu. Trzęsą mi się ręce. Czuję się trochę tak jak zeszłej jesieni, kiedy spadłam z roweru i musiałam jechać do szpitala, żeby zeszyli mi ranę na głowie. Pielęgniarka wyjaśniła mi, że jestem w szoku.

Próbuję się pozbierać. Patrzę w lewo i w prawo, ale nie rozpoznaję tej ulicy. Przyjechaliśmy wczoraj taksówką, więc nie mam pojęcia, w której części Londynu znajduje się to pokazowe mieszkanie. Obok przejeżdża czerwony piętrowy autobus; numer 43 do Mostu Londyńskiego. Niewiele mi to mówi. Mogę być gdziekolwiek, od starej biblioteki Friern Barnet po Guy's Hospital. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś znajomego, ale niczego takiego nie znajduję. Ogarnia mnie przerażające poczucie zagubienia, zaczynam się dusić. Zgubiłam się. Próbuję przeczytać rozkład jazdy autobusów na przystanku, ale źle widzę przez łzy. To śmieszne, ganię się w duchu. Jestem dorosłą kobietą. Nie ma powodu do rozpacz. Przecież nie zdradziłam kogoś specjalnie; nie zamierzałam być tą drugą. Poza tym to nie jest pierwszy raz, kiedy facet mnie oszukał i okłamał. Przechodzi mi przez myśl, że właśnie dlatego płaczę. Bo to nie jest pierwszy raz i niewielkie są szanse na to, że ostatni.

Niebo jest szare, wisi nisko nad dachami. Koresponduje z moim nastrojem. W tym wydaniu zdusza w zarodku wszelkie nadzieje; zaprzecza faktom, że to tak naprawdę początek nowego dnia. Fioletowoczarne nocne niebo jest ekscytujące, błękitne za dnia jest produktywne. Ale szare niebo nie dopuszcza żadnych perspektyw. Owijam się ciaśniej kurtką. Muszę się

dostać do metra. Pojadę na siłownię. Nie będę mogła się przebrać, ale przynajmniej wezmę prysznic. W ten sposób nie wpadnę na nikogo z rodziny, a moje koleżanki w redakcji nie będą musiały wzdychać.

Choć po peronach i korytarzach metra poruszam się prawie biegiem, choć wpadam pędem na siłownię i biorę prysznic najszybciej jak tylko się da, czas mi ucieka, wymyka mi się jak baletnica na pointach w *Jeziorko Łabędzim*. Nie mam monety do szafki i muszę wyzebrać ją w recepcji, a potem złośliwie wpada mi pod drewniane ławki; znajduję dwa zużyte plastry z opatrunkiem i jedną mokrą opaskę na włosy, nim udaje mi się ją wydłubać. Potem muszę odstać swoje w kolejce do prysznica. To po prostu taki dzień. Po kawę też jest kolejka, ale nie mogę się bez niej obyć, i w końcu, choć wyruszyłam naprawdę wcześniej, zjawiam się w redakcji spóźniona godzinę i pięćdziesiąt minut.

Kiedy zaczynałam pracować w „Uroczej Pannie Młodej”, czułam każdym nerwem, że to moja wymarzona praca. Nie mogłam sobie wyobrazić niczego bardziej romantycznego czy ekscytującego. Ponadto zaraz potem zaręczyliśmy się z Martinem, a dzięki pracy w piśmie dla panien młodych mogłam się pławić swobodnie we wszystkich aspektach planowania ślubu. Mogłam odbywać służbowe rozmowy o kroju czcionki na zaproszeniach, baletkach dziewczynek z kwiatami i najnowszych trendach w bukietach do butonierek i nikt nie uważał mnie za szaloną. Praca wymagała, żebym rozmawiała z najmodniejszymi organizatorami ślubów – wszyscy bardzo chcieli mieć swój artykuł w „Uroczej Pannie Młodej” – więc mogłam wypożyczyć suknię ślubną od Caroline Castigliano, cztery powłóczyste malinowe suknie bez ramiączek dla druhen i tiarę zaprojektowaną przez Lou Lou Belle; dostałam też zniżki u fotografa, na film ze ślubu i na limuzynę.

W końcu, z powodu wielkiego zapału i zainteresowania ślubami, dostałam nawet własną kolumnę, zatytułowaną „Poślubić księcia z bajki”, w której z humorem i detalami opisywałam własne plany ślubne i wszelkie związane z nimi triumfy i katastrofy, prowadząc za rączkę przyszłe panny młode ku ich najważniejszemu dniowi w życiu.

W tej sytuacji odwołanie ślubu okazało się katastrofą nie tylko prywatną, ale i służbową. Moja naczelna, Verity Hooper, uznała, że nie możemy zdradzić prawdy czytelnikom „Uroczej Panny Młodej” i zmusiła mnie do

napisania artykułu o ślubie, który oczywiście odbył się zgodnie z planem i był wspaniały, a nawet do pozwania do fałszywych zdjęć ślubnych; w końcu mieliśmy wielu sponsorów, którzy spodziewali się udanego *product placement*.

Dlatego musiałam włożyć tę suknię od Caroline Castigliano i uśmiechać się do obiektywu. Jaki miałam wybór? Chodziło przecież o moją pracę. To był dla mnie naprawdę ciężki dzień.

Na szczęście moja lojalność i poświęcenie nie przeszły niezauważone. Początkowy plan – że będę dalej pisać swoją rubrykę, tyle że pod nowym tytułem, „Być żoną księcia z bajki” – trzeba było oczywiście zarzucić. Nawet do Verity dotarło, że nie wytrzymam fałszywego małżeństwa i rozpisywania się co miesiąc o domowym szczęściu. Powierzono mi więc rubrykę pod wymownym tytułem „Poznać wybrańca”. Mówiąc wprost, poświęcona jest sposobom poznania przyszłego męża. Piszę ją pod pseudonimem; nie jestem nawet prawdziwą osobą.

– Przecież pracujesz dla magazynu dla panien młodych. Czytelniczki na pewno znalazły już mężczyznę, którego chcą poślubić – wytknęła mi Lisa, kiedy jej powiedziałam, o czym będę pisać.

– Verity uważa, że moje artykuły mogą zwrócić uwagę drухen, które z zazdrością przeglądają pisma szczęśliwej przyjaciółki. Ma nadzieję, że rozszerzymy w ten sposób grupę czytelniczek, z wyłącznie tych już zaręczonych na te desperacko szukające męża.

– Czarujące.

– To cytat.

– I Verity uważa, że jesteś idealną kandydatką do tego zadania? – Udałam, że nie usłyszałam sarkazmu w głosie Lisy. Oszczędziłam sobie w życiu masy nieprzyjemnych sytuacji, po prostu udając, że mam lekkie kłopoty ze słuchem. – Czy to nie jest trochę przestarzała koncepcja, bardziej odpowiednia w czasach Jane Austen niż w dwudziestym pierwszym wieku? – nie ustępowała moja siostra.

– Małżeństwo ma dzisiaj takie samo znaczenie jak wtedy, kiedy kobiety haftowały, nosiły czepki i nie rozmawiały o menstruacji – odparłam. Lisa cmoknęła i zauważyła, że dość trudno mi będzie utrzymać tę posadę, zważywszy, że rzuciłam narzeczonego praktycznie przed ołtarzem. Jednakże obie zgodziłyśmy się, że praca to praca i dobrze, że nadal ją mam.

Tak więc w ramach zbierania materiału do artykułów badałam wady i zalety błyskawicznych randek, efektywność różnych portali randkowych oraz triumfy i udręki randek w ciemno. Pojechałam na obóz biwakowy dla singli, gdzie musiałam dzielić namiot z obcą osobą (coś takiego powinno być nielegalne!), sprawdzałam potencjał portali społecznościowych i nawet udawałam, że palę, żeby poznać zalety dymkowania.

– Co to u Boga Ojca jest dymkowanie? – spytał Henry, mój szwagier, kiedy o tym usłyszał. – Brzmi zupełnie jak dymanie.

– Flirtowanie przy papierosie – wyjaśniłam pobłaźliwie. – Przed barem, gdzie jest ciszej, można porozmawiać z ludźmi spoza kręgu znajomych. Palacze zawsze twierdzą, że papieros pozwala na nawiązanie rozmowy i że jest coś intymnego w przypalaniu od kogoś papierosa.

Lisa i Henry wymienili jedno z tych swoich spojrzeń nad moją głową; równocześnie rozbawione, pełne satysfakcji i politowania. Niestety, zaczęła mi dokuczać astma i w końcu musiałam wyznaczyć, że moim zdaniem palenie to paskudny nałóg, który niszczy ubrania, urodę i płuca; poza tym nie chciałam całować się z kimś, kto smakuje jak popielniczka.

Jakimś cudem co miesiąc, od pięciu lat, wypluwałam z siebie tysiąc dwieście słów na temat różnych możliwości poznania i usidlenia Tego Jedynego. Jak nikt inny dostrzegam ironię w tym, że mnie się to nie udało. Ale ostatnio – choć nie chcę się nikomu do tego przyznać, nawet sobie – stwierdziłam, że kończą mi się pomysły. Czasami z wysiłkiem przychodzi mi utrzymanie tego obowiązkowo pogodnego i lekkiego tonu oczekiwania, który obowiązuje w „Uroczej Pannie Młodej”. Więc redukuję liczbę słów za pomocą zdjęć prezentujących krzesła ślubne i saszetki ze słodyczami dla gości. Czasami zaczynam się zastanawiać, czy studiowanie dziennikarstwa nie było zwykłą stratą czasu.

E-mail wzywający mnie na spotkanie z Verity nie został wysłany osobiście przez moją naczelną, tylko przez jej asystentkę. Nadawca e-maila to drobna, ale niezwykle ważna wskazówka, która nie umyka mojej uwagi. Ton e-maila jest dobitny, daje jasno do zrozumienia, że moja obecność jest oczekiwana, niemal wymagana, a nie że jest to zaproszenie.

Spanikowana sprawdzam, czy na pewno wysłałam e-mail z artykułem na ten miesiąc (czasami zapominam to zrobić), ale z ulgą stwierdzam, że trafił w cyberprzestrzeń. Szybko czytam raz jeszcze to, co wysłałam, sprawdzając,

czy nie ma błędów albo jakichś przekłamań. Zrobiło się nieprzyjemnie, kiedy napisałam Durex zamiast Dulux w artykule o modnej kolorystyce na przyjęciach dla singli, ale tu nie widzę żadnych równie rażących błędów. Zastanawiam się, czy w treści jest coś, co mogło zirytować Verity. Kiedyś napisałam cały artykuł o tym, że po prostu nie mogłabym się kochać z facetem z owłosionymi plecami i że wolałabym sprzątać wagony metra niż coś takiego, po czym odkryłam na redakcyjnym grillu, że mąż Verity jest bardziej włochaty niż nowofundland. W głębi duszy jestem zdania, że pan Hooper nie powinien był wówczas zdejmować koszuli; to dlatego zostało potem tyle jedzenia. W każdym razie zrozumiałam wtedy dziwnie oziębłą reakcję Verity na ten artykuł, ale tym razem jestem prawie pewna, że nie napisałam niczego, co można by uznać za obraźliwe.

Z ulgą zauważam, że spotkanie jest wyznaczone na dwunastą pięćdziesiąt, zaledwie dziesięć minut przed przerwą na lunch; najprawdopodobniej Verity chce mnie zabrać ze sobą do jakiejś eleganckiej restauracji. Zapewne ktoś odwołał spotkanie, a ona, zamiast zmarnować jakże pożądany stolik w Ivy, zaprosi mnie na doczepkę. Wspaniale. Dobry lunch na pewno mnie trochę pocieszy.

Pukam w szklane drzwi do jej biura. Moja naczelna nie podnosi wzroku.

– Wejdz. Usiądź – rzuca krótkie komendy. Ledwie mam czas zająć miejsce, kiedy dodaje: – Jo, przykro mi, ale tego nie da się powiedzieć inaczej. Czeka nas rozstanie.

– Rozstanie? W jakim sensie? Wysyłasz mnie w teren? – pytam. Widzicie, nie jestem idiotką, i w gruncie rzeczy natychmiast pojmuję, o co chodzi, ale mój mózg ma kłopoty z przyswojeniem sobie tej informacji.

Verity wzdycha, ale mojego chwytania się brzytwy nie zaszczycza bezpośrednią odpowiedzią.

– Jak na pewno zdajesz sobie sprawę, pracujesz na odnawianym cyklicznie kontrakcie konsultantki.

– Tak?

– Tak.

– Dlaczego?

– No cóż, o ile dobrze pamiętam, nie chciałaś się wiązać trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia.

Przypominam sobie niejasno rozmowę, którą odbyłam wiele lat temu

w tym samym biurze. Chciałam, żeby Verity trzymała mnie na umowie na czas określony, ponieważ planowaliśmy z Martinem, że po ślubie będzie się ubiegał o przeniesienie do centrali firmy w Chicago, a ja chciałam móc przeprowadzić się tam z nim od razu. Martin rzeczywiście dostał stanowisko w centrali, ale wówczas już zdążyłam odwołać ślub i nie miałam po co odkurzać paszportu. No i nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby zmienić warunki zatrudnienia.

– Ponieważ nie zareagowałaś na trzy oficjalne upomnienia dotyczące twojej pracy, obawiam się, że nie mam wyjścia jak...

– Kiedy wysłałaś mi oficjalne upomnienia? – pytam. Nie dostałam żadnych upomnień. O co chodzi tej Verity? To jakiś spisek. Prostuję się z oburzeniem.

– Kadry wysłały ci e-mail.

– Och. – Oburzenie znika, zastępuje je wstyd. Mam brzydki zwyczaj wyrzucać e-maile z kadr bez czytania, gdyż głównie zawierają wykłady na temat odpowiedniego stroju albo jakiś nudny dokument poświęcony właściwemu wykorzystaniu czasu pracy. Bez wątpienia spodziewając się czegoś takiego, Verity ma przygotowane kopie tych e-maili; podaje mi je nad biurkiem. Przebiegam wzrokiem ostrzeżenia, a ich widok, czarno na białym, otrzeźwia mnie zupełnie. Otrzymałam naganę za ciągłe spóźnienia, notoryczne nieoddawanie tekstów w terminie oraz za niewłaściwe zachowanie wobec roznosiciela poczty. Uznaję, że powinnam się bronić.

– Każdy czasami się spóźnia. Na Islington High Street są roboty drogowe.

– Jo, ty dojeżdżasz metrem.

– Zawsze przecież w końcu dostarczam artykuł.

– Tak, pełen błędów, a często niestosowny.

– Nie podobał ci się ten o podstawianych dziewczynach?

– Chodzi ci o ten ostatni, w którym przyszła panna młoda nakrywa narzeczonego w łóżku z kwiaciarką, a następnie próbuje go zabić sekatorem? Nie, nie podobał mi się. Był bardziej krwawy niż filmy Tarantino. Jest nie do przyjęcia.

– No dobrze, zmienię go.

– Już za późno. Poprosiłam Bridget, żeby coś napisała. Ona rozumie, że w naszym piśmie chodzi o romantyczne uczucia.

– Właśnie, o romantyczne uczucia. Więc dlaczego dostałam naganę z powodu incydentu z facetem od poczty?

– Uważam, że robienie sobie na fotokopiarce odbitek części ciała w towarzystwie chłopca, który ledwie skończył szkołę, niewiele ma wspólnego z romantycznymi uczuciami.

– On ma dwadzieścia cztery lata i to była Gwiazdka! – uświadamiam sobie, że krzyczę. Mój brak kontroli kontrastuje ostro ze spokojem Verity.

– Sądzę, że nie wkładasz serca w tę pracę – mówi łagodnie.

– Wkładam! Właśnie że wkładam! – kłamię desperacko.

– Jo, umówiłam cię w kadrach. To będzie rozmowa o rozwiązaniu umowy o pracę. Zaczyna się za sześć minut. Nie próbuj się spóźnić. Przykro mi, ale w tym zespole nie ma już dla ciebie miejsca.

Dean

Dotąd Dean po prostu siedział i przyglądał się, jak ojciec śpi; teraz, po jego przebudzeniu, miał ochotę poderwać się i uciec, ale siedział dalej, jak przymurowany. Podobnego uczucia doznawał, kiedy kobieta, z którą się spotykał, mówiła coś w rodzaju „musimy porozmawiać” albo jeszcze gorzej: „zrobiłam sobie test”. Czuł się osaczony i wściekły, a choć nie przyznawał się do tego nawet sam przed sobą, również przerażony.

W pokoju panowały lata milczenia. Przepojona samotnością cisza zdawała się przybierać wręcz namacalną formę, zalewając łóżko umierającego niczym gęsta masa, zbyt ciężka, by ją udźwignąć. Dean szukał gorączkowo w myślach jakiegoś tematu do rozmowy, czegokolwiek, co mogłoby zakłócić tę przejmującą ciszę, naruszyć jej kształt, ale nie znalazł słów dość wielkich, by zdołały wypełnić dwadzieścia dziewięć lat milczenia. Rozmowa towarzyska – która w większości wypadków pozwalała nawiązać nic porozumienia – tu byłaby tylko tym, czym była w swej istocie, zwykłą, pozbawioną znaczenia grzecznością. Uwagi o pogodzie nie miały sensu, a pytanie ojca o plany na wakacje nie prowadziło do niczego. Poza tym Dean nie chciał być grzeczny; jeśli już, to chciał być podły i nienawistny, a choć zwykle po mistrzowsku sterował rozmowami, w tej chwili był zbyt obolały psychicznie, żeby grać w jakieś gierki.

– A więc przyjechałeś – wymamrotał niewyraźnie Eddie. Oddychał z trudem, oddech wiązał mu w piersiach.

– No tak.

Dean nie wiedział, na co Eddie liczył, czego oczekiwał. Jeśli miał nadzieję na łzawe pojednanie i wybaczenie, czeka go wielkie rozczarowanie. Prawdę mówiąc, Dean również nie wiedział, na co ma nadzieję. Po co tu właściwie przyjechał? Co chciał przez to zyskać? Przecież nie mógł poznać ojca w tak krótkim czasie, jaki im pozostał. I czy w ogóle tego chciał?

Powinien po prostu wyjść. Miał ochotę opuścić ten szpital od chwili, kiedy przestąpił jego próg, ale trudno mu było to zrobić z powodu kroplówki,

która sączyła płyn w ciało jego ojca, i cewnika, który go z niego odprowadzał; po prostu nie mógł wstać i wyjść. Lekarz wyjaśnił mu, że Eddie przeszedł już radioterapię i chemioterapię, które nie zatrzymały jednak rozwoju raka, a także transfuzję, z powodu ciężkiej anemii. Miał za sobą całe miesiące leczenia. Znosił je w samotności. Zdaniem lekarza teraz można było już tylko czekać. Na śmierć. Dean odkrył, że bez względu na to, jak wielka jest jego złość, nie jest aż tak wielka, by potrafił zostawić umierającego człowieka samego. Nie mógł się zdecydować, czy jest z tego powodu bohaterem, czy raczej tchórzem.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał, nie dlatego, że chciał pomóc choremu, ale ponieważ o to właśnie pytają ludzie pacjentów leżących w szpitalach.

– Czego na przykład? Przeszczepu? – wychrypiał Eddie. Zmierzył syna wzrokiem, a potem odwrócił się do okna, a Dean musiał walczyć z uczuciem upokorzenia.

Myślał nie o przeszczepie, tylko raczej o jakichś gazetach. Albo mógłby poprawić ojcu poduszkę. Z powodu Eddiego zawsze czuł się nieudacznikiem; choćby nie wiadomo jak się starał, nigdy nie był dostatecznie zabawny, dostatecznie bystry, dostatecznie szybki... I przez swoje niedostatki nie zdołał zatrzymać ojca w domu. Eddie odszedł, a Dean zawsze – wbrew wszelkiej logice – obwiniał o to siebie. To przekonanie nie wynikało z czegoś, co Eddie mu powiedział, ale właśnie odwrotnie; długie milczenie Edwarda Taylora przekonało Deana, że nie jest dość dobry. Wiele osób – i mężczyźni, i kobiety, choć te drugie rzadziej – porzuca swoje rodziny, Dean wiedział o tym dobrze, ale tacy ludzie przysyłają zwykle chociaż kartki na święta.

Wziął przykład z ojca i też wyjrzał przez okno. Znajdowali się wysoko, na szóstym piętrze, więc za oknem było tylko szare, przygnębiające niebo. Obaj wpatrywali się w nie jak w najbardziej fascynującą rzecz na świecie.

Co dziwne, to właśnie głębia i pustka tej ciszy uświadomiła Deanowi powody, dla których przyjechał do Anglii, przyszedł do tego szpitala i siedział przy tym łóżku. Zadawał sobie pytanie o celowość swojej decyzji; jedyna osoba na świecie, której za nic nie chciał skrzywdzić, to była Zoe, a wiedział, że sprawił jej ból, przychodząc tutaj. Utknął na tym krześle wbrew jej woli i wcale nie z powodu tych wszystkich rurek, ale dlatego, że musiał się czegoś dowiedzieć. Jednej jedynej rzeczy.

Wreszcie nadarzyła się okazja, by o to zapytać, i po prostu nie mógł z niej zrezygnować. Uświadomił sobie, że właśnie ta nieopanowana ciekawość spowodowała, że pozwolił Lacey zarezerwować lot do Londynu, to ona skłoniła go do jazdy metrem, a potem do spaceru po ulicach Londynu, prosto do tego straszego miejsca.

Zastanawiał się, czy zbierze się na odwagę, żeby o to spytać. I czy ojcu jej wystarczy, by udzielić odpowiedzi. To wszystko było takie pokręcone. Czuł się trochę jak gniewny nastolatek. Wiedział, że nie może sobie na to pozwolić, musi pozostać tym dorosłym Deanem, który był dumny ze swojego opanowania i logiki. Tak ciężko pracował na tę równowagę; po prostu nie mógł jej teraz stracić. Zdawał sobie sprawę, że nie jest ideałem; na przykład nie potrafił się zaangażować. Tak wiele kobiet odeszło z jego życia, narzekając, że jest zamknięty w sobie albo płytki i że nie chce ich do siebie wpuścić. To ostatnie określenie zawsze go bawiło. Jakby uważały, że jest jakimś sklepem, po którym mogą buszować. Zapewniał je, że to co widzą, to już wszystko, że nie ma nic więcej tylko przystojny, zamożny, seksowny facet. Oczywiście kłamał. Wiedział, że głębiej woda nie jest już tak przejrzysta, ale nie mógł pozwolić, by te aspekty jego osobowości wydostały się na powierzchnię.

Wystarczyło nachylić się do ucha starca i zadać szeptem pytanie: „Dlaczego odszedłeś? Dlaczego nas zostawiłeś?”. To było takie proste, ale po prostu nie mógł się na to zdobyć. Nigdy w życiu nie wypowiedział tych słów na głos. Nigdy nie zapytał o to matki. Nie musiał: wyrzaskiwała swoje przemyślenia na ten temat właściwie bez przerwy. Jej zdaniem Eddie odszedł, ponieważ był tchórzem, ponieważ znalazł sobie jakąś kurew i z nią uciekł, ponieważ był draniem. Ale czy to było wszystko? Czy to potworne dzieciństwo i załamanie się wiary w takie pojęcia jak zaufanie, wierność i miłość zawdzięczał prostemu faktowi, że ojciec nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach? Czy o to chodziło?

Ani razu nie spytał o to Zoe. Do niego, jako starszego brata, należała walka ze smutkiem, a nie wnikanie w jego przyczyny. „Nie potrzebujemy go”, powtarzał jej często.

Ale sam w głębi duszy prowadził niekończące się dyskusje na ten temat, wciąż pytał sam siebie, dlaczego tak się stało. Dlaczego jego tata odszedł? Miał na ten temat własną teorię. Taką, że on, Dean, nie był dość interesujący,

żeby zatrzymać tatę w domu. I inną, że nigdy nie wolno nikomu zaufać tak do końca, tak prawdziwie. Uważał, że skoro jego ojciec mógł odejść, to może odejść każdy. Bo każdy odchodził. Dean nie zaprzyjaźniał się z kolegami z pracy ani nie przywiązywał się zbyt do swoich partnerek, żeby kiedy postanowią wbić mu nóż w plecy, a był pewien, że w końcu to zrobią, nie bolało za bardzo. Co do jednego miał całkowitą pewność: nigdy się nie zakocha. Nie będzie miał dzieci; dzięki temu nie będzie mógł spieprzyć im życia.

A jednak tu siedział, mając nadzieję, że ojciec zaprzeczy. Czy to możliwe, że po tych wszystkich latach nienawiści nadal nie chciał uwierzyć w trywialność tej sprawy? Czy był tutaj, ponieważ miał nadzieję, że ojciec powie mu coś, co go pocieszy? Czyżby nadal sądził, że Eddie potrafi wszystko naprawić? Nie tyle, że pocałuje go w otarte kolano i założy plaster – na to było już zdecydowanie za późno – ale że poda wyjaśnienie, które zmniejszy nieco jego ból i pozwoli mu znów ufać?

Ręce Eddiego Taylora trzęsły się, choć tylko troszeczkę. Widać było na nich starcze plamy i napuchnięte błękitne żyły; zupełnie jakby zanurzył je w puszcze z farbą, która po nich ściekła strumykami. Skóra była cienka, niemal przezroczysta, jak pognieciony pergamin. Ten człowiek rozkładał się jeszcze przed śmiercią. Widać było, że stosunkowo niedawno był znacznie grubszy; rak pozbawił go wyściółki tłuszczowej i teraz skóra obwisała żałośnie. Policzki zapadły mu się tak bardzo, że tworzyły dziury w twarzy, oczy miał załzawione; zakrywała je błona, co jeszcze bardziej podkreślało dystans pomiędzy nimi.

Jeden był żywy i należał do tego świata.

Drugi pogodził się już z tym, że z niego odchodzi.

Przy łóżku pojawiła się pielęgniarka i przerwała ciszę. Dean był jej za to wdzięczny. Nie była to ta sama kobieta, z którą rozmawiał rano.

– Obudziłeś się, Eddie? To dobrze.

Dean ocenił ją wprawnym okiem kobieciarza. Była zapewne w jego wieku, ale wyglądała na starszą. I zmęczoną pracą. Dean cztery razy w tygodniu chodził na siłownię, jadał wyłącznie organiczną żywność, nigdy nie palił ani nie pił alkoholu. Dbał o swój wygląd. Czasami myślał o sobie jak o marce; dynamicznej, atrakcyjnej, sprawnej, odnoszącej sukcesy marce. Natomiast pielęgniarka miała małą oponkę na brzuchu i wyglądała, jakby

jadała głównie dania na wynos. Dziwne, ale Dean z chęcią obejrzałby tę oponkę, ponieważ stanowiła symbol zadowolenia z życia; sam nie był z niego zadowolony, ale akceptował fakt, że inni mogą myśleć inaczej i nawet im zazdrościć. Zwykle takie kobiety nie zwracały uwagi Deana. Umawiał się z wysportowanymi laskami z siłowni, które miały alergię na węglowodany i często tkwiły w nich pokłady zimnej ambicji. Pielęgniarka miała całkiem niezłe nogi; czyli są jakieś korzyści z pracy na stojąco. Przyjrzał się też jej twarzy: wielkie brązowe oczy i sentymentalne, skłonne do uśmiechu usta. Przez chwilę wyobrażał sobie te usta, pomalowane szkarłatną szminką, jak wędrują z jego warg na podbródek, pierś, brzuch i jeszcze niżej, a te brązowe oczy wpatrują się w niego z napięciem. Nie, ta fantazja go nie podnieciła. Choć pielęgniarka uśmiechała się do niego zachęcająco, nie miał ochoty niczego zaczynać. Nie był w nastroju. Przyglądał się obojętnie, jak poprawia łóżko, puka w rurki i sprawdza odczyty.

– Nadal przyjmuj płyny – zwróciła się do Eddiego. Na chwilę położyła mu rękę na ramieniu. To był gest pełen czułości. Dean zauważył, że ojciec przesunął odrobinę głowę w stronę tej ręki, jakby chciał ją na niej położyć. Nie był na to dość giętki – poza tym byłoby to co najmniej nie na miejscu – ale w tym ruchu było coś ulotnego, coś co wskazywało, że tęskni za kontaktem z drugim człowiekiem. Dean żałował, że to zauważył.

– Kiedy dostanie śniadanie? – spytał pielęgniarkę. Spojrzał na zegarek. Nie miał pojęcia, która jest teraz w Anglii. Choć często latał za granicę, zawsze cierpiał z powodu zmiany czasu; tym razem było gorzej niż zwykle, całkiem się pogubił. Może to powinien być lunch? Czy już minęła pora lunchu? Gdzie się podział poranek? Zastanawiał się, czy spróbować przejść na czas brytyjski. Może lepiej pozostać w amerykańskiej strefie czasowej? Niedługo będzie wracał. Kiedy to się skończy.

Pielęgniarka nie odpowiedziała wprost na jego pytanie.

– Jeśli jest pan głodny, na trzecim piętrze jest sklepik, gdzie można kupić czekoladę i chipsy, a w holu na dole bar. Sprzedają tam kanapki i ziemniaki w mundurkach, takie rzeczy. Niezły jest wrap z bekonem. Wrócę za kilka minut ze środkami przeciwbólowymi.

Minęła chwila, nim Dean pojął znaczenie jej odpowiedzi. Eddie Taylor nie przyjmował już stałego pokarmu. Obaj z ojcem unikali się wzrokiem i zachowali milczenie, póki pielęgniarka nie wróciła z lekami.

– Jak tam pompa, Eddie? Dobrze? – spytała wesoło.

Chory kiwnął głową.

– Jeśli dobrze to właściwe słowo – wychrypiał.

– Nie czujesz się senny? Nie robi ci się niedobrze?

Eddie pokręcił głową. Tym razem ruch był gwałtowniejszy, jakby, przynajmniej zdaniem Deana, chciał powiedzieć: „A co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?”. Eddie zapewne marzył jedynie o chwili ulgi od bólu. Jak wielki był ten ból? Deana nagle zalały uczucia, jakich nigdy nie czuł do ojca: litość i współczucie. Ale po chwili zdusił je w sobie. Jego ojciec nie zasługiwał na współczucie. Nie zasługiwał nawet na jego litość.

– Co to jest? – spytał pielęgniarkę. Uznał, że najlepiej będzie koncentrować się na praktycznych aspektach sytuacji. Jeśli się nie zaangażuje, wszystko będzie w porządku.

– Pompa infuzyjna. Do podawania środków przeciwbólowych. Próbowaliśmy plastrów z fentanylem, ale podrażniały mu skórę na rękach. A pompa jest łatwa w użyciu. Wbijamy w skórę na rękę małą igłę, o tak – tu przetarła ramię Eddiego wacikiem i wbiła igłę. – Przepraszam, mam zimne ręce.

– Mogę ci je rozgrzać. Włóż je pod koc – zaproponował Eddie. Oddychał teraz gwałtownie.

– Eddie! – Pielęgniarka udała zgorzenie, ale wyraźnie nie pierwszy raz słyszała coś takiego. Potrafiła sobie radzić z takimi mężczyznami jak Eddie.

– Mówi się zimne dłonie, gorące serce, prawda? – wychrypiał Eddie.

– Sam wiesz najlepiej.

Dean nie wierzył własnym uszom, ojciec flirtował z pielęgniarką! Stary, umierający człowiek flirtował! Nadal miał w sobie dość energii! Dean nie bardzo wiedział, czy to, co czuje, to niesmak czy podziw.

Pielęgniarka odwróciła się tyłem do Deana i wzięła małą, przenośną pompę.

– Tu masz dość środków przeciwbólowych na całą dobę. Pompa sama je dawkuje. Mam ją postawić na stoliku czy schować pod poduszkę, Eddie?

– Na stoliku, dziękuję.

Ledwie Eddie to powiedział, zamknął oczy. Widać było, jak ogarnia go ulga. Dean wstał i poszedł za pielęgniarką. Kiedy, jak sądził, znalazł się poza zasięgiem uszu Eddiego, spytał:

– Dała mu pani coś na sen?

– Nie. Sen w tym stadium jest czymś naturalnym. Cud, że w ogóle jeszcze się budzi. – Pielęgniarka zaczekała, dając Deanowi chwilę na przyswojenie sobie jej słów. – Jeśli ma pan jakieś pytania, lekarz albo zespół opieki paliatywnej udzielą panu odpowiedzi.

Dean miał jeszcze jedno pytanie, jedyne, na które musiał dostać odpowiedź, ale wiedział, że ani lekarz, ani zespół opieki paliatywnej mu na nie nie odpowiedzą. Dlaczego on nas porzucił? To pytanie krążyło mu po głowie, jak piłeczka we flipperze. Dlaczego nas zostawił? Słowa wwiercały mu się w mózg, wywołując ból i niepokój. Podszedł do łóżka Eddiego i wyrzucił z siebie gwałtownie:

– Dlaczego nas porzuciłeś?

– Nie byłem na to gotowy, synu.

Dean odskoczył, niemal przewracając stojak z kroplówką. Sądził, że Eddie śpi.

– Jak to?

– To gówniana śmierć, ale lepiej umrzeć w ten sposób, niż umierać powoli po zwyczajnym i nudnym życiu.

Dean zjeżył się w środku.

– Byłeś mężem i ojcem. To coś znaczy.

Eddie skrzywił się i spojrzał wymownie na wodę na stole. Dean sięgnął po kubek z dzióbkiem i pomógł mu się napić.

– A ty jesteś mężem? – wydyszał Eddie. W płucach mu furczało. Dean zawsze sądził, że to tylko takie wyrażenie, a nie rzeczywisty dźwięk.

– Nie.

– A ojcem?

– Nie.

– No to co możesz o tym wiedzieć?

Deana ogarnęła fala wściekłości. Rzucił się gwałtownie na plastikowe krzesło.

– Rzecz w tym, że nie zostałem ojcem i mężem, ponieważ jestem prawie pewien, że byłbym beznadziejny w tej roli. Widzisz, nie mam z kogo brać przykładu – wyjaśnił sarkastycznie. Oczy Eddiego napotkały jego wzrok, tylko na chwilę, ale żaden z nich nie był w stanie wytrzymać bólu, jaki sprawiał ten kontakt, więc szybko odwrócili spojrzenia.

– Po prostu chciałem czegoś więcej – szepnął Eddie.

Dean był wściekły. Na Eddiego i na siebie. Oczywiście, że Eddie Taylor nie mógł go pocieszyć. Jak mógł być takim idiotą, żeby mieć podobne nadzieje? Nie był „na to gotowy”; cóż za poetyczne określenie skrajnej nieodpowiedzialności. Jego ojciec był samolubnym draniem. To było właśnie takie proste. No cóż, przynajmniej teraz wie, że przez wszystkie te lata miał rację: ludziom nie można ufać. Zawsze cię zawiodą. Raz za razem.

Cóż więc takiego osiągnął ten jego ojciec? Proszę, Boże, niech to będzie coś, co choć trochę uzasadni ten ból. Może napisał świetną książkę? Dzieło literackie, które zmieniło świat; tak piękne, że cytować je będą przyszłe pokolenia? Ale Dean wiedział, że to niemożliwe, bo musiałby o niej słyszeć. Eddie nie wyglądał mu też na takiego, który buduje szpitale w afrykańskich wioskach. Nie dorobił się też milionów na giełdzie, ponieważ leży tutaj, w szpitalu państwowym, w taniej nylonowej piżamie. Gdyby był politykiem albo potentatem przemysłowym, pisaliby o nim w gazetach.

Nie śmiał spytać, czego dokładnie szukał Eddie Taylor i czy to znalazł. Nie chciał się dowiedzieć, że został porzucony, żeby ojciec mógł prowadzić wygodne życie kobieciarza. Choć sam żył w ten sposób, to byłoby takie płytkie, takie... przeciętne. Wszystko, tylko nie to.

– Była pewna kobieta – powiedział Eddie.

– Och, kurwa – Deanowi chciało się wyć.

– To znaczy była cała masa kobiet. Nie należę do monogamistów. Byłem młody. Miałem apetyt.

– Nie taki znowu młody, miałeś trzydzieści cztery lata, kiedy odszedłeś. Byłeś w moim wieku. A ja nie czuję się młody. – Prawdę powiedziawszy, Dean nigdy nie czuł się młody.

Eddie zamknął oczy.

Oddychał nieco wolniej. Dean nie chciał, żeby teraz stracił przytomność. Chciał najpierw dostać swoje odpowiedzi.

– Kto to był?

– Szykowna laska. Mężatka. Inna niż pozostałe. Myślałem, że z nią będę prowadził lepsze życie.

– Ponieważ była bogata?

– Nie, ponieważ była tą jedyną.

W ustach najbardziej samolubnego człowieka na świecie to stwierdzenie

zabrzmiało dziwnie romantycznie.

– I co się stało? – spytał Dean.

– Kiedy już byłem wolny, nie chciała mnie. Została z mężem.

Dean musiał walczyć ze sobą z całych sił, żeby pozostać na miejscu. Wiedział, że jeśli choć drgnie, straci panowanie nad sobą i zrobi coś strasznego: obedrze Eddiego ze skóry, zerwie tę zasłonę, która oferowała mu namiastkę prywatności i godności, albo wybuchnie krzykiem, który tłumił w sobie przez tyle lat. Cały ten ból, cała ta rozpacz z powodu jednej cipy, która w dodatku nie chciała Eddiego Taylora. Nienawidził ojca od tak dawna i z taką siłą, że nie sądził, by w ogóle była możliwa większa nienawiść, ale nagle okazało się, że owszem, potrafił nienawidzić jeszcze bardziej. Ta kobieta, kimkolwiek była, gdziekolwiek teraz była. To na niej skupiła się teraz jego nienawiść.

Jadę do rodziców. Żadne inne miejsce nie przychodzi mi do głowy, co w zasadzie mówi o mnie wszystko. Kiedy siedzę w metrze, dochodzę do wniosku, że równie dobrze mogłabym nosić na szyi tabliczkę: „Trzydziestopięcioletnia nieudacznica”. Mam wrażenie, że wszyscy widzą, jaka ze mnie porażka; że moja klęska skapuje ze mnie jak deszczówka z parasola i tworzy kałuże. Jestem bezdomną, bezrobotną i niekochaną kobietą. Jak do tego doszło? I co sobie pomyślą moi rodzice? Są moim przeciwieństwem, prawdziwym symbolem sukcesu. Mają dwa piękne domy: nasz rodzinny, w Wimbledonie, a oprócz tego chatę w Alpach. Ojciec jest analitykiem w City i odnosi same sukcesy. Mama nie pracuje; jest idealną panią domu, a poza tym zbiera fundusze dla licznych organizacji charytatywnych. I wciąż bardzo się kochają. Choć minęło tyle lat, nadal publicznie trzymają się za ręce.

Niedobrze się robi, naprawdę.

Moi rodzice mieszkają w eleganckim czteropiętrowym domu niedaleko Wimbledon Common. Dochody ojca i zamiłowanie matki do wystroju wewnątrz sprawiły, że dom naprawdę ma swój styl. Wielkie okna zapewniają masę światła, więc mama zdecydowała się na odważną kolorystykę; parter urządziła w jasnych, pastelowych odcieniach brązu i beżu, ale z każdym piętrem kolory nabierają intensywności, czego kulminacją jest główna sypialnia, gdzie dominuje cyna i purpura. Cały dom jest elegancko umeblowany; antyczne sekretarzyki i biurka pyszną się na tle śmiałych tapet z Designer Guild, a na gości czekają fotele w stylu królowej Anny i miękkie skórzane kanapy retro. Wszędzie pełno półek na książki, na których stoją stare wydania literatury klasycznej, jak również imponująca kolekcja literatury współczesnej. Wszystkie obrazy na ścianach to oryginały, a na małych stolikach leżą wyłącznie pisma o antykach. Zawsze, nawet zimą, pachnie tu letnim wietrzykiem, jakby okna otwarte były na oścież.

Przenieśliśmy się do Wimbledonu, kiedy zaczęłam chodzić.

Początkowo mieszkaliśmy w ślicznym wiktoriańskim domku na szczycie wzgórza; tata sprytnie sprzedał go, gdy ceny poszły w górę, i przez jakiś czas wynajmowaliśmy dom, póki ceny nieruchomości znów nie spadły. Wówczas ojciec ponownie kupił własny dom. Kupował za gotówkę, nie na kredyt, więc mógł się ostro targować. Powtórzył tę operację w sumie trzy razy i w rezultacie, kiedy miałam czternaście lat, mogliśmy się przenieść do tego obecnego, dużo większego i dużo bardziej prestiżowego. Kocham ten dom. To dla mnie symbol sukcesu, porządku, elegancji i miłości. To taki dom, jaki podziwiają wszystkie kobiety, ale rzadko która próbuje podobny stworzyć. Każdy pokój jest starannie przemyślany; rzadko zdarza się, że coś jest tu nie na miejscu. Jednak mimo tego porządku i wyrafinowania dom jest wygodny i uroczy. Goście uwielbiają tu przychodzić; rodzice wydają często przyjęcia i proszone kolacje i są uroczymi gospodarzami. Jedyne miejsce, w którym czuję się tu nieswojo, to sypialnia małżeńska. Te głębokie fioleto dominujące na górnym piętrze to czysta dekadencja. W sypialni na środku stoi wielkie łóżce, a w kącie wanna na nóżkach. Jest tam antyczny kryształowy żyrandol, masa pachnących świec i stare lustra, które mama wygrzebała na targu na Portobello. Ten pokój jest zmysłowy, namiętny i uwodzicielski i to dlatego tak źle się w nim czuję. Nawet jako dorosła kobieta mam trudności ze stosowaniem takich przymiotników do własnych rodziców. Nadal mnie to krępuje.

Dzwonię do drzwi, ale nikt mi nie otwiera. Samochód mamy stoi na podjeździe; mogła wprawdzie iść do miasta pieszo, ale to mało prawdopodobne. Moja mama ma swoje przyzwyczajenia; do sklepów chodzi w poniedziałki, we wtorki na lekcje malarstwa, w środy na jogę, a w czwartki na pilates, ale zajęcia kończą się o jedenastej. W piątki zawsze jest umówiona u fryzjerki w Covent Garden. Więc teraz powinna być w domu.

Za domem jest długi ogród, pełen wysokich drzew. Rodzice pięknie go urządzili i często piją tam poranną kawę, jedzą lunch albo siadają wieczorem na drinka. Może mama pracuje w ogrodzie albo po prostu podziwia drzewa? Zima była ciężka, ale na gałęziach są już pąki i wkrótce rozwiną się w zielone listki. Sprawdzam; nie ma jej tam. Dom i ogród toną w ciszy. Zwykle ten spokój mnie przenika i wycisza, ale nie dziś. Kiedy stwierdzam, że w ogrodzie nie ma nikogo, wracam na front domu, walę niecierpliwie w drzwi i krzyczę przez otwór na listy:

– Wpuść mnie!

Kilka chwil później drzwi się otwierają.

– Witaj, kochanie – mama blokuje mi wejście, opierając jedną rękę na klamce, a drugą na futrynie.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– No, tak się składa, że to nie najlepszy moment. Właśnie... – przepycham się bezceremonialnie obok niej i wchodzę do holu. – Bardzo się cieszę, że wpadłaś, żeby nam osobiście złożyć życzenia z okazji rocznicy, ale Joanno, kochanie, lepiej by było, gdybyś zadzwoniła. To nie jest najlepszy moment, ponieważ...

– Dziś jest wasza rocznica? – odwracam się do mamy, która kiwa głową. Wyduszam z siebie niepewnie, przepraszającym tonem: – Och, wszystkiego najlepszego. Zupełnie zapomniałam.

– Więc nie dlatego przyjechałaś?

– Nie.

Mama ocenia wzrokiem mój strój (pognieciona czarna sukienka, brak rajstop, nieodpowiednie wieczorowe buty na bardzo wysokich obcasach) i moją twarz (bladą jak ściana, ze śladami łez, bez makijażu).

– Nastawię wodę na herbatę – mówi.

Idę za nią do kuchni.

– O, znowu zmienialiście wystrój – stwierdzam, próbując wykrzesać z siebie uprzejme zainteresowanie, skoro zapomniałam o ich rocznicy.

– Tak, właśnie skończyliśmy remont. – Mama patrzy obojętnie na błyszczącą, niebieską, nowoczesnie minimalistyczną kuchnię. Wyraz jej twarzy nie pozwala odgadnąć, czy ten eksperyment z nowoczesnością odpowiada jej bardziej niż drewniana wiejska kuchnia, która była tu wcześniej. Moim zdaniem ta zmiana to błąd, ale powstrzymuję się od uwag. Czasami namiętność mamy do dekoracji wewnątrz idzie za daleko; regularnie zmienia wystrój idealnie urządzonych pomieszczeń. No ale co w tym złego? Ojciec zarabia dość, by stać ją było na takie hobby; w zasadzie jego też to interesuje i oboje często spędzają razem wieczory, przeglądając pisma o urządzeniu domów. Przeczytałam dość poradników o randkowaniu, by wiedzieć, że wszystkie pary powinny mieć wspólne zainteresowania.

Biorę biały kubek, który podaje mi mama, siadam na wysokim stolku barowym krytym czarną skórą i bez słowa wstępu zaczynam opowiadać

o straszliwej dobie, jaką właśnie przeżyłam. Wyznaję, że „poniosło mnie” z Jeffem. Mama jest dość bystra, by nie tylko zrozumieć, co to znaczy, ale również by powstrzymać się od komentarzy na temat mojej głupoty; podsuwa mi duży talerz domowych biszkoptów w czekoladzie i cmoka ze współczuciem za każdym razem, kiedy przerywam relację. Na koniec wyznaję, że zostałam wylana z pracy. Dopiero to naprawdę przyciąga jej uwagę.

– Och, Joanno! Nie!

– To powszechne zjawisko, mamo. Złota dziewczyna – albo chłopak – powoli, ale nieubłagane traci blask w oczach swoich pracodawców.

– Pewnie masz rację.

– Czasami to nawet nie ich wina; padają ofiarą okoliczności. Ich upadek może spowodować zmiana szefa albo polityki firmy.

– No jasne.

Wzdycham i uświadamiam sobie, że nie ma sensu jej okłamywać. Ani siebie. Muszę to powiedzieć.

– Ale tutaj to była po części moja wina. Prawda jest taka, że moja wymarzona praca w którymś momencie zmieniła się w koszmar, w dokumentowanie miesiąc po miesiącu moich rozczarowań i próżnych usiłowań znalezienia księcia z bajki. To wszystko miało swoją cenę.

– No tak. Rozumiem. Ale musiałaś sobie zdawać sprawę, że ta rubryka nie ma przyszłości. Nie jesteś już autorytetem w tych sprawach.

– Dlaczego?

– Joanno, prowadziłaś rubrykę z poradami dla młodych kobiet na temat okazji stwarzanych przez samotne życie.

– No właśnie. I sama jestem samotna.

– Oczywiście, kochanie, ale nie jesteś już... – mama przerywa i wyraźnie dochodzi do wniosku, że powinnam to usłyszeć, więc dodaje stanowczo: – Nie jesteś już młoda. To się zaczęło zmieniać w absurd. Kobiety, które czytały twoje pierwsze artykuły, są już nie tylko żonami, ale zapewne i matkami. Jaki miałaś plan? Przebranzowić się i pisać porady dla kuguarzyc? „Jak odstraszyć Księcia z Bajki?”. Zamierzałaś pisać tę rubrykę jeszcze jako emerytka? Porady seksualne dla staruszków?

– Mamo!

– Przepraszam, Joanno, nie chciałam być okrutna, ale praca dla pisma

dla panien młodych nigdy nie miała być twoim celem, tylko wstępem do czegoś innego. Tak zawsze mówiłaś.

– Naprawdę?

– Tak.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek mówiła coś takiego. Co mogłam mieć na myśli?

– Zapewne chodziło mi o wyjazd do Chicago z Martinem.

– Raczej póki nie zafascynuje cię coś innego niż planowanie ślubów – stwierdza mama. Popycha w moją stronę talerz z ciastkami. Już zdążyłam zjeść cztery. Mama nigdy nie je biszkoptów ani żadnych innych przekąsek między posiłkami. Jest potwornie zdyscyplinowana.

Wbijam oczy w talerzyk. Gorące łzy płyną mi po twarzy, ale trzymam głowę pochyloną w nadziei, że mama ich nie zauważy. To upokarzające. Jestem za stara, żeby płakać w kuchni rodziców. Próbuję bezgłośnie pociągnąć nosem i powstrzymać łzy. Dziwne, choć jestem wściekła na mamę, że tak mówi, marzę o tym, żeby mnie przytuliła. Z całych sił. Niech sprawi, żeby wszystko było znów dobrze, żeby ten koszmar zniknął. Czy nie po to są matki?

Prawdę powiedziawszy, zdaję sobie sprawę, że moja mama nie należy do matek, które zapewniają dzieciom bezwarunkowe wsparcie. Nie robiła tego nawet, kiedy miałam siedem lat i zgubiłam ukochanego misia, więc mało prawdopodobne, żeby zachowała się inaczej teraz, kiedy mam trzydzieści pięć lat i straciłam właśnie jedyne źródło utrzymania. Nie kojarzę matki z ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa. Uwielbiam ją, ale kiedy o niej myślę, widzę pełną wdzięku, poukładaną i praktyczną kobietę. Wiem, że pożyczylaby mi ostatniego funta (choć nigdy nie będzie to jej naprawdę ostatni funt, ponieważ potrafi wiele oszczędzić dzięki efektywnemu planowaniu finansów) i nauczyłaby mnie piec idealne ciasteczka z ciasta filo, gdybym wyraziła takie pragnienie, ale nie mogę od niej oczekiwać, że będzie mi ocierać łzy chusteczką. Jest taką kobietą, jaką chciałabym być, a nie taką, która rozumie, jaka jestem. Nie chcę być nieszczęśliwą beksą, roniącą łzy w herbatę. Jestem pewna, że gdybym to ja spotkała i poślubiła wiernego, kochającego i romantycznego mężczyznę i żyła z nim od tylu lat co moja mama, też byłabym szykowna, opanowana i powściągliwa. To kwestia pewności siebie. I szczęścia.

– Wiesz, że Martin zeni się w sobotę? – mówię.

– Tak?

– W Chicago.

– Jak miło. – Mierzę ją morderczym spojrzeniem, ponieważ wyraźnie nie rozumie, o co mi chodzi, ale jest do mnie odwrócona tyłem; sieka świeżą miętę, żeby zaparzyć więcej herbaty.

– Zostałam zaproszona.

– Doprawdy?

– Więc wpadłam na taki idiotyczny pomysł, żeby polecieć do Chicago i powstrzymać ten ślub – usiłuję udawać, że żartuję, ale to chyba nie do końca jest żart.

– Zawsze lubiłam Martina – stwierdza mama.

– Wiem – ukrywam twarz w dłoniach.

– Mówiłam ci, że będziesz żałować – zauważa zgodnie z prawdą, ale w niczym mi to nie pomaga.

– Wiem.

– Ale nie zamierzam ci tego wypominać.

– Hmm – w sumie właśnie to zrobiła, ale postanawiam powstrzymać się od uwag. Nie mam siły z nią walczyć. Mam wrażenie, że cały świat mnie nienawidzi i nie stać mnie na robienie sobie kolejnych wrogów. Poza tym muszę gdzieś przenocować i to raczej nie na kanapie u Lisy i Henry’ego; potrzebuję spokoju, miejsca, gdzie będę mogła zamknąć drzwi i odciąć się od świata.

Kątem oka zauważam błyszczącą fioletową walizkę od Carltona. Jak wszystko, co należy do mamy, jest nieskazitelnie elegancka, nowoczesna i ma wszelkie możliwe udogodnienia (wyciąganą rączkę, zamek szyfrowy i cztery kółka, więc może się z nią poruszać po lotniskach i hotelach szykownie i bez wysiłku). Wiem, że w walizce znajdują się starannie wybrane i pasujące do siebie stroje i dodatki. Moja mama to taka kobieta, która zawsze wygląda nieskazitelnie. Ogarnia mnie gwałtowna zazdrość. Najwyraźniej rodzice z okazji rocznicy wybierają się na romantyczny weekend. Są małżeństwem od wieków, a jednak ich związek jest bardziej romantyczny niż którykolwiek z moich. To duża walizka; być może jadą na cały tydzień albo nawet na dwa. To po prostu niesprawiedliwe.

– Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście – mówię, nie mogąc oderwać

wzroku od walizki.

– Doprawdy?

– Tata tak bardzo cię kocha.

– Cóż, jesteśmy razem od tak dawna.

– Owszem, ale nie o to chodzi, prawda? Znam inne pary, które są długo po ślubie, ale nie są nawet w połowie tak romantyczne jak ty i tata. Wy dwoje to jak jakaś bajka. No wiesz, na przykład co piątek tata przynosi ci kwiaty.

– Owszem.

– Od zawsze.

– Owszem – mama wzrusza ramionami. – Mówi, że w ten sposób chce uczcić początek weekendu.

– I robi ci takie małe niespodzianki. Wyjazdy na weekend, dzień w spa z przyjaciółkami, bilety do teatru i na koncerty...

– Istotnie, jest bardzo troskliwy.

– Właśnie. W dodatku zawsze jak idziecie do teatru, zamawia w przerwie szampana i kupuje ci eleganckie czekoladki. Twoje małżeństwo jest idealne.

Mama przerywa siekanie mięty i odwraca się do mnie.

– Wszystkie małżeństwa wymagają pewnego...

Nie pozwalam jej dokończyć.

– Wiesz co? Czasami mam wrażenie, że tylko to pozwala mi żyć dalej.

– Nasze małżeństwo?

– Tak.

– Joanno, masz trzydzieści pięć lat.

Mama wzdycha. Pewnie chce dodać: „i małżeństwo rodziców nie powinno być najważniejszą rzeczą w twoim życiu”. Ale po chwili zastanowienia mówi:

– Czy wiesz, kochanie, co moim zdaniem powinnaś zrobić?

– Co?

– Pojechać na ślub Martina.

Gapię się na nią zaskoczona.

– Naprawdę?

– Tak. Przerwa dobrze ci zrobi, będziesz mogła zamknąć ten rozdział swojego życia. Nie masz żadnych zobowiązań, więc to będzie przygoda.

– Nie szukam przygód.

– Może powinnaś.

– Chyba najbardziej ryzykowną rzeczą, jaką dotąd zrobiłam, było obejrzenie horroru.

– No właśnie.

Głowa mnie boli. Muszę się wyspać, nim podejmę taką decyzję. Chowam nos w chusteczce i siąkam głośno, więc dociera do mnie tylko co drugie słowo.

– Kto to wie... gdybyś za niego wyszła... szczęśliwsza niż teraz.

Nie do wiary. Moja matka uważa, że powinnam powstrzymać ślub Martina! No cóż, nie tego się spodziewałam, słowo honoru. Ale właściwie dlaczego nie? Kochał mnie przecież kiedyś, prawda? Owszem, kochał. A ja kochałam jego. A przynajmniej chciałam za niego wyjść, co w praktyce oznacza to samo. Zaczynam słuchać uważniej tego, co mówi mama. Że to nie najlepszy pomysł, żebym spędziła tu weekend. Zapewne ma rację, skoro wyjeżdżają. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to krążyć po tym ogromnym domu samotnie, jak jakaś dusza potępiona. Zdaniem mamy wyjazd pozwoli mi oczyścić umysł, nabrać perspektywy.

– Prawda? Czy nie warto spróbować? – kończy.

– Może i tak – odpowiadam cicho. Czuję się oszołomiona, bo mama z zasady nie zachęca do zwierzeń i tych wiecznych rozmów typu: „co by było gdyby”. Mimo wielu lat udanego małżeństwa nie jest wielbicielek romantycznych gestów; zawsze sprawia wrażenie lekko skrupowanej, kiedy tata robi coś ostentacyjnego. Pamiętam, jak kupił jej na pięćdziesiąte urodziny mini coopera, kabriolet pomalowany na zamówienie na różowo, a ona kazała mu go przemalować na subtelny srebrzystoszary kolor. Zapewne mógł po prostu kupić coopera w takim kolorze, i to o wiele taniej, więc niepotrzebnie narobił sobie tyle zachodu. Widać tak się dzieje, kiedy ma się wszystkiego za dużo. Mama jest praktyczna, a nie idealistyczna, rozważna, a nie impulsywna, a jednak proponuje mi, żebym przeleciała sześć i pół tysiąca kilometrów, żeby powstrzymać Martina od poślubienia innej. Chyba uważa, że mi się uda. Czuję, jak do głowy uderza mi euforia. „Nie żęń się z nią, ożeń się ze mną”, to przecież szczyt romantycznych wyznań. Chwila, dla której żyję.

II

Dean

– Zoe powiedziała, że to błąd, że tu jadę.

– Zoe? – przez chwilę Eddie miał skonsternowaną minę.

– Twoja córka – wyjaśnił Dean, wzdychając ze zniecierpliwieniem.

– A tak – Eddie skinął lekko głową.

– No i?

– Co no i?

– Och, dajmy sobie spokój – uciął Dean; tym razem jego westchnienie wyrażało rozpacz. Odwrócił się i uważnie przeczytał wiszące na ścianie informacje, które wyjaśniały odwiedzającym, co robić w przypadku pożaru, a także zabraniały regulowania łóżek i dotykania urządzeń medycznych. Zastanawiał się, czy jest jedynym krewnym, który ma ochotę wyrwać pacjentowi igły. Ta myśl go nie zawstydziła, raczej zezłościła. Przez ojca przepełniała go wściekłość, ale niestety nie aż tak wielka, by nie zdawał sobie sprawy, ile przez nią traci. Znów zapadła między nimi cisza. Dean był zły, a Eddie wyczerpany.

Dean odetchnął głęboko. Nie może znów przegrać. Nie pozwoli, żeby Eddie znów go zniszczył. Za wiele czasu poświęcił na stanie się tym, kim był teraz.

Eddie skrzywił się i skinął w stronę pompy stojącej na szafce. Dean chciał go zignorować, ale nie mógł. Podał pompę ojcu, a ten zaaplikował sobie znów środek przeciwbólowy. Jęknął cicho, a potem postanowił ustąpić.

– Jak się miewa Zoe? Dobrze?

– Dość dobrze. – Dean zmusił się, żeby spojrzeć na niego i z zaskoczeniem stwierdził, że na twarzy Eddiego maluje się zainteresowanie. Taki wysiłek z jego strony zasługiwał na więcej informacji. – Jest księgową. Wyszła za męża. – Fakt, że siostra wyszła za męża, nie przestawał dziwić Deana, ale był również dla niego źródłem radości i pociechy. Zoe zdołała zaufać. Znalazła kogoś, kogo była w stanie pokochać, kto kochał ją. Zdaniem Deana w ten sposób nadzieja zatriumfowała nad

doświadczeniem, ale cieszył się jej szczęściem. Jej mąż był dobrym człowiekiem. Godnym zaufania. – Jest księgową. Wcześniej wyszła za mąż. Sześć lat temu, za faceta starszego od niej o dwanaście lat.

– Liczby.

– Tak.

– Zastępowanie ojca – wycharczał Eddie.

– Tak. – Dean był zaskoczony jego wnikliwością. I obojętnością.

– Dwie pozostałe zrobiły to samo – dodał Eddie głosem bez wyrazu.

– Dwie pozostałe? – Deanowi krew zamarła w żyłach.

– Cóрки. Z drugiego małżeństwa.

– Jesteś żonaty?

Eddie zakaszłał.

– Już nie.

– Mam siostry? – Dean poczuł oszołomienie. Oczywiście rozważał czasami taką możliwość. Kiedy był dzieckiem. Tak najrozsądniej dawało się wyjaśnić, dlaczego ojciec nigdy się z nimi nie kontaktował, przez wszystkie te lata. Całkowicie skreślił swą pierwszą rodzinę, bo zastąpił ją inną.

Zawsze istniała taka możliwość, więc dlaczego ta wiadomość wywołała u niego taki szok? Miał jeszcze dwie siostry. Jakie one były? Czy przypominały Zoe?

– Mam siostry? – powtórzył, jakby w ten sposób mógł przydać tym słowom realności.

– No wiesz, technicznie rzecz ujmując, to chyba siostry przyrodnie. Jedna wyszła za faceta, który miał dwóch synów, w tej chwili mają kilkanaście lat. Jest dla nich jak matka – Eddie z trudem zaczerpnął tchu – chociaż sama ma tylko dwadzieścia trzy lata. Druga jest jeszcze singielką, ale słyszałem, że chodzi ze swoim nauczycielem.

Gdzie mieszkały te siostry? Jak się nazywały? I dlaczego ich tu nie było? Dean nie zadał na głos tych pytań, ale Eddie musiał wyczytać je z jego twarzy albo po prostu myślał o tym samym.

– Ellie, studentka, mieszka we Francji, z matką. A Hannah w Anglii, na południu, nad morzem. W Plymouth albo jakoś tak. Nie pamiętam. Rzadko się kontaktujemy.

No jasne. Kolejne złamane serca. Kolejne rozczarowane dzieci. Ten facet był beznadziejny, bezużyteczny. Dean po prostu gotował się ze złości. Im

lepiej poznawał ojca, tym mniej dobrych uczuć on w nim budził. Oczywiście niczego innego się nie spodziewał.

Nasłuchiwał dźwięków szpitala. Kroki pielęgniarki na korytarzu; rozmawiała z pacjentem, który chyba siedział na wózku, bo słyhać było skrzypienie. Rozpoznał dźwięk windy zatrzymującej się na tym piętrze i drzwi zamykające się gdzieś w oddali. Czas iść. Właśnie zamierzał wstać, kiedy Eddie zapytał:

– Czy Zoe jest szczęśliwa?

Pytanie zaskoczyło Deana. Odkaszlnął.

– W jakim sensie?

– W małżeństwie. Chodzi mi o małżeństwo. Czy jest szczęśliwe?

– Tak.

– To dobrze.

Dean nie wiedział, co o tym myśleć. Czy to znaczy, że ojciec nadal uważa małżeństwo za coś dobrego? Że żałuje rozpadu swojego małżeństwa? Czy raczej małżeństw? Obu? Dean nie miał pojęcia, ale odniósł wrażenie, że coś się zmieniło. Troszeczkę. Jakby głęboko, bardzo głęboko – w żołądku wiecznie zaciśniętym z powodu stresu – coś zaczęło odpuszczać, ponieważ ojca obchodziło, czy małżeństwo Zoe jest szczęśliwe.

To nie było wiele. Z pewnością nie dość i za późno, ale Dean doszedł do wniosku, że idą we właściwą stronę. Jednak się wahał. Czy ojciec zasługuje na tę wiedzę? Czy powinien się z nim podzielić tą nowiną? Co by na to powiedziała Zoe? Jej słowa brzęczały mu w uszach. Nie chcę nic o nim wiedzieć. Nie chcę znać żadnych szczegółów. Nigdy więcej nie rozmawiaj o nim ze mną. Chyba żeby mi powiedzieć o jego śmierci. Nie chciała znać szczegółów, ale nie zastrzegła, że Dean ma nic nie mówić o niej.

– Ma dwoje dzieci – powiedział.

– Jestem dziadkiem?

– Jasne, chodzi wyłącznie o ciebie.

Eddie albo postanowił zignorować sarkastyczną uwagę Deana, albo był na tyle samolubny, że sarkazm w ogóle do niego nie dotarł.

– Jakie są te dzieci? Chłopcy? Dziewczynki?

– Chłopiec i dziewczynka. Archie ma trzy lata, a Hattie prawie rok.

– Masz zdjęcia? – Eddie chyba był trochę podekscytowany, choć trudno to było stwierdzić z powodu rżenia.

Dean wyjął telefon; miał w nim masę fotografii siostrzenicy i siostrzeńca. Umieścił ekran przed oczami Eddiego i zaczął przerzucać zdjęcia. Pokój rozjaśniły radosne twarze niemowląt. Dean mimowolnie uśmiechał się, patrząc, jak chlapią się w baseniku, budują zamki z piasku i liżą lody. Miał wrażenie, że oddech Eddiego nieco przyspieszył. No jasne. Któż mógłby się oprzeć uśmiechowi Archiego i Hattie? Wszystkie kobiety, którym Dean pokazywał te zdjęcia, ochały i achwały, i przysięgały, że w życiu nie widziały słodszych dzieci. Dean poczuł się podniesiony na duchu ich cyfrową obecnością; zawsze sprawiały, że czuł się lepiej. Dzięki nim świat wydawał się normalny.

– Mogę ci przynieść wydrukowaną odbitkę – zaryzykował.

– Nie, nie trzeba – Eddie odwrócił się od telefonu i spojrzał w okno, gasząc momentalnie rodzące się współczucie Deana. I jego nadzieję.

Złość wybuchła w nim niczym wrząca lawa. Nie mógł znieść tego odtrącenia dzieci.

– Pieprzę cię! – poderwał się na równe nogi. – Wychodzę.

– Ale dlaczego? – spytał Eddie, szczerze zdumiony.

– Ponieważ... Ponieważ... – Zabrakło mu słów. – Ponieważ nie obchodzą cię dzieci Zoe! – wybuchnął. Choć nie tylko to chciał powiedzieć.

Eddie ewidentnie nie rozumiał jego reakcji. Może sądził, że okazał wystarczające zainteresowanie.

– Chłopak wydaje się dość bystry – stwierdził. – Dziewczynka jest za mała, żeby można było coś powiedzieć. Jest pyzata.

– To dziecko! Powinna być pyzata!

– Nic innego nie twierdzą. To silne dzieciaki.

Zmierzyli się wzrokiem. Napięcie aż iskrzyło w powietrzu.

– Czego ty ode mnie chcesz? – spytał po chwili Eddie.

Dean w milczeniu pokręcił głową. To przecież Eddie go wezwał. Więc raczej czego on chciał od niego.

– Chyba obaj wiemy, że trochę już za późno na ubieganie się o nagrodę Dziadka Roku – powiedział nagle Eddie ostro; popatrzył w górę, na kroplówkę.

– Istotnie. Za późno. Dla mnie, dla Zoe.

– Czyli nie chodzi ci o dzieci. Tylko o ciebie.

– Tak, możliwe – Dean odwrócił się od łóżka. Czuł zmęczenie

spowodowane zmianą czasu. Cała sytuacja była surrealistyczna, a brak snu jeszcze potęgował to wrażenie. Nie potrafił myśleć jasno. Osunął się znowu na krzesło. Nie tyle postanowił zostać, ile po prostu nie miał siły wyjść. Eddie milczał przez chwilę. Obaj musieli ochłonąć. Kiedy Dean doszedł do wniosku, że znów zapanuje między nimi ta upiorna cisza, Eddie się odezwał.

– A jak się miewa twoja matka?

Dean nigdy nie myślał o swoim ojcu w relacji z matką. Zbyt wiele ich dzieliło, żeby mógł istnieć między nimi jakiś związek. Myślał o nich zawsze wyłącznie w kontekście ich związku z nim i z Zoe albo dokładniej ich braku związku z nim i Zoe. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Ciężko przyjęła twoją dezercję – zaryzykował w końcu.

– Dezercję – parsknął Eddie. Zupełnie jakby był rozbawiony. Dean miał ochotę walnąć w guzik, który podnosił albo opuszczał górną część łóżka. W jego głowie pojawiła się scena z kreskówki: łóżko składa się na pół, zgniatając pacjenta. Zdawał sobie sprawę, że „dezercja” to dramatyczne słowo, że kojarzy się z pierwszą wojną światową, z przerażonymi żołnierzami, rozstrzeliwanymi o świcie, ale jego zdaniem pasowało do sytuacji. Celowe porzucenie stanowiska, wbrew powinnościom. Czyn jego ojca był dramatyczny. Zdecydował o całym jego życiu.

– Zaczęła pić – dodał wściekły, że musi o tym mówić, ale postanowił sobie, że ojciec powinien poznać skutki swoich działań.

– Była zabawową dziewczyną, już kiedy ją poznałem – uśmiechnął się Eddie, zupełnie nie łapiąc sensu wypowiedzi Deana. Wyraźnie wspominał szczęśliwszy okres swego małżeństwa.

– Przestała być zabawowa; zaczęła się upijać w samotności. Przynajmniej ja ją taką pamiętam – mruknął Dean. – Była alkoholiczką. – Nagi, beznadziejnie smutny, trudny do przełknięcia fakt. Bez względu na to, jak często musiał o tym mówić, nigdy do niego nie przywykł.

– Każdy lubi sobie trochę wypić – wzrok Eddiego błędził po podłodze. – Chyba zawsze miała takie skłonności. W ginie jest mniej kalorii niż w jedzeniu. Należała do osób, które się uzależniają.

– Wiedziałeś o tym, a jednak nas z nią zostawiłeś?

Eddie poruszył lekko ramionami. Jakby nie śmiał po prostu nimi wzruszyć.

– I co z tego? Przecież wszystko się ułożyło – rzucił okiem na kosztowny

garnitur Deana. – Widać z daleka, że odniosłeś sukces. – Dean nie bardzo wiedział, kogo Eddie chce przekonać.

– Odebrałeś nam wszelką normalność, kiedy odszedłeś.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda. A przynajmniej wszelkie szanse na normalność.

– Coś takiego jak normalność nie istnieje, synu. Nie mam pojęcia, jak to jest być normalnym. Nie potrafiłbym wam pomóc.

– Piła regularnie przez lata, a my z Zoe lądowaliśmy w domu dziecka albo pogotowiu opiekuńczym.

– W pogotowiu opiekuńczym? Dlaczego was tam umieszczano?

– Żebyśmy mieli jakąkolwiek opiekę, przynajmniej w teorii. Najpierw piła, żeby zapomnieć. Potem zapominała o wszystkim. Więc zabierali nas. Albo... albo sama podrzucała nas opiece społecznej, jak miała dość.

Eddie nie pozwolił sobie na zmianę wyrazu twarzy. Dean docenił ten wysiłek, ponieważ jego ojciec nie miał prawa okazać przerażenia; to była jego wina, to on był odpowiedzialny, więc nie miał prawa.

– Byliśmy w czterech domach dziecka. Czterech, rozumiesz? To nie jest obóz letni.

– Nie miałem pojęcia. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

– Nikt nie potrafił cię znaleźć.

– Wyjechałem na trochę za granicę. Do Francji.

Dean wyobraził sobie ojca przy stoliku przed kawiarnią, na ulicy zalanej słońcem; popijał czerwone wino, jadł pyszny krwisty stek i kruchą zieloną sałatę. W tej scenie występowała też piękna Francuzka; miała ciemne, inteligentne oczy i bardzo białe zęby. Może jego druga żona, może kolejna kochanka. Cóż za kontrast z życiem jego i Zoe. Tulili się do siebie jak Jaś i Małgosia, nie mieli nikogo, kto by ich chronił, kto by się nimi opiekował.

– Gównu mnie obchodzi, że byłeś we Francji. Porzuciłeś nas, pieprzony sukinsynu. Porzuciłeś! – parsknął Dean z furją. Zaskoczyła go własna szczerłość. Zwykle unikał mówienia tego, co naprawdę myśli. Zoe uważała, że to dlatego robi karierę w reklamie.

– To nie moja wina, że wasza matka zaczęła pić.

– Doprawdy? – syknął Dean, usiłując się opanować. Skrzyżował ręce na piersiach, odsuwając się od ojca. To był idiotyczny gest. Czego się niby spodziewał? Że ojciec nagle sięgnie po jego dłoń i mocno ją uściśnie? Mało

prawdopodobne. A właściwie niemożliwe.

– No ale wszystko się ułożyło, prawda? Sam powiedziałaś, że twojej siostrze dobrze się wiedzie. Wyszła za męża, jest matką. I księgową. A ty, ty...

– Eddie urwał. Nie zapytał Deana, czym się zajmuje. Właściwie w ogóle nie zapytał go o jego życie. Więc Dean mu powiedział.

– Pracuję w międzynarodowej agencji reklamowej. Jestem managerem do spraw kluczowych klientów. – Nienawidził sam siebie za ton głosu dzieciaka, który chwali się w domu szóstką z matematyki, żeby ojciec poklepał go po głowie.

– No właśnie, sprzedajesz reklamy. Czyli się ułożyło.

– Tak, dobrze sobie radzimy – warknął Dean.

W pokoju ponownie zapadła długa cisza.

Clara

Kiedy Jo wyszła, Clara poczuła, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Nie lubiła spacerować bez celu, więc postanowiła iść po kwiaty. To prawda, Tim zawsze przynosił w piątki kwiaty, co było miłym gestem, ale od czasu do czasu Clara żałowała, że nie może zrobić tego sama; że nie może sama wybrać kwiatów. To był drobiazg, ale chciała mieć nad nim kontrolę. Postanowiła więc wykorzystać okazję. I trochę ją poniosło.

- Jakaś specjalna okazja? – spytał ekspedient w kwiaciarni.
- Tak, rocznica ślubu.
- Jak miło.

Wybrała dramatyczną helikonię, srebrniki i anturium w odcieniach jaskrawego szkarłatu i mocnego pomarańcza. Kupiła ich tyle, że kwiaciarnia musiała je dostarczyć; Clara nie zdołałaby donieść ich do domu sama, takie były ciężkie. Wstawiła je do wszystkich wazonów. Kwiaty stanęły w holu, nad kominkiem, na stole w jadalni i na trzech mniejszych stolikach; nie zaniosiła kwiatów do sypialni. W przyszłym tygodniu o tej porze będą strasznie śmierdzieć – nie ma nic gorszego niż zapach gnijących liści – ale to nie była już jej sprawa. Otworzyła okna w bawialni i poprawiła poduszki na kanapie. Potem zaczęła planować, w co się ubierze w ten ważny wieczór.

Clara miała pięćdziesiąt sześć lat. Czy oficjalnie była już starą kobietą? A może nadal mieściła się w kategorii kobiet w średnim wieku? Które dożywały stu dwunastu lat? Ale kto chciałby żyć tak długo? Kiedy należy przyznać przed sobą samym, że jest się starym? Doskonale pamiętała tę chwilę, kiedy sprzedawca po raz pierwszy nazwał ją panią, a nie panną. To było długo po wyjściu za mąż i urodzeniu dzieci; nie powinno jej zaskoczyć, ale zaskoczyło. A potem był ten pierwszy raz, kiedy ktoś wstał w metrze, żeby ustąpić jej miejsca. Jakiś przystojny chłopiec z Europy, Hiszpan albo Włoch. Powtarzała sobie, że to był flirt albo zwykła uprzejmość, cokolwiek, byle nie prosty wniosek, że jest na tyle stara, iż należy jej ustępować miejsca w środkach transportu publicznego. Rzecz w tym, że nie czuła się na swój

wiek. Dlatego to był dla niej taki szok, kiedy jej o nim przypominano.

Wiedziała, że dobrze wygląda jak na pięćdziesiąt sześć lat; zachowała wydatne kości policzkowe i figurę. Żałowała, że tak jej na tym zależy. Żałowała, że nie należy do kobiet, które po prostu są. Takie osoby zdarzały się rzadko, ale były wspaniałe. Natomiast ona sama zawsze definiowała siebie poprzez wygląd; w zasadzie w ten sposób stała się tym, kim jest. Dobrze byłoby się od tego uwolnić. Starzenie się miało swoje dobre strony, choć nikt o nich nie wspominał. Kiedy osiągało się wiek odpowiedni, by je doceniać, zwykle był to taki wiek, którym nie należy się chwalić, więc rzadko mówiło się o pięknie pełnym godności. Ale coś takiego istniało.

Wreszcie wiedziała, czego chce. Po takim czasie. Pracowała nad sobą, i to było wspaniałe. Oczy nie błyszczały jej tak jak dziś od bardzo, bardzo dawna.

Oczywiście niektórych zmian nie dało się uniknąć, i to bez względu na intensywność ćwiczenia pilatesu i kosztownych zabiegów kosmetycznych. Pewnych rzeczy nie dało się zmienić. Skóra wokół oczu stała się bardziej skłonna do opuchnięć i pojawiły się na niej zmarszczki, a na rękach i podbródku nieprzyjemnie obwisła; Clara nauczyła się nosić głowę wysoko i unikała sukienek bez rękawów. Wiedziała, że jeśli chodzi o urodę, najlepsze lata ma już za sobą; byłaby idiotką, gdyby próbowała sobie wmawiać, że jest inaczej. Kiedy miała dwadzieścia lat, jej piersi i policzki były pełniejsze i gładziej, ale wówczas była trochę niezgrabna, niepewna siebie. Póki go nie poznała. Oczywiście potem nic nie było już takie samo. Wszystko uległo zmianie. Poświęcała wiele czasu na rozważania, czy na lepsze czy na gorsze, ale nie potrafiła zdecydować. Przestała więc myśleć o tym w tych kategoriach i po prostu zaakceptowała jako fakt. Wstydlivy błąd czy słodkie wspomnienie, w gruncie rzeczy co to za różnica? To jest część jej historii, i tyle. Odkąd dostała ten list, nie mogła myśleć o niczym innym.

Najlepsze lata przeżyła po trzydziestce. To wówczas połączyła wigor młodości ze świeżo zyskaną pewnością siebie. Z upływem lat ta mieszanka uległa stłumieniu, rzecz nieunikniona, zważywszy jej stosunki z Timem. Nie sposób było się czuć kobietą budzącą pożądanie, nie sposób było się oszukiwać, że jest się nadal młodą. Jednak dziś wieczorem było w niej coś zniewalającego. Jakby rozpalila się na nowo.

Wzięła prysznic, a potem nasmarowała mleczkiem nawilżającym całe

ciało. Jej skóra zachłannie wchłaniała kosztowne kosmetyki. Clara starannie wybrała bieliznę. Duże, korygujące majtki, takie które utrzymywały wszystko tam, gdzie powinno być; choć nie miała wiele zbędnego ciała, które mogłoby się nieestetycznie przemieszczać, nie chciała ryzykować. Wybrała przepiękny stanik z fiszbinami, który nadawał piersiom interesujący kształt. Była dziś u fryzjera, choć to nie był zwyczajowy dzień wizyty; ponadto kazała sobie zrobić manikiur i pedikiur. Po dłuższym wahaniu zdecydowała się na kostium od Chanel w jasnoróżowym kolorze, z bawełnianego tweedu, z kołnierzem z kremowej skóry i perłowymi guzikami. Aż westchnęła z zachwytem, kiedy go włożyła, choć miała go już na sobie kilka razy. Był taki piękny. Dobrze będzie jej strzegł. Spojrzała w lustro. Cóż za gorzko-słodkie odbicie. Była elegancką kobietą, piękną jak na swój wiek. Po prostu była starsza, niż chciałaby być. Dlaczego zajęło jej to tyle czasu?

Tim przyszedł do domu o ósmej. Postarał się, ponieważ specjalnie go o to poprosiła. Często wracał później, a w czwartki czasami w ogóle. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, podając mu kieliszek odpowiednio schłodzonego sauvignon blanc.

- Myślałem, że to będzie szampan – stwierdził.
- Zastanawiałam się, ale uznałam, że jest zbyt...
- Musujący?
- Właśnie.

Z przyzwyczajenia stuknęli się kieliszkami, po czym przeszli na oszkloną werandę. Po ponurym dniu wreszcie wyszło słońce. Weranda wydawała się przewiewna, rozciągał się z niej piękny widok na ogród pełen krokusów i narcyzów. Clara miała nadzieję, że to wystarczy, żeby utrzymać pogodny nastrój. Tim usiadł wygodnie na kanapie; ona przycupnęła na samym brzegu.

– Nadal jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? – spytał. Od razu do rzeczy. O niczym innym nie myśleli.

– Tak – Clara z zaskoczeniem stwierdziła, że do oczu napłynęły jej łzy. Cholera. Chciała zachować spokój; przecież wszystko było jasne. Po tylu latach ukrywania myśli i uczuć po co miałyby płakać teraz, kiedy wreszcie mówiła prawdę? Zamrugła ze złością. – Muszę to zrobić.

– Nieprawda, Claro. Wcale nie musisz. Radziliśmy sobie przez prawie czterdzieści lat. Nie ma powodu zmieniać tego w tej chwili. Poza tym

musimy myśleć o dzieciach.

– To już nie są dzieci. Dwoje założyło rodziny. Lisa ma troje dzieci.

– A Joanna?

– No tak – Clara westchnęła. Martwiła się o Joannę, bo nadal była dzieckiem, na swój sposób. Dziś omal nie powiedziała jej, żeby wreszcie dorosła. Że wraz z rosnącą liczbą świeczek na torcie słodycz i kaprysy zmieniają się w głupotę i nieudolność. Joanna była taka chaotyczna i niezorganizowana. – Była tu dzisiaj – dodała, popijając wino. Było cierpkie i orzeźwiające; potrafiła rozpoznać nuty cytrusów i oddzielić od innych smaków. Znała się na winach; kilka lat temu skończyła kurs dla zaawansowanych. Przez lata małżeństwa uczęszczała na wiele kursów, takich jak filozoficzne aspekty sztuki, architektura wnętrz, zaawansowany hiszpański, medytacja buddyjska...

– Tak?

– Tak. Przez moment wydawało mi się, że ona wie. Patrzyła cały czas na moją walizkę.

– Domyśliła się?

– Oczywiście, że nie. Przyszła porozmawiać o swoich problemach. – Clara ugryzła się w język, żeby nie dodać „jak zwykle”. Zamiast tego powiedziała: – Jest podminowana, ponieważ Martin się żeni.

– Martin?

– Ten, za którego miała wyjść.

– A tak, oczywiście. Jak mogłem zapomnieć? Ta katastrofa drogo nas kosztowała.

– Żeni się z kimś innym.

Tim nie dostrzegął problemu.

– Przecież go nie chciała?

– Owszem.

– A teraz chce?

– Chce mieć kogoś. Zaprosił ją na ślub. Powiedziałam jej, żeby pojechała. Może jak zobaczy ceremonię na własne oczy, nabierze dystansu do całej sprawy i zajmie się swoim życiem. Poza tym nie chcę, żeby tu była w ten weekend.

– Właśnie o to mi chodzi. Joanna jest taka bezbronna. Ciężko to przeżyje.

– Tim, nie mogę zostać dla dzieci. Większość ludzi robi coś takiego przez osiemnaście lat, a nie przez trzydzieści osiem.

Tim westchnął i spojrzął na żonę.

– Skoro nie dla dzieci, to dla mnie.

– Nie potrzebujesz żony.

– Lubię twoją obecność – uśmiechnął się, jakby trochę zażenowany skąpą naturą swego komplementu. Wiedziała, że zawsze mówi mniej, niż myśli. Nie należał do osób wylewnych. Kamienna twarz, jak zwykle. Pochodził z innego świata.

– Ja też lubię twoją obecność – przyznała.

– Więc zostań. Zawsze byłem dyskretny. Dobrze to wszystko ułożyliśmy. I zawsze dbałem o ciebie. No wiesz, stroje, samochody, dom, wakacje – Tim rozejrzał się po werandzie, ale jej idealność w niczym nie mogła pomóc.

– Wiem, ale to nie wystarczy. Dziwię się, że tak długo sądziłam inaczej.

I podała mu list.

*Piątek, 22 kwietnia
2005 roku*

Jo

Sygnal połączenia nawiązanego z Chicago sprawia, że żołądek podjeżdża mi do gardła, jakbym wciąż była nastolatką.

– Martin? Martin, tu Jo. – Milczenie, najgorsza z możliwych reakcji. – Jo Russell – dodaję, usiłując opanować zażenowanie. Cisza zaczyna puchnąć w słuchawce.

– Oczywiście. Jo, witaj – mówi Martin, nawet dość pogodnie, choć potrzebował chwili, żeby umiejscowić mnie we wspomnieniach. Fakt, że nie rozpoznał mojego głosu, sprawia mi ból. Nagły, przesywający ból, jak pchnięcie nożem. Szybko mówię sobie, że kiedy zatniesz się ostrym nożem, często nie czujesz nic, póki nie pojawi się krew, a mózg nie uświadomi sobie faktu powstania rany. Więc jeśli zignoruję krew, mogę uniknąć bólu.

Poza tym trzeba oddać sprawiedliwość Martinowi. Nie słyszał przecież mojego głosu od prawie pięciu lat; nic w tym dziwnego, nie podał mi swojego numeru w Stanach.

Musiałam zadzwonić do trzech naszych wspólnych przyjaciół, żeby go zdobyć. Trzech. Tacy są lojalni.

– Jak się miewasz? – pytam tonem, który nawet w moich własnych uszach brzmi przesadnie optymistycznie.

– Świetnie. Doskonale – urywa. Po chwili przypomina sobie o dobrych manierach. – A ty?

– Świetnie – uświadamiam sobie, że powtarzam jego słowa jak papuga i dodaję szybko: – Cudownie. – Powinna być przeciwieństwem tej rozmowy. Przecież nie chcę, żeby uważał, że czuję się cudownie. Przynajmniej nie do końca. Cudownie, wyjąwszy fakt, że jego już nie ma w moim życiu. Niemal cudownie. Że dobrze mi się wiedzie, nawet bardzo dobrze, że wciąż jestem interesującą i budzącą pożądanie osobą, ale taką, której brakuje w życiu Martina Kenwooda. – No wiesz... – dodaję, w nadziei, że to coś zmieni. – A ty? – pytam i rozmowa zatacza bezsensowny krąg.

– Świetnie. Po prostu świetnie.

– A ślub?

– Świetnie – powtarza znowu. Ton jego głosu jest zdecydowanie inny, ale nie potrafię określić, czy ślub budzi w nim większy entuzjazm niż pozostałe aspekty życia objęte przysłówkiem „świetnie”, czy mniejszy. – Wiesz, nie siedzę w temacie. – Czyżby kryzys? Problem? Natychmiast czuję się podniesiona na duchu. – Tu jest późno. To znaczy wcześniej. Właściwie jest środek nocy.

O nie, dlaczego o tym nie pomyślałam? Mam wrażenie, że wszystko mi opada, nie tylko ręce. Dlaczego jestem taka bezmyślna? No cóż, mogę tylko blefować.

– Musisz być zajęty przygotowaniem.

– Bardziej moja narzeczona. Ona wszystko organizuje.

Usiłuję usłyszeć w jego głosie ton zniecierpliwienia lub frustracji. Planowanie ślubu jest niezwykle stresujące. Wiele par, choć wcześniej żyły w zgodzie, zaczyna walczyć zajadle o kontrolę nad uroczystością. Czyżby go przydusiła panosząca się Oblubierzyca? (Powiedzmy sobie szczerze: tak jak ostatnim razem). A jeśli tak, to czy to go drażni? To już by było coś. A może obojętnie traktuje przygotowania do ślubu, ponieważ zamierza się wycofać? Nie potrafię zdecydować. Oczywiście istnieje też szansa, że jest jej wdzięczny za odwalenie całej tej roboty. Dozgonnie wdzięczny. Nie jest to miła myśl. Ciekawe, czy to coś znaczy, że nazwał swoją przyszłą żonę narzeczoną, zamiast po imieniu. Moim zdaniem to nie jest naturalne. Nie powinni być sobie bardziej bliscy? Ale z drugiej strony może po prostu lubi o niej mówić „moja narzeczona” i będzie jednym z tych mężczyzn, którzy określają żonę takimi zwrotami jak „moja pani” albo „moja lepsza połowa”, żeby wszyscy wiedzieli, że są żonaci. Ja zawsze mówiłabym o mężu „mój mąż”, to już przesądzone.

– No więc... hm... pewnie nie możesz się doczekać wielkiego dnia? – Nie jestem pewna, dlaczego popadam w bezpieczne stereotypy rozmowy o niczym. Nie tak miało być, ale wyszłam z wprawy i nie potrafię rozmawiać z Martinem o ważnych rzeczach; o ile w ogóle kiedykolwiek potrafiłam.

– Jasne. Oczywiście. – Martin odkaśtuje. Choćby był nie wiem jak podniecony wielkim dniem, z pewnością nie umknęła jego uwadze ta dziwna sytuacja. W końcu kiedyś mieliśmy się pobrać. Mieliśmy mieć swój wspólny wielki dzień, a teraz proszę bardzo, rozmawiamy o jego

bliskim ślubie z inną.

– Denerwujesz się? – pytam, próbując wysondować jego prawdziwe uczucia.

– Trochę – odpowiada. – Wszyscy są pewni, że pójdzie jak w zegarku. No wiesz, że catering zapanuje nad sufletami i tak dalej. Ale mnie nie martwią takie szczegóły, mam po prostu nadzieję, że panna młoda się zjawi. – Zaczyna się śmiać. To nieco obłąkany śmiech. Ja też śmieję się nerwowo; uświadamiam sobie, że właśnie zrobił aluzję do naszych planów ślubnych. Niedobrze, że cały czas myśli o końcu naszego związku, ale z drugiej strony przynajmniej pamięta, że coś nas łączyło. Muszę teraz tylko nakierować jego myśli na wcześniejsze czasy. Kiedyś byliśmy szczęśliwi.

– Miło usłyszeć twój śmiech – ryzykuję. Nie napomykam o tym elemencie szaleństwa, jaki w nim słyszę.

– Och, Jo, sądziłaś, że już nigdy w życiu nie będę się śmiał? – Jego bezpośredniość rozkłada mnie na łopatki, ponieważ tak, chyba właśnie tak myślałam. Ale to nie wszystko. Martin uważa, że może wracać do przeszłości, a ja czuję się podniesiona na duchu, że nadal potrafimy być sobie tacy bliscy.

– Miałam nadzieję, że nie – zniżam głos i próbuję nadać mu uwodzicielskie brzmienie. Pcham podteksty i ukryte znaczenia do każdego słowa, aż robią się spuchnięte jak kiełbaski. – Lubię, jak się śmiejesz – dodaję.

Martin natychmiast przestaje się śmiać. Najwyraźniej nie przywykł do komplementów.

– No tak – mówi sztywno.

– Widzisz, dostałam twoje zaproszenie – brnę dalej, niezrażona.

– Nie potwierdziłaś go. – Tym razem jestem pewna, że słyszę rozczarowanie w jego głosie, ale być może chodzi tu o mój brak wychowania, a nie o to, że kiedy je dostałam, nie zadzwoniłam do niego, żeby błagać, by tego nie robił. Trudno mieć tu pewność.

– Naprawdę? Jak mogłam. Te sprawy... właściwie ta sprawa jest taka... – urywam na chwilę – ...delikatna.

– Zapewne.

– Nie bardzo wiedziałam, jak odpowiedzieć.

– To bardzo proste, naprawdę. Wystarczy tak lub nie. – Oboje musimy

myśleć o tej ostatniej sytuacji, w której wystarczyło powiedzieć po prostu tak lub nie, sytuacji brzemienną w skutki. Kiedy powiedziałam tak. A potem nie. Czuję się okropnie. Chichoczę nerwowo; lepsze to niż się pochorować.

– No cóż, chodzi o to, że nie byłam pewna, co tak naprawdę oznacza to zaproszenie.

– W jakim sensie?

– No wiesz... – biorę głęboki oddech. – Czy chcesz, żebym przyjechała?

– Podobno po to wysyła się zaproszenia – zauważa Martin.

– Chodzi mi o teraz. Czy chcesz, żebym przyjechała teraz? – On to musi rozumieć. Jeśli przyjadę teraz, to nie jako zwykły gość, który potwierdził zaproszenie w załączonej, opłaconej kopercie zwrotnej, trzy miesiące temu; jeśli przyjadę teraz, to będzie coś znaczyło. A może nawet wszystko, nie tylko coś. Moja obecność lub jej brak nie jest czymś obojętnym. – Bo widzisz, mogłabym. Tak się zabawnie składa, że jestem właśnie na lotnisku. Stoję naprzeciwko kasy biletowej. Więc mogłabym przyjechać. Nim to się wszystko zacznie. Nim się skończy. O ile tego chcesz. – Na pewno rozumie, o czym mówię.

– No cóż, ponieważ nie odpowiedziałas na zaproszenie, nie braliśmy cię pod uwagę, planując wesele.

My. Takie małe słówko, a takie zabójcze. Nie wiem, co odpowiedzieć na takie okrucieństwo.

– O Boże, nie pomyślałam o tym. Nie chcę ci mieszać planu rozsądzenia gości. – To w gruncie rzeczy śmieszna uwaga; jeśli pojadę do Chicago i wyjaśnię Martinowi, że popełniłam poważny błąd w kwestii naszego małżeństwa, to mam nadzieję, że wesele się nie odbędzie, a plan rozsądzenia gości – jakkolwiek doskonały – trafi do kosza. Myślę o tym, co powiedział, doszukuję się w tym ukrytego znaczenia. Oczywiście jest zobowiązany mówić „my”; ale jeśli wstawić do tego zdania „ja”, wówczas całkowicie zmieni się jego sens. „Ponieważ nie odpowiedziałas na zaproszenie, nie brałem cię pod uwagę”. Może uznał, że nie odpowiedziałam na jego SOS? Moje domysły potwierdzają się, gdy dodaje:

– No wiesz, na pewno coś wymyślimy. Znajdziemy dla ciebie miejsce.

Praktycznie błaga mnie, żebym przyjechała.

Powstrzymuję się od uwagi, że to i tak bez znaczenia, bo nie zajdziemy dalej niż ślubne śniadanie. Nie chcę wychodzić przed szereg.

– Nie sadzaj mnie tylko przy stole dla dzieci, dobrze? – mówię jedynie. – Pamiętasz ślub mojej kuzynki Harriet? Musieliśmy siedzieć z małymi druhenkami. – Śmieję się, udając, że to radosne wspomnienie, choć wtedy byłam wściekła i wcale nie było zabawnie.

– Ekhm – Martin jest wyraźnie zakłopotany. Dziwne, że nie pamięta tej katastrofy; wtedy to była bardzo poważna sprawa, przynajmniej dla mnie.

– Musisz to pamiętać. Na dodatek podali nam też menu dla dzieci. Kurczakowe nuggetsy i frytki, podczas gdy reszta gości zajadała się pieczoną jagnięciną z ziemniakami zapiekаныmi w śmietanie z czosnkiem. Oczywiście to była pomyłka. Harriet bardzo się potem wstydziła, niemniej fakt pozostaje faktem.

– Byliśmy na wielu ślubach – stwierdza Martin. Ma rację. Zbliżyliśmy się do trzydziestki, wszyscy nasi znajomi pędzili do ołtarza. Kiedy odwołałam ślub, tłumaczyłam rodzicom, że przyjąłam oświadczyzny częściowo z powodu tej okropnej presji. Ślub wydawał mi się czymś oczywistym, to był po prostu następny krok. Potem już nie. A teraz znów tak. To takie okropnie zagmatwane. – Pod koniec wszystkie zaczęły mi się zlewać w jedno.

– Ten nie powinien – stwierdzam z naciskiem.

– Nie, oczywiście. – Martin oczywiście nie rozumie, o co mi chodzi. – Więc jak, zdecydowałaś się przyjechać? – pyta. Znam go na tyle dobrze, by rozpoznać ton głosu. Jest zachwycony. Chichocze jak uczeń. – Jesteś pewna? Tym razem?

Nie mógłby powiedzieć mi tego jaśniej.

– Kupię bilet.

Zbieram więc w sobie całą odwagę i wydaję na bilet do Chicago sumę stanowiącą równowartość kaucji za czteropokojowy dom w niektórych częściach Anglii. Bilet w klasie ekonomicznej. W dodatku muszę zadeklarować datę powrotu, ponieważ taka opcja jest nieco tańsza; mimo to i tak muszę zapłacić dwiema kartami, a nie jedną. Bilet open nie wchodzi w grę, gdyż wątpię, żeby linie lotnicze akceptowały zapłatę w punktach lojalnościowych z Boots. Ale czy lot powrotny w poniedziałek to nie za wcześnie? Czy Martin zdąży się spakować?

Kocham lotniska. Łączą w sobie – i to w wielkiej obfitości – trzy rzeczy, które uwielbiam: podniecenie (ludzie wybierają się na cudowne wakacje albo ważne spotkania biznesowe), dramatyzm (ludzie witają się albo żegnają ze

łzami w oczach) i masę sklepów. Podniecenie, dramatyzm i sklepy, czego tu nie kochać? Rozglądałam się po terminalu, zastanawiając się, ile doniosłych wydarzeń rozgrywa się tutaj w tej właśnie chwili. Ile osób właśnie wyznało sobie miłość, a ile rozstało się na wieki?

Odkąd zerwałam z Martinem, niewiele latałam. Razem dużo podróżowaliśmy; byliśmy w Nowym Jorku, Tajlandii i Madrycie, a na miesiąc miodowy mieliśmy polecieć na Seszele. Byłam taka podniecona tą podróżą: tropikalny raj, kobaltowe morze, wyspa pełna piaszczystych plaż; jasne, że byłam zachwycona. Często zastanawiałam się, jak będzie wyglądać ta podróż; nie mogłam się nie zastanawiać, bo kupiłam sobie, specjalnie na ten wyjazd, trzy piękne nowe kostiumy kąpielowe, torbę plażową w kwiaty i wielki słonkowy kapelusz. Planowałam, jak będę wyglądać, leżąc pod parasolem, wyobrażałam sobie, jak fale liżą mi stopy, a delikatny wietrzyk chłodzi ciało. Kiedy odwołałam ślub, Martin dogadał się z biurem podróży i wymienił nasz niedoszły romantyczny miesiąc miodowy na szaloną wyprawę do Las Vegas z dwoma kumplami. Słyszałam, że podobno przez sześć dni z rzędu pił, oddawał się hazardowi i padał z wyczerpania na parkietach tanecznych.

Ja nie pozwoliłam sobie na nic równie przyjemnego. Przepęłniał mnie wstyd, że tak bardzo zraniłam Martina i kosztowałam rodziców majątek, więc we własnych oczach nie zasługiwałam na romantyczny wypad, choć moje przyjaciółki i Lisa twierdziły, że to byłby dobry pomysł. Od czasu odwołania ślubu zdarzało mi się podróżować, ale na krótsze dystanse. Właściwie to były trzy krótkie wypadki z trzema różnymi chłopakami. Z Liamem poleciałam do Kopenhagi, z Jamiem odwiedziłam Rzym, a z Benem pojechaliśmy do Paryża. Nie pamiętam zbyt dobrze lotnisk z tych podróży, ponieważ za każdym razem byłam nieprzytomnie podniecona. Wreszcie udawałam się w prawdziwą podróż! Powroty były zawsze bardziej pesymistyczne. Chyba naprawdę mam skłonność do nadmiernego optymizmu; po każdym z tych wypadów popadałam w rozpacz, że nie doszło do oświadczeń. Nie twierdzę, że wyszłabym za któregoś z nich. Po prostu chciałam, żeby któryś mi się oświadczył.

– Po co w ogóle jechać za granicę, jeśli nie po to? – spytałam Lisę ze smutkiem po trzecim rozczarowaniu. Uważam Lisę, kobietę zamężną, za źródło wszelkiej wiedzy o mężczyznach (ale tylko jeśli pasuje mi to, co

mówi).

Moja siostra przewróciła oczami.

– Dla pogody, jedzenia, architektury albo żeby się upić – wymieniła.

– No wiem, no wiem. Ale po prostu lepiej bym się bawiła, gdybym wiedziała, że chodzi o przejście na kolejny etap związku – wyznałam ze smutkiem. Wtedy Lisa zaprosiła mnie na dwutygodniową wycieczkę rodzinną typu all-inclusive do Hiszpanii.

– Nie będę wam zawadzać? – spytałam z powątpiewaniem.

– Nie, będziesz dla nas podręczną opiekunką do dzieci – odparła Lisa. Nie żartowała, a przynajmniej nie do końca. Te wakacje były fajne (hałaśliwe, chaotyczne i okropnie męczące), a wielka torba plażowa wreszcie się przydała na zapasowe pieluchy, nadmuchiwane piłki, wiaderka i łopatki. Ale z jakichś przyczyn potem żałowałam straconego miesiąca miodowego jeszcze bardziej, zamiast mniej.

No dobra, dość tego. Głęboki wdech. Najważniejsze, żeby podeszła do tej wyprawy w stylu zen. Muszę sprowadzić dobrą karmę, ponieważ wiem, że proszę o bardzo wiele. Muszę myśleć pozytywnie i zachować spokój. Skupić się i okazać determinację w dążeniu do celu. Prawdę powiedziawszy, jestem podniecona i oszołomiona, i jest mi niedobrze ze zdenerwowania. W uszach dzwoni mi rozmowa z Martinem. Jeśli nie przestanę myśleć o tym, co planuję, zrobi mi się słabo. Więc muszę przestać myśleć.

Ruszam na rundę po sklepach wolnoctowych, spryskuję się drogimi perfumami i podkradam darmowe próbki podkładu w różnych odcieniach. Zabijam czas w sklepie z luksusowymi ciuchami, mierząc rzeczy, na które i tak mnie nie stać. Pocieszam się myślą, że nawet gdyby było mnie stać na te rzeczy i tak nie miałabym gdzie ich nosić, skoro jestem bezrobotna. Oczywiście gdybym nie była bezrobotna, miałabym gdzie je nosić i być może nawet byłoby mnie na nie stać; oto kolejna rzecz, o której nie chcę myśleć. To przykre i nie prowadzi do niczego.

Spędzam masę czasu w WH Smith, bo muszę sobie kupić coś do czytania w samolocie. Jak zwykle ciągnie mnie do działu z poradnikami i znajduję nowy, którego jeszcze nie czytałam (a przeczytałam większość). *Jak go złapać i nie puścić: poradnik dla nowoczesnych kobiet*. Przeglądam książkę, żeby sprawdzić, czy nie ma tam przypadkiem rozdziału na temat przerywania cudzego ślubu. Tak jak podejrzewałam, nie ma. Ale jest za to

rozdział *Dziesięć poważnych błędów, jakie kobiety popełniają w stosunkach z mężczyznami* i inny, który obiecuje ujawnić „Różnice w podejściu do randek, seksu i związku między kobietami a mężczyznami”. Cóż, moim zdaniem ten temat wymaga więcej niż jednego rozdziału; są tu przypisy? Mimo to postanawiam kupić tę książkę.

Tak jestem pochłonięta rozdziałem drugim, że ledwie do mnie dociera zimny komunikat, który wzywa pasażerkę Joannę Russell, by zgłosiła się pilnie przy bramce numer 24, ponieważ samolot do Chicago jest już gotów do odlotu. W panice porzucam zen i pędzę przez lotnisko, w duchu przeklinając swój brak zorganizowania. Slalomem omijam pasażerów kierujących się do swoich bramek, z całych sił waląc obcasami w podłogę; większość ludzi oczywiście idzie w przeciwną stronę niż ja. Jestem jak ryba płynąca pod prąd. Ulga, jaką czuję na widok bramki numer 24 i czterech osób z obsługi, stojących przy niej niczym żołnierze, jest naprawdę ogromna. Próbuję zignorować fakt, że wszyscy patrzą na mnie z potępieniem.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – wołam, podbiegając do stanowiska. Uważam, że należy od razu zacząć przeproszać; to rozbraja ludzi, ponieważ żyjemy w świecie, w którym nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Przeprosiny stanowią element zaskoczenia, ponieważ są czymś nowym. Nikt mnie nie uspokaja, ale też nikt na mnie nie krzyczy, więc oddycham z ulgą. Jedna z kobiet w milczeniu odbiera ode mnie kartę pokładową i wpisuje coś do komputera. Pozostała trójka wymienia pełne irytacji spojrzenia. Bieg przez terminal pozbawił mnie tchu. Staram się nie dyszeć, ale złapała mnie kolka w bok, a pot ścieka mi po plecach. No cóż, witajcie w moim świecie.

– Przykro mi, ale jest problem z miejscem – oznajmia lodowato kobieta od komputera.

– Jaki? – pytam z przerażeniem.

– Miała pani zarezerwowane miejsce przy drzwiach, ale oddaliśmy je pasażerce podróżującej z niemowlęciem.

Ogarnia mnie fala oburzenia. To niesprawiedliwe. Nie dość, że ta kobieta z dzieckiem ma faceta (a nawet jeśli już nie ma, to miała; w końcu tak się robi dzieci), to jeszcze dostała moje wygodne miejsce. Niektóre kobiety zawsze mają szczęście.

– W dodatku nie mamy więcej miejsc w klasie ekonomicznej.

– Ale przecież zabukowałam je dwie godziny temu! Podobno właśnie się zwolniło. Mam bilet. I to naprawdę drogi.

Kobieta unosi wymanikiowaną dłoń, żeby mnie uciszyć. Pisze coś dalej na komputerze, drugą ręką.

– Wszystkie miejsca w klasie World Traveller Plus też są wyprzedane.

– Właśnie dlatego radzimy pasażerom, by przyjeżdżali na lotnisko z dużym wyprzedzeniem – dodaje sztywno facet z obsługi. Patrząc na niego z oburzeniem, ale nie wyjaśniam, że wymknęłam się od Lisy o wpół do szóstej rano i że byłam tu przed siódmą. Trzy godziny zbierałam się na odwagę, żeby zadzwonić do Martina i kupić bilet; dwie kolejne spędziłam w sklepach. Wiem, że jego to nic nie obchodzi.

– Muszę lecieć tym samolotem – upieram się. – Lecę na ślub. Muszę polecieć.

Ciskam książkę na kontuar. Nie chcę w ten sposób zaakcentować swoich słów, to nie w moim stylu. Po prostu ogarnia mnie rozpacz. Kobieta przy komputerze przestępuje z nogi na nogę, mobilizując się przed awanturą. Patrzy na kontuar, by uniknąć mojego spojrzenia i nagle zauważa tytuł książki. A wtedy jej lodowaty chłód znika, na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Nie prześmiewczy, tylko szczerzy, ciepły i pełen współczucia. Kładzie mi na ramieniu dłoń bez obrączki, a ja rozpoznaję w niej pokrewną duszę; obie wiemy, jak to jest.

– Chyba nie mamy innego wyjścia, jak posadzić panią w klasie biznes – mówi.

Dean

Dean ledwie zarejestrował, że samolot ma jakieś opóźnienie, choć wyczuwał niezadowolenie otaczających go pasażerów. Kręcili się w fotelach, pili więcej darmowego szampana niż wypada o tej porze dnia i niecierpliwie przeglądali gazety. Dean siedział zupełnie nieruchomo, wyczerpany tak bardzo, że nie miał siły się poruszyć. Po prostu był szczęśliwy, że znów znalazł się w bezpiecznej strefie. Tutaj przynależał, do tych wygodnych foteli klasy biznes, a nie do twardych szpitalnych krzeseł. Kiedy spóźnialska pasażerka, która spowodowała zamieszanie, wreszcie weszła na pokład, rozległy się ciche pochrząkiwania. Dean się do nich nie przyłączył. To było takie małostkowe.

Miała miejsce obok niego. Ledwie usiadła, natychmiast poderwała się znowu i zaczęła upychać torbę do szafki nad głową. Zamierzał zupełnie ją zignorować, ale kiedy walczyła z torbą, upuściła książkę, która spadając, uderzyła go w ramię. Podniósł ją i odruchowo przeleciał wzrokiem notkę reklamową.

„Co robić, jeśli twój facet lata za spódniczkami... Jak zabezpieczyć związek przed zdradą... Czym kobiety irytują mężczyzn”.

Na chwilę wynurzył się z otchłani bólu i traumy, zaczerpnął tchu i podziękował w myślach Bogu za to, że przynajmniej nie jest kobietą. Ciekawe, kto publikuje takie bzdury? I kto to czyta? Kiedy oddawał książkę osobie, która ją upuściła, z zaskoczeniem stwierdził, że to niezwykle atrakcyjna kobieta – ze świetnym biustem, uroczym uśmiechem i ładnymi zębami – i że to ona czyta te bzdury.

– Bardzo przepraszam. Nic się panu nie stało? – spytała.

– Przeżyję – odparł Dean. Nie niemiło, ale tonem, który powinien zakończyć rozmowę.

– Jestem naprawdę zdenerwowana – stwierdziła kobieta. No świetnie, siedzi obok pasażerki, która boi się latać; dokładnie tego mu było trzeba. Jakby czytając mu w myślach, dodała tonem wyjaśnienia: – No może nie tyle

zdeenerwowana, ile podekscytowana. Nigdy nie leciałam klasą biznes.

Po czym zrobiła coś nieprawdopodobnego, a mianowicie podskoczyła na fotelu i klasnęła w ręce jak dziecko. Dean odwrócił wzrok, speszony. Wątpił, czy sam kiedykolwiek osiągnął ten poziom ekscytacji, a wiedział na pewno, że dziś mu się to nie uda.

– Nieprawdopodobne, prawda? – ciągnęła. – Niech pan tylko spojrzysz na te wszystkie pisma, koce i słuchawki! – Każdy wymieniony przedmiot brała do ręki i gładziła, jakby pisma były jej kochankiem, a koc członkiem rodziny. – Myśli pan, że możemy je sobie potem wziąć? – Nim zdążył zaprzeczyć, mówiła dalej; pomyślał, że zapewne będą mu potrzebne te podziwiane słuchawki, żeby się od niej odseparować. – I ile tu miejsca! Możemy podróżować na leżąco! I niech pan tylko spojrzysz, mogę się obrócić w przejściu i nikogo nie potrącić!

Po czym zademonstrowała mu w naturze, o co jej chodzi. No rzeczywiście, było dużo miejsca, ale ponieważ obracając się wokół własnej osi machała rękami, potrąciła stewarda z tacą z szampanem. Biedak starał się zapobiec katastrofie, ale i tak trzy kieliszki spadły na podłogę. Ciche narzekania pasażerów zmieniły się w głośne okrzyki oburzenia.

– Na litość boską!

– Kto to u licha jest?

– Pijana czy jak?

Ludzie zwracali się w przestrzeń, nie do kogoś konkretnego.

– O cholerka, tak mi przykro.

Dean sądził, że nikt już nie mówi „cholerka”. Kiedy zaczęła gorliwie wycierać szampana z rękawa jego marynarki, napiął lekko biceps; to był odruch, który zawsze mu się uruchamiał pod dotykiem kobiety. Cofnęła rękę, jakby się oparzyła. I zarumieniła się przy tym.

– Nic się nie stało – mruknął. Co go to obchodziło? Ten wypadek nie miał żadnego znaczenia w obliczu horroru ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie da satysfakcji tym wyniosłym i drażliwym pasażerom; wiedział, że wszyscy mają nadzieję na awanturę.

Szampan ściekał mu po rękę i nodze na podłogę.

– Czy pański garnitur nadaje się do prania? Można go wrzucić do pralki? – spytała z nadzieją. Oceniała wzrokiem jakość materiału i elegancki krój i mina jej zrzędała. – Nie, chyba nie. Nikt, kogo stać na miejsce w tej klasie,

nie nosi takich garniturów. – Urwała. – Mogę zapłacić za pralnię? – Sposób, w jaki przygryzła dolną wargę, wskazywał, że ma nadzieję na odrzucenie propozycji.

– Nic się nie stało – powtórzył Dean. Marzył, żeby ta krótka odpowiedź została odczytana jako: „A teraz niech pani siada i milczy przez następne dziewięć godzin”. Niestety, do jego sąsiadki to nie dotarło. W końcu usiadła, ale tylko dlatego, że poprosił ją o to steward, żeby mógł wytrzeć plamę na podłodze.

– Często pan lata klasą biznes? – spytała. Dean spojrzał na nią wzrokiem wyrażającym coś pomiędzy niedowierzaniem a niechętnym podziwem. Nawet on nie ośmieliłby się podrywać kogoś, komu właśnie skomplikował plany, opóźniając lot, a na dodatek walnął go książką i zalał alkoholem, tymczasem ta kobieta właśnie zadała pytanie będące lotniczym ekwiwalentem zaczepki: „Często pan tu przychodzi?”.

– Tak – jednosylabowe odpowiedzi zawsze dawały do zrozumienia: „Zamknij się, nie jestem zainteresowany”. Bo Dean nie był zainteresowany rozmową. Ani z nią, ani z nikim innym. Chciał już być w domu. Popęłił błąd, przylatując tutaj. Wielki, okropny błąd. Im szybciej wróci do Chicago, tym lepiej.

Zostawi to wszystko za sobą. Będzie udawał, że to się nigdy nie zdarzyło. Nie chciał zwlekać ani chwili dłużej; nie miał nawet siły odwiedzić Zoe czy spotkać się z Rogersem.

Silniki zaczęły huczeć. Pasażerowie sprawdzali, czy wyłączyli telefony, siadali wygodnie, zapinali pasy i wszyscy – z wyjątkiem neurotyków – ignorowali stewardesę, która z powagą prezentowała właściwe użycie maski tlenowej i wskazywała wyjścia awaryjne.

– Niesamowite, prawda? – odezwała się sąsiadka Deana, wciąż rozglądając się z zachwytem.

– Naprawdę?

Kiedy przez kabinę przeszła druga stewardesa, sprawdzając, czy wszyscy zapięli pasy, Dean poszukał jej spojrzenia.

– Zmieniłem zdanie, poproszę jednak o gazetę – powiedział.

– Którą, proszę pana?

– Najdłuższą.

Spojrzał wymownie na swą dziwną sąsiadkę, a potem rozłożył wielkie

stronice, tworząc między nimi rodzaj bariery. Chciał być sam. W innych okolicznościach mógłby z nią porozmawiać, zacząć ją podrywać, a może nawet sprawić, żeby się w nim zakochała. Zwykle tak właśnie postępował; flirtował, umawiał się na kolację, uwodził i porzucał. Kobieta miała jędrne cycki i długie nogi i z pewnością zasługiwała na uwagę. Nie była młoda, ale coś w sobie miała; nie powab młodości, tylko raczej doświadczenie, ale to też mogło się okazać atrakcyjne. Tak, w innych okolicznościach z pewnością by się nią zajął. Ale nie dziś. Dziś chciał być sam.

Kobieta wetknęła głowę za jego gazetę i spytała szeptem:

– Trzeba płacić za szampana?

– Nie.

– Nawet za to, co rozlałam?

– Nawet.

– Ha. To dobrze, prawda? – Dean potrząsnął wymownie gazetą, ale kobieta ciągnęła niezrażona: – Tu jest zupełnie inaczej niż w luku transportowym. Mówiłam już, że nigdy nie leciałam klasą biznesową? Nawet z rodzicami. Kiedy lataliśmy razem na wakacje, nam kupowali bilety w klasie turystycznej, a sami lecieli z przodu. Zawsze się martwiłam, co będzie, jeśli samolot przełamie się na dwie części, ale dawali nam po sto funtów kieszonkowego na głowę, a to oczywiście tłumilo wszelkie protesty. Tutaj to jest zupełnie inny świat, prawda? Szampan, żadnego czekania na wózek z napojami. Mówię panu, bez względu na to, gdzie siedzę w samolocie, zawsze jestem ostatnią osobą, której podadzą napoje. To taka wymyślna tortura słuchać, jak wszędzie dookoła dźwięczą butelki i puszki, i czekać na swoją kolej. – Spojrzała na swój pełny kieliszek szampana. – Jestem w niebie.

Dean zachował milczenie. Wreszcie, dzięki Bogu, zamilkła na kilka minut. Samolot powoli toczył się po pasie, a potem, całkiem nagle, nabrał prędkości i wystartował. Ich miejsca znajdowały się w środkowej części kabiny, ale sąsiadka Deana usiłowała zobaczyć coś przez okno po drugiej stronie przejścia. Dean nawet nie podniósł wzroku. Nie mógł się doczekać, aż ziemia zniknie, aż samolot przebije się przez chmury i wydostanie na ogromny błękit nieba. Bardzo chciał zostawić to wszystko za sobą.

Kiedy samolot wyrównał lot, kobieta niestety znów zaczęła mówić.

– A orzeszki?

Natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi.

– Też są za darmo.

Zachęcona, podała mu rękę przez gazetę.

– Jestem Joanna Russel, ale wszyscy prócz mojej mamy nazywają mnie Jo.

Dean nie podał jej ręki, ale musiał kiwnąć głową.

– Dean Taylor.

– Miło mi cię poznać. – Uśmiechnęła się, ale on zachował obojętną minę. Chyba była ślepa, skoro nie pojęła jej znaczenia. – To długi lot, więc będzie milej, jeśli poznamy się trochę – dodała.

Dean westchnął. Więc jednak będzie musiał to powiedzieć.

– Tu do dobrego tonu należy milczenie. Między siedzeniami jest ekran, którym możemy się od siebie odgrodzić, a skoro jesteśmy w powietrzu, zamierzam go podnieść. Bez urazy. Przeżyłem dwa bardzo trudne dni i potrzebuję odpoczynku. – Nacisnął guzik i ekran zaczął się podnosić. Wkurzająco towarzyska kobieta natychmiast nacisnęła swój guzik i ekran się schował.

– Nie jesteś Amerykaninem, prawda? Masz brytyjski akcent. Mieszkasz w Chicago?

Dean opuścił gazetę i zastanowił się.

– Nie. I tak, owszem – odparł. Starał się pozbawić swą wypowiedź wszelkiej intonacji. Uśmiechnęła się do niego szerokim uśmiechem, który rozjaśnił jej oczy i wzbudził szacunek Deana, ponieważ był szczery; mimo to nie miał ochoty na jej towarzystwo. Naprawdę. Uznała widocznie, że próbuje być zabawny, bo zachichotała. Ale on wcale nie próbował.

– Nigdy nie byłam w Chicago. – Urwała, wyraźnie mając nadzieję, że powie „No proszę” albo coś w tym rodzaju. Zachował milczenie. Nie pomogło, gadała dalej. – Byłam kiedyś w Nowym Jorku, dawno temu. Podobało mi się. Czy Chicago jest podobne?

– Trochę.

Milczenie. A potem:

– Naprawdę? Pod jakim względem?

– I tu, i tu są sklepy, kluby i restauracje. I tu, i tu pełno jest zajętych i nietowarzyskich ludzi.

Niestety, ta cała Jo miała skórę grubą jak nosorożec. Nacisk, który Dean położył na słowo „nietowarzyscy”, w ogóle do niej nie dotarł.

– W tym sensie przypominają Londyn – stwierdziła. Znowu urwała, a Dean nie próbował wypełnić ciszy. Naprawdę miał nadzieję, że tym razem to jest kropka, a nie średnik. Niestety to był tylko średnik. – Musiałam wyjechać. Przechodzę teraz przez, jak to nazywają, trudny okres. – Pokazała palcami cudzysłów. – Ha, naprawdę nie wiem, dlaczego pokazałam ten cudzysłów. Nigdy tego nie robię. Słowo honoru. To był pierwszy i zapewne ostatni raz. Zwykle nie zachowuję się jak prezenterka na kanale dla dzieci.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Dean uprzejmie.

– Przykro ci słyszeć, że nie jestem prezenterką w telewizji dla dzieci? – spytała z niedowierzaniem.

Dean zaczynał dochodzić do wniosku, że musi być stuknięta. Rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego miejsca, na które mógłby się przesiąść. Niestety, wszystkie fotele były zajęte.

– Przykro mi, że przechodzisz przez trudny okres – wyjaśnił. Nie chciał wnikać w jego przyczyny. Sam też przechodził przez trudny okres, z którym musiał sobie jakoś poradzić. Bolała go głowa, oczy piekły, żołądek ścisnął się z głodu. Potrzebował spokoju i ciszy, żeby uporządkować sobie to wszystko. Chciał, żeby ta upiorna kobieta wreszcie umilkła.

– Wczoraj odkryłam, że mój facet jest żonaty.

Tak. Na bank stuknięta. Na pewno. Inaczej po co ta szczerłość? I w dodatku wobec niego. Nie należał do osób, które zachęcają do zwierzeń. Był facetem na dobre czasy. Kobiety mówiły mu tylko to, co ich zdaniem chciał usłyszeć – że są wolne i bez troskie (nawet jeśli nie była to prawda) – a faceci rozmawiali z nim o interesach i wynikach meczów (ale tylko jeśli ich drużyna wygrywała). Dean nie prowadził z nikim głębokich i ważnych rozmów, więc nie wiedział, co ma myśleć o tej obcej kobiecie, która najwyraźniej szykowała się, by wylać na niego wszystkie swoje nieszczęścia, żeby przyjrzeć im się bliżej. Czy to świadczy o odwadze, czy raczej o masochizmie?

Wzruszyła ramionami.

– No właśnie, zdarza się. Więc teraz lecę do Chicago na ślub mojego byłego narzeczonego.

– A mówiłaś przed chwilą, że on już jest żonaty? Chodziło ci o to, że wczoraj odkryłaś, że on się żeni? – Dean w żadnym razie nie chciał się mieszać w jej życie uczuciowe, ale tak go skołowała, że dał się wciągnąć

w rozmowę. Miała ładne usta. Wydatne wargi.

– Nie. Wczorajszy facet... no tak, właściwie to nie był mój facet – wyznała. – Nie tak naprawdę. Raczej... – urwała na chwilę – ...przypadkowy znajomy.

– Rozumiem.

– Tak, zapewne rozumiesz – stwierdziła z westchnieniem. – Ten eks, na którego ślub lecę, jakiś czas temu był moim prawdziwym narzeczonym.

Dean dostał zaproszenia na wiele ślubów kobiet, z którymi kiedyś się umawiał. Wiedział, że zapraszały go na swój wielki dzień, żeby udowodnić jemu, światu i samym sobie, że całkowicie wyleczyły się z uczuć do niego. Czasami faktycznie tak było. A czasami wcale nie i on o tym wiedział; chciały tylko pokazać mu się w całej krasie, w sukni za trzy tysiące dolarów. Nigdy nie przyjmował tych zaproszeń. Nie chodził na śluby, nie lubił ich. Nie wierzył w małżeństwo, jego rodzice tego dopilnowali. Ale nawet gdyby był największym romantykiem świata i tak nie zdołałby pojąć, jaki jest sens chodzenia na ślub byłego czy byłej. To przecież dziwaczne, prawda? Przypomniała mu się książka, którą Jo na niego zrzuciła, i poczuł dla niej współczucie. Doszedł do wniosku, że jest zbyt wrażliwa na takie doświadczenie; no ale przecież to nie jego sprawa. Zaczął szukać w myślach jakiejś odpowiedzi, czegoś niezbyt zjadliwego, a jednocześnie dobitnie, choć grzecznie kończącego tę rozmowę. Zawsze starał się być uprzejmy, a nawet czarujący – tak jak sugerował jego ojciec (drażniło go, że Eddie potrafił tak celnie ocenić jego charakter; z pewnością trafił przypadkiem) – więc nie chciał bez potrzeby okazać grubiaństwa, ale naprawdę, naprawdę, naprawdę chciał, żeby go zostawiła w spokoju.

– Ha, to zabawne. – Miał na myśli odważne albo raczej idiotyczne. – Dobrze ci to zrobi. – Był prawie pewien, że uderzył we właściwy ton. Jeszcze raz potrząsnął wymownie gazetą, uniósł ją i udawał, że czyta.

– W zasadzie to nie idę na ten ślub. Nie będzie żadnego ślubu – dodała.

Nie, nie, nie, nie. Dean przez chwilę walczył z ciekawością, ale przegrał.

– Teraz to już nic nie rozumiem.

– Zamierzam do niego nie dopuścić. – Jo wyciągnęła szyję, usiłując zwrócić na siebie uwagę stewarda. Wreszcie po prostu pomachała pustym kieliszkiem, prosząc o dolewkę, a potem spojrzała na Deana. – Przyłączysz się?

Miała ogromne oczy, które opowiadały zupełnie inną historię niż jej wesoła paplanina. Wyglądały jak oczy małej foczki, takiej jak na plakatach obrońców praw zwierząt; małe bezbronne zwierzątko, które błaga, by nie zatłuczono go na śmierć dla jego skóry. Jej wzrok był znużony, a on rozpoznawał to znużenie.

– Wezmę sok.

Kiedy podano im napoje, Jo na poważnie zaczęła mu wyjaśniać swoją sytuację. Oświadczyła, że kiedyś była bardzo zakochana w facecie o imieniu Martin. Że ten Martin był idealnym kandydatem na męża i robił wszystko, czego kobiety oczekują po poważnym związku: miał obsesję na punkcie kariery, awansował w pracy, a kiedy się oświadczył, to z odpowiednio dużym pierścieniem (kopia Tiffany'ego). Przyjęła jego oświadczyny, jakżeby inaczej. A potem w ostatniej chwili odwołała ślub, przy czym szczegółowo wyluszczyła Deanowi przyczyny tej decyzji. Po czym oświadczyła, że właśnie uświadomiła sobie, jakie to było „niemądre”. Rozbawił go jej dobór słów. Albo nie chciała się wyrażać dosadniej, albo usiłowała oszukać samą siebie. Wyjaśniła, że choć od tamtej pory umawiała się z masą mężczyzn, nigdy nie poznała nikogo, kto podobałby jej się tak jak Martin. Który trzy miesiące temu przysłał jej zaproszenie na ślub. Nie do wiary, ale odebrała to jako jego wołanie o pomoc, jako wskazówkę, że powinna odbudować ich związek. Więc zebrała się na odwagę i ruszyła do Chicago, uniemożliwić jego ślub.

Dean nie przerywał jej przez całą opowieść. Wiele mówiła o tym, jak bardzo chce odzyskać tego faceta; fascynowała go jej pewność siebie i przekonanie, że to najbardziej romantyczny gest, jaki robi w całym swoim życiu. Uznał, że musi przemawiać przez nią szampan: nie było innego rozsądnego wyjaśnienia.

– Nie zrozum mnie źle, nie jestem jakąś uduchowioną dziewczyną. Właściwie jest dokładnie odwrotnie – zapewniła go. Jej oczy rozszerzyły się nieco, gdy to wyznała. Dean nagle wyobraził ją sobie podczas uprawiania seksu; nie była to świadoma fantazja, takie przebłyski zdarzały mu się dość często. Trudno mu było myśleć o kobietach, nie myśląc równocześnie o seksie, chyba że były szczególnie nieatrakcyjne. – Widzisz, wreszcie sobie uświadomiłam, że zrobiłam z tego romansu galimatias.

Galimatias? Cholerka? Dean zastanawiał się, czy powie jeszcze „o jenyściu” albo „do kroćset”. Czy ona naprawdę żyła w tych samych czasach

co on? Może właśnie bierze udział w jakimś programie w stylu ukrytej kamery, sam o tym nie wiedząc? Rozejrzyał się dyskretnie, ale nic nie zauważył. Kamery w klasie biznes byłyby niewybaczalnym naruszeniem prywatności – ale czy większym niż opowieść tej kobiety?

– No wiesz, sądziłam, że w miłości chodzi o ten big bang.

– Mówisz o modelu kosmologicznym, który wyjaśnia powstanie wszechświata?

– No... nie, mówię o chemii.

– Dokładnie to powiedziałem.

– Nie, mam na myśli chemię seksualną, a nie tę koszmarną naukę – machnęła lekceważąco ręką.

– Rozumiem.

– Byłam przekonana, że dwie osoby muszą czuć do siebie wielki pociąg. Że chodzi o dramatyczne chwile, no wiesz, o to, że najpierw serce bije ci jak szalone, a potem ciskasz za burtę majtki i rozsądek. Myślałam, że miłość jest taka jak w poezji, piosenkach i filmach. Niczego takiego nie przeżywałam z Martinem, więc wpadłam w panikę.

– A jak było z Martinem?

– Jest wysoki. I miły. Nie kłóciliśmy się prawie wcale.

– Ale teraz już nie uważasz, że bicie serca jest niezbędne?

– Właściwie to nie. To znaczy wiesz, zdarzało mi się to potem z innymi facetami, w zasadzie z wieloma, ale nigdy nie trwało długo. Na przykład z tobą.

– Ze mną?

– Normalnie usiłowałam z tobą flirtować, wygłupiałabym się i tak dalej, ponieważ jesteś w moim typie, no wiesz, jeśli chodzi o wygląd, ale i tak nic by z tego nie wyszło.

– Naprawdę? – Dean przywykł do tego, że jest w typie większości kobiet, więc nie interesowały go pochlebstwa, ale raczej fakt, że dawała mu odprawę.

– Naprawdę. Mogłabym napisać naszą historię już po pół godzinie znajomości.

– Tak?

– Jasne. Gdyby nie spłynęło na mnie olśnienie i gdybym nie uświadomiła sobie, że Martin to ten jedyny, zachowywałabym się wobec ciebie zupełnie

inaczej.

– Doprawdy?

– Upiłabym się i zrobiłabym się łatwa, zamiast upić się i zrobić rozmowna. Przeżylibyśmy namiętny i nieodpowiedzialny seks. Ty uważałbyś, że to była zabawa, a ja, że miłość, póki nie odkryłabym, że zamiast numeru swojej komórki dałeś mi telefon do sklepu zoologicznego.

Dean właściwie nigdy nie dał żadnej kobiecie numeru do sklepu zoologicznego, ale raz podał numer swojego agenta nieruchomości, żeby pozbyć się szczególnie upartej podrywki; w tym sensie podsumowanie Jo było bardzo prawdziwe.

– Nie popełnię teraz tego błędu, ponieważ uświadomiłam sobie, że w prawdziwej miłości nie chodzi o przyspieszony puls ani nawet o łaskotanie w żołądku i to uczucie ciężaru w podbrzuszu, które nawet nie ma przyzwoitej nazwy.

– Czy mówimy o...? – spytał Dean z udawaną powagą.

– Mówimy – odparła szeptem i z całkowitą szczerością. Dean poprosił o uściślenie tylko po to, żeby zobaczyć reakcje siedzących w pobliżu pasażerów, którzy już całkiem otwarcie przysłuchiwali się ich rozmowie. Jo zdawała się ich nie dostrzegać; zachowywała się, jakby byli tu sami.

– W takim razie o co chodzi w miłości? – spytał, okazując większe zainteresowanie, niż czuł naprawdę.

Jo, ucieszona okazją do rozmowy na swój ulubiony temat, natychmiast zaczęła tłumaczyć.

– O stabilność. No wiesz, obowiązek, lojalność, uczciwość i przyjaźń.

Dean wątpił, żeby którykolwiek z tych elementów odznaczał się trwałością. Jego zdaniem były równie efemeryczne jak przyspieszony puls, ale nie obchodziło go to aż tak bardzo, żeby miał się z nią spierać.

– Czy wiesz, że moi rodzice obchodzą w ten weekend trzydziestą ósmą rocznicę ślubu? Ich związek to dla mnie ideał. – Jo uśmiechnęła się z rozmarzeniem, ale Dean uznał, że zapewne przeszli lobotomię albo połączył ich jakiś mroczny sekret. Może pozwalali sobie na skok w bok albo po prostu byli tak nieatrakcyjni, że nie mieli innych opcji? Choć w to ostatnie wątpił; ta cała Jo, choć wyraźnie cierpiała na urojenia, była bardzo ładna, musiał jej to przyznać. – Chyba nadal wierzę w ten dramatyczny aspekt miłości, który pokazują w książkach i na filmach... no wiesz, w stracone

okazje i bolesne pożegnania, ale tylko jeśli kończą się happy endem – zaśmiała się krótko. – A teraz przeżyję to wszystko z Martinem. – Dean pomyślał, że jeszcze moment, a kłaśnie w dłonie z radości. – Rozumiesz?

– Nie jestem pewien. – Rozumiał sam wywód, ale miał poważne wątpliwości co do jej zdrowia psychicznego.

– Po prostu uważam, że wszyscy mamy prawo do szczęśliwych zakończeń. Martin i ja jesteśmy sobie pisani. To ten mój jedyny. Takie to proste, naprawdę – wyraźnie porwała ją własna retoryka (oraz fakt, że podczas perory wypłała całkiem sporo szampana).

– Łał – odważył się powiedzieć Dean.

– Romantycznie, prawda? – Jo dopiła szampana i natychmiast dała znak stewardowi, by podał jej następny kieliszek. Widać było wyraźnie, że po tym dramatycznym wyznaniu spodziewa się jakiejś drastycznej zmiany w postawie Deana albo może nawet kolorowych serpentyn spadających z sufitu. Jak kobieta, która żyła w dwudziestym pierwszym wieku, mogła szczerze wierzyć, że jej najlepszą szansą w życiu jest wyjście za jakiegoś w miarę uczciwego faceta, chociaż wyraźnie ją nudził? Chwilami miał wrażenie, jakby ostatnich dwustu lat po prostu nie było. Ta kobieta miała chyba klapki na oczach.

– Poczekaj, niech to dobrze zrozumiem. Jeśli ci się uda to, co zamierzasz, po raz drugi uniemożliwisz facetowi ożenek, czy tak? – spytał.

– No... – Jo zawahała się. Jej wyimaginowane serpentyny zaczęły spadać na podłogę.

– I po raz drugi upokorzysz go przed wszystkimi przyjaciółmi i rodziną?

– Nie, ja nie...

Dean nie pozwolił jej skończyć.

– Po raz drugi zrujnujesz mu dzień, który miał być najszcześniejszym dniem jego życia?

– Jeśli tak to ująć...

– Jeśli tak to ująć, to wychodzisz na beznadziejnie samolubną krowę – stwierdził Dean beznamiętnie. Miał już dość samolubnych ludzi, którzy niszczą innym życie. Naprawdę dość. Włączył swój monitor, założył słuchawki i nacisnął guzik, który podnosił ekran oddzielający fotele.

Eddie

Nie mam pojęcia, po co mój syn tu przyszedł. Zabawne, że go od razu poznałem. Wzrok mnie już zawodzi, jego twarz pływała mi przed oczami, a jednak go poznałem. A teraz odszedł. Dokąd? Dlaczego? Wszystko jest takie niejasne.

Mój syn. Od lat o nim nie myślałem. Nie mogę go rozgryźć. Nie mam na to dość energii. Ani czasu. Niektórzy mogliby powiedzieć, że właściwie zawsze tak było i zapewne mieliby do pewnego stopnia rację, ale fakty są takie, że naprawdę zostały mi ostatnie dni życia. Dokąd poszedł? Czy wróci? Ma do mnie urazę. Jest skomplikowany i pełen złości. Zastanawiam się, czy właśnie tym mam ochotę zajmować się przez ostatnie dni życia. No bo naprawdę, jaki jest sens rozmowy z wkurzonym młodym człowiekiem, któremu dałem życie, ale niewiele więcej? Ale potem dochodzę do wniosku, że to równie dobre jak wszystkie inne dostępne mi opcje. Raczej nie sprowadzą tu tłumu pięknych tancerek, żeby mnie zabawić. A gdyby nawet, ledwie jestem w stanie unieść rękę, nie wspominając już o czymś innym. Więc jaki byłby w tym sens? Ale on się zabrał i poszedł. Obrażony jak kobieta. Więc kim on jest, ten mój syn? Na pewno jest przystojny, to trzeba mu przyznać. Przypomina mi mnie samego, choć wątpię, żeby właśnie to chciał usłyszeć. Prawda boli. Choć ja nigdy nie siedziałem przy łóżku ojca, z którym nie miałem kontaktu przez niemal trzydzieści lat. Nie należę do sentymentalnych facetów. A przynajmniej tak sędzę. Chyba trudno zgadnąć, jak się zachowasz w sytuacji, w której nie byłeś nigdy wcześniej.

Mój ojciec uważał, że słońce świeci mi z dupy. Zrobiłby dla mnie wszystko. Moja matka tak samo. Nie mogę sobie wyobrazić, jaki bym był, gdybym wychował się bez nich. Nie siedziałem w szpitalu przy ojcu. Umarł w biurze, na atak serca. Było po wszystkim, nim dotarłem na miejsce. Nie widziałem ciała; nie chciałem. Ciała są bezużyteczne. Zawodne. Moja matka nadal żyje, przynajmniej do pewnego stopnia. Jest w domu opieki. Co jej to da, że mnie przeżyje? Swędzi mnie tyłek, ale nie mam siły się ruszyć.

Powinienem poprosić chłopaka, żeby mnie podrapał. Chryste, mogę sobie wyobrazić, jak by zareagował. Poczucie humoru najwyraźniej przeskoczyło jedno pokolenie; albo może odziedziczył charakter po matce.

Myślałem, że przyjechał tu, ponieważ myśli, że mam pieniądze i chce skorzystać na mojej śmierci. Nie byłoby to takie głupie. Ale on pytał o dziwaczne rzeczy. Chciał wiedzieć, czy interesowałem się piłką nożną. Odpowiedziałem, że nie. To nie jest moja dyscyplina. Bez wątpienia odebrałem mu temat do rozmowy, ale to nie jest właściwa chwila, żeby szukać wspólnych zainteresowań. Moja odpowiedź wyraźnie bardzo go poruszyła, więc choć boli, jak mówię, spróbowałem z nim porozmawiać.

– A ty? – spytałem. Popatrzył na mnie. To było lodowate spojrzenie.

– Nie, tak naprawdę to nie – odparł. – Oglądałem mecze w telewizji, kiedy byłem mały.

Powiedziałem mu, że moim zdaniem to marnowanie sobotniego popołudnia. Powinieneś być wychodzić na powietrze, burknąłem. Nie wiem dlaczego, ale wyglądał, jakby chciał mnie walnąć. Może uważał, że już za późno na ojcowskie rady? Tu na pewno miał rację. Chociaż tak naprawdę nie komentowałem przeciw jego zachowania, tylko samą koncepcję oglądania sportu w telewizji zamiast jego uprawiania. Nie jestem widzem. Nie lubię być częścią widowni. Zawsze byłem człowiekiem czynu.

– Więc jaki sport lubisz? – spytał.

– Lubiałem squasha, kiedy byłem młodszy. Golfa jeszcze rok temu. Potem zrobiłem się za słaby.

– Czyli nie jesteś graczem zespołowym – stwierdził gorzko. Mięsień na policzku drgał mu jak oszalały. Mimo to zazdroścę mu tej wściekłej energii. Wściekłość dowodzi, że jeszcze żyjesz.

– W gruncie rzeczy nie.

– W gruncie rzeczy nie – powtórzył z goryczą, chowając twarz w dłoniach.

Oczywiście zrozumiałem, co ma na myśli. Zastanawiam się, czy chłopak w ogóle jest zrównoważony. Przeraziła mnie informacja, że byli z siostrą w sierocińcu. Nie spodziewałem się tego. Jasne, takie doświadczenia mogą namieszać w głowie. Okropność. Dean może mieć skłonność do przemocy. Nic o nim nie wiem, ale nie ma sensu teraz się tym martwić. Co niby mogłoby się zdarzyć? Mógłby mi przycisnąć poduszkę do twarzy i zakończyć

moje cierpienie dwa czy trzy dni przed spodziewaną datą zejścia. Większy problem dla niego niż dla mnie, jeśli wybierze tę drogę. Skończy w więzieniu. Mam nadzieję, że nie spróbuje mnie zabić z takiego powodu. Mój Boże, zaczynam być wobec niego opiekuńczy.

Odkąd się tu znalazłem, nie miałem wielu gości. Do nikogo nie mam o to żalu. Ja też nie lubiłem odwiedzać ludzi w szpitalach. Przygnębiające przybytki. Za pierwszym razem, kiedy postawiono diagnozę i jeszcze była nadzieja, nawet mnie odwiedzali. Paru facetów, z którymi pracowałem w telewizji; pozostaliśmy w kontakcie, chociaż sporadycznym. Tylko Ronowi udało się zrobić prawdziwą karierę, reszta jakoś wiązała koniec z końcem. Pisaliśmy scenariusze komediowe dla coraz mniej prestiżowych kanałów, aż wygryzły nas zupełnie reality show. Potem pisałem dla radia i dla pism branżowych, a dobre scenariusze trzymałem w szufladzie, gdzie zbierał się na nich kurz. Ale i tak zarabiałem dość, żeby pić whisky w Groucho i od czasu do czasu zjeść obiad w Arts Club na Dover Street. Dobre czasy. Dobre czasy. Nie mogę się skarżyć.

Wpadło też kilka moich byłych. Ale ona nie. Zresztą wcale się jej nie spodziewałem. Pewnie dostała już list. Nie bardzo wiem, dlaczego go napisałem. Nie myślałem wtedy jasno. Odwiedziło mnie też paru gości z klubu golfowego z żonami, które kiedyś były piękne. Ludzie dobrej woli. Przynosili gazety i owoce. Ale moja choroba trwa długo. Ludzie chcieli, żeby mi się polepszyło. Niestety, tego nie mogłem dla nich zrobić, więc stracili zainteresowanie. Nie winię ich za to. Nigdy nie interesowały mnie takie związki, w których trzymamy się za ręce w trudnych chwilach. Z nadejściem ciężkich czasów kupuję bilet pierwszej klasy i ulatniam się, jak może zaświadczyć mój syn. Z własnego doświadczenia. Dlatego wkurza mnie, że dopadła mnie taka powolna choroba. Podobnie jak moi goście, chciałem szybko ozdrowieć, ale skoro się nie da, to chciałbym, żeby to cholerstwo się pospieszyło i wreszcie mnie ukatrupiło. Ten nowo odkryty syn przynajmniej pomógł mi zabić czas. Ciekawe... poszedł coś zjeść?

– Chcesz, żebym zorganizował twój pogrzeb? – spytał.

– Na pewno jesteś dumny z tego, jakim jesteś czarusem – wychrypiąłem.

– Nie powiedziałem nic podobnego.

– Nie musiałeś. Potrafię to rozpoznać – spróbowałem się roześmiać, ale Dean się zjeżył.

– No więc chcesz, żebym zaplanował pogrzeb? Potrzebujesz pieniędzy? Zabawne, że zadał mi pytanie, które ja zamierzałem zadać jemu. Zapewniłem go, że wszystko zostało załatwione. Wydałem odpowiednie dyspozycje, za wszystko zapłaciłem. Pogrzeb będzie skromny.

– Jaki jest sens wydawać wielkie przyjęcie, skoro samemu nie będzie się można na nim napić? – wydyszałem na koniec.

– Cóż za zapobiegliwość – parsknął sarkastycznie.

Uniosłem brwi. Uważałem, że załatwienie pogrzebu to przejaw rozsądku; nikt nie chce sobie robić takiego kłopotu. Poza tym nie chciałem mu mówić, że bardzo wątpię, żeby przyszło wiele osób. Nie chcę jego litości. Zresztą, prawdę mówiąc, on ma rację co do mnie. Jestem samolubny. Zawsze byłem. Zawsze będę. Nie ma sensu zaprzeczać rzeczom oczywistym.

– Wydawałem tylko tyle, ile zarabiałem – wyjaśniłem. – Nigdy nie pożyczałem, ani od kogoś, ani komuś. Nie mam domu, wolałem wynajmować mieszkanie, ale mam trochę oszczędności. To, co zostanie, możesz podzielić między waszą czwórkę. Spisałem testament.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

– No to je komuś oddaj. Wpłać na jakieś cholerne schronisko dla kotów. – Najwyraźniej nie dotarło do niego, że jeszcze przed jego niespodziewaną wizytą zająłem się nim i jego siostrą. Potraktowałem ich tak samo jak pozostałą dwójkę, choć z córkami byłem zdecydowanie dłużej. – Nie obchodzi mnie, co z nimi zrobisz. Tylko ich nie pal. To przestępstwo.

Wtedy całkiem stracił panowanie nad sobą.

– Powiem ci, co jest przestępstwem. To, że tu siedzę przy tobie, teraz! Chcesz, żebym cię poznał, po takim czasie. Więc kiedy... odejdziesz, będę musiał zastanawiać się, czy... – Nie krzyczał; to był ten inny rodzaj gniewu, ten wstrzymywany. Gorszy, bo w końcu zawsze prowadzi do wybuchu.

Właśnie z takich powodów nigdy nie miałem ochoty na te spotkania rodzinne po latach, które widuje się w telewizji. Nic tylko urazy i wyrzuty. Nie chcę, żeby wygłaszał tu swoje pretensje. Skrzczy jak mewa. Nigdy nie lubiłem mew. W ogóle nie lubię ptaków. Ani natury. Lubię miasta, hałas, brud, przemysł, samochody. Ale zboczyłem z tematu. O czym to wcześniej myślałem? A tak. Co on tam marudził? Nie prosiłem go, żeby mnie poznawał. Wcale tego nie chcę. Po prostu zabijam czas. Równie dobrze mogę leżeć i myśleć o ludziach, z którymi pracowałem, o pieniądzach, które

przepuściłem, o kobietach, z którymi się pieprzyłem i które wypieprzyłem. Aż tu zjawia się on. Ale lepsze takie towarzystwo niż żadne, więc spróbowałem oczyścić atmosferę.

– Mały, nigdy nie słyszałeś powiedzenia „lepiej późno niż wcale”?

Patrzył na mnie gniewnie. Prosto w oczy, przewiercał mnie tym spojrzeniem na wylot. Jakby mi chciał czytać w myślach. Usiłowałem zachować szczery wyraz twarzy. No wiecie, zdaję sobie sprawę, że w jego oczach jestem draniem, ale to nieprawda. Owszem, mam swoje sekrety; kto ich nie ma? Nie każda kobieta, z którą spałem, wiedziała o wszystkich innych kobietach, z którymi sypiałem w tym samym czasie. Czasami było to dość skomplikowane, ale nigdy nie musiałem ukrywać czegoś naprawdę poważnego. Opuściłem Diane, owszem, ale zostawiłem jej adres, na wszelki wypadek. Nigdy z niego nie skorzystała. Więc kiedy przeprowadziłem się następnym razem, być może zapomniałem podać jej nowy. Nie próbowałem się ukrywać, ani przed nią, ani przed nikim. Po prostu przenosiłem się z miejsca na miejsce. Jestem jak otwarta książka. Nieskomplikowany ze mnie facet. Niektórzy twierdzą nawet, że płytki. Właściwie to sporo ludzi tak twierdzi. Szczególnie kobiety; zarzucały mi to niezliczoną ilość razy. Ale pytam: czy bycie skomplikowanym naprawdę jest takie fajne? To po prostu inne określenie na skłonność do obsesji i depresję. Albo na tych dupków po studiach, którzy uważają się za lepszych od innych ludzi. Jestem niewymagający. Łatwo mnie zadowolić. Nie martwię się na zapas. Jeśli z tego powodu jestem płytki, trudno. Możecie mnie zastrzelić. Szczerze mówiąc, bardzo bym chciał, żeby mnie ktoś zastrzelił. Mam wrażenie, że każda kość w moim ciele jest niezależnym źródłem bólu. To piekło.

Jestem w piekle.

Przywykłam do tego, że mężczyźni mnie upokarzają. Niestety, taka jest prawda. Szczególnie mężczyźni o promiennych niebieskich oczach i ciemnych włosach. Niemniej to ostatnie upokorzenie naprawdę boli. Zaczęłam rozmawiać z Deanem tylko dlatego, że, no cóż, potrzebuję towarzystwa. Jakiegokolwiek towarzystwa, nawet mężczyzny tak cynicznego i obojętnego, choć – nie da się ukryć – ciacha. Oczywiście, to nie pierwszy raz, kiedy szukam towarzystwa takiego faceta, choć tym razem jest inaczej. Tym razem nie wpatruję się w cyniczne, obojętne ciacho, udając sama przed sobą, że mam go za fantastycznego faceta, żeby móc w spokoju fantazjować o umawianiu się z nim, a w końcu (co oczywiste) poślubieniu go. Nie potrzebuję już tej fantazji. Teraz wiem, dlaczego nigdy nic z tego nie wychodziło; ja po prostu mam być z Martinem. Taki jest cel tej podróży, jak nie omieszkałam wyjaśnić z detalami temu całemu Deanowi Taylorowi. A ponieważ wcale go nie podrywam, uważam, że nie muszę znosić jego grubiaństwa. Byłam tylko miła. Nie powinno mnie obchodzić, co on sobie myśli.

 Nie obchodzi mnie, co on myśli.

 Patrę z oburzeniem na ekran między nami. Niewątpliwie sprawiam wrażenie osoby, którą to obchodzi, i to bardzo. Ten facet ma fantastycznie wyrzeźbione mięśnie brzucha. I podbródek, za który można zabić. Usiłuję sobie z całych sił przypomnieć podbródek Martina, lecz obawiam się, że nie potrafię. Ale minęło przecież sporo czasu, więc to chyba normalne. Na pewno. Muszę znów zacząć myśleć o Martinie w czasie terażniejszym; tak długo był dla mnie przeszłością. Dla jasności, mój komentarz na temat podbródka Deana czy innych części jego aż nazbyt atrakcyjnego ciała wynika jedynie z poczucia estetyki. Niczego więcej. To tak, jakbym zwiedzała galerię i komentowała obrazy albo – lepiej trzymajmy się bardziej prawdopodobnych scenariuszy – jakbym na Islington High Street komentowała cudowną kieckę albo niesamowite buty. Nie twierdzę, że mnie

interesuje w tradycyjnym sensie tego słowa. Jest mi niemal zupełnie obojętny, co dowodzi mojego silnego przywiązania do Martina oraz planów na wspólną, dojrzałą przyszłość bez palpacji i miłego ciężaru w podbrzuszu, który nie ma nawet przyzwoitej nazwy.

Niemal obojętny.

Prawda jest taka, że zaczęłam rozmawiać z Deanem, ponieważ w chwili gdy przestałam mieć zajęcie, kiedy nie było już perfum, próbek kosmetyków ani ludzi, którzy by mnie absorbowali, zaczęłam odczuwać... niepokój. Nie z powodu ewentualnej katastrofy lotniczej albo szans na przeżycie dzięki masce tlenowej i kamizelce pod siedzeniem, ale z powodu tego, co zamierzam zrobić. Ogrom mojego przedsięwzięcia naprawdę mnie przytłacza. Mam przebyć sześć i pół tysiąca kilometrów, żeby zobaczyć się ze swoim byłym – byłym, z którym do dzisiejszego ranka nie rozmawiałam ani razu przez pięć lat – i przekonać go, żeby nie żenił się ze swoją narzeczoną.

To szaleństwo.

Ale jakże romantyczne, podniecające i realne. Prawda? Chociaż głównie przerażające. Bardzo. Wypiłam za dużo szampana i nie pamiętam już tak dokładnie, co Martin powiedział przez telefon. Zachęcał mnie? Czy może był tylko uprzejmy? A ten cały Dean uważa, że jestem samolubną krową. Uch, to boli. Ale bardzo się myli, naprawdę. Wcale nie jestem samolubna. Tylko jak mu to wyjaśnić? Jak mam się przyznać, że prawda jest dużo gorsza? Jestem samotna. Jestem trochę samotna. Właściwie bardziej niż trochę. Jestem rozpaczliwie samotna.

Żaloszne, prawda? Kto się przyznaje do czegoś takiego? Nikt. Ale ja i owszem. Chodzi o to, że mam już dość samotności. Jasne, podróżuję w pojedynkę, ale czuję się samotna w dużo szerszym i głębszym znaczeniu tego słowa. Nie chodzi mi tylko o wczoraj, kiedy obudziłam się w mieszkaniu pokazowym z żonatym facetem, który nawet nie wiedział, jak mam na imię, czy dzisiaj, kiedy kręciłam się bez celu po lotnisku, przyglądając się, jak ludzie witają swoich najbliższych. Prawdę powiedziawszy, czuję się samotna już od jakiegoś czasu. Nie zamierzam o tym trąbić. To takie nieatrakcyjne. I krępujące, prawda? Łatwiej opowiadać o tym, jak moi liczni kochankowie polują na punkt G, niż przyznać się do samotności. Ale ja naprawdę czuję się samotna, kiedy opiekuję się dziećmi Lisy (i to nie tylko w walentynki) i kiedy kupuję w supermarkecie dania dla jednej osoby. Czuję się samotna po

przeczytaniu ciekawej książki albo po obejrzeniu filmu, kiedy chcę o nich z kimś porozmawiać. Oczywiście mogę wstąpić do klubu książki, a moje przyjaciółki często przychodzą do mnie na filmy, ale i tak w moje życie zakrada się samotność. To dlatego siedzę teraz w samolocie; próbuję postawić tamę samotności. I dlatego zwierzyłam się Deanowi Taylorowi. Chciałam tylko, żeby zajął mnie czymś podczas lotu do Chicago. Po prostu chciałam mieć przez kilka godzin towarzystwo. Czy to znów tak wiele?

Zresztą Dean wysyła mi sprzeczne sygnały. Mam świadomość, że ściana z gazety i przepierzenia, którą wzniosł między nami, ma mi dać dobitnie do zrozumienia, że nie chce ze mną rozmawiać, ale jego reakcja na moje pierwsze pytania wskazywała na coś zupełnie innego. Myślałam, że on również ma ochotę na towarzystwo, tylko że jest zbyt nieśmiały, żeby sam nawiązać rozmowę.

A mojej historii słuchał tak uważnie i z takim zainteresowaniem, że była to, uczciwie mówiąc, miła odmiana. Przywykłam do tego, że kiedy mówię o Martinie albo innym byłym chłopaku, krewni i przyjaciółki wciąż mi przerywają i zaprzeczają albo irytują mnie sprzecznymi teoriami. Milczenie Deana podniosło mnie na duchu. Kiedy dotarłam do końca opowieści, spodziewałam się raczej, że poda mi rękę i pogratuluje odwagi i superromantyzmu.

Tymczasem on nazwał mnie samolubną krową.

To wstrętne i niegrzeczne, prawda? Jakże on ma prawo mnie osądzać? Nie prosiłam go o komentarze!

Tyle że właściwie poprosiłam, otwierając się przed nim i dzieląc się swoją historią; musiał sądzić, że chcę usłyszeć jego zdanie. Nie powinnam była mu zaufać tylko dlatego, że kiedy przygryza paznokiec, wygląda równocześnie bezbrinnie i cholernie atrakcyjnie, i że zachował się przyzwoicie, kiedy oblałam go szampanem. Takie rzeczy nie oznaczają automatycznie, że to dobry człowiek. Powinnam się była domyślić, że to kawał seksistowskiego egoisty. Że spojrzy na sytuację tylko ze swojego, uprzywilejowanego punktu widzenia. Co ten piękny mężczyzna może wiedzieć o samotności, rozpacz czy rozczarowaniu?

Nagle zasycha mi w gardle; trzy (cztery? więcej?) kieliszki szampana potrafią zrobić coś takiego dziewczynie. Macham znów na stewarda, a on z ulgą przyjmuje moją prośbę o wodę. Wypijam dwie szklanki, jedną za

drugą, po czym pytam, czy mogę zatrzymać litrową butelkę. Żałuję gorzko rozmowy z Deanem Taylorem. Powinnam się świetnie bawić podczas tego lotu, w końcu dostałam za darmo miejsce w klasie biznes, a lecę odzyskać miłość swojego życia; z czego się tu nie cieszyć? Tymczasem on mi wszystko popsuł. Nazwał mnie samolubną krową. Nie jestem krową. Nie jestem samolubna! Po prostu próbuję zbudować sobie życie. Patrzę na swoje ręce i liczę do stu, trzy albo cztery razy; to lepsze niż myślenie.

Dostaję dolewkę szampana i menu; okazuje się, że mam sobie coś wybrać z imponującej listy, na której widnieje pieczona wieprzowina z karmelizowanymi jabłkami, lambraks z rusztu z duszonym koprem włoskim i stek z sosem koniakowo-pieprzowym, ale jestem tak przybita, że nie potrafię podjąć decyzji. Zapewne dlatego, że przywykłam do prostego wyboru między kurczakiem a wołowiną. Zamawiam cokolwiek, a kiedy to dostaję, wygląda przepysznie; wszystko na mojej tacy, nawet pełnoziarniste bułeczki i trufle z czekolady, jest niezwykle, ale z jakichś powodów nie udaje mi się wmusić w siebie więcej niż kilka kęsów. Zastanawiam się, czy nie obejrzyć jakiegoś filmu; oferta jest naprawdę duża, ale wątpię, bym zdołała się skupić na akcji. Patrzę groźnie na przepierzenie między mną a Deanem. Mam nadzieję, że wyczuwa przez plastik moją pogardę.

Słusznie robię, jadąc do Martina. Jestem tego pewna. Nie chcę go zranić ani upokorzyć, moim celem nie jest popsucie mu najwspanialszego dnia w życiu. Dam mu wiele innych szczęśliwych dni. Lepszych dni. Na pewno.

Niestety, pamięć nie poddaje się tak łatwo i dobija się do mojej świadomości; przez wszystkie te lata starałam się jej nie uruchamiać, ale teraz wspomnienia nie dają za wygraną. Nagle znów staje mi przed oczami zimny, marcowy wieczór, kiedy odwołałam nasz ślub. Czuję zapach pąków na drzewach, a na rękach i twarzy powiew wiatru.

Najpierw powiedziałam o swojej decyzji rodzicom. Wyrzuciłam to z siebie zaraz po przymiarce sukni, kiedy siedzieliśmy na werandzie w ich domu w Wimbledonie, popijając wino. Taka wiadomość to dobry sposób na zepsucie nastroju. Myślałam – miałam nadzieję – że jak powiem im, najgorsze będą miała za sobą. Spodziewałam się, że mama będzie trochę histeryzować, ze względu na wstyd przed ludźmi i ponieważ nie będzie miała okazji włożyć tego perłowego płaszcza i kapelusza, które sobie sprawiła, ale oczekiwałam również zrozumienia, a może nawet

pobłażliwości.

– Jak Martin to przyjął? – spytał tata.

– Jeszcze mu nie powiedziałam. Miałam nadzieję, że może ty to zrobisz. Że może lepiej, żeby usłyszał to od ciebie. No wiesz, w męskiej rozmowie – wyjaśniłam. Podniosłam wzrok i okazało się, że rodzice mają takie same miny: niedowierzanie mieszało się na ich twarzach z frustracją.

– Gdzie on teraz jest? – chciał wiedzieć tata.

– Gra w piłkę z kolegami z pracy. Mam się z nim spotkać w pubie.

– Weź płaszcz, zawiozę cię.

To było okropne. Najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

Martin od razu domyślił się, że coś się stało, gdy tylko zobaczył, jak wysiadam z samochodu taty. Pewnie sądził, że florystka nie może dostać kalii albo że nastąpiła inna „katastrofa” podobnego rodzaju. Nabrałam zwyczaju regularnego informowania go o ślubnych katastrofach: kłopotach z rozsądzeniem gości, wizją fotografa i bezowocnych poszukiwaniach butów dla drухen. Wszystko to urastało w naszych oczach do rozmiarów katastrofy. Ale wtedy, w ten rześki wiosenny wieczór, kiedy Martin wrócił spocony i umazany błotem z boiska, dowiedział się, jak wygląda prawdziwa katastrofa.

Że katastrofa to usłyszeć od narzeczonej, że wcale cię nie kocha, a przynajmniej nie na tyle, żeby wyjść za ciebie. Że nie jesteś dla niej dość dobry. Że nie jesteś tym jedynym. Martin płakał i błagał, przekonywał mnie, że to tylko nerwy; wreszcie wpadł w złość i nazwał mnie głupią, żalostną, pieprzoną suką, która sama nie wie, czego chce. Potem przeprosił za to, co powiedział, i znów zaczął płakać. Tata odwiózł go do naszego mieszkania, które ja opuściłam; wróciłam metrem do Wimbledonu.

– Pożałujesz tego. Popelniasz wielki błąd – warknął na pożegnanie Martin, cały usmarowany błotem i wściekły.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście sprawiał wtedy wrażenie upokorzonego. Skąd Dean to wiedział? Udało mi się zablokować w sobie to wspomnienie, przykryć przekonaniem, że odwołanie ślubu to była właściwa decyzja – choć oczywiście sprawiła zawód wszystkim zaproszonym – ponieważ nie kochałam Martina wystarczająco, żeby uszczęśliwić nas oboje. Widzę teraz, że zbyt wielką wagę przywiązywałam do chemii, a raczej do jej braku. Zrozumiałam jednak swój błąd, więc wyjaśnienie tego i odwołanie jego

drugiego ślubu jest usprawiedliwione. Prawda?

Nagle czuję, że nie mogę oddychać. Tonę w zwątpieniu, przytłoczona wstydem. Mam wrażenie, że zaraz załamie się pod jego ciężarem. Rozpinam pas, wstaję niepewnie i idę do toalety, wpadając po drodze na dwóch pasażerów; obie kolizje wywołują zirytowane prychnięcia. Wiem, że wszyscy tutaj mnie nienawidzą, ale muszę rozprostować nogi i przemyć twarz wodą. Liczenie do stu już nie wystarcza.

Deana zauważam dopiero, kiedy docieram do drzwi toalety. Stoi tyłem do mnie, bez zainteresowania przeglądając kosz z przekąskami dla pasażerów; są tam cukierki, herbatniki i owoce. Nie jest tym zbyt zajęty; sprawia raczej wrażenie kogoś, kto robi to z nudów. Napis wskazuje, że toaleta jest zajęta; to dla mnie jakby wyrok śmierci. Dziwnie by to wyglądało, gdybym zawróciła teraz na miejsce, więc zostaję i modłę się, żeby ten ktoś wyszedł z łazienki, nim Dean zdecyduje, czy woli chipsy czy czekoladę, odwróci się i mnie zobaczy. Ale świat jest przeciwko mnie; często tak się dzieje. Choć modłę się, żeby się nie odwrócił, on właśnie to robi. I może wrócić na swoje miejsce, tylko przeciskając się koło mnie.

– Przepraszam, chciałbym przejść – mówi sztywno.

Przesuwam się, ale tylko trochę, bo nie chcę wyjść na uległą, więc kiedy mnie mijają, przesuwam łokciem po mojej piersi. Odczuwam to jak pocałunek; rzadki moment uniesienia, które wstrząsa całym moim ciałem, koncentruje się w podbrzuszu i zaskakuje mnie zupełnie. Nie lubię tego faceta. Obraził mnie. Zranił. Ale nagle, nad tym wszystkim, przeważało zwyczajne seksualne pożądanie.

Bum!

To jest dokładnie to, o czym przed chwilą mówiłam. To coś, co nie jest takie ważne. Bo nie jest. Nie jest. Tylko tak się wydaje, że jest.

Rozkoszne ciepło pulsuje w moim ciele. Łapię się na tym, że wpatruję się w Deana, w jego usta, nos, uszy. Chcę je skubać, gryźć i ssać, niekoniecznie w tej kolejności. Chwycić. Przytrzymać. I co dalej?

Zerkam na niego ukradkiem, zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Jestem ciekawa, czy on też to poczuł. Wydaje się wstrząśnięty i jakby zawstydzony, co wskazuje, że i owszem. Nagle uświadamiam sobie z przeraźliwą jasnością, że tutaj naprawdę nie ma dokąd iść; otacza nas wyłącznie przestwór nieba.

Czy wróci na swoje miejsce? Czy coś jeszcze powie? Czy potrafimy udawać, że to się nie zdarzyło? A może to, co właśnie poczułam, to wina wysokości? I szampana. Taka mieszanka jest widać zabójcza. Nie mogę zakochać się w Deanie. Nie dlatego, że nie jest atrakcyjny – już ustaliliśmy, że jest, i to wyjątkowo – ale dlatego, że właśnie przekonałam sama siebie, iż Martin to ten mój jedyny, więc inni mężczyźni nie powinni robić na mnie takiego wrażenia. Mam nadzieję, że Dean wróci na swoje miejsce i nic do mnie nie powie. Już nigdy.

Albo odwrotnie.

Wszystko jedno.

Z westchnieniem i prawdę powiedziawszy jakby z niechęcią, Dean odzywa się jednak do mnie.

– Podoba ci się lot? – Jego oddech jest ciepły, czuję, jak opada na moją skórę. Ta poufałość uspokaja mnie, zamiast wzbudzać sprzeciw. Co gorsza przez głowę zaczynają mi przemykać obrazy. Że budzę się w łóżku, u jego boku, po nocy pełnej namiętności. Potrząsam głową. Nic z tego.

– Niezbyt – mówię szczerze. Nie jestem pewna, czy zapyta dlaczego, więc od razu odpowiadam i na to pytanie. – Zdenerwowałeś mnie.

– Rozumiem.

– Nie mogłam cieszyć się lunchem. Taki pyszny darmowy posiłek, a ty mi go zepsułeś.

– Nie chciałem.

– Nie wolno ci mnie oceniać. Wcale mnie nie znasz. Nie rozumiesz mojej sytuacji. Nie popełniam błędu.

Dean zamyka oczy i masuje sobie kark.

– Powinniśmy się nawzajem oceniać. Tylko to nie pozwala nam się zmienić w zwierzęta. Obawa przed klęską w oczach społeczeństwa uchodzi za swego rodzaju moralność. – Przerzywa, jakby się zastanawiał, czy warto się zdobyć na taki wysiłek. – A ty popełniasz błąd – mówi z westchnieniem.

Chcę powiedzieć coś kąśliwego albo może lepiej coś przemyślanego, ponieważ jego słowa zrobiły na mnie wrażenie. Czy to, co powiedział, jest wynikiem przemyśleń, czy po prostu wpadło mu teraz do głowy? Drzwi toalety otwierają się akurat w tym momencie i wychodzi z nich niezwykle wysoki i masywny facet, przytłaczając nas swoją posturą. Dean i ja wykonujemy mały taniec, by uniknąć ponownego kontaktu fizycznego.

Chyba nie poradzę sobie z drugą taką błyskawicą. Wciąż usiłuję przekonać sama siebie, że ta pierwsza to wynik naelektryzowania powietrza, zwykła iskra albo coś w tym rodzaju; nie chcę się przekonać, że wcale nie. Poza tym czuję odór z toalety i całkiem wbrew logice czuję wstyd. Chociaż nie ja jestem autorem tego fetoru, wstydzę się przed Deanem.

– Ty pewnie nie popełniłeś w życiu żadnego błędu. Jesteś chodzącą doskonałością – rzucam żałośnie i dziecinnie, po czym obracam się na pięcie i zamykam w toalecie.

Stoję tam, zalana szokująco jasnym światłem, i żałuję, że nie zabrałam ze sobą kosmetyczki. Mam ochotę odświeżyć makijaż. Nie próbuję zrobić wrażenia na Deanie; nie chcę wyglądać dobrze dla niego, po prostu nie chcę wyglądać gorzej niż zwykle, a w tej chwili zbliżam się wielkimi krokami do tego punktu. Jestem przeraźliwie blada, wysokość i zamknięty obieg powietrza odebrały mojej twarzy wszelkie kolory. Oczy mam zaczerwienione i opuchnięte. Ochlapuję twarz wodą, a potem mocno ścieram rozmazany tusz pod oczami. Szczypię się w policzki, jakbym była jakąś edwardiańską debiutantką szykującą się na bal, a potem cmokam ze zniecierpliwienia nad własną głupotą. To bez znaczenia, jak wyglądam. Kiedy już dotrę do Chicago, mogę pójść do kosmetyczki albo do domu towarowego i zrobić sobie profesjonalny makijaż. Mogę nawet pójść do fryzjera. Kiedy spotkam się z Martinem, będę wyglądała dużo lepiej. A tylko to się liczy.

A jednak przeczesuję palcami włosy.

Clara

Clara podała Timowi list, jakby to wszystko wyjaśniało. Nie miewali przed sobą tajemnic; musieli ukrywać tyle rzeczy przed tyloma osobami, więc dawno temu, kiedy zrozumieli wszystko o sobie nawzajem, uznali, że pozostaje im tylko jedno wyjście: szczerłość. Oczywiście niczego nie mówili wprost; nigdy też nie wdawali się w szczegóły. Zaciągali na nie zasłonę milczenia, ale nigdy nie kłamali ani niczego celowo nie ukrywali.

Tim wziął od niej list. Najpierw pomyślał, że papier jest cienki i tani i że żaden z ich przyjaciół nie mógł przysłać listu napisanego na czymś takim. Ich przyjaciele byli wyrafinowani i lubili się pokazać. Nawet zwykły liścik z podziękowaniem za miły wieczór był przemyślaną inwestycją; nie wystarczyło wyrwać kartkę A4 z notatnika kupionego w kiosku. Westchnął i uznał, że to pewnie list od szantażysty.

Droga Claro,

Oto przysłowiowy powrót do przeszłości. Przepraszam, że tak stereotypowo otwieram naszą dawną korespondencję, ale mam ograniczone możliwości. Powinienem przeprosić, że Ci zawracam głowę? Czy ktoś potrzebuje takich powrotów? Nieliczni. Większość – w tym ja sam – woli, by przeszłość pozostała w miejscu, gdzie ją zostawiliśmy, a mimo to czułem, że muszę napisać. Ponieważ tego chciałem, a jak dobrze wiesz, zwykle robię to, co chcę. Nie da się tego ładnie powiedzieć, więc powiem wprost. Umieram. Przepraszam za szczerłość. Chryste, przeprosiłem Cię trzy razy w jednym akapicie. Wątpię, czy przez całe życie przeprosiłem tyle razy wszystkie moje kobiety razem wzięte.

Nie obawiaj się, nie zamierzam Ci wyjawić żadnej mroźnej krew w żyłach tajemnicy. Ani prostacko deklarować nieśmiertelnej miłości (co byłoby śmieszne, zważywszy, że umieram – zresztą byłoby śmieszne w każdych okolicznościach). Ten list to po prostu uchYLENIE kapelusza. Ukłon. Tylko nie prosz o bis. Kiedy to piszę, czuję się dość samotny. Nie jest to takie

znów zaskakujące, zważywszy, jak żyłem i jakich dokonałem wyborów. Nie proszę Cię o litość ani o nic równie ckiego. Boże broń. Dobrze mi się działo. Dobrze się bawiłem. W sumie było tak, jak chciałem, żeby było. Tyle że radzą mi tutaj, żebym pozatwiał wszystkie swoje sprawy. Więc napisałem do prawnika i do domu pogrzebowego, ale zostało mi jeszcze trochę papieru. I pomyślałem, że napiszę do Ciebie.

Widzisz, leżąc tu i czekając na śmierć, miałem czas na wspomnienia. Pamiętam, jak płonęliśmy. Bo płonęliśmy, prawda? To trwało tak krótko. Przynajmniej tak to zapamiętałem. Dokonałaś swojego wyboru i ja go szanuję. Nie próbuję rozdrapywać starych ran. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że przez ostatnie miesiące wśród całego tego bólu (a wierz mi ,Claro, to boli jak diabli) myślałem o Tobie – od czasu do czasu – i że było mi wtedy łatwiej. Troszeczkę. Uznałem, że chciałaś o tym wiedzieć.

To wszystko. I już. Przepraszam, że zawracam Ci głowę.

*Powodzenia
Eddie*

Tim nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć, wyjąwszy oczywiście fakt, że wysyłanie listów jest w tych czasach takie staroświeckie; większość ludzi wysyła e-maile. A list o takim znaczeniu – list od umierającego człowieka – w ogóle wykraczał poza skalę.

– Nie opuszczasz mnie chyba dla niego – sam nie wiedział, czy to stwierdza, czy o to pyta.

– Oczywiście, że nie.

– On umiera, Claro. Eddie Taylor umiera – Tim wypowiedział to nazwisko tak jak zawsze. Dwadzieścia dziewięć lat nic tu nie zmieniło; te cztery sylaby wciąż wymawiał ze złością, zazdrością i strachem.

– Ja to rozumiem. Powiedziałam, że nie odchodzę od ciebie dla niego. Mogłam to zrobić milion lat temu, gdybym chciała.

– Więc dlaczego odchodzisz?

– Milion lat temu – powtórzyła Clara, a do oczu napłynęły jej łzy, co równocześnie zawstydzilo ją i zirytowało.

– O co ci właściwie chodzi?

– Kiedy o mnie myśli, łatwiej mu znieść ból – szepnęła. O to jej chodziło.

– Tak, czytałem.

– Czy to nie romantyczne?

- To trudne pytanie, jeśli pada z ust żony.
 - Wątpię, czy kiedykolwiek złagodziłam twój ból.
 - Ależ tak, na wiele sposobów. Z nami jest inaczej – Tim zakaszał. Ta rozmowa obierała zaskakujący kierunek.
 - Aż za bardzo inaczej – stwierdziła Clara. To, co było między nimi, nie wystarczało. Jak to możliwe, że aż tyle czasu zajęło jej przyznanie tego przed samą sobą? – Nie chcę tego dłużej ciągnąć. Już nie.
 - Wiedziałaś, na co się godzisz.
 - Nieprawda, przynajmniej z początku. A potem mieliśmy troje dzieci, więc co miałam robić?
 - Ja też z początku nie wiedziałem na pewno. Sądziłem, że nad tym panuję, że to tylko taka faza, że mi przejdzie.
 - Tim, jesteś gejem, a nie narkomanem albo hazardzistą. To nie przechodzi. Powinieneś być wolny, żeby być sobą – ucięła Clara. Pomyślała, że ona też powinna być wolna właśnie z tego powodu.
 - Pracuję w City, Claro.
 - Nie jesteś tam jedynym gejem!
 - Wśród takich starych wyjadaczy jak ja nie ma gejów. Z młodymi zapaleńcami jest inaczej.
 - Nieprawda. A przynajmniej nie powinno tak być. Czasy się zmieniły. Clara odstawiła energicznie kieliszek.
 - Jestem za stary na zmiany – pokręcił ze smutkiem głową.
 - A ja nie! To śmieszne. Oboje jesteśmy śmieszni. Jestem kobietą, a nie zbędnym włosem na twarzy.
- Ta marna próba żartu wzbudziła irytację Tima. To nie była odpowiednia chwila na żarty, nie było tu nic do śmiechu. Spojrzał uważnie na żonę i jak zwykle uderzyło go piękno i symetria jej twarzy. Zawsze sprawiała wyjątkowo miłe wrażenie estetyczne. Zgrabna, smukła, o nienachalnej urodzie. To ta szczupłość jej ciała i schludność umysłu zwróciły jego uwagę. Miała w sobie taką staroświecką rezerwę, którą bardzo sobie cenił. Żałował, że nie może jej kochać w taki sposób, jak mąż powinien kochać żonę. To byłoby dużo bardziej na miejscu.
- A pomijając już moją karierę, co powiedzą dzieci? A moi rodzice? Sąsiedzi?
 - Nie obchodzi mnie, co powiedzą.

– Zawsze cię obchodziło.

– To było niemądre z mojej strony. – Clara przycisnęła list do serca i zaczęła się lekko kołysać w tył i w przód, jakby niańczyła dziecko. Tim nie miał pojęcia, dlaczego zachowuje się w ten sposób.

– Chciałbym cię dobrze zrozumieć. Opuszczasz mnie, ponieważ Eddie Taylor dostał trzy kartki papieru, a nie dwie?

– Och, Tim.

– Przecież wiesz, że napisał do ciebie tylko dlatego, że została mu wolna kartka! – Tim rzadko podnosił głos, ale na chwilę górę wzięły ból i upokorzenie. – Nasze trwające trzydzieści osiem lat małżeństwo ma się zakończyć z powodu wolnej kartki papieru?

Clara przestała się kołysać, wyprostowała ramiona.

– Zabawne, jak się sprawy układają, prawda? – odpowiedziała ze swym zwykłym opanowaniem. Niemal niewinnie.

Dean

Dean zauważył, że wyszła z toalety. Niepokój niemal odebrał jej twarzy cały urok. Niemal, ale nie do końca. Czuł się podle. To było takie staroświeckie uczucie, coś, co zwykle kojarzył jedynie z Zoe i ich nielicznymi sprzeczkami w dzieciństwie. Czasami, ale rzadko, irytowało go, że Zoe tak się go trzyma, i próbował się od niej uwolnić, żeby pobyc trochę z chłopakami w swoim wieku, a nie wciąż niańczyć siostrę. Ale zawsze całą zabawę psuła mu świadomość, że ona siedzi sama przy oknie i czeka na jego powrót. Czuł się taki podły, że nie mógł się bawić z kolegami i zawsze wracał wcześniej, niż musiał, żeby dotrzymać jej towarzystwa; jej zmartwiona twarz natychmiast rozpromieniała się na jego widok. Ta Jo wywierała na niego podobny wpływ, choć, jak przekonywał sam siebie, ze zdecydowanie bliższego powodu. A poza tym nie była jego siostrą; nie musiał się starać jej pocieszyć, to nie był jego problem. Spróbował pozbyć się poczucia winy, ale wciąż wracało, jak dokuczliwy komar. Do diabła, jakby już i bez tego nie miał dość problemów; ostatnie, czego mu teraz było trzeba, to ktoś, o kogo musiałby się troszczyć.

A jednak troszczył się o nią.

Albo był nią zainteresowany.

Jedno z dwojga.

Musnął łokciem jej pierś, a wówczas jego penis zareagował jak dźgnięty ostrogą. Jak to było w ogóle możliwe w takich okolicznościach? Własne kłopoty i jej oczywiste zidiocenie powinny wykluczyć podobne reakcje. Nie chciał czuć do niej pożądania. Z daleka było widać, że ta kobieta to chodząca katastrofa.

Wbrew pozorom i głębokiemu przekonaniu połowy żeńskiej populacji Chicago, Dean nie starał się celowo krzywdzić kobiet; nie był psychopatą czy mizoginem. Ranił je, owszem, ale dlatego, że go nie słuchały. Kiedy twierdził, że nie chce się wiązać, że nie szuka związku i że nie chce mieć stałej partnerki, mówił zupełnie serio. Tymczasem, z nieznanых przyczyn, każda kolejna kobieta sądziła, że będzie właśnie tą, która go odmieni, że go

zwiąże ze sobą i zatrzyma. Więc próbowała, nie udawało jej się i cierpiała z tego powodu. Dean starał się jednak traktować kobiety sprawiedliwie. Chłodno i na dystans, ale sprawiedliwie.

Gdyby ta Jo była jakąś twardą, drapieżną suką, mógłby ją zignorować. Ale ona taka nie była. Zamierzała popełnić straszną głupotę, ale widać było z daleka, że nie chce nikogo skrzywdzić (choć niewątpliwie to zrobi). Kiedy opowiadała o tym Martinie, nie wspomniała ani razu o życiu, jakie mógł jej zapewnić, o jego pieniądzach czy rozmiarach mieszkania; używała wyłącznie określeń w rodzaju „jest mi przeznaczony”, mówiła o znalezieniu bratniej duszy i inne takie bzdury. Wbrew sobie Dean poczuł się zaintrygowany. Czy ktoś naprawdę wierzył w takie rzeczy? To przecież chore. Zastanawiał się, czy byłby w stanie obronić ją przed nią samą, to znaczy gdyby spróbował. Lubił wyzwania. A poza tym i tak nie docierało do niego ani jedno słowo z tego, co czytał; myśli wciąż mu uciekały. Ciągle myślał o Eddiem Taylorze, o tej jego szarej skórze i rzęzącym oddechu, chociaż wcale tego nie chciał. Doszedł do wniosku, że Jo może go przynajmniej czymś zająć, więc kiedy wróciła na miejsce, wyciągnął do niej paczkę szkockich ciasteczek i batonik Twix.

– Pomyślałem, że musisz być głodna, skoro nie zjadłaś lunchu. – Zmierzyła go niechętnym spojrzeniem; wyraźnie jeszcze mu nie przebaczyła. – Wybieraj – zachęcił ją. Przywykł do złoścących się kobiet i potrafił je szybko przebłagać.

Obdarzył ją swym najlepszym uśmiechem.

– Wezmę ciasteczka – powiedziała w końcu.

Czasami było mu żal kobiet; były takie przewidywalne, takie uległe. Ostrożnie rzucił jej ciasteczka, ale i tak nie udało jej się ich złapać i paczka utknęła między jej prawą ręką a lewą piersią. Tą samą, którą musnął przed toaletą. To była ładna pierś. Obie jej piersi były ładne. Postanowił udawać, że nic nie zauważył. Wsadził sobie do ust całego twixa, pogryzł, a potem odwrócił się do tej dziwnie szczerzej, ale straszliwie nierozsądnej kobiety. Czuł się dziwnie pobudzony, niemal do szaleństwa. Zapewne to wynik szoku.

– Słuchaj, przepraszam, jeśli cię obraziłem. To nie moja sprawa – powiedział.

Spojrzała na niego znad ciasteczka. Wytrzymał jej spojrzenie, czekając,

aż złagodnieje. Założył się ze sobą, że to się stanie, nim doliczy do trzech. Ale odezwała się już w chwili, gdy pomyślał „dwa”.

– Och, to bez znaczenia. Chciałam tylko nawiązać rozmowę – stwierdziła i przełknęła kawałek ciasteczka. Jej oczy przeczyły temu oświadczeniu. Te zwierzenia to było coś więcej niż zwykła rozmowa z towarzyszem podróży. Przyszło mu do głowy, że może potrzebowała wsparcia. Nie mógł zaaprobować tego nonsensu, który chciała zrobić, ale nie musiał jej przecież dobijać.

– Może porozmawiamy o czym innym? – zaproponował. – Zaczniemy od początku?

Z zapalem pokiwała głową i uśmiechnęła się promiennie.

– No to opowiedz mi coś o sobie – poprosił, odwzajemniając jej uśmiech.

– A co chcesz wiedzieć?

– Och, wszystko mi jedno. – Popatrzyła na niego nierozumiejącym spojrzeniem, więc uściślił. – Na przykład gdzie mieszkasz?

– W Londynie.

– A w której części?

– Północnej. Tak jakby. Chwilowo.

– Masz ładne mieszkanie? – Jo wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała. – Wynajmujesz na spółkę z kimś? – Poruszyła lekko głowę, ale nie wiedział, czy to było potwierdzenie czy zaprzeczenie. – Może masz skrzynkę na kwiaty, o której chcesz mi opowiedzieć? – spytał poirytowany.

– A co to ma być? Gra w dwadzieścia pytań?

– To dlaczego nagle zrobiłaś się taka skryta?

– A ty dlaczego nagle zrobiłeś się taki dociekliwy?

– Próbuję tylko nawiązać rozmowę.

Rozpoznawszy własne słowa, Jo ustąpiła.

– No dobrze, już dobrze. Prawda jest taka, że jestem, jak by to ładnie ująć, między mieszkaniami. – Westchnęła i dodała: – To znaczy sypiam u siostry na kanapie.

– Och, rozumiem.

– Kiedy zerwałam z Martinem, wynajmowałam pokój u przyjaciółki w ślicznym trzypokojowym mieszkaniu w Islington. Było wspaniale i trwało to całkiem długo, ale potem do Charlotte wprowadził się jej chłopak.

– Dwoje to towarzystwo, troje to tłum.

– Właśnie. Wprowadził się, a zaraz potem oznajmił, że zamierza pracować w domu. I że przydałby mu się pokój na biuro. Kiedy Charlotte wyjaśniła mi sytuację, chwilę zabrało, nim złapałam, o co jej chodzi. Pamiętam, że powiedziałam nawet: „Ale przecież nie mamy wolnego pokoju”.

– Miała na myśli twój pokój?

– Tak jest. – Jo wzruszyła ramionami. Coś zacisnęło się w żołądku Deana; to była empatia. Nie ma nic gorszego niż świadomość, że nie ma się dokąd pójść. To potrafi zmrozić człowieka do kości. – Szybko odkryłam, że odkąd podpisałam umowę z Charlotte, czynsze wystrzeliły w niebo, natomiast moje wynagrodzenie pozostało na tym samym poziomie. I że dysproporcja pomiędzy tym, co zarabiam, a tym, ile chcą za takie mieszkanie, w jakim chciałabym mieszkać, jest bardzo, ale to bardzo duża.

– Rozumiem.

– Nie mam jakichś wygórowanych wymagań – zapewniła go tonem, w którym słycać było równocześnie oburzenie i panikę. – Choć nie mam ochoty dzielić kuchni, łazienki i salonu z obcymi osobami, jestem w stanie się na to zgodzić, ale istnieją pewne granice. Na przykład dzielenie sypialni z obcą osobą. Przecież nie będę spać na piętrowych łóżkach! Mam trzydzieści pięć lat, a nie pięć! – Zaczerwieniła się gwałtownie. Dean domyślił się, że nie zamierzała w ten sposób wyjawiać mu swojego wieku. Pospiesznie ciągnęła dalej. – Dlatego kanapa u Lisy jest taka atrakcyjna, a poza tym mam ją za darmo. Choć oczywiście to tylko chwilowe rozwiązanie.

– Oczywiście. Jak długo u niej mieszkasz?

– Jakies pięć miesięcy.

– Och.

– Ale przecież w końcu się wyprowadzę.

– No wiem.

Jo westchnęła.

– Nie jestem pewna, jak długo jeszcze uda mi się u niej mieszkać. Mam wrażenie, że mój szwagier, Henry, zaczyna się trochę irytować. Wiesz, zawsze przed wyjściem do pracy parzy mi herbatę.

– To chyba miłe.

– Jasne, ja też tak uważałam, ale w zeszłym miesiącu zaczął zakreślać

w gazetach ogłoszenia o wolnych mieszkaniach i podawać mi je razem z herbatą.

– Mieszkanie u kogoś bywa trudne – stwierdził Dean ze współczuciem.

– A przedwczoraj był wobec mnie uszczypliwy, ponieważ ogoliłam nogi jego maszynką do golenia. No i nie powiedziałam, że zużyłam całe mleko, tylko odruchowo wstawiłam do lodówki pusty karton. Po prostu zapomniałam, że dzieci zawsze dostają na śniadanie mleko. Nie mam dzieci, nigdy nie musiałam myśleć w ten sposób. A wielka szkoda. – Skierowała tę ostatnią uwagę gdzieś w przejście między rzędami foteli, a nie do niego, więc jej nie skomentował.

Pomyślał o własnym mieszkaniu, eleganckim lofcie z – jak to określają agenci nieruchomości – kompletem wygód. Loft był duży i zapewniał prywatność, a Dean bardzo to sobie w nim cenił. Nagle, nie wiedzieć czemu, zaczął się zastanawiać, gdzie mieszkał jego ojciec, nim trafił do szpitala. Jako dziecko wiele czasu poświęcał na takie rozważania, ale już od lat nie pozwalał sobie na coś takiego. To było bez sensu, ślepy zaułek. Tymczasem nagle w jego głowie pojawił się nieproszony obraz ojca. Siedział żałośnie samotny w jakiejś kawalerce, w zlewie piętrzyła się góra brudnych naczyń, w jednym kącie stało rozgrzebane łóżko, a w drugim grał mały telewizor. Znał takie mieszkania. Bardzo dobrze je znał. Mógł sobie bez trudu wyobrazić te niezniszczalne brązy i szarości; poczuć zapach kurzu, wilgoci i cudzego potu; usłyszeć sąsiadów kłócących się za ścianami cienkimi jak z kartonu. Odsunął od siebie tę myśl i spróbował przywołać poprzednią wizję ojca, we Francji, rozleniwionego i obojętnego, ale ten obraz gdzieś się zawieruszył. Więc spróbował się skupić na tym, co mówiła Jo.

– Rzecz w tym, że Lisa robi karierę, a Henry pracuje na pół etatu w radzie dzielnic; zajmuje się czymś tam w administracji i ma czas na opiekę nad dziećmi. Skutek jest taki, że widzimy się częściej niż którekolwiek z nas ma na to ochotę. Musieliśmy poznać nawzajem swoje dziwactwa. To po prostu okres przystosowawczy. – Wyraźnie próbowała przekonać o tym sama siebie, nie jego.

– Jakie dziwactwa? – chciał wiedzieć Dean.

– Na przykład lubię rano porozmawiać, a Henry odpowiada monosylabami. Lubię jeść kolację przed telewizorem, a Henry uważa, że rodzina powinna siadać razem do posiłków. Cztery razy zostawiał mi kolację

w piekarniku, kiedy wróciłam do domu później, niż zamierzałam. Nie mam pojęcia, po co zawracał sobie tym głowę. Ciepły talerz nie jest w stanie ocieplić lodowatej atmosfery, spowodowanej spóźnieniem na posiłek.

– Wygląda mi to na jakiś koszmar.

– Bo to czasami jest koszmar. Oczywiście Henry jest dość uprzejmy. W końcu należę do rodziny, a on jest porządnym facetem, więc wiem, że mnie nie wyeksmituje z tej kanapy, ale... – Dean domyślił się, dlaczego urwała. Nie pasowała tam. To nie był jej dom. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Na pierwszy rzut oka ten uśmiech był przekonujący, ale jeśli ktoś przyglądał mu się dłużej niż sekundę, zauważał, że nie jest szczery. Ciekawe, czy ktoś jemu się tak przygląda; z doświadczenia Deana wynikało, że raczej nie. Ludzie woleli akceptować najłatwiejsze i najwygodniejsze wersje, bez względu na prawdę.

– Na pewno cieszą się, że u nich mieszkasz – powiedział, siląc się na beztroski ton.

– Tak sądzisz? – Widać było, że równocześnie jest mu wdzięczna za te słowa i pełna powątpiewania. – Zdaję sobie sprawę, że to ja powinnam się dopasować do nich, a nie odwrotnie, więc ani razu nie poskarżyłam się, że siostrzeńcy budzą mnie codziennie o szóstej rano ani że nigdy nie oglądają w telewizji niczego wartościowego. Byłam piątym kołem u wozu przy dostatecznej ilości par, żeby dobrze poznać podstawową zasadę: niezamężne kobiety muszą się przystosować.

– No tak – Dean odetchnął głęboko. Zapewne miała rację. Postanowił zmienić temat; jej dylematy mieszkaniowe były niemal równie przygnębiające jak jej aspiracje małżeńskie. Dlatego sięgnął po swój ulubiony temat. – A jak zarabiasz na życie?

– Piszę.

– O? To ciekawe – rozpromienił się.

– A ty?

– Pracuję w reklamie. – Nie pozwolił jej zmienić tematu. – A co piszesz? Książki? Artykuły?

– Artykuły.

– Do gazet?

– Do magazynów.

– A konkretnie?

Jo jakby się zawahała.

– Do wczoraj pracowałam dla „Uroczej Panny Młodej”.

Dean ucieszył się, że opanował sztukę zachowywania kamiennej twarzy w każdych okolicznościach; że potrafi ukryć każde uczucie, a przede wszystkim wesołość i drwinę.

– Nie znam tego pisma – rzekł z powagą.

– Nie wątpię. Ma wąską specjalizację. – Jo uśmiechnęła się szeroko, dając do zrozumienia, że właściwie odczytała jego ton. – Nie jesteś jego targetem. Prawdę powiedziawszy, nigdy nim nie będziesz. Wątpię, czy kiedykolwiek kupił to pismo jakiś mężczyzna.

– Kto by to pomyślał, że na świecie istnieje jeszcze taki seksizm.

– Zapewniam cię, że seksizm żyje i ma się dobrze – stwierdziła Jo. W jej głosie pojawiło się znużenie. Dean zastanowił się przez chwilę nad jej odpowiedzią.

– Więc jesteś beznadziejną romantyczką i w dodatku feministką? Jak ci się udaje to pogodzić?

– Jako romantyczka doskonale widzę ograniczenia narzucane kobietom. Żałuję, że nie jest inaczej.

Po prostu nie mógł uwierzyć w jej szczerłość. To było coś więcej niż egzaltowany optymizm. Nie wiedział, jak powinien zareagować, więc skierował rozmowę znów na jej pracę.

– A jak się nazywa twoje nowe pismo? Miałem szansę je czytać?

– Nowe?

– To, które podkupiło cię „Uroczej Pannie Młodej”.

– Och. Pochlebia mi, że tak myślisz i naprawdę niechętnie wyznaję prawdę, ale tak się składa, że w tej chwili jestem również między posadami.

– Rozumiem.

– Wylali mnie.

Cisza opadła na nich jak warstewka kurzu. Deanowi rzadko brakowało słów, ale nagle stwierdził, że nie potrafi wymyślić żadnego uroczonego banału, którym mógłby ją pocieszyć, a przecież był w tym taki dobry. Zaczynał rozumieć, dlaczego ta kobieta potrafiła przekonać sama siebie, że wyprawa za Atlantyk i próba sabotowania ślubu byłego narzeczonego jest jej jedyną nadzieją.

– Na pewno szybko znajdziesz coś nowego – powiedział z wahaniem.

Tylko na tyle było go stać. Spodziewał się, że Jo odegra swoją rolę i grzecznie zapewni, że tak właśnie będzie.

– Nie, nie sędzę – odparła z westchnieniem. Popatrzyła na swoje ręce, złożone na kolanach. Jej poza wskazywała na rezygnację.

– Założę się, że byłaś bardzo dobra w tym, co robiłaś.

– Nie sędzę – powtórzyła. – Kiedyś byłam. Ale teraz nie jestem już tego pewna.

Dean potarł podbródek. Ta kobieta była niewiarygodna. Zdecydowanie będzie musiała zmienić swoje podejście podczas rozmów o pracę. Przez chwilę szukał w myślach nowego tematu do rozmowy.

– Ale masz jakieś hobby, prawda?

– O, tak. Uczę się salsy i francuskiego.

– Wspaniale – powiedział Dean, choć jej słowa zabrzmiały dość przerażająco. Dlaczego samotne kobiety uczą się tańczyć salsę? Myślą, że spotkają na lekcjach mężczyzn czy jak? Nie ma mowy, José.

– Uważasz, że to okropne, prawda? – spytała. Miała dziwną umiejętność odczytywania jego myśli i w dodatku ochoczo z niej korzystała.

– No wiesz, byłoby fajnie chociaż raz spotkać kobietę, która zajmowałaby się czym innym.

– Czym innym? Możesz podać jakiś przykład?

– No nie wiem, uczyła się rzeźbić w drewnie albo zbierała plakaty reklamowe z lat dziewięćdziesiątych. Albo chodziła na seminaria poświęcone starym mapom, to też byłoby fajne. Cokolwiek, byle nie salsa – spojrzał na Jo, a ona zamrugnęła szybko. Zapewne walczyła z łzami. Za dużo mu się wyrwało. Pewnie sama też uważa, że ma kiepskie zainteresowania. Szukał rozpaczliwie czegoś, co mógłby jej powiedzieć, a co zabrzmiałoby przyjaźnie, zamiast podkreślać jej kolejne klęski. Nie miał pojęcia, dlaczego chce być wobec niej serdeczny.

– Może obejrzymy film? – zaproponował. – Widziałem w spisie jakiś z Renée Zellweger i Russellem Crowe'em, który powinien ci się spodobać.

– Skąd wiesz, co mi się podoba? – warknęła.

– Z chęcią obejrzę dla odmiany coś takiego – Dean nie chciał jej drażnić, więc nie wyjaśnił, że czyta w niej jak w otwartej książce. Podał jej broszurę reklamową, którą przyjęła z ociąganiem. Przeczytała streszczenie filmu i westchnęła.

– W zasadzie dokładnie takie filmy lubię – przyznała niechętnie. – Chyba naprawdę go obejrzę.

– To ja też – oznajmił Dean z szerokim uśmiechem. – Możemy obejrzeć go razem.

– Nie musisz tego robić.

– Będzie fajnie. Lubię rozmawiać o filmach, które właśnie obejrzałem. Ty nie?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego przez strasznie długą chwilę.

– No dobrze – zgodziła się wreszcie niechętnie, ale Dean dostrzegł uśmiech czający się w kącikach jej ust i wiedział, że ta niechęć jest z gruntu fałszywa.

Eddie

Pielęgniarka zjawia się niemal dokładnie w chwili, gdy otwieram oczy. Wydaje uspokajające gruchanie, jak kobiety pocieszające płaczące dzieci. Wprawdzie nie mówi „no już, no już”, ale niewiele brakuje. Ktoś płacze. No może nie tyle płacze, ile jęczy. Chwilę mi zajmuje uświadomienie sobie, że to ja.

– Już dobrze, Eddie, tu jest pompa. – Jak zwykle wkłuwają się we mnie, a potem sprawdza wszystkie rurki i odczyty. Robi to sprawnie, ale w taki sposób, że przypomina mi panią Williamson, o której nie myślałem od lat. Była starszą sekretarką dyrektora BBC i do jej obowiązków należało liczenie pracowników po alarmie pożarowym. Byliśmy wtedy takimi głupimi gnojkami. Lubiliśmy jej dokuczać. Przechodziliśmy na inne miejsca w szeregu, żeby jej wychodziło dwadzieścia dziewięć osób zamiast dwadzieścia osiem albo wymykaliśmy się do pubu, a ona denerwowała się, że nie może się nas doliczyć. Zawsze towarzyszyła jej atmosfera paniki. Zawsze spodziewała się najgorszego. Ta pielęgniarka mi ją przypomina. Pani Williamson, która w latach osiemdziesiątych była stara, zapewne już nie żyje. Już nie panikuje.

– Staraj się przyjmować płyny – mówi pielęgniarka.

– Był tu mój syn? – zaskakuje mnie to wypowiedziane na głos pytanie. Nie wiedziałem, że o nim myślę. Brzmi to trochę jak spowiedź.

– Nie, od wczoraj go nie było. – Kładzie rękę na moim ramieniu. Nie mam dość sił, by ją odtrącić, ale jej dotyk sprawia mi ból, a od jej współczucia aż mnie skręca. Zastanawiam się, czy miała zmianę wczoraj, kiedy tu był. Czy coś widziała albo słyszała. To dopiero była scena, choć nie umywa się do innych, których byłem tu świadkiem. Zero dramatyzowania, hysterii i zaciskania pięści. Wszystko odbyło się spokojnie, ale każdy, kto ma choć odrobinę wrażliwości, wyczułby jej wagę. Właśnie szukałem jakiegoś tematu rozmowy; Dean nie jest specjalnie komunikatywnym facetem, a zważywszy naszą przeszłość czy raczej jej brak, zadanie jest dość trudne. To, co

zrobiłem, równocześnie miało znaczenie i go nie miało. To był impuls. Całkiem w moim stylu.

– Mam coś, co może ci się spodobać – powiedziałem, a na jego twarzy pojawiła się mieszanka nieufności i nadziei. Ciekawe, czy należy do tych skomplikowanych facetów, czy jest powierzchowny, tak jak ja. – W szufladzie – dodałem. Posłusznie otworzył szufladę szafki, poszperał chwilę wśród krzyżówek i audiobooków, które pożyczyłem ze szpitalnej biblioteki. Właściwie nie pożyczyłem; wcisnęła mi je pełna dobrych chęci wolontariuszka. To była taka dość miła staruszka; nie miałem siły jej odmówić. – W pudełku.

Dean wyciągnął metalowe pudełko po cukierkach. Nie jest moje, nie lubię cukierków. Jedna z pielęgniarek zauważyła, że moje rzeczy poniewierają się luzem w szufladzie i bała się, że coś zginie. Mogę się założyć, że pacjenci często oskarżają je o kradzieże, więc na wszelki wypadek dała mi to pudełko. Dean otworzył je z wahaniem. Jest ostrożny albo tępy, nie potrafię określić. Musiałem powtórzyć: Tak, to to. Otwórz.

Dean uniósł wieczko. Znałem zawartość. Dwa zdjęcia. Na jednym odbieram nagrodę w klubie golfowym kilka lat temu – zrobiła je żona Vince’a Langtona, która była gościem klubu – a na drugim są Ellie i Hannah. Z dawnych czasów, były wtedy jeszcze małe i uczyły się jeździć konno. Jest tam też mój notes z telefonami – zapisałem tam kontakt do prawnika i całą resztę, niedługo się przyda – klucze, zegarek i obrączka. Dean obejrzał zdjęcie Ellie i Hannah. Widziałem, że chce mnie o nie spytać, ale nie zapytał. Był na to zbyt dumny. Zapewne nie chciał mi pokazać, że go to obchodzi. Potem wziął obrączkę; trzymał ją między kciukiem a palcem wskazującym, jakby chciał przez nią popatrzeć.

– Wiesz, co to jest? – spytałem.

– Obrączka.

– Ale z ciebie Einstein.

– Ślubna obrączka.

– Właśnie. Moja, z małżeństwa z twoją matką. Kiedy się ożeniłem po raz drugi, nie nosiłem obrączki.

– Żeby oszczędzić sobie fatygi z jej zdejmowaniem w barach? – spytał. Uznałem, że to zabawne, choć nie sądzę, żeby to miał być żart.

– Możesz ją sobie wziąć. Chcę, żebyś ją wziął.

– Na co mi twoja obrączka?

Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia. Przecież nie będzie jej nosił, prawda? Ta obrączka nie przynosi szczęścia, nie wiąże się z powodzeniem, radością i zdrowiem. Ale co mam z nią zrobić? Skoro już przyszedł, to pomyślałem, że równie dobrze może ją sobie zabrać. Inaczej dam ją pielęgniarce, żeby zaniósła do sklepu ze starzyzną.

– Jest twoja – wzruszyłem ramionami.

Odniosłem wrażenie, że miał ochotę wrzucić ją na powrót do pudełka, ale tego nie zrobił.

– Dziękuję – bąknął pod nosem i schował ją do kieszeni. Zamknąłem oczy; ogarnęła mnie dziwna ulga. To wyczerpująca sprawa, to całe ojcostwo. Musiałem przysnąć, a kiedy się obudziłem, przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, kto siedzi przy moim łóżku. Niemal się do mnie uśmiechnął, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i zmienił uśmiech w grymas. To ta niechęć do uśmiechu pomogła mi go rozpoznać. Moje najstarsze dziecko.

– Jak się czujesz? – spytał. Chciałem powiedzieć, że gównianie, ale nie dałem rady wydobyć z siebie głosu. Podał mi wodę, a ja spróbowałem się napić, ale za bardzo bolało. Nowy rodzaj bólu. Gorszy. Wtedy zrobił coś, co mnie zaskoczyło. Wlał mi kilka kropli w usta, jak pielęgniarki. Kto go tego nauczył? Dlaczego to zrobił? Spojrzał na pompę i spytał, czy ma iść po pielęgniarkę. Musiałem naprawdę źle wyglądać. Chciałem pokręcić głową, ale wszystko było tak jakby poza mną. Nie miałem władzy nad ciałem, traciłem przytomność. Tak jak teraz. Odpływałem i chłopak był przerażony. Wstał i zawołał pielęgniarkę. Przyszła zaraz. Nie ta co teraz, ta, która była tu rano, chyba. To dobrze. Popukała w rurki i sprawdziła kartę, a potem pokiwała głową i odeszła. Nic się nie da zrobić. Na twarzy Deana widziałem strach.

– Dlaczego chciałeś, żebym przyjechał? – szepnął. Był rozstrojony, zapewne nie czuł się dużo lepiej niż ja. Wcale nie jest taki wygadany i atrakcyjny, jakiego chce udawać. Należy do tych skomplikowanych. Biedny gnojek. Wiedziałem, co chce usłyszeć. Jakieś wyjaśnienie, przeprosiny, może deklarację miłości. Chciał, żebym ja, jego ojciec, dał mu paczkę starych listów i kartek urodzinowych, które pisywałem do niego przez lata, ale nigdy nie wysłałem.

Nie mogłem tego zrobić.

Nigdy nic do niego nie napisałem.

Owszem, myślałem o nim. Nie jestem bydlakiem. Na początku, na samym początku, nieczęsto. Prawdę powiedziawszy byłem szczęśliwy, że się z tego wszystkiego wyplątałem. Wcale za nim nie tęskniłem, za żadnym z nich. Śmierdzące, hałaśliwe, namolne dzieciaki; histeryczna, niechlujna, namolna żona. Ale kilka lat po odejściu zacząłem trochę o nich myśleć. Właściwie o Deanie. Mój pierworodny. O dziewczynce nie. Była niemowlakiem, kiedy odszedłem, zupełnie jej nie znałem. Ale Deana niemal poznałem. I chodziło właśnie o to niemal.

Mniej więcej wtedy poznałem Bridget. Zeszliśmy się, a potem pobraliśmy. Urodziły się nowe dzieci i znów o nim zapomniałem. Nie należę do facetów, którzy oglądają się za siebie. Jaki w tym sens? Ale wczoraj, na jego widok, zacząłem się trochę zastanawiać, jak by to było, poznać go lepiej? To pewnie przez te narkotyki, którymi mnie faszerują. Zwykle nie myślę o takich sprawach. Poza tym wiem, po co Dean tu przyjechał. Chciał mi to wszystko powiedzieć w oczy. Chciał, żebym go pocieszył. Albo przynajmniej się z nim pokłócił. Chciał poznać powody, ale te, które mogłem mu podać, nie były dla niego dość dobre. Prawdę powiedziawszy, dawno już zapomniałem, jakie były te powody, podejrzewam jednak, że i tak nic by nie zmieniły między nami.

– Zraniłeś mnie – szepnął mi w ucho, żebym usłyszał go tylko ja. Ma ładną cerę, czystą. Jego twarz wygląda jak wyrzeźbiona w marmurze; gładka, błyszcząca, niemal piękna. Założę się, że lepiej się czuje w surowych klimatach niż w tropikach. Wygląda na kogoś, kto przywykł do trudnego środowiska. Czego się nauczył przez te wszystkie lata? W jaki sposób, od kogo? Usiłowałem zachować pogodę ducha. Nie chciałem go słuchać. Jaki w tym sens? Teraz to po prostu nie na miejscu.

– Nawet mnie nie znałeś. Byłeś za mały. Uznałem, że lepiej się zabrać, nim się zbyt przywiążesz. – Trudno mi było mówić. Nie jestem pewien, czy mnie zrozumiał, choć ucho miał praktycznie przy moich ustach.

– Jestem twoim synem, a ty moim ojcem. Od urodzenia byłem do ciebie przywiązany – odparł.

– Nie bądź taki melodramatyczny. Nie mogłeś za mną tęsknić. Odszedłem, nim mnie poznałeś.

– I to jest właśnie najgorsze – oddech uwiązał mu w gardle.

Co mu miałem powiedzieć? Przecież nic nie przywróci zdrowia jego matce. Żadne słowa nie wymażą czasu, jaki razem z siostrą spędził w domu dziecka, więc po co gadać? No po co?

– Nie rozumiem tylko jednego – stwierdził. – Dlaczego teraz? Dlaczego odwlekałeś to tak długo? Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną wcześniej? – Pomyślałem, że zaraz się rozplacze. Nie widziałem go wyraźnie, nie wiem, czy faktycznie płakał – jak mówiłem, wzrok mnie zawodzi – ale zdradzał go głos. Choć pracuje w reklamie. Ja nie należę do takich typów. Nie ronię łez. Mężczyźni nie powinni płakać. Po co nade mną płakał? Przecież mnie nie zna. Spróbowałem sprowadzić go na ziemię.

– Słuchaj, synu... Cieszę się, że tu jesteś. Dziwne, ale się cieszę. Coś powinienesz jednak wiedzieć. – Tak trudno było mówić. Nie jestem pewien, czy z powodu trudności z oddychaniem, czy zwyczajnie brakowało mi słów. Bo czasami po prostu nie ma słów. Tych właściwych. Wiem o tym. – Ja nie prosiłem, żebyś przyjechał – oświadczyłem, ponieważ taka była prawda i wydawało mi się to ważne. Między nami nie było nic prócz brutalnej rzeczywistości. Nie chciałem tego zmieniać.

– Ale ta pielęgniarka, która do mnie zadzwoniła... – urwał, wyraźnie skołowany.

– To był jej pomysł. Ma miękkie serduszko. To siostra z hospicjum – wyjaśniłem. – Siedziała przy mnie przez cały zeszły tydzień, rozmawialiśmy o dzieciach i takich tam. Szkoli się je, jak pytać, czy wszystkie sprawy są już uporządkowane. Zapewniłem ją, że tak, ale uznała, że powinienesz wiedzieć. Że powinniście wiedzieć. Ona, nie ja.

Nie miałem mu nic do zaoferowania, do powiedzenia. Nie miałem mu czego wyjawiać. Została tylko pustka.

– Nawet nie prosiłeś o mój przyjazd?

– Nie.

– Jezu. Nawet na tyle nie było cię stać – powiedział, wstał z krzesła i wyszedł.

Przypuszczam, że już nie wróci. Niektórzy poetycznie nazwaliby to sprawiedliwością. A ja? Dla mnie to po prostu smutne.

Jo

– To przez wysokość. Dlatego płaczę, na pewno – wyjaśniam Deanowi.

– Na pewno – zgadza się ze mną tonem wskazującym, że w ogóle mi nie wierzy.

– No dobrze, i przez film też – wyznaję. Odsuwam ekran, po którym suną napisy końcowe i zakładam ręce na kark. – Wiesz, że to historia oparta na faktach? – pytam, pociągając nosem.

– Zapewne bardzo luźno – odpowiada, wzruszając ramionami.

Nie udało mi się zachować kontroli; łzy płynęły mi po twarzy jak wodospad praktycznie przez cały film. Wszystko w nim było: prawdziwa miłość, triumf nad przeciwnościami losu i gromadka słodkich nieszczęśliwych dzieci. W pewnej chwili Dean podał mi chusteczkę, a ja poczułam się dziwnie wzruszona faktem, że mężczyzna, który wydaje się symbolem dwudziestego pierwszego wieku, posiada coś tak staromodnego jak chusteczka do nosa z tkaniny; to znaczy, póki jej nie rozłożyłam i nie zobaczyłam nadruku z piersiastą gołą kobietą; to była taka „śmieszna” chusteczka. Kto by pomyślał, że produkują takie rzeczy?

Dean powstrzymał łzy, ale widziałam, że jest poruszony, bo kiedy Russell Crowe poszedł błagać o pieniądze, żeby zapłacić za prąd i móc zatrzymać dzieci, zaczął ogryzać paznokcie.

– Podobał ci się? – pytam.

– Boks był świetny.

– Boks był do kitu.

Uśmiecha się szeroko.

– Paul Giamatti był dobry. Trochę to było za słodkie jak na mój gust, ale to kawał dobrego kina. Na Ronie Howardzie zawsze można polegać.

– Nie było za słodkie. Niczego nie zrozumiałeś. To był film o prawdziwej, wiecznej miłości.

– Tak? A ja myślałem, że o mistrzostwach wagi ciężkiej z trzydziestego piątego roku. – Wiem, że ze mnie kpi, ale i tak daję się złapać. Nie pasjonuje

mnie polityka. Jedyna rzecz, jakiej moim zdaniem warto bronić, to prawdziwa miłość.

– Poza tym przymierali głodem. W tym nie ma nic słodkiego – zauważam.

– Masz rację – zgadza się niechętnie, a potem poprawia się na siedzeniu i zaczyna bawić się przyciskami na poręczy, które opuszczają i podnoszą oparcie fotela. Jest wyraźnie przygnębiony, ciekawe dlaczego. Przecież nie jest pracownikiem pomocy społecznej ani żadnej organizacji humanitarnej; na miłość boską, facet pracuje w reklamie, dla forsy zachęca ludzi, żeby głodowali albo obzerali się nieprzytomnie. Niemniej wziął moją uwagę bardzo poważnie. Wytrąca mnie to z równowagi; nikt mnie nigdy nie bierze poważnie, a co dopiero bardzo poważnie.

– W takim razie jakie filmy lubisz? – pytam, chcąc skierować rozmowę na łatwiejszy temat. – Nie, poczekaj, sama zgadnę. Założę się, że potrafię wymienić pięć twoich ulubionych filmów.

Dean unosi sceptycznie brwi.

– No dobrze, spróbuj. Chętnie posłucham.

– *Fight Club*.

Śmieje się i kiwa głową.

– Pierwsza zasada klubu to...

– ...nigdy nie mówić o klubie.

Dean jest pod wrażeniem.

– Oglądałaś go?

– Nie. Nie miałam ochoty. Nawet półnagi Brad Pitt mnie nie zachęcił. Znam tę zasadę, ponieważ każdy facet, z którym chodziłam, cytował mi ją, jakby to była jakaś naprawdę głęboka prawda – uśmiecham się szeroko.

Dean znów kiwa głową; chce mi pokazać, że zrozumiał, a może nawet, że jest zadowolony. Mężczyźni to jednak nieznaną gatunek. Ja poczułam się urażona, kiedy mi dał do zrozumienia, że jestem przewidywalna, natomiast on wyraźnie się ucieszył, że należy do właściwego klubu.

– No dobrze, raz ci się udało trafić. A dalej? – pyta.

– Hmm. Niech pomyślę. Zastanawiam się, czy jesteś facetem od *Pulp Fiction*, *Ojca chrzestnego*, *Bravehearta* i *Czasu apokalipsy*? Takim, który sądzi, że jest twardy? A może wolisz *Terminatora*, *Władcę pierścieni* i *Matrixa*?

– To nie fair. Wymieniłaś właśnie ze dwadzieścia filmów. Wiedziałaś, że

którymś trafisz – protestuje Dean.

– A pomyliłam się? – pytam z uśmiechem. Jeśli jestem w czymś dobra, to w męskiej popkulturze. Odbyłam masę takich rozmów. Za wiele.

– Nie. Ale prawdziwy profesjonalista odgadłby, która część podoba mi się najbardziej.

– Jeśli chodzi o *Terminatorów*... To straszne nudy na pudy, wiesz. Większość facetów wybiera dwójkę, *Dzień sądu*, ale myślę, że ty wolisz ten pierwszy, kiedy Arnie jest złym cyborgiem.

Dean unosi brwi, ale powstrzymuje się od komentarza.

– A jeśli chodzi o Rocky'ego?

– Wszystkie pięć filmów jest o tym samym, więc to wszystko jedno.

– Nieprawda. – Krzywi się, udając obrażonego.

– Owszem, są identyczne, choć musisz wiedzieć, że żadnego nie widziałam. Twoja ulubiona część *Władcy pierścieni* to *Dwie wieże*, z powodu tej wielkiej sceny bitwy, a poza tym uważasz, że pierwszy *Matrix* jest najlepszy.

Dean śmieje się głośno; jego śmiech odbija się echem po kabinie. Nagle uświadamiam sobie, że wcześniej nie zaśmiał się ani razu. Obdarzał mnie uroczyimi (i nie zawsze szczerymi) uśmiechami i wydawał dźwięki, które wskazywały na rozbawienie, ale aż do tej chwili nie słyszałam jego śmiechu. To miły śmiech, taki który przywodzi na myśl szalone noce spędzone na tańcach i popijawie. Przypomina mi te chwile, kiedy dostawałam kwiaty i zanurzałam w nich twarz, żeby odetchnąć ich zapachem. Ten śmiech Deana to obietnica: jest szczery i odważny. Czuję się dziwnie dumna, że go wywołałam. Jego śmiech zwraca uwagę innych pasażerów; rzucają w naszą stronę zgorszone, zazdrosne spojrzenia. Nie obchodzą mnie ci inni pasażerowie, którzy lecą przez Atlantyk, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Niemal zapomniałam o ich istnieniu. Obchodzi mnie natomiast Dean Taylor.

To znaczy nie obchodzi mnie w tym sensie. No wiecie, romantycznym i tak dalej. Choć nie byłoby to znowu takie dziwne, gdyby mnie obchodził w ten sposób. W końcu jest bardzo seksowny i pełen wdzięku, no i była między nami ta rzecz przy toalecie, ta seksualna chemia, ale to nie tylko. Pod tą atrakcyjną powierzchownością kryje się dojmujący smutek. Wiem dokładnie, co się dzieje. Przeżyłam to już wiele razy. Gdyby nie Martin i mój plan, mogłabym polecieć na Deana. Istniałoby takie niebezpieczeństwo. Ale

ponieważ mam Martina i swój plan, nie muszę się niczego obawiać. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Inni pasażerowie mogą iść do diabła razem ze swoimi surowymi spojrzeniami. Nie robimy nic złego; przecież nie zabawiamy się pod kocem.

Skąd mi się wzięła ta myśl? Przecież w życiu bym tego nie zrobiła. Chyba.

Nie, na pewno nie. Lecę do Martina. Martin. Martin, Martin, Martin. Powtarzam w kółko jego imię, próbując się skupić. Wiem, jestem trochę skołowana, ale to dlatego, że wypiliśmy masę darmowego szampana.

Poza tym nie myślałam o Martinie przez pięć długich lat, natomiast często o numerkach z seksownymi nieznajomymi.

– Zauważyłaś, że nikt nigdy nie pyta o pięć ulubionych książek? – odzywa się nagle Dean.

– Przynajmniej nie na randkach. Chociaż my nie jesteśmy na randce – dodaję pospiesznie.

– Ale ten temat nie wypływa w rozmowach tak naturalnie, jak filmy.

– Książki są bardziej osobiste.

– Prawda? Zastanawiam się dlaczego.

Już kiedyś o tym myślałam.

– Chyba dlatego, że więź, którą nawiązujesz z książką, jest jak rozmowa w cztery oczy, natomiast oglądanie filmu to rozmowa w miejscu publicznym.

– Chyba masz rację. Czasami bardzo trudno wyjaśnić, dlaczego podoba ci się dana książka. To zbyt osobiste.

– Bardziej osobiste niż plan powstrzymania mojego byłego od poślubienia innej kobiety, z którego ci się zwierzyłam?

– Zapewne nie.

– Więc?

– Co więc?

– Więc jakie są twoje ulubione książki?

Dean zastanawia się. Tym razem cisza jest naturalna, więc nie poganiam go.

– Gdybym miał wybrać tylko pięć, a to jest trudne, ponieważ lubię bardzo wiele książek, to byłby *Kim* Rudyarda Kiplinga, *Wielkie nadzieje* Dickensa, *Harry Potter*...

- Wszystkie siedem tomów?
- Pierwszy i ostatni. I *Chłopiec z latawcem*.
- No dobra, jestem pod wrażeniem.
- Myślałaś, że czytam tylko komiksy?
- Rzeczywiście tak myślałam.
- A chcesz poznać moje ulubione książki?
- Niespecjalnie.
- Och.

Jestem zaskoczona, ale nim mam czas się obrazić, dodaje:

- Ale chciałbym usłyszeć o pięciu najlepszych momentach twojego życia.
- Naprawdę?
- Tak.
- Łał. Nikt mnie nigdy o to nie pytał. Nie zastanawiałam się nad tym.

Ciekawe, dlaczego on spytał. Chce poznać moją duszę? Mało prawdopodobne. To przecież mężczyzna. Zabija w ten sposób czas? Zapewne. Być może zadaje to pytanie wszystkim świeżo poznanym kobietom, to taka jego stara zagrywka, która przydaje się na przyjęciach. Kiedyś wpadłam na faceta, który znał na pamięć tablicę pierwiastków Mendelejewa w formie musicalowej piosenki i śpiewał ją każdemu, kto tylko chciał słuchać. Dosłownie na niego wpadłam, to była jego stała zagrywka na przyjęciach. To wspomnienie działa na mnie przygnębiająco. Zaskakujące, jak często przychodzą mi do głowy słowa: „Antymon, arsen, aluminium, selen. I wodór, i tlen, i azot, i ren”, zawsze w tym samym chwytliwym rytmie. Najprawdopodobniej pytanie Deana o moje wspomnienia to odpowiednik tej piosenki. Mimo to zastanawiam się poważnie nad odpowiedzią.

– Wiem, co powinnam odpowiedzieć.

– Co?

– Coś o skończeniu szkoły, pierwszej pracy, kąpieli nago w jeziorze Garda...

– Kąpałaś się nago w jeziorze Garda? – Dean aż unosi brwi.

– Raz – rumienię się lekko. – No więc wiem, że powinnam powiedzieć coś takiego, ale pamięć tak nie działa, prawda? Przynajmniej nie moja.

– A jak działa twoja?

– Nie mam określonych wspomnień dobrych chwil. Te, które mam, są bardzo stare.

Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało; tak sztucznie. Więc próbuję wyjaśnić, o co mi chodzi.

– Nie to chciałam powiedzieć – mówię przepaszającym tonem. – Przeżyłam masę szczęśliwych chwil i po prostu trudno mi coś wybrać i jakoś uszeregować. Mam w pamięci raczej okresy, a nie konkretne dni. Większość najlepszych wspomnień wiąże się z dzieciństwem, które było bardzo szczęśliwe.

– Naprawdę?

– Tak.

– Rzadko się to słyszy.

Śmieję się. On wciąż żartuje. Przecież wszyscy mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo, prawda? To dorosłość jest do chrzanu.

– Na przykład wcale nie pamiętam, żeby padało, a jeśli już, to rzadko. Pamiętam jeden wielki ciąg pikników w parkach albo gdzieś dalej, na prawdziwych łąkach. – Zamykam oczy i zatapiam się w miękki fotel. – Pamiętam wrażenia. Dotyk koca, na którym siedzimy: drapie mnie w kolana i jest nagrzany słońcem. Brzęczenie pszczoły przy uchu i smak sałatki z pomidorów. Sok tryskający mi z ust, pestki i miąższ na języku. Pamiętam zwiedzanie zamków, jak wbiegałam na wzgórze, żeby obejrzeć ruiny przed rodzeństwem. Czuję zapach błota i świeżej trawy. I pamiętam zbieranie malin całą rodziną. Jeździliśmy na jakąś farmę w Surrey i napełnialiśmy łubiankę za łubianką; zbieraliśmy dużo więcej, niż nam było trzeba. Te na dnie były zgniecione z powodu naszej łapczywości, ale w domu mama przerabiała je na dżem. Pamiętam piękny różowy kolor tego dżemu i żółty fartuszek matki. Musiałam być bardzo mała, kiedy go nosiła, bo jak raz potrzebowałam pociechy – chociaż nie pamiętam dlaczego, może upadłam albo pokłóciłam się z rodzeństwem – wbiłam głowę w ten fartuch i sięgnęłam wtedy mamie tylko do brzucha. Pamiętam, że ukradkiem wytarłam nos w ten fartuszek.

Śmieję się na to wspomnienie. Otwieram oczy, żeby sprawdzić, czy Dean nadal słucha, czy też całkiem stracił zainteresowanie. Okazuje się, że patrzy na mnie z taką uwagą, jakby chłonał każde słowo. To wzbudza mój zachwyt, ale równocześnie pojawia się natrętna myśl, że mam coś rozmazane na twarzy. Ludzie rzadko okazują innym takie zainteresowanie.

– A ty? – pytam. – Jakie są twoje najszcześniejsze wspomnienia

z dzieciństwa?

Dean natychmiast odwraca wzrok. Nagle sprawia wrażenie wyczerpanego; nawet poszarzał na twarzy. Oczy otwiera szeroko, ale wyczuwam, że te drzwi są zamknięte. Kiedyś byłam z przyjaciółką w schronisku dla zwierząt. Wszystkie psy miały takie dalekie spojrzenie, nawet te, które dzieliły klatki z innymi psami; nawet kiedy lizały nas po rękach. Oczy Deana mają podobny wyraz. Próbuję sprowadzić go na ziemię.

– Zastanawiałaś się nad tym kiedyś?

– Bardzo często.

– I?

– Nie mam szczęśliwych wspomnień z dzieciństwa – mówi obojętnie.

– Żadnych? – Nie mogę sobie tego wyobrazić. Na pewno przesadza. –
Musi być chociaż jedno.

– Nie, nie mam.

Clara

Clara spakowała walizkę spokojnie i metodycznie – to nie było trudne, miała wielką wprawę w pakowaniu – a potem zarezerwowała sobie pobyt we wspaniałym spa „tuż za miastem” (udawajmy, że jesteśmy na wsi), tym, które odwiedzała dwa razy do roku już od ośmiu lat. Zwykle spędzała tam cztery dni i trzy noce, raz tuż po Bożym Narodzeniu, a drugi raz tuż przed letnim urlopem. Przez te cztery dni ściśle przestrzegała diety ubogiej w węglowodany, chodziła na masaże, przed śniadaniem pływała w basenie, a przed lunchem chodziła na spacer; wieczorem odbywały się zajęcia z jogi. Tym razem zarezerwowała sobie tygodniowy pobyt i zaznaczyła, że nie będzie korzystała z diety ani z manikiuru. Innych planów nie miała.

A teraz siedziała na łóżku i zastanawiała się, czy zdoła wykrzesać dość energii, by pójść na spacer przed lunchem. Naprawdę powinna to zrobić, teren był pięknie utrzymany, a świeże powietrze to dokładnie to, czego jej teraz trzeba. Jednak nie mogła się ruszyć z miejsca. Miała wrażenie, że jej szczupłe ciało zrobiło się równocześnie straszliwie ciężkie i niezwykle delikatne.

Co najlepszego narobiła? Opuściła Tima. Po tylu latach! Nie była już niczyją żoną. To znaczy była, technicznie rzecz ujmując, ale odeszła od męża, więc świat nie będzie jej odtąd tak postrzegał. Oczywiście świat był ślepy. Clara nie była żoną od wielu lat.

Siedziała sztywno, jakby połknęła kij, przez cały ranek w tym małym, ale eleganckim pokoju. Plecy ją bolały i chciała się położyć, ale kiedy spojrzała na zegarek przy łóżku (taki okropny, elektroniczny, z nachalnie czerwonymi cyframi) okazało się, że do południa zostało niecałe pół godziny; dokładnie dwadzieścia pięć minut. Za wcześnie na drzemkę, za późno, żeby się położyć na chwilę. Drzemki należało odbywać po południu i tylko podczas wakacji. Na dodatek obawiała się, że jeśli się położy, może już nigdy nie wstać. Tak długo się pilnowała, zawsze robiła tylko to, co właściwe; to znaczy póki nie odeszła od męża. Zastanawiała się, czy jest w stanie pilnować się choć

o jeden dzień dłużej albo choćby minutę. Była pewna, że Tim zachowa się elegancko i okaże jej hojność; nie będzie chciał zamieszania. Ale czym wypełni teraz swój czas? Była za stara, żeby iść do pracy; co do tego nie miała wątpliwości. Zresztą co mogłaby robić? Nie miała żadnych kwalifikacji ani doświadczenia. Nigdy nie musiała zarabiać na życie. Tylko raz miała pracę. Skończyła szkołę w wieku osiemnastu lat, zdawszy maturę; ojciec uważał, że domowa buchalteria to żaden zawód, ale nie zgadzała się z nim. Sama myśl o sprzeciwianiu się mężczyznom, a szczególnie ojcu, na moment pocieszyła Clare; przypomniała sobie nagle, że kiedyś była swego rodzaju buntowniczką. Cichą buntowniczką, niemniej miała w sobie i niezbędną wolę walki, i niezgodę na rzeczywistość. Zapisła się do college'u, żeby zrobić licencjat z kateringowej i księgowości, ponieważ wtedy, dawno temu, marzyła o założeniu własnej firmy kateringowej. Oczywiście marzenie się nie ziściło. Zaraz na pierwszych praktykach, podczas ferii świątecznych, poznała Tima i jej życie zmieniło kurs.

Firma, która ją zatrudniła na praktyki, miała dostarczyć kanapki na przyjęcie w banku, w którym pracował Tim. Większość bankowców traktowała kelnerki jak powietrze albo pozbawione płci roboty; nigdy nie nawiązywali z nimi kontaktu wzrokowego ani nawet nie mówili „dziękuję”. Tim był wyjątkiem. Flirtował z Clareą przez cały wieczór, a właściwie to łąził za nią, kiedy roznosiła kanapki z pieczarkami i ostrym serem. Pod koniec przyjęcia dała mu swój numer telefonu. Spotykali się krótko i z wielką intensywnością; rok później byli już po ślubie, a po kolejnych dwóch miesiącach zaszła w ciążę. Oboje uznali, że w gruncie rzeczy nie musi pracować. Nawet dość skromna pensja jak na standardy City pozwalała Timowi utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie.

Matka zapytała ją kiedyś, po co ten cały pośpiech. Clara nie pamiętała już, co nią powodowało, ale pamiętała tamtą presję. Być może miała dość ojca, który wciąż rozstawiał ją po kątach. W tamtych czasach wszyscy ojcowie byli wymagający i surowi, a ją to męczyło. A może pochlebiało jej, że Tim tak bardzo się za nią ugania? Dopiero wiele lat później zrozumiała, co było przyczyną tej jego determinacji: uważał, że może być dla niego lekarstwem, a przynajmniej wygodną przykrywką. Żadne z nich nie rozumiało wtedy, jaki on jest. Trzeba było Eddiego Taylora, żeby stało się to dla nich jasne.

Eddie Taylor. Przynosiła mu ulgę w cierpieniu. To on ją rozpałił. Nawet teraz, choć była starą kobietą, jego imię wywoływało w niej falę pożądania. To takie żałosne. Kiedy urodziły się dziewczynki, życie seksualne Tima i Clary dobiegło końca. Początkowo była z tego nawet zadowolona; tyle jej przyjaciółek musiało zaspokajać potrzeby nie tylko niemowląt, ale i mężów, którzy zachowywali się jak dzieci, gdy czuli się zaniedbywani. Clara uważała, że Tim jest prawdziwym dżentelmenem, ale potem tygodnie bez seksu zmieniły się w miesiące, a miesiące w lata. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, a on w zasadzie jej nie dotykał; to był dla niej taki smutny, samotny okres. Ale nie zwierzała się nikomu ze swoich problemów. Pod każdym innym względem Tim był dobrym mężem: dbał o dzieci, utrzymywał dom na przyzwoitym poziomie. Nie rozumiała tej sytuacji. Wyraźnie lubił spędzać czas z nią i z dziećmi, rozmawiać z nimi, bawić się i śmiać razem. Nie lubił tylko seksu. Krępowała się komuś o tym powiedzieć. Nie rozmawiało się wówczas o takich sprawach. Nie tak jak dzisiaj.

Jedna z przyjaciółek zauważyła, że dzieje się z nią coś złego i poradziła jej, żeby odkurzyła swoje umiejętności pisania na maszynie, nauczyła się stenografować i znalazła sobie jakąś pracę. Był koniec lat siedemdziesiątych, kobiety nosiły krótkie spódnice i długie włosy; praca była wtedy w modzie. Nie potrzebowali pieniędzy, ale Clara potrzebowała towarzystwa, jej najbliższe przyjaciółki zgadzały się co do tego. Tim też ją zachęcał, udzielał jej wsparcia. Pomógł jej skompletować nową garderobę: modne spodnie dzwony, bluzki wiązane pod biustem. Oboje uważali, że młodsza sekretarka szefa działu komedii w BBC powinna ubierać się seksownie.

Poznała Eddiego Taylora pół godziny po podjęciu pracy i od razu wiedziała, że wpadła po uszy. Spojrzał na nią i tym jednym spojrzeniem rozłożył ją na łopatki, pozbawił wszelkich pozorów przyzwoitości i uwolnił w niej zwierzę. Nigdy wcześniej ani później nie doświadczyła czegoś takiego. Jego spojrzenie wywołało w niej kłębowisko sprzecznych emocji. Poczucie przyzwoitości, które wcześniej rządziło jej życiem, nagle zupełnie przestało się liczyć. Ciało ją zdradziło. Drżała i sama nie wiedziała, czy z pożądania, czy ze strachu.

Jego oczy były straszne. Ministerstwo Wojny powinno je uznać za broń, ponieważ każda kobieta pod ich spojrzeniem była bezbronna. Były błękitne jak niebo, namiętne i pijane pożądaniem, nieodpowiedzialne. Miał

wspaniałe ciało, utrzymywał mroczny, zadumany styl, niczym bohater gotyckiej powieści. Był wysoki, silny i brutalny. Niewyszukany i niegrzeczny. Zbyt atrakcyjny, by mogło mu to wyjść na dobre. Albo komuś innemu. Szeroki w barach, muskularny. Clara początkowo nic nie rozumiała; nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego jej ciało lgnie do niego, kiedy wchodził do pokoju, dlaczego odczuwa rozczarowanie, gdy wychodził. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej seksualnej namiętności. Nie miała pojęcia, ile może dać. Nie miała pojęcia, jak to jest, stać się obiektem czyjegoś pożądania.

Opierała się przez trzy miesiące. Powiedział jej, że nigdy jeszcze żadna kobieta nie wytrzymała tak długo. A kiedy już przespali się ze sobą, miała wrażenie, że nigdy w życiu już mu się nie oprze. Zupełnie jakby dostał się pod jej skórę, jakby ją pożerał. Była zdana na jego łaskę, ale on nie zamierzał się nad nią litować.

Clara westchnęła i spojrzała znów na zegar. Jedenasta trzydzieści dziewięć. Minuty wlokły się okropnie. Patrzyła przez całą wieczność na wyświetlane cyfry, aż pojawiła się jedenasta czterdzieści. Znów westchnęła i zebrała całą energię, jaka pozostała jeszcze w jej ciele, by wstać. Podeszła do okna i wyjrzała; zauważyła jedną czy dwie osoby czekające na trawniku na spacer. Mieli ze sobą kijki i butelki z wodą, choć Clara wiedziała z doświadczenia, że takie dodatki nie są potrzebne; to nie była wycieczka, tylko godzinny spacer dla pobudzenia apetytu. Mimo to zazdrościła spacerowiczom, ponieważ mieli jakiś cel. Zabrała ze sobą buty do chodzenia, ale czy dałaby radę włożyć je i zejść na dół? Chciało jej się płakać. Okno było zaskakująco brudne, co tworzyło dodatkową barierę pomiędzy nią a tymi energicznymi osobami na zewnątrz. Miała wrażenie, że tonie w wilgotnej zimnej mgle. Nie mogła się skupić, skoncentrować. Zapewne na skutek szoku. Powinna coś zjeść. Powinna zadzwonić i zamówić posiłek do pokoju, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak to się robi. Jakich słów należy użyć.

Pożałowała, że wybrała znajome otoczenie. Sądziła, że stylowy hotel podniesie ją na duchu, wesprze ją w jakiś sposób, ale stało się dokładnie odwrotnie. Każda płytką drogiej glazury, każda tropikalna roślina, wszystkie mikstury i toniki były ściśle związane z jej dawnym życiem, tym które próbowała odrzucić. Prześladowały ją przyjemne wspomnienia z poprzednich wizyt, tymczasem ta wizyta wcale nie była przyjemna. Zastanawiała się, czym wypełni godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata. Co

najlepszego narobiła? Kto teraz będzie z nią chodził na poszukiwania antyków? Z kim będzie spędzała wakacje? Z kim się zestarzeje? Czuła się taka samotna.

Nagle przypomniała sobie o liście. I o kimś, kto też jest samotny.

Dean

W gruncie rzeczy, w głębi ducha, Dean cieszył się, że natrafił na tę romantyczną, nieaktywną feministkę, gotową obnażyć przed nim swą chaotyczną apologię życia. Choć nie zdołała całkowicie oderwać jego myśli od Eddiego Taylora, a na to miał nadzieję, stworzyła atmosferę przypominającą nieco rozmowy późną nocą w ponurym, acz przytulnym barze. Podobnie jak ludzie, którzy spotykali się w takich miejscach, mogli swobodnie zwierzać się sobie ze wszystkiego i przywoływać wspomnienia, których zwykle nie wyciągało się na wierzch. Mogli to robić bezpiecznie, ponieważ wiedzieli, że kiedy samolot wyląduje i drzwi się otworzą – wpuszczając do kabiny świeże powietrze – pójda każde w swoją stronę i nie zobaczą się już nigdy więcej. Dean nie miał swojego ulubionego wspomnienia z dzieciństwa, którym mógłby się z nią podzielić, ale zwierzył się jej ze swoich nadziei na wygranie kontraktu na kampanię reklamową słodyczy; jej zdaniem miał duże szanse.

– Tak sądzisz?

– Owszem.

– Więc podobają ci się nasze pomysły? – Strategia była ściśle tajna, ale Dean w rzadkim u niego porywie nieprofesjonalizmu zdradził jej ogólną koncepcję. Kiedy to robił, miał niejasne wrażenie, że się przed nią chwali, że trochę się puszy. Ale nie zastanawiał się dlaczego.

Kiwnęła głową.

– A poza tym ten facet od marketingu nie zaryzykuje, że opowiesz wszystkim o jego wizycie w barze ze striptizem – dodała.

– Bo będzie chciał tam wrócić.

– No właśnie. To sprzedaż wiązana.

Zasięgnął też jej opinii w kwestii różowych koszul. Miał jedną fioletową, ale obawiał się zaryzykować coś jaśniejszego. Czy jej zdaniem powinien?

– Jak najbardziej.

Opowiadał o swoich kobietach i o kolegach z pracy. Zdradził jej nawet, że

jego przyjaciel ma romans z własną szwagierką i że ma już dość krycia jego skoków w bok.

– No ale nie mogę mu podłożyć świni, prawda?

– Nie możesz, natomiast możesz mu powiedzieć, że nie chcesz już dłużej dla niego kłamać.

Ona z kolei opowiedziała mu ze szczegółami o swoich trzech ostatnich występach w roli druhny oraz o horrorze, z jakim to się wiązało: nietwarzowe suknie, spanikowane panny młode i protekcyjnalni družbowie. Opowiedziała to wszystko z humorem i wdziękiem, choć oboje mieli świadomość, że sama sytuacja pozbawiona jest jednego i drugiego. Dean zastanawiał się, czy jednym z najsilniejszych motywów jej pragnienia wyjścia za mąż nie jest przypadkiem chęć zemsty na przyjaciółkach, zmuszenie ich, by wyglądały jak trzywarstwowe bezy w kolorze pistacjowym.

Spytała go też o radę, co powinna kupić rodzicom na rocznicę ślubu.

– Kupić im coś to koszmar. Oni wszystko już mają – wyjaśniła.

Przejrzeli razem katalog sklepu pokładowego, w poszukiwaniu inspiracji. Jo spodobała się jedwabna apaszka dla matki i spinki do mankietów dla ojca.

– Ale tylko spójrz na te ceny – powiedziała z goryczą.

– Wcale nie chcesz tego kupić – przekonywał ją Dean, choć wyraz jej twarzy świadczył, że chciała, i to bez względu na cenę.

– Nie?

– Nie, to zbyt konwencjonalne. Założę się, że twoja mama ma miliony apaszek, a tata brodzi w spinkach do mankietów, które dostał na ostatnie urodziny. O, to jest oryginalny prezent – pokazał jej następną stronę katalogu.

Jo przyznała, że istotnie, jej rodzice nie mają pluszowego misia przebranego za pilota, a choć prawdopodobieństwo, że chcieliby takiego mieć, było nikłe, Dean uparł się, że kupi go jej dla nich. Przyjęła zabawkę ze śmiechem.

– Dzięki. Jak widzę, zauważyłeś, że ostatnio jestem w lekkim finansowym dołku. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Lot stwarzał atmosferę intymności, którą Dean cenił sobie dlatego, że miała ramy czasowe. Ta kobieta nie była częścią jego prawdziwego życia i zapewne dlatego wyrzucił z siebie nagle:

– Wczoraj zostawiłem w szpitalu umierającego ojca. Ma raka trzustki. Z przerzutami. Jest nim zupełnie przeżarty.

Sapnęła zaskoczona. Wiedział, że tak zareaguje.

– Mój Boże – wyjąkała. Oboje wiedzieli, że śmierć to duża rzecz. Większa niż ślub, większa nawet niż sabotaż ślubu. – Przykro mi – dodała; zabrzmiało to bardzo szczerze.

– Niepotrzebnie. Mogłem z nim zostać do końca, ale postanowiłem wyjechać.

Czy zdawała sobie sprawę, jaki koszmar chce jej zwalić na głowę? Powiedziała, że może się założyć, że nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu. Podobnie jak wszyscy inni znani mu ludzie była przekonana, że jest idealny. Normalnie fakt, że inni – szczególnie kobiety – kupują jego starannie wypracowaną aurę doskonałości, był dla niego źródłem satysfakcji, ale z powodów, których do końca nie rozumiał, chciał, żeby Jo poznała prawdę. Być może dlatego, że zupełnie nie ukrywała przed nim swoich wad; właściwie to opowiedziała mu o nich bardzo obszernie. Co stworzyło pewien brak równowagi.

– Moje stosunki z ojcem... – urwał. Otworzywszy puszkę Pandory, natychmiast stracił pewność, czy i w jakim zakresie chce się z Jo podzielić doświadczeniami ostatnich kilku dni. Jak miał dokończyć to zdanie? „Moje stosunki z ojcem nigdy nie istniały”? Byłaby to szczerza prawda, ale może zbyt ponura dla Jo. Wymyślił więc tylko: – Moje stosunki z ojcem są skomplikowane – choć w ten sposób nawet nie musnął czubka góry lodowej problemu.

– Rozumiem, musisz wracać do Chicago. Przecież nie możesz zostać w Anglii na zawsze. No wiesz, żeby zaczekać. Nie miałeś wyboru. – Oczywiście, że starała się go usprawiedliwiać. – Uważają, że ile mu zostało? – Jej ton wyrażał łagodną troskę, był słodki i gładki jak krem wyciskany ze szprycy cukierniczej.

– Kilka dni.

– Mój Boże, coś ty sobie myślał? – Krem nagle się zwarzył. Dean nie bardzo wiedział, czy powinien się poczuć urażony czy rozbawiony jej potępieniem. Pomyślał, że to swego rodzaju pociecha, że ona niczego nie udaje: widział, że jest szczerze zaszokowana, że nie uznał za stosowne czuwać przy umierającym ojcu. Pokręcił lekko głową i odpowiedział

szczerością na szczerść.

– W ogóle nie myślałem.

Nie myślał o umierającym. Wyszedł ze szpitala wściekły, koncentrując się wyłącznie na własnym bólu, własnym wstydzie, złości i rozczarowaniu. Prawdę powiedziawszy, nadal myślał tylko o tym. Dlaczego miałby myśleć o ojcu? On przecież nigdy o nim nie myślał. Spojrzał na Jo i zapragnął nagle, żeby ta dziwna nieznajoma go zrozumiała. Uświadomił sobie, że nieświadomie pochylają się ku sobie. Zupełnie jakby się znajdowali w jakimś kokonie. Sami.

– No ale przynajmniej się pożegnaliście. Na pewno to jakaś pociecha – szepnęła Jo.

Dean potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć dzwonięcia w uszach. Nie zamierzał jej okłamywać, chociaż tak łatwo byłoby zgodzić się na tę jej wydumaną słodką wersję jego przeszłości, pozwolić jej sądzić, że wszystko wygląda lepiej niż w rzeczywistości. Nie, żadnych kłamstw.

– Nie pożegnaliśmy się. Kłóciliśmy się.

– Przykro mi.

– Jasne – mruknął.

– Ale on przecież wie, co naprawdę do niego czujesz. Macie za sobą wiele wspólnych lat, znacie się i ta ostatnia kłótnia tak naprawdę nic nie znaczy, chyba że na to pozwolisz – nalegała.

Dean pomyślał, że rozmowa z Jo to jak opieka nad chorym zwierzątkiem. W którymś momencie należy zakończyć jego cierpienia.

– Nie mamy żadnej wspólnej przeszłości. Po dwudziestu dziewięciu latach rozstania spędziłem z nim niecałą dobę. Nie mamy wspólnych doświadczeń ani wspólnych wspomnień. I nie powiedzieliśmy sobie nic miłego. To gówniarz. Tak przeżył życie i tak umrze.

– Och.

– Jeśli wie, co do niego czuję, to świetnie. Bo ja czuję do niego wyłącznie nienawiść.

– Wątpię, żebyś go naprawdę nienawidził. Po prostu nie jestem sobie w stanie wyobrazić czegoś takiego. Ludzie kłócą się, ale żeby zaraz się nienawidzić? Nienawiść to takie ostateczne uczucie.

– Ja go nienawidzę. – Dean czuł się jak smarkacz, używając takich pompatycznych określeń, ale uznał, że nie ma wyboru. Wiedział, że ją tym

zdenerwuje. Jej twarz jakby się zapadła w sobie. Jo nie tak chciała widzieć świat. Wierzyła w szczęśliwe zakończenia, w to całe „i żyli długo i szczęśliwie”, a zapewne również we wróżki i czary. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Niemal słyszał jej myśli, jak szuka odpowiednich frazesów, sentencji podnoszących na duchu i dających nadzieję, w rodzaju tych, jakie ludzie wieszają w łazienkach na parterze. „Uśmiechnij się, a świat uśmiechnie się do ciebie”. Jak jasna cholera.

Ale ona go zaskoczyła.

– Musisz być wykończony – stwierdziła po chwili milczenia, a jej słowa sprawiły, że napięcie zaczęło gwałtownie opadać z jego szyi i ramion, a po chwili całkiem zniknęło, przynajmniej na chwilę. Nagle ogarnęła go przemożna potrzeba snu. Zupełnie jakby to proste stwierdzenie faktu było rodzajem przyzwolenia. A potem wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. Jej dłoń pozostała na miejscu chwilę dłużej niż powinna, ale sam gest nie był natarczywy; oferował pociechę i zrozumienie. Dean miał ochotę zerwać z siebie koszulę albo przynajmniej podciągnąć rękaw, żeby poczuć jej palce na nagiej skórze. Zaczynał ją lubić. Pomyślał, że może byłby nawet w stanie wybaczyć jej ten idiotyczny pomysł z popsuciem ślubu byłemu, ale zniszczyła nastrój, dodając: – Ale rozsądniej byłoby zostać w Anglii. Bo jeśli jest tak, jak mówisz, ledwie wrócisz do domu, będziesz musiał wracać na pogrzeb.

Wyczerpanie natychmiast ustąpiło miejsca irytacji. Czy ona go w ogóle nie słuchała?

– Nie pojedę na pogrzeb.

– Och. To kto go zorganizuje?

– Nie obchodzi mnie to. Podobno spisał testament. Zapewne sam się tym zajął.

– Ale kto wybierze muzykę i modlitwy?

Dean popatrzył na Jo, jakby postradała rozum.

– Może w ogóle nie będzie muzyki ani modlitw.

– Jak to?

Nagle poczuł, że chce ją chronić przed bezwzględną prawdą, choć tak go irytowała. To było zupełnie surrealistyczne uczucie.

– Zapewne zakład pogrzebowy się tym zajmie, skoro nie ma krewnych.

– Ale przecież są – nie ustępowała.

– Tak, to prawda. Ale nie sędzę, żeby któréś z nas miało ochotę wybierać dla niego modlitwy, poza tym ja na przykład nie mam pojęcia, jaką muzykę on lubi. Właściwie już to jedno mówi wszystko. Jo, on nie miał dobrego życia. To nie jest dobry człowiek – zakończył stanowczo.

Nadal nie chciała odpuścić.

– Może nie do końca?

– Do końca.

– Nikt nie jest zły w stu procentach.

– Nie zgadzam się z tobą. Pomyśl o Hitlerze, Stalinie, Pol Pocie.

– Ale twój ojciec nie popełnił ludobójstwa.

– Nie, ale sam jest bronią masowego rażenia. Wszystko, czego się dotknie, zmienia się w gówno.

– Nie wszystko. Ty jesteś uroczy, a przecież to on cię stworzył.

Deanowi zachciało się śmiać. Poznał ją zaledwie kilka godzin temu, a ona już mówi mu takie rzeczy jak „jesteś uroczy”. Co za kobieta tak postępuje? Oczywiście była w błędzie. Wcale nie uważał się za szczególnie uroczy. Zwykle ledwie panował nad gniewem i urazą. Westchnął, by pozbyć się wyczerpania, irytacji i uczucia zagubienia. Rzadko wyjawiał, co myśli naprawdę. Już w dzieciństwie nauczył się, jakie to ważne; nie rozumiał, dlaczego tak bardzo stara się wyjaśnić, co czuje, tej obcej kobiecie. Nie powinno mu przecież zależeć.

– Słuchaj, nie znałaś go – tylko tyle zdołał wymyślić. Chciał zakończyć tę dyskusję. W tej chwili bardzo żałował, że w ogóle wspomniał o ojcu. Nie bardzo wiedział, dlaczego to zrobił. Żeby ją zaszokować? Żeby pokazać jej perspektywę? Ten człowiek od wielu lat był dla niego martwy; jakie to miało znaczenie, że w tej chwili naprawdę umiera?

Wyjąwszy szum klimatyzacji i pomruk silników, w kabinie samolotu panowała prawie całkowita cisza. Od czasu do czasu uwagę Deana zwracał odgłos picia wody z plastikowej butelki albo stłumionego śmiechu przy filmie. Słyszał też ciche westchnienia wskazujące na znużenie długą podróżą. Powietrze w samolocie było suche, ciepłe i pachniało potem. Nieprzyjemnie wdzierało się do nosa i gardła; miał wrażenie, że wgryza się w ubranie. Nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do domu, zmyje z siebie ostatnie kilka dni i przebierze się w coś świeżego. Musiał na powrót stać się

Deanem z Chicago. Może po południu wpadnie nawet do pracy, choć nikt się go tam nie spodziewa. Uwielbiał to wielkie otwarte biuro z widokiem na miasto. Kilka lat temu, po tragedii 11 września, ludzie bali się, że pracują w wieżowcu, ale Dean nigdy się tym nie przejmował. Lubił ten widok i otwartą przestrzeń. W zasadzie czuł się bardziej u siebie w tym wielkim podniebnym biurze niż gdziekolwiek indziej na świecie, bardziej nawet niż w swoim lofcie – choć mieszkanie też miał świetne. W biurze był wysoki i silny. Kiedy siadał za ogromnym szklanym biurkiem, ogarniał go spokój i pewność siebie. Natomiast kiedy siedział w szpitalu, przy łóżku ojca, wiara w siebie zaczęła go opuszczać. Anglia czasami tak na niego działała. Z trudnością przychodziło mu pamiętać, kim się stał, skoro wszystko wokół przypominało mu, kim kiedyś był. Pieprzyć ojca! pomyślał ze złością. Kiedy sądził, że ojciec skontaktował się z nim na łożu śmierci, był wściekły – uważał, że to samolubne, melodramatyczne z jego strony – ale świadomość, że nie zrobił nawet tego, okazała się dużo gorsza. Poczł się upokorzony, że przybiegł do niego, choć ten wcale go nie wzywał. To było najgorsze. W dodatku umierał, odchodził. Typowe dla Eddiego Taylora; w tym był zawsze najlepszy. Dean czuł, jak w jego piersi i głowie płonie jasnym ogniem wściekłość. Pieprzyć kobietę, dla której ich opuścił! Chciał kogoś uderzyć albo coś zniszczyć, ale mógł tylko złościć się w milczeniu. Nie było powodu straszyć Bogu ducha winne stewardesy.

Jego wzrok padł na Jo. Zasnęła, a kiedy spała, jej twarz opuściło całe napięcie. Nie próbowała ani go przeproszać, ani robić na nim wrażenia (już zdążył zauważyć, że to dwa podstawowe tryby, w których działa). Nie wyglądała ani młodo, ani staro, ani na silną, ani na bezbronną. Była po prostu człowiekiem; oddychała, jej pierś unosiła się i opadała powoli. Śpiąc, rozchyliła lekko usta. Rozmawiali jeszcze przez kilka godzin, kiedy już powiedział jej o swoim ojcu. Rozmowa nie dotyczyła niczego szczególnego. Jo chciała dowiedzieć się więcej o jego pracy, o tym jak zaczynał w reklamie, gdzie mieszka, ile dzieci ma jego siostra. Był zadowolony, że nie wraca do tematu jego ojca, że nie próbuje drażnić tej sprawy. Polecil jej dwa hotele w Chicago; nie mógł uwierzyć, że wyruszyła za ocean, nie poświęciwszy choćby jednej myśli temu, gdzie się zatrzyma. A ponieważ nie był pewien, ile ma pieniędzy, w końcu zapisał jej nazwę hotelu, z którym jego firma miała podpisaną umowę, i kazał udawać ich pracownika, kiedy będzie się

meldować; nigdy nie prosili o potwierdzenie. Powiedział również, że powinna koniecznie zobaczyć fontannę Buckingham, Millennium Park, może wybrać się na wycieczkę po jeziorze. Odparła, że raczej nie będzie miała czasu na zwiedzanie, ale podziękowała mu za rady.

Oderwała jego myśli od problemów, ponieważ łatwo się z nią rozmawiało. Zupełnie nie przypominała kobiet, jakie zwykle spotykał. Była taka szczerą i naturalną, nie było w niej ani krztyny sztuczności. Owszem, była szalona i oszukiwała sama siebie, ale przynajmniej nie było w niej fałszu ani obłudy. Dean nie winił kobiet za ich przebiegłość. Mężczyźni potrafili być draniami; on sam był draniem, więc nic dziwnego, że kobiety rzadko mówiły, co naprawdę myślą i czują. Dlatego odmiana była taka miła. Jo miała w sobie naiwność – czy może właściwsze byłoby słowo „optymizm”? – która go zaintrygowała, szczególnie że, przynajmniej z jego punktu widzenia, jej życie było jedną wielką porażką. A jednak miała siłę wierzyć, że zmieni się na lepsze.

Rozejrzał się obojętnie po kabinie, szukając czegoś, na czym mógłby zatrzymać wzrok. Lecieli zgodnie z planem, mieli lądować za jakieś czterdzieści minut. W Chicago będzie wtedy trzecia po południu. Weźmie taksówkę i pojedzie do domu. Przebierze się, a potem pójdzie do biura i spędzi tam resztę dnia: przejrzy e-maile, zobaczy, co zrobili pod jego nieobecność. Może zadzwoni do przyjaciół i sprawdzi, czy ktoś ma ochotę na wieczór na mieście. Kolacja, film, cokolwiek. Teraz próby zasypiania pozbawione już były sensu, choć nie pamiętał, kiedy spał po raz ostatni. Zresztą i tak pewnie by nie usnął. Był zdenerwowany, a równocześnie przybity. Całkowicie rozbudzony, ale dziwnie oderwany od rzeczywistości. To był spokojny lot, raptem raz czy dwa razy pojawiły się turbulencje. Kiedy samolot zaczynał się trząść, ludzie podnosili wzrok znad gazet, ale unikali patrzenia na sąsiadów, żeby nie okazać strachu. Choć oczywiście wszyscy się bali.

Dean zauważył, że stewardesy zaczęły chodzić po kabinie i zbierać kieliszki, szklanki i słuchawki. Potem zapalił się napis proszący o zapięcie pasów; zupełnie jakby nakazywał wszystkim wstać z foteli, ludzie wokół niego nagle zaczęli się ruszać. Podnosili oparcia, wkładali buty, chowali laptopy, gazety i sudoku, stali w kolejce do toalety. Kapitan poinformował przez głośniki, że będą lądować za dwadzieścia minut, że w Chicago jest

teraz dwadzieścia dziewięć stopni – prawdziwy ewenement o tej porze roku – i że cieszy się, że wybrali usługi jego linii lotniczych. Dean pochylił się ku Jo i delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

– Będziemy lądować. Musisz podnieść oparcie fotela.

Usiadła gwałtownie, przestraszona i nieprzytomna. Dean zastanawiał się, czy wreszcie dotarł do niej ogrom tego, co zamierza zrobić. Ale zaraz okazało się, że się myli.

– Boże, muszę strasznie wyglądać. Czy chrapałam?

– Nie.

Wprawdzie chrapała cichutko, ale uznał, że nie musi o tym wiedzieć; miała dość innych zmartwień na głowie.

– To dobrze. Udało ci się zasnąć?

– Nie.

Spojrzała nerwowo na napis nakazujący zapięcie pasów.

– Myślisz, że zdążę iść do łazienki, odświeżyć się trochę? Muszę koszmarnie wyglądać.

– Wątpię, jest kolejka. Stewardesy już proszą pasażerów, żeby wrócili na miejsca. Poza tym wyglądasz dobrze. Lepiej niż na początku lotu.

– Dzięki.

– Nie jesteś już taka blada. – Bez zastanowienia pochylił się nieco i kciukiem usunął śpioszka z kącika jej prawego oka.

– Dziękuję. – Uniosła rękę i potarła energicznie jego policzek. – Masz odcisk od poduszki – wyjaśniła na widok jego zdumionej miny. Spłoszyła go, ale nie czuł urazy. Patrzyła na niego śmiało, jakby bawili się w wyzywanki na placu zabaw, przegrała jednak, ponieważ zaczerwieniła się i pierwsza odwróciła wzrok.

Milczeli, kiedy samolot przelatywał przez warstwę chmur i nagle ukazała się ich oczom imponująca panorama Chicago. To była *terra nova* dla Jo, ale dla Deana po prostu dom. Zauważył szary pas, na którym mieli lądować. Po chwili koła uderzyły o beton, podskoczyły dwa czy trzy razy, złapały przyczepność i nagle byli już na ziemi. Dean usłyszał oklaski dobiegające z klasy ekonomicznej; zaklaskało też kilku pasażerów w ich kabinie, w tym Jo, choć w zasadzie oklaskiwanie pilota było amerykańskim zwyczajem. Dean nie bał się latać, więc w pierwszej chwili nie zauważył, że ściska z całych sił poręczę fotela. Uświadomił to sobie dopiero, kiedy Jo delikatnie

położyła rękę na jego dłoni i wcisnęła swoje palce między jego. Uścisnęła mu lekko dłoń.

– Będzie dobrze – powiedziała, przekrzykując wycie silników i wiatru.

– Tak myślisz – to było raczej stwierdzenie niż pytanie, ale Jo i tak pokiwała z zapałem głową. Dziwne; na początku lotu mógłby się założyć, że to on będzie ją pocieszał przy lądowaniu, a nie odwrotnie. Była dziwaczną mieszanką cech: niezwykle pozytywnie nastawiona do życia, a zatem silna, a równocześnie taka naiwna i nierozważna. Czy wiedziała, dlaczego on się denerwuje? Czy przeżywszy takie szczęśliwe dzieciństwo, w ogóle była w stanie to pojąć? Przez chwilę miał wrażenie, że ona wie, że on potrzebuje pociechy, że ściskając jego dłoń, mówi mu to, co chce usłyszeć – że wszystko wróci do normy, że zapomni o tym incydencie. Że nie utonie.

Przez wiele godzin podróżowali z tak wielką szybkością, że powolne kołowanie samolotu pod terminal budziło dziwną frustrację. Dean widział schody, które wyjechały im na spotkanie, po czym z precyzją, która za każdym razem go zaskakiwała, choć latał naprawdę często, samolot połączył się z nimi, jakby przyciągał go magnes. Silniki zamilkły, zgasł napis nakazujący zapięcie pasów. Pasażerowie poderwali się jak sprinterzy z linii startu, ale Dean i Jo nie ruszyli się z miejsca. Jej ręka nadal spoczywała na jego dłoni. Palce mieli splecione. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział uśmiechem.

– Jako obywatel amerykański przejdę przez kontrolę szybciej niż ty. Więc zapewne nie zobaczymy się po drugiej stronie.

– Jasne.

– Dlatego powinniśmy się pożegnać tutaj. – Nie wiedział, dlaczego to powiedział. Co zamierzał? Uścisnąć jej rękę? Potrząsnąć nią, żeby odzyskała rozsądek? Wziąć ją w ramiona?

– Miło było cię poznać, Deanie Taylorze.

– Mnie ciebie również, Jo Russell. – Kiedy to powiedział, ze zdumieniem stwierdził, że mówi prawdę. To, co mówił kobietom i to, co o nich myślał, nie zawsze się zgadzało, ale jej towarzystwo było naprawdę miłe. Nie tylko potrafiła oderwać jego myśli od ojca, ale również pocieszyć go swoim optymizmem. Choć go nie podzielał, cieszył się, że na świecie wciąż istnieje coś takiego. Zaskoczyło go natomiast co innego: zapamiętał, jak ona się nazywa. Często mówił do kobiet „mała” albo „laleczko”, żeby nie musieć

pamiętać ich imion. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, czekając, aż pasażerowie przepchną się obok nich.

– Powodzenia w... we wszystkim – nie mógł się zmusić, żeby życzyć jej powodzenia w tym śmiesznym planie; okrucieństwem byłoby zachęcać ją do tego.

– Przepraszam za książkę i za szampana... – urwała.

Wzruszył ramionami i spojrzał na plamy na garniturze. Zupełnie zapomniał o tym wstępie.

– Nie przejmuj się.

– I przykro mi z powodu twojego ojca.

– Powiedziałem, żebyś się nie przejmowała.

Patrzę za Deanem, kiedy miesza się z tłumem zmierzającym do stanowisk odprawy dla obywateli amerykańskich, a potem idę do znacznie dłuższej i mniej uporządkowanej kolejki dla cudzoziemców. Ciągłe mnie ktoś popycha, więc nie mogę śledzić wzrokiem tego smutnego i niezwykle przystojnego mężczyzny tak długo, jakbym chciała. Usiłuję się skupić. OK, teraz muszę myśleć o rzeczach praktycznych. Muszę sprawić, żeby mi się udało z Martinem. To moja wielka szansa. Moja ostatnia szansa. Muszę sobie przygotować jakiś plan.

Najpierw hotel. Dzięki Bogu, że Dean mi pomógł, inaczej nie wiedziałabym, gdzie jechać. Czy to nie miłe z jego strony? Zapewne hotel jest bardzo elegancki; Dean ceni sobie styl. Mam nadzieję, że będzie stamtąd niedaleko do hotelu, w którym ma się odbyć ślub. Poza tym potrzebuję stroju na jutro. Nie zabrałam ze sobą niczego odpowiedniego, zapakowałam cokolwiek, praktycznie bez zastanowienia. Mam piżamę, przybory toaletowe, dzinsy, kilka par majtek, ale nie wystarczą mi przecież dzinsy i czyste majtki, żeby odebrać Martina jego narzeczonej. Choć z drugiej strony, jeśli nie będę miała na sobie nic poza tym... Martin należy do mężczyzn, których pociągają piersi.

Po kontroli paszportowej przechodzę do stanowiska odbioru bagażu. Staję na palcach i wyciągam szyję. Powtarzam sobie, że wcale nie szukam Deana, ale okazuje się, że to nieprawda, ponieważ kiedy go nie dostrzegam, ogarnia mnie rozczarowanie. Najwyraźniej przeszedł przez cło przede mną; miał tylko bagaż podręczny i nie musiał czekać w tej wielkiej hali. Pewnie jest już w drodze do domu. Nigdy więcej go nie zobaczę.

Ta myśl jest niczym cios w samo serce. Nagle czuję się słaba i zagubiona. Moja pewność siebie znika. Pocieram oczy dłońmi i besztam się w myślach. To idiotyczne. Co z tego, że nie zobaczę więcej Deana? To była tylko przelotna znajomość, nic więcej. Spędziliśmy razem kilka godzin i na tym koniec; Chicago to wielkie miasto, nie ma szans na to, że bym po prostu

wpadła na niego przypadkiem. Ile ludzi tu mieszka? Dean mi mówił, ale nie pamiętam. Czy to było dwa i pół miliona? Jeśli tak, to nie ma nadziei, żebym znów go spotkała.

Nagle myśl o ogromnym, nieznanym mieście przestaje być podniecająca, staje się groźna. Czuję się dziwnie odizolowana od innych ludzi i bardziej samotna niż na Heathrow. Na Heathrow były sklepy i nadzieja, i ślepa wiara. Gdzie się to wszystko podziało? Rzecz nie w tym, że to lotnisko jest mi obce; prawda jest taka, że za nim tęsknię.

Tęsknię za Deanem. To śmieszne, ale prawdziwe.

Żałuję, że nie poprosiłam go o numer komórki albo adres e-mailowy. Miałabym wtedy w tym obcym mieście kogoś znajomego. Co byłoby rozsądne i... Nie, nawet nie będę się zastanawiać, jakie jeszcze. Nie będę o tym myśleć.

Ściągam z taśmy swoją torbę i zadzieram podbródek; dzięki temu czuję się odrobinę silniejsza i pewniejsza siebie. Dość tych głupich marzeń i pobożnych życzeń; robiłam to przez tyle lat, bez żadnego pożytku. Czas spoważnieć, zacząć żyć naprawdę. Stać się osobą praktyczną. Muszę się skupić na tym, co powinnam teraz zrobić: na dojeździe do miasta, na zameldowaniu się w hotelu, na zakupie odpowiedniego stroju i na Martinie. Muszę ruszyć z miejsca, zrobić to, co sobie obiecałam.

Jednak nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jak to się odbędzie, już nie. Nie mogę sobie wyobrazić nawet twarzy Martina.

Bo wszystko przesłania mi Dean. Jego niechętny uśmiech. Jego opalone dłonie. Krążą mi po głowie jego cięte żarty. Tak dziwnie postrzega świat, tak drapieźnie. Czy to dlatego, że umiera jego ojciec? A może jest coś jeszcze? Nie chciałam naciskać. Chciałabym tylko, żeby się poczuł nieco lepiej. Chociaż troszeczkę. Mam nadzieję, że mi się udało. Pamiętam jego śmiech. Ten prawdziwy, głośny. Taki odważny i piękny. Nadal czuję zapach jego wody kolońskiej.

Idę korytarzem, który prowadzi na zewnątrz, trzymając kciuki, żeby trafić na autobus do miasta; moje sto pięćdziesiąt dolarów gotówką nie starczy na długo, jeśli będę musiała zapłacić za taksówkę. Muszę przestać myśleć o Deanie. Teraz powinien mnie obchodzić tylko Martin. Tymczasem wciąż słyszę jego głos, powtarzający moje imię. Jo. Jo. Przebija się przez hałas lotniska, przez powitalne okrzyki, hurgot wózków z bagażem i kroki

spieszących się ludzi.

– Jo!

Ten okrzyk jest tak głośny, że niemożliwe, bym go słyszała tylko w myślach. Chyba naprawdę ktoś mnie woła. Oglądam się i nagle go widzę. Szeroki uśmiech na twarzy. To Dean. Macha do mnie spod szklanych drzwi, które prowadzą na postój taksówek.

– Może pojedziemy razem? Podrzucę cię do hotelu! – woła.

Na jego widok znów czuję się silna i pewna siebie. Walczę ze łzami ulgi. Na pewno wszystko mi się uda z nim u boku, wszystko, nawet powstrzymanie ślubu Martina. Podchodzę do niego pospiesznie, do tego uśmiechu i pewności, że on się wszystkim zajmie, że wszystko załatwi. Uśmiecham się, a Dean odpowiada tym samym. Otacza mnie świeże powietrze, wspinała odmiana po dusznym samolocie i niekończących się klimatyzowanych korytarzach lotniska. Wmawiam sobie, że to, co czuję, to tylko ulga i sympatia, że to nie ma nic wspólnego z miłością.

– Myślałam, że już dawno pojechałeś.

– Zacząłem się martwić, że nie znajdziesz hotelu. Albo że nie będą mieli wolnych pokoi i będziesz musiała pojechać gdzie indziej. – Wzrusza ramionami, usiłując ukryć swoją troskliwość.

– Poradziłabym sobie – kłamię. Bo wątpię, żebym sobie poradziła, ale nie chcę wyjść na żalostną nieudacznicę. Zresztą Dean i tak nie wygląda na przekonanego.

– A jeśli chodzi o ten ślub, na który idziesz... Ten nie-ślub. – Przeczesuje włosy ręką; jest wyraźnie skrepowany. Niepewny. – Zastanawiałem się, czy masz się w co ubrać.

– Nie, nie mam. Właśnie się nad tym zastanawiałam.

– Pewnie nie wiesz, gdzie tu są sklepy.

– Nie mam pojęcia.

– Mogę ci pomóc – proponuje, znów wzruszając ramionami. – Mógłbym ci pokazać, gdzie moja siostra lubi robić zakupy, kiedy przyjeżdża z wizytą.

– Naprawdę?

– To oczywiście nie znaczy, że popieram twój plan.

– Jasne.

– Bo uważam, że to co chcesz zrobić, to zwykłe samobójstwo.

– Oczywiście.

– Po prostu chcę, żebyś świetnie wyglądała, idąc na śmierć – uśmiecha się szeroko.

Bez zastanowienia obejmuję go z całych sił.

– Dziękuję – mówię. – Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Ostrożnie klepie mnie po plecach.

– Nie ma za co – bąka pod nosem.

Eddie

Poznaję ją od razu, w chwili gdy staje w drzwiach, co jest naprawdę zaskakujące, ponieważ wzrok mnie zawodzi, a poza tym minęły przecież całe wieki. Ale nie ma powodu dorabiać do tego jakichś romantycznych teorii; rozpoznaję ją, ponieważ się nie zmieniła. Oczywiście ma trochę więcej zmarszczek wokół oczu, skóra pod brodą trochę jej obwisła i przybyły jej trzy czy cztery funty – ale tylko na brzuchu. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: ciuchy ma jeszcze bardziej wyszukane niż kiedyś – a przecież zawsze były cholernie wyszukane, takie ponad przeciętną. Ma na sobie białe lniane spodnie i cienki wełniany granatowy top, zapewne z kaszmiru. Top porusza się lekko, kiedy ona idzie w moją stronę, pieszcząc jej ramiona, biodra, piersi. Jej włosy są nieco dłuższe niż kiedyś, cieńsze, lżejsze. Nosiła wtedy fryzurę jak Purdey z serialu *New Avengers*; miała do tego odpowiednie kości policzkowe, no i cholernie długie nogi. Wtedy panowała moda na sobowtóry Joanny Lumley. Clara należała do tych nielicznych przekonujących.

Tak, wygląda wcale dobrze. Ma w sobie to coś, od razu widać, że w latach siedemdziesiątych była z niej prawdziwa szprycha; że była tą pożądaną w czasach, kiedy naprawdę wiedzieliśmy, jak pożądać. Jeśli raz przeżyło się coś takiego, na zawsze zachowuje się tę świadomość. Niektóre kobiety obnoszą swą przeszłą chwałę z goryczą, nie mogą się pogodzić, że ich triumfy należą do przeszłości, inne znów są beztrosko nieświadome, że tak właśnie jest. Ona nosi ją ze spokojną godnością; widać w niej ten cień świadomości, że kiedyś była bajeczna. Wygląda nieźle jak na swój wiek. Z całą pewnością zestarzała się lepiej niż wszystkie znane mi osoby, na pewno lepiej niż ja. Ogarnia mnie podziw zmieszany z żalonym gniewem, że tak właśnie jest. Gdy tylko ją widzę, wiem, że tego pragnąłem. Jej. Tutaj. Ten jeden, ostatni raz. Że właśnie na to miałem nadzieję, odkąd wysłałem jej list. Ale w chwili gdy to sobie uświadamiam, nachodzi mnie inna myśl: wołałbym, żeby nie przychodziła.

Byłoby lepiej, gdyby zapamiętała mnie takim, jaki byłem kiedyś. Zwykle

nie lituję się nad sobą, ale to spotkanie po latach – ten spacer aleją wspomnień, czy co tam będziemy robić – byłby o wiele łatwiejszy, gdyby nie sterczał ze mnie cewnik. Ona widzi moje siki. Komu zależy na czymś takim? Nikomu. Nie po tym, co razem przeżyliśmy.

Facet w łóżku naprzeciwko słyszy stukot jej obcasów i próbuje usiąść, żeby lepiej widzieć. Jeszcze nie ma dosyć, choć to cień człowieka. Widziałem jego żonę. Jest gruba, rządzi się i nosi okulary. Przychodzi tu z torbami winogron i tanimi pismami, włosy ma zawsze związane w tłusty koński ogon. Pożera te winogrona, czytając plotki o gwiazdach i robi mu wykłady na temat rzucania palenia. Nigdy nie widziałem, żeby poczęstowała go tymi winogronami. Facet chyba będzie miał kolejny udar, jak nie przestanie się gapić na Clare. Uśmiecha się jak idiota. To ja jej to dałem. Przede mną była tylko ładna. Po mnie zaczęła przyciągać uwagę. Stała się czymś więcej.

– Witaj, Eddie.

W jej oczach widzę litość, błyszczy tam, gdzie kiedyś widziałem tęsknotę, pożądanie i nienawiść. Próbuję ją zignorować, ponieważ to krępujące. Ostatnia rzecz, jaką chcę zobaczyć.

– Witaj, ślicznotko – próbuję dawnego poufałego tonu; nie wychodzi mi, bo brakuje mi tchu. – Dużo czasu minęło.

Siada. Plecy proste, głowa zadarta.

– Tak? A ja mam wrażenie, jakby to było wczoraj – mówi i uśmiecha się.

I nagle bum. Ten sam uśmiech. Niespieszny; zaczyna się w jednym kąciku ust, prawym. Równocześnie prowokacyjny, kpiący i prawdziwy.

Znam fakty. Jestem umierającym staruchem, a ona żoną innego faceta, i to taką, która najlepsze dni ma już za sobą, mimo drogiej fryzury i makijażu. Ale jej uśmiech się nie zmienił. Wszystko nadal tam jest, w tym jej uśmiechu.

Kurwa mać, ta kobieta mnie kocha.

Dean

Dean często towarzyszył kobietom na zakupach. Miał do tego talent, masę dobrego gustu i kupę forsy. Lubiał ubierać kobiety, patrzeć, jak stają się tym, czym pragną być; najlepszą wersją samej siebie. Uważał to za hobby, robił to na tej samej zasadzie, jak inni urządzają mieszkania. Kobiety ceniły sobie jego hojność i lubiły, gdy im dogadzał, więc często zabierał do sklepów swoje nowe zdobycze. Takie wyprawy były czymś w rodzaju misji: przedstawieniem, rytuałem.

Grą wstępną.

Zakupy z Jo były zupełnie inne. Po pierwsze, nie była jego zdobyczą, więc nie on decydował, co kupić, ale podstawowa różnica polegała na tym, że ona uważała zakupy za rodzaj zabawy, a nie za krwawe łowy. Choć czasu mieli niewiele, dla zabawy przymierzała najpiękniejsze i najbrzydsze ciuchy w sklepie. „Tylko żeby sprawdzić”, powtarzała przy tym. Miała własne zdanie i potrafiła go bronić, dostrzegała potencjał w rzeczach, na które on nawet by nie spojrział. Poza tym wyglądała nieźle właściwie we wszystkim (wyjąwszy długą zieloną suknię z etaminy, naprawdę okropną), więc naprawdę miło było ją oglądać, kiedy wychodziła z przymierzalni, rozchichotana i zarumieniona.

Początkowo Dean zamierzał zaprowadzić ją do kilku drogich, ekskluzywnych sklepów, ale potem przypomniał sobie, że podróżowała klasą biznesową tylko dlatego, że zabrakło dla niej miejsca w ekonomicznej, więc taktownie spytał ją, jak wielki ma budżet.

– Niewielki – wyznała.

– Pięćset dolarów?

– Bliżej dwustu.

– Ale przywiozłaś buty, prawda?

– Nie.

– Więc to ma być dwieście dolarów razem z butami? – Miał nadzieję, że nie zauważyła zaskoczenia na jego twarzy; nie chciał, żeby poczuła się

gorsza z powodu braku funduszy. Nawet po wielu latach zamożności nadal pamiętał doskonale to paskudne uczucie.

– Tak właściwie to sto pięćdziesiąt, w dodatku muszę też kupić torebkę. Jeśli wydam więcej, będę musiała płacić kartami, ale zapłaciłam nimi za bilet na samolot i mają wyczerpane limity, a przecież muszę jeszcze zapłacić za hotel – wyjaśniła, wzruszając ramionami i uśmiechając się do niego. I znów miał do czynienia z tą jej niezwykłą i zaskakującą szczerością. – Nie byłoby fair wobec Martina zaczynać życie małżeńskie z gigantycznym długiem. – Oraz z jej niebezpiecznymi złudzeniami.

Dean sądził, że wybiorą się na Cudowną Milę, czyli North Michigan Avenue między Oak Street a rzeką Chicago, będącą skrzyżowaniem nowojorskiej Piątej Alei z Rodeo Drive w Beverly Hill. OK, nie spodziewał się po niej, że kupi biżuterię Bulgari, torebkę Prady czy buty Salvatore Ferragamo, ale że może wpadną do domu towarowego i przejrzą ofertę modnych butików. Kiedy usłyszał, jakie ma fundusze, wygooglował outletry.

– Och, to kawał drogi stąd – stwierdziła Jo, kiedy pokazał jej sklep na mapie na telefonie.

– Nie zamierzam cię porywać, nie masz się czego bać. Weźmiemy taksówkę.

– W ogóle nie przyszło mi to do głowy – urwała. – Ale skoro o tym wspomniałeś, czuję się głupio, ponieważ pewnie powinnam o tym pomyśleć. Ale nie pomyślałam, ponieważ ci ufam. Martwiłam się tylko, że zajmę ci całe popołudnie.

– Tym się nie przejmuj, nie mam żadnych planów.

– Skoro jesteś pewien...

Widział, że ją kusilo.

– Mamy do wyboru to albo secondhandy.

Rozpromieniła się.

– Secondhandy to ciekawa opcja.

– Tak? Zapomnij. Nie będziesz wyglądała najlepiej na ślubie ubrana w sweter w rozmiarze XXL, nawet jeśli dobierzesz do niego apaszkę za dwa dolary wykonaną przez ośmiolatka w kraju słabo rozwiniętym. Jedźmy do tego outletu. Moim zdaniem powinnaś się uzbroić w coś designerskiego, choćby z poprzedniego sezonu.

Wcale nie zamierzał zaczekać na nią na postoju taksówek. A już na

pewno zabierać jej na zakupy. Problem w tym, że kiedy spróbował ją zostawić, okazało się, że nie potrafi. To było idiotyczne, naprawdę. Ale Chicago było takim ruchliwym, tłocznym miastem; przecinały je, jak nóż pizzę, pociągi wożące ludzi po estakadach, z punktu A do punktu B i z powrotem. Jo zablądzi tu jak nic. Wcale nie chodziło mu o jej wielkie czy małej foczki ani duże piersi typu „chodź do mamusi”; to było coś mniej oczywistego i zdecydowanie bardziej intrygującego. Nie potrafił się otrząsnąć. Fascynował go jej... jej co? Romantyzm? Głupota? W zasadzie były to różne określenia tej samej rzeczy. Spotkał wiele kobiet, które przyciągały uwagę otoczenia oczami i biustem albo odgrywały przed nim bezradną kobietkę, żeby poczuł się zobowiązany do płacenia za kolację i taksówkę, ale zawsze bez problemu potrafił od nich odejść w dowolnej chwili: kiedy kelner przynosił im płaszcze, kiedy zamykały się drzwi taksówki, kiedy wschodziło słońce. Rzadko działo się to później. Bo nigdy się nie angażował. Ale Jo była inna. I owszem, zaangażował się. Oczywiście nie w tradycyjnym sensie tego słowa, w jakiś inny, nieokreślony, niejasny sposób. Nie była stereotypową kobietą w niebezpieczeństwie. To by go tylko zirytowało. Nie prosiła go, żeby ją uratował. Wręcz przeciwnie: była przekonana, że zrobi to ten Martin. Nie potrzebowała Deana. To świetnie, ponieważ nie lubił być potrzebny. Jednak... jednak nie potrafił tak po prostu jej zostawić. No i nie zamierzał zapraszać jej na kolację, więc jak do tego doszło? Zmierzchało, kiedy ustalili, że pójdą do restauracji w Millennium Park. O tej porze rodziny z małymi dziećmi wracały już do domu na swój wieczór przed telewizorem, a ich miejsce zajmowali fani miłości na świeżym powietrzu. Kiedy zaproponował kolację, Jo najpierw odmówiła, ale wiedział, że nie z jego powodu, tylko dlatego, że nie było jej na to stać. Tymczasem on, wiedząc jak mało ma pieniędzy, obawiał się, że jeśli sam jej nie nakarmi, gotowa zjeść papierowe ręczniki z hotelowej łazienki.

– Nalegam. Ja stawiam. Nie mogę dopuścić, żeby jakiś gość z Anglii nie zobaczył najważniejszych miejsc Chicago i nie spróbował tutejszych opalanych hot dogów.

– Brzmi interesująco. A czym się różnią od zwykłych?

– To są dwustugramowe hot dogi przyprawiane na słodko, z pomidorami, cebulą, piklami i solą selerową, a serwuje się je z sałatką colesław. Zapewniam cię, nie jest to brytyjski standardowy hot dog. Chodź,

zrobisz mi przysługę. Też muszę coś zjeść.

Postanowili wykorzystać niespodziewanie ciepły, wiosenny wieczór i usiedli na zewnątrz, w ogródku restauracji. Rozsiedli się w skórzanych fotelach stylizowanych na lata siedemdziesiąte i napawali widokiem; słońce właśnie zaszło, lada moment miały pojawić się gwiazdy. Dean rozejrzał się i stwierdził, że przy sąsiednich stolikach siedzą wyłącznie randkownicze. No cóż, nad ranem ulice będą pełne rozczarowanych ofiar tych randek; rozgoryczonych facetów, rozszlochanych kobiet. Normalny piątkowy wieczór. Próbował zignorować pełne nadziei spojrzenia i wysilone dowcipy sąsiadów; skupił się na wyborze koktajli i na jazzbandzie, który grał opodal. Jo rozglądała się po otoczeniu i promieniała.

– Tu jest wspaniale! Zauważyłeś, że pełno tu zakochanych?

– Staram się nie zwracać na nich uwagi.

– Nie uważasz, że Chicago to romantyczne miasto?

– Nie.

– A Paryż, Wenecja albo Rzym?

– Też nie.

Uśmiechnęła się szeroko, uznając to za żart.

– Chicago jest romantyczne – zapewniła go.

– Ciekawe, czy jutro zgodzi się z tobą narzeczona Martina – mruknął Dean. Nie chciał przekłuwać tej jej radosnej bańki mydlanej, ale nie zamierzał udawać, że aprobuje jej plany.

Jo wyraźnie przygasała.

– Po co o tym wspominasz? Psujesz nastrój. Nie możemy po prostu cieszyć się tym wieczorem?

– OK, znasz moje zdanie. Nie powiem już na ten temat ani słowa – uniósł ręce, jakby się poddawał. Miała rację: powinni po prostu cieszyć się tą chwilą. Co go obchodzi, że zamierza zrujnować wielki dzień innej kobiety? To nie jego sprawa. Wszystko mu jedno, czy przyprawi tego nieszczęsnego Martina o atak serca, czy wyjdzie na głupią. Po co się tym martwi? To-Nie-Jego-Sprawa. Powinien po prostu cieszyć się tym wieczorem, zamiast reformować jej świat. Powinien myśleć tylko o sobie, jak zwykle. Ten wieczór niczym się nie różni od innych.

– Napijmy się – zaproponował.

Jo

Dean zamawia koktajle – nie dosłyszałam nazwy – i mówi kelnerce, że hot dogi i piwo zamówimy trochę później. A może wino? Patrzy przy tym na mnie, zapewne chcąc poznać moją opinię na ten temat. Wzruszam ramionami i uśmiecham się; wolę pozostawić decyzję jemu. W końcu to on będzie płacił, więc ma prawo decydować, co zamówimy i kiedy. Kelnerka rzuca mi tylko jedno taksujące i pełne zazdrości spojrzenie. Z jej miny mogę wyczytać, co myśli. „Dlaczego taki fajny facet chodzi z taką zwyczajną dziewczyną? Nawet nie pomalowała sobie ust”. Z trudem powstrzymuję się od komentarza, że też żałuję, że nie znalazłam czasu na poprawienie urody. Wiem, że wyglądam okropnie. Nikt, kto właśnie przeleciał Atlantyk i w dodatku upił się po drodze, nie może wyglądać dobrze. Rzecz jasna oprócz Kate Moss. Prawdę powiedziawszy, powinnam padać ze zmęczenia, ale czuję się dziwnie ożywiona, a nawet pełna życia. W ramach poprawek urody podciągam ramiączko stanika, które zsunęło mi się z ramienia; kelnerka przewraca oczami, a potem prezentuje Deanowi swój najlepszy uśmiech. Mam wrażenie, że zaraz usiądzie mu na kolanach. Dean nie jest moim facetem, więc nie powinnam być zła z powodu jej zachowania.

Ale jestem.

Prawda jest taka, że chcę go mieć w ten wieczór dla siebie. Potrzebuję moralnego wsparcia; jutro jest mój wielki dzień. Największy. Jestem podniecona i zżerają mnie nerwy, aż robi mi się niedobrze. Więc postanawiam zmienić temat, nim się porzygam. Kiedy kelnerka wreszcie odkleja się od Deana, pytam:

– Powiedz mi, zawsze marzyłeś o pracy w reklamie?

– Och, marzyłem o wielu zawodach. Jak większość chłopców chciałem zostać superbohaterem, piłkarzem, strażakiem albo kowbojem – wylicza na palcach swoje ambicje.

– I nie udało ci się? – W głowie pojawia mi się obraz Deana w mundurze strażaka; przerzuca mnie sobie przez ramię i wynosi z pożaru. I Deana

w kowbojskim kapeluszu, galopującego po prerii; czekam na niego ubrana w czepek Laury Ingalls i reformy. Potrząsam głową, by pozbyć się tych wizji.

– Przede wszystkim chciałem być bogaty, chciałem się wyrwać – wyrzuca z siebie Dean.

– Z której części Anglii pochodzisz, że tak bardzo chciałeś wyjechać?

W tym momencie wraca kelnerka z koktajlami i znów muszę znosić jej trzepotanie rzęsami. Kiedy przestaje robić przeciąg i wreszcie zostawia nas samych, Dean zamiast odpowiedzieć, pyta:

– A ty? Zawsze chciałaś być dziennikarką?

– Zawsze chciałam wyjść za mąż. To moja życiowa ambicja.

Dean właśnie pije, więc parska prosto w szklanekę i rozlewa napój po stole.

– Hej, nie marnuj dobrego alkoholu – ganię go.

– To koktajl bezalkoholowy – odpowiada, nie przestając się śmiać. – Nie piję alkoholu.

– Naprawdę? – Jestem zaskoczona. To nie pasuje do mojej wizji pięknego, mrocznego Deana od reklamy. Sądziłam, że co i raz zamawia martini w stylu Jamesa Bonda, wstrząśnięte, niemieszane. Ale rzeczywiście, w samolocie też pił tylko sok pomarańczowy. – Dlaczego nie pi...?

Dean przerywa mi w pół słowa.

– Więc jak zostałam dziennikarką?

To dobre pytanie, choć nigdy tak naprawdę nie zastanawiałam się nad odpowiedzią. Większość czasu zabierało mi zastanawianie się, jak to się stało, że nie wyszłam za mąż.

– Jakoś tak się złożyło. Byłam w szkole dobra w angielskim. Bardzo lubiłam czytać.

– Niech zgadnę, romanse?

– Owszem, i co z tego? – próbuję zignorować jego pełen rozbawienia sarkazm. W końcu ma rację. – Więc studiowałam angielski, a po dyplomie nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Jeden z wykładowców doradził mi podyplomowy kurs dziennikarstwa. Pomysł dobry jak każdy. – Wiem, że nie brzmi to imponująco. Mam świetną pracę, przynajmniej miałam do wczoraj, a jednak wcale o nią nie walczyłam. Po prostu tak się złożyło, że zaczęłam tam pracować i dopuściłam do tego, że mnie wylali. Trochę mi wstyd z tego powodu. Muszę zmienić temat. – Słuchaj, cały czas rozmawiamy o mnie.

A co z tobą?

W samolocie opowiadał głównie o swojej pracy, ale udało mi się ustalić, że mieszka w szpanerskim apartamencie, że uwielbia swoją siostrę i ma alergię na skorupiaki. Odgadłam jego ulubione filmy i zaskoczył mnie wybór jego lektur, ale nie poznałam jego pięciu najlepszych wspomnień, a choć nie odznacza się dyskrecją, jeśli chodzi o swoje partnerki seksualne, o jego życiu uczuciowym nie mam pojęcia. Tymczasem on wie o mnie praktycznie wszystko; zna nawet paskudne szczegóły na temat sześciu ostatnich facetów, z którymi się umawiałam, wie, że moją ulubioną zabawką w dzieciństwie była lalka o imieniu Birdie i że ściągałam na egzaminie z łaciny: miałam zapisane deklinacje na wewnętrznej stronie piórnika. Ten facet genialnie potrafi unikać zwierzeń i wyraźnie woli rozmawiać o innych ludziach niż o sobie; to on powinien być dziennikarzem.

– Co chcesz o mnie wiedzieć?

Co chcę o nim wiedzieć? Wszystko? Tak, wszystko. Ale przede wszystkim chcę wiedzieć, czy ma narzeczoną. To nie moja sprawa, ale jestem ciekawa. Nie doszukujcie się w tym drugiego dna; po prostu lubię rozmawiać o związkach. To mój ulubiony temat. Więc próbuję go poruszyć w jakiś taktowny sposób.

– Co robisz w wolnym czasie?

– Jem, zarabiam pieniądze i bawię się z dziewczynami. – Nie wspomniał o narzeczonej. – Uwielbiam adrenalinę. W zimie większość weekendów spędzam na snowboardzie, wiosną i latem jeżdżę na rowerze górskim albo na nartach wodnych. Próbowałem zapewne wszystkiego.

Mówi to ostatnie zdanie w taki sposób, że czuję podniecenie. Z jakichś przyczyn uznaję, że miało się odnosić do sypialni. Wyobrażam go sobie związanego albo jak krępuje partnerki, zlizuje lody waniliowe z kobiecych pośladków i wypróbował wszystkie pozycje kamasutry. Nie jestem pruderyjna, wręcz przeciwnie, ale nagle brakuje mi słów. Czy on ze mną flirtuje, czy tylko mi się zdaje? I czy chcę, żeby ze mną flirtował?

Nie, jasne, że nie. Jestem ponad, prawda? Po co mi takie komplikacje? Oczywiście pomijając ten drobny fakt, że kiedy przypadkiem dotknął mojej piersi przy toalecie w samolocie, omal nie dostałam orgazmu. Nie pamiętam, kiedy czułam takie oszałamiające, pierwotne pożądanie.

Może nigdy.

– Imponujące. A ta najbardziej niebezpieczna rzecz? – udaje mi się wybąkać.

– Pływałem z rekinami.

– To jakaś metafora?

– Nie. Dosłownie pływałem z prawdziwymi rekinami, choć rzeczywiście, mogłaby to być metafora, zważywszy politykę mojej firmy. Kilka razy zjeżdżałem na linie. Próbowałem skoków na bungee, skoków ze spadochronem i raftingu. – Och, niech już zamilknie, przytłaczają mnie jego słowa. Czuję się przy nim jak jedna wielka porażka. Najbardziej ryzykowna rzecz, jaką zrobiłam, to zapomnienie się w pewnym naprawdę zakazanym barze w czasie festiwalu Notting Hill (jadłam tam też palcami, nie mając serwetki, choć oczywiście nie jest to rzecz śmiertelnie niebezpieczna). Dean jest moim całkowitym przeciwieństwem. Nie tylko jest szaleńczo odważny, ale i nie pije, gdy tymczasem ja jestem na dobrej drodze, żeby utopić się we własnym koktajlu. Nigdy nie moglibyśmy zostać parą. W testach randkowych zawsze dążę do przynajmniej osiemdziesięciopięcioprocentowej zgodności, a tymczasem ja i Dean nie pasujemy do siebie zupełnie. Tak tylko mówię.

– Bardzo męskie zajęcia – uśmiecham się z przymusem. Jego energia podkreśla moją apatię i to wcale nie jest przyjemne. Unoszę rękę nad głowę i macham gwałtownie na kelnerkę. Dean unosi lekko brew, a dziewczyna błyskawicznie zjawia się przy naszym stoliku.

– Możemy dostać chleb?

– Do hot dogów w bułce? – pyta kelnerka ze zdumieniem; wyraźnie bardziej przejmuje się moim spożyciem węglowodanów niż ja sama. – Na przekąskę proponowałabym raczej oliwki.

– Nie lubię oliwek.

– A próbowałaś? – pyta Dean. Rzucam mu mordercze spojrzenie, takie jakim moi siostrzeńcy obrzucają przy posiłkach moją siostrę, ale muszę przyznać, że nie, nie jadłam oliwek, odkąd skończyłam dwanaście lat. Wiem doskonale, co Dean zaraz powie. – No to skąd wiesz, że ich nie lubisz, skoro nie próbowałaś? Poprosimy oliwki nadziewane kozim serem – zwraca się do kelnerki.

– Dobry wybór – chwali go dziewczyna, a potem odwraca się na pięcie i idzie do kuchni, wzbijając za sobą prawdziwą chmurę błyszczących

włosów. Patrzę na jej podskakujące pośladki i myślę, że pewnie jest ode mnie o dziesięć lat młodsza.

– Na pewno ci zasmakują – zapewnia mnie Dean.

Uśmiecham się z przymusem. Przeraża mnie myśl o przekąsce, która wygląda jak tłuste ślimaki bez skorupki, ale zważywszy, co Dean robi w wolnym czasie, nie mogę się przyznać, że po prostu boję się spróbować oliwek. Milczymy, póki zuchwała kelnerka nie wraca z miseczką. Kiedy stawia ją na stole, praktycznie wyciera Deanowi twarz cyckami. Jemu najwyraźniej to nie przeszkadza. Przynajmniej nie tak bardzo, jak mnie.

– Wiesz co? Jako skautka zdobywałam mnóstwo sprawności – mówię, dopijając jednym haustem margaritę.

– To znaczy? – pyta Dean.

– Jak miałam osiem lat, potrafiłam wymienić wtyczkę, a jak miałam jedenaście, weszłam na Snowdon. Razem z koleżankami zorganizowałyśmy trupę teatralną i występowałyśmy dla pensjonariuszy domów opieki. Byłam na wędrownym obozie w Turcji i w Norwegii. I potrafiłam zrobić z patyków stojak pod miskę.

– Co?

– Stojak pod miskę. Żeby się można było wygodnie umyć na obozie. No fakt, to nie jest szczególnie praktyczna umiejętność, ale wtedy to był prawdziwy wyczyn – urywam. – Chcę przez to powiedzieć, że był w moim życiu taki okres, kiedy nigdy nie marnowałam żadnych okazji.

Mam na myśli okazje, które nie miały nic wspólnego z usidleniem faceta, ale nie przechodzi mi to przez gardło. Zastanawiam się nad motywami stojącymi za spróbowaniem oliwek. Czy mam nadzieję zrobić wrażenie na Deanie, czy chcę udowodnić samej sobie, że wcale się nie boję? Nie potrafię określić. Dean kiwa głową, ale nic nie mówi i o nic nie pyta. Mam niejasne wrażenie, że mną manipuluje, czeka, aż wyciągnę własne wnioski; takie, do których zapewne doszedł przede mną.

Powinnam się bardziej starać.

– Dlaczego aż tak poszukujesz wrażeń?

– Mamy tylko jedno życie.

– Owszem, ale odnoszę wrażenie, że starasz się je wydatnie skrócić.

– Chyba nadrabiam stracony czas. Późno zacząłem. Wszystko zaczęło się u mnie kręcić później niż u przeciętnego faceta – mówi, wzruszając

ramionami. Unika mojego spojrzenia, co jest u niego czymś niezwykłym. Na ogół jest bardzo bezpośredni.

– Wylali cię z uniwersytetu?

– Nie studiowałem. Spróbujesz tych oliwek czy nie? – Dean zdążył już zjeść połowę.

– Nie studiowałeś? – zapewne nie powinnam tak się dziwić. To tylko dowodzi, jak mało urozmaiceni są moi przyjaciele. Bo tak się składa, że wszyscy, których znam, coś studiowali. Dzieciaki, które chodzą do prywatnych szkół, muszą się naprawdę postarać, jeśli chcą tego uniknąć. Moi przyjaciele studiowali filozofię, politykę i ekonomię w Oksfordzie albo robili ekonomię w college'ach, które reprezentują sobą poziom liceów z lat pięćdziesiątych, ale bez względu na jakość zdobywanego wykształcenia przez trzy lata studiowali i przeżyli wszystko, z czym to się wiąże. No wiecie, oszczędzanie, zarywanie nocy, rzyganie na klatkach schodowych, dorastanie. – Dlaczego?

Dean jest bardzo bystry. Na pewno poradziłby sobie na uniwersytetu.

– Nie miałem okazji – wyjaśnia, nie wyjaśniając niczego.

– I dlatego teraz wykorzystujesz wszystkie, jakie wpadną ci w ręce?

– Pewnie tak.

– Masz to po ojcu?

– Można tak powiedzieć. – Deana wyraźnie nie ucieszyło moje porównanie. – Mój ojciec na pewno lubi przygody i na pewno nauczył mnie samodzielności. – Bierze szklanekę i upija wielki łyk koktajlu. Odnoszę wrażenie, że przynajmniej tym razem żałuje, że nie jest to koktajl z alkoholem.

Postanawiam wykorzystać okazję, bo alkohol dodaje mi odwagi. Jestem pewna, że dobrze mu zrobi rozmowa na ten temat.

– Dlaczego twój ojciec odszedł? – pytam.

– Och, nie było w tym nic oryginalnego. Miał inną. Zawsze były jakieś inne, ale ta najwyraźniej była wyjątkowa.

– Rozumiem.

– Rzecz w tym, Jo, że w twoim świecie to ta wyjątkowa powinna być moją matką.

– No tak.

– Dlatego tak mi trudno uwierzyć w twoją teorię tego jedyne. Czy nie

jest tak, że często zjawia się ktoś nowy?

Nie mogę polemizować z jego logiką, choć wcale mnie to nie cieszy.

– Uważasz, że związki przypominają autobusy? – pytam żartem.

– Tak, najpierw długo, długo nic, a potem trzy naraz – Dean uśmiecha się, ale ja z jakichś przyczyn czuję ukłucie zazdrości. Jednak staram się zachować żartobliwy ton.

– Marzyciel.

Prawda jest jednak taka, że irytuje mnie myśl o tych trzech dziewczynach, z którymi być może Dean się umawia. Myśl o tym, że całuje się z innymi kobietami, że gładzi je po udach, liże ich sutki... Niedobrze. Cała moja irytacja koncentruje się na kelnerce, która pojawia się właśnie przy naszym stoliku jak dżin z butelki.

– Hej, jak sobie radzicie? Przynieść jeszcze coś do picia? – Mierzę ją nieprzyjaznym spojrzeniem. Mam ochotę ją odprawić, ale jej nie obchodzi, czego ja chcę; obchodzi ją tylko Dean. Posuwa się do tego, że kładzie mu serwetkę na kolanach! Dean zamawia jeszcze jedną kolejkę.

– Podobasz jej się – wyrywa mi się, kiedy kelnerka znika.

– Wiem. Włożyła mi do kieszeni marynarki kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Co?! – Teraz to jestem naprawdę wściekła. – Przecież jesteś ze mną!

– Technicznie rzecz ujmując, to nie.

– Ale ona o tym nie wie.

– Jej to chyba nie obchodzi.

– Często ci się to zdarza? Że kobiety wciskają ci swoje numery telefonów?

– Dość często.

Nigdy w życiu nie włożyłam facetowi swojego numeru do kieszeni marynarki, tym bardziej takiemu, który właśnie jadł kolację z inną kobietą, ale to oczywiste, że Dean musi być obiektem polowań. Wystarczy na niego spojrzeć. Jest cudowny. Ma taką twarz, jakiej poszukują producenci filmowi, ładną, jasną cerę i pięknie rzeźbione ciało. Żadnych defektów urody, nie ma nawet wrastających włosów na policzkach czy wyprysków, jakie pojawiają się po zjedzeniu ciasta czekoladowego. Jest opalony, a jego opalenizna sugeruje zdrowie fizyczne i bogate doświadczenia. Mówi, że źle sypia, i lekkie sińce pod oczami zdają się to potwierdzać, ale nawet one wyglądają seksownie.

– Świat jest chyba dla mnie zbyt konkurencyjnym miejscem – mówię z westchnieniem. – A jak radzi sobie z tym wszystkim twoja narzeczona?

To żałośnie oczywiste pytanie. Jestem prawie pewna, że Dean nie ma narzeczonej. Prawie pewna, ale z jakiegoś powodu to mi nie wystarcza. Chcę mieć pewność. Muszę ją mieć. Chociaż nie mogę się zmusić, żeby zapytać wprost „Masz kogoś na stałe?”. Wiem z gorzkiego doświadczenia, że faceci źle interpretują takie pytanie. Już lepiej, żeby Dean uważał mnie za żalostną niż za wścibską i nachalną.

– Nie mam narzeczonej. – Wymieniamy spojrzenia. Takie jakie wymieniają między sobą przy podobnych okazjach miliony ludzi; spojrzenie, które jest wyzwaniem, obietnicą i równocześnie pytaniem. Czuję lekki, ale niezaprzeczalny trzepot w brzuchu. Wiem, że to rozkosz.

Ale.

Nie mogę przecież dać się porwać. Z wielu, bardzo wielu powodów.

– Och, jasne, w Ameryce jest inaczej, prawda? Ludzie umawiają się na randki z różnymi osobami, a potem pewnego dnia odbywają Tę Rozmowę i wówczas to już prosta droga do działu ślubnego w Bloomingdale’s. Prawda?

– Nie mam pojęcia – poprawia się na krześle i patrzy nad moim prawym ramieniem. Czekam, aż znów na mnie spojrzy.

– Ale chodzisz na randki?

– No tak. W pewnym sensie.

– W pewnym sensie? Albo się człowiek umawia, albo nie. – Wiem, że nie powinnam przepytawać go tak energicznie, jednak nie mogę się powstrzymać.

– Nie jestem pewien, czy to, co robię, można nazwać umawianiem się.

– A co robisz?

– Pieprzę się z kobietami.

– Och.

Kiedy wypowiada to słowo, czuję, jak odbija się rozkosznym echem w całym moim ciele. Łaskotanie zaczyna się w brzuchu i promieniuje na boki: w dół do ud i w górę do piersi, przyspieszając oddech i bicie serca.

Martin. Martin. Martin.

Powtarzam to imię raz za razem, jak mantrę. Muszę się skupić, to wszystko. Magnetyzm Deana nie jest prawdziwy. To znaczy jest prawdziwy, ale minie. Wynika raczej z sytuacji: koktajlu, zmęczenia podróży i szampana

podczas lotu. Martin jest czymś prawdziwym, czymś trwałym. Nagle Dean pochyla się ku mnie i przez jedną szaloną chwilę mam nadzieję, że zaraz mnie pocałuje, tymczasem on po prostu wkłada mi w usta oliwkę. Jego kciuk pozostaje na chwilę na moich wargach. Nie mogę wypluć, więc połykam.

– Smakuje ci?

– Pyszne – przyznaję.

Dean przygląda mi się uważnie, a potem wydaje z siebie cichy jęk.

– Jo, powinnaś wiedzieć, że nie jestem miłym facetem – mówi ostrzegawczo.

Krztuszę się oliwką.

– Wydajesz się miły – odpowiadam, kiedy już odzyskuję głos.

– To podstęp.

Nie chcę mu uwierzyć.

– Musisz być miłym facetem, ponieważ faceci, którzy nie są mili, nigdy się do tego nie przyznają. Udują, że są mili, póki... – mówię z własnego doświadczenia i nagle uświadamiam sobie, że nie mogę dokończyć tego zdania, jeśli mam zachować resztki godności.

– Póki nie będzie po wszystkim? – podpowiada Dean.

– No... tak. Póki nie będzie po wszystkim – bąkam niewyraźnie. Póki nie będzie po seksie.

– Zwykle też stosuję tę zasadę, ale...

Tym razem to ja kończę zdanie za niego.

– Ale my nie jesteśmy w takiej sytuacji.

– Właśnie.

Nie mogę dłużej wytrzymać jego spojrzenia. Patrzę w menu, udaję, że bardzo mnie zaintrygowała specjalność dnia. Nie powinno mnie obchodzić, że ten facet dostrzega we mnie wyłącznie przyjaciółkę – przecież chcę od niego tylko przyjaźni – a jednak w moim ciele odzywa się tępy ból, który bardzo przypomina rozczarowanie.

– Czyli, ponieważ nie czeka nas nic takiego, nie musisz mnie okłamywać i dlatego mi mówisz, że nie jesteś miłym facetem?

– Właśnie.

– Dla mnie byłeś miły – nie ustępuję. – Wyjątkowo miły.

– Dla ciebie mogę być miły. Jesteś inna.

Nim zdążę się podniecić faktem, że jestem inna (marzenie każdej

dziewczyny), pojmuję, w jakim sensie to powiedział, i moje rozczarowanie jeszcze się pogłębia.

– Możesz być dla mnie miły, ponieważ wiesz, że nigdy przenigdy nie będziesz chciał się ze mną przespać – stwierdzam.

Dean wzrusza ramionami.

– Może pozostaniemy przy tym, że nie jesteśmy w takiej sytuacji.

– Racja. Jasne, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. – Zmuszam się do uśmiechu. Nie powinnam się przejmować, że Dean mnie nie pragnie. Powinno mi to być zupełnie obojętne. Z pewnością odzywa się tylko moja duma, prawda? Dean przecież nie jest obiektem mojego zainteresowania. Powinnam się skupić na Martinie. – Czyli możemy zostać, a właściwie już jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

Dean uśmiecha się szeroko.

– Właśnie.

Unoszę szklankę.

– Za przyjaźń i za to, że jesteś dla mnie miły – Dean trąca się ze mną. Wypijam koktajl, nie poświęcając ani jednej myśli temu, że on nie tylko zapłaci rachunek, ale że jest zupełnie trzeźwy i planuje taki pozostać. Rozglądam się niecierpliwie za kelnerką, żeby zamówić powtórkę.

– Za przyjaźń. Słuchaj, przecież przyjechałaś tu przerwać ślub i wyjść za pana młodego, więc nie ma większego znaczenia, czy chcę się z tobą przespać, czy nie – Dean uśmiecha się przebiegle, kiedy to mówi.

To mnie zabolowało.

– Potrafisz sprawić, że mój plan wyglądał śmiesznie.

– To dlatego, że jest śmieszny, Jo.

– Przyniosłam koktajle. – Tym razem jestem wdzięczna kelnerce, że nam przerwała. Zapewne mam równie wielką ochotę ją pocałować jak Dean. – Czy podać już hot dogi?

– Tak – odpowiadamy chórem.

Muszę się pozbierać. Nie dopuszczę, żeby Dean odwiódł mnie od próby odzyskania Martina. Mam plan, i to jest dobry plan. A w każdym razie jedyny, jaki mam. Muszę jutro dobrze rozegrać sprawę. Naprawdę dobrze.

– Oczywiście, kiedy wszystko się już ułoży, znów będę bardzo zajęta. Nie wiem, czy zostanie mi wiele czasu dla przyjaciół – patrzę wymownie na Deana. Chcę, żeby wiedział, że to co się między nami dzieje, wszystko jedno

co to jest, nie ma przyszłości. Jestem w zasadzie pewna, że nie uda mi się wkomponować tej znajomości w moje nowe życie u boku Martina. Byłoby to zbyt skomplikowane. – Będę musiała obejrzeć sale weselne, poszukać sukni, wybrać kwiaty i limuzynę. No i menu, a to się wiąże z chodzeniem na degustacje.

– A nie możesz wykorzystać rzeczy z poprzedniego podejścia? No wiesz, ten sam lokal i tak dalej.

– Nie bądź idiotą.

– Jasne, to ja jestem idiotą. A ty planujesz ślub z facetem, który zapewne właśnie się bawi na wieczorze kawalerskim.

Udaję, że nie usłyszałam.

– Nie wykorzystam tamtych rzeczy. Moda się zmienia. A poza tym większość i tak była wypożyczona – dodaję niechętnie. Naprawdę nie chcę się w to zagłębiać. – Firmy, które mi je wypożyczyły, sądzą, że wyszłam za niego zeszłym razem.

– Nawet nie śmiem pytać o szczegóły.

– I dobrze. Chodzi mi o to, że nie jestem najlepszą korespondentką świata, więc nie czuj się urażony, jeśli długo nie będę odpowiadać na e-maile.

– To znaczy, że nie zamierzasz mnie zaprosić na ślub?

Słyszę rozbawienie w jego głosie; chce rozbawić i mnie.

– Drażnisz się ze mną.

– Owszem.

Nagle coś mi wpada do głowy.

– Znowu to robisz.

– Co?

– Odwracasz od siebie uwagę, koncentrując się na mnie.

– No ale to przecież ty jesteś tutaj bohaterką. To ty romantycznie pędzisz przez Atlantyk, żeby uniemożliwić ślub. Ja jestem zwykłym facetem.

– Któremu właśnie umiera ojciec.

Natrętna i wścibska kelnerka znów pojawia się przy naszym stole. Naprawdę nie wiem, dlaczego po prostu nie dostawi sobie krzesła i nie usiądzie.

– Przyniosłam hot dogi – mówi. – Podać coś jeszcze? – Jej poprawiony przez ortodontę uśmiech jest przeznaczony wyłącznie dla Deana.

– Musztardę – odpowiada indagowany, a po chwili, gdy przypomina sobie o manierach, dodaje: – Poproszę. – Wyraźnie nie myśli ani o hot dogach, ani o kelnerce. Dopisuję to do listy rzeczy, które o nim wiem. Lubi musztardę. I jest dobrze wychowany. Mam nadzieję, że tym razem kelnerka się pospieszy, ponieważ siedzimy i ślinimy się nad hot dogami. I słuchamy, jak dobrze bawią się inni ludzie. Słysząc brzęk butelek, dźwięczenie sztućców, gwar wesołych rozmów i głośniejsze wybuchy śmiechu. Kiedy kelnerka wraca z musztardą, dwa razy dotyka ramienia Deana. Dwa razy!

– Myślisz, że twój ojciec zrobił w życiu wszystko, co chciał zrobić?

– Zapewne. To samolubny facet. Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

– Może i tak, ale uważam, że lepiej porozmawiać o twoim ojcu.

– A ja nie. Nie lubię mówić o tym, jak się czuję.

– Skąd wiesz, skoro nawet nie próbujesz?

– Śmiesznie brzmi to w ustach kobiety, która aż do dziś nigdy nie spróbowała oliwek.

– Ale w końcu spróbowałam! – wytykam mu. Dean wgrzyza się z zapałem w swojego hot doga. Keczup spływa mu po brodzie. On wyciera go wierzchem dłoni. Muszę mocno zacisnąć pięści, żeby nie ściągnąć bluzki i nie rzucić mu na talerz stanika. Ten facet ma apetyt na jedzenie, życie, seks. Kręcę głową, zdziwiona. O czym ja myślę? Nie powinien mnie obchodzić seksualny apetyt Deana. Czuję się dziwnie pobudzona i sfrustrowana. Chcę mu pomóc. Jak dotąd naszej relacji brakowało równowagi, więc jestem mu to winna. Nie wierzę, że jest tak nieczuły i obojętny na śmiertelną chorobę ojca, jak próbuje udawać.

– Rodzina jest ważna – nie ustępuję. – Warto o nią dbać. Zapewnia wsparcie.

– Może istotnie tak jest w innych przypadkach. Bo w moim nie.

– Ale przecież nie możesz lekceważyć faktu, że odchodzi członek twojej rodziny!

– Straciłem go dawno temu.

– Ale...

– Zamknij się, Jo – mówi nagle Dean tak głośno, że przykuwa uwagę ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach; odwracają głowy, żeby na nas popatrzeć. Dean się czerwieni. Przygryza wargę, a potem dodaje ciszej: –

Proszę cię, zostaw to. Nie masz pojęcia, o co tu chodzi. Nie zdołasz tego naprawić. Przykro mi, ale nie.

Choć jest taki dorosły i męski, po tym wyznaniu zmienia się, jakby chciał, żebym jednak potrafiła naprawić, jeśli już nie sytuację, to jego. Twarz mu łagodnieje, traci tę kanciastą dorosłość. Nagle strasznie, ale to strasznie mam ochotę go pocałować. Uciszą mnie nie jego ostre słowa, tylko fakt, że wyciąga rękę nad stołem i kładzie na mojej dłoni. Jego dotyk parzy, jakby wypalał na mnie piętno, a ja walczę z głupią, szaloną myślą, że już zawsze będę go czuła. Zwykle gadam jak nakręcona i domagam się odpowiedzi, ale tym razem milknę, szanując jego prywatność. Jego ręka pozostaje na mojej dłoni. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy – liczę sekundy – sto dwadzieścia czte... Puszczą moją dłoń, a ja szczypię się z całych sił pod stołem. Bez efektu. Nadal mam ochotę go pocałować. I nie tylko.

Clara

Nie poznałaby go. Czy winny był rak, czy upływ czasu? Być może jedno i drugie. Pomyślała, że zapomnienie go to najgorsza zbrodnia: większa niż rak, choć to oczywiście śmieszne. Minęłaby go obojętnie na ulicy. Niewykluczone nawet, że to zrobiła, przy różnych okazjach. Jak to możliwe, skoro wciąż go szukała? Przez całe lata. Przypatrywała się ludziom w tłumie, na plaży i w parkach, na koncertach i w galeriach, wciąż mając nadzieję, że go spotka przypadkiem. Wiele razy miała wrażenie, że widziała go z tyłu, w metrze albo na ulicy. Biegła bez tchu, przez peron albo przez jezdnię, żeby klepnąć go w ramię, ale zawsze czekał ją zawód; okazywało się, że to jednak ktoś inny. Ktoś, kto miał nieco mniej lśniącego włosy, kto nie miał tego wyzwania w oczach. Miała wrażenie, że rozczarowanie wczepia się w skórę jej głowy, miała ochotę drapać się i krzyczeć.

Teraz zostały z niego sama skóra, kości. I komórki rakowe. Resztką włosów była bielsza niż prześcieradło, na którym leżał, skórę miał szarą jak ponure zimowe niebo. Wątpiła, żeby miał za sobą dobre życie. Wiedziała, że nie dbał o siebie, ale spodziewała się, że ktoś będzie dbał o niego. Musiała się znaleźć jakaś kobieta, która chciała dostać to zajęcie. Często, kiedy szycowała dla rodziny placek rybny z dorszem z ekologicznego połowu i przynajmniej trzema rodzajami organicznych warzyw, myślała, że bez wątpienia ktoś robi to samo dla niego, a ta myśl równocześnie pocieszała ją i dręczyła. Zaskoczeniem było odkrycie, że kogoś takiego nie było. Nie wyglądał na mężczyznę, któremu kobieta wybiera krawaty, kupuje ulubione sery i umawia wizytę u lekarza, kiedy zaczyna się skarżyć na bóle brzucha, traci na wadze, a jego skóra nabiera żółtawego odcienia. Był zaniedbany. Dlaczego? Dlaczego nikogo nie miał? Czy zdołał odstraszyć od siebie wszystkie kobiety? Czy zawsze uciekał?

Zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Odkąd weszła do sali, nie odrywał od niej wzroku. Wyczuła go, jeszcze nim go zobaczyła i teraz sama też nie mogła oderwać od niego oczu. Wiedziała, że nie chce, żeby go pytała,

jak się czuje; albo czy może mu coś podać, na przykład wodę. To mogli zrobić inni. Zawsze zrzucali na innych nudne, codzienne rzeczy. Chodziło tylko o życie, o samą esencję. Błagał ją wzrokiem, żeby go teraz nie zawiodła. Żeby nie wpadała w otchłań normalności.

– Pamiętasz? – spytała. Jej głos zabrzmiał głośno w cichej sali. Nie musiała wyjaśniać, co miała na myśli. Chodziło o wszystko. O to napięcie, intensywność, nieopanowaną potrzebę. Pomyślała, że zapewne pamięta, bo inaczej po co by do niej napisał? Ale nie mogła mieć pewności. Nie z Eddiem Taylorem. Jeśli chodzi o Eddiego, liczyć można było wyłącznie na jego niesolidność. Wyciągnęła rękę i splótła palce z jego palcami. Miał skórę jak pergamin. Czy mogła mu w ten sposób zrobić krzywdę? Trzymanie go za rękę było takie naturalne. Zawsze miała wrażenie, że ją pochłania, że jej skóra stapia się z jego skórą.

– O tak, ten nasz seks – zaśmiał się chrapliwie i z wysiłkiem, ale szczerze.

– Właśnie, seks – Clara kiwnęła głową. Eddie nie używał łagodnych określeń. On się z nią nie kochał, on ją brał, rznął, gwałtownie i brutalnie. Popołudniami wymykali się z pracy, wynajmowali pokój w hotelu albo pożyczali od kogoś klucze do mieszkania. Robili to w cudzych łóżkach, w hotelach, na korytarzach, a w razie potrzeby nawet w zaułkach. Wszędzie ręce, usta, nogi, biodra, piersi. Nigdy nie widziała przyszłości dla ich związku, ale kiedy z nim była, nie miała również przeszłości. Zaczynała się i kończyła w tych kradzionych popołudniach. Wiedziała, że jest żonaty, on wiedział, że jest mężatką. Nigdy o tym nie myślała. Nie mogła. Nie chciała. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie jego żony i syna.

– Byłaś ideałem – wyszeptał Eddie. Ten komplement skojarzył się jej z pierwszym łykiem lodowatego szampana; łaskotał ją, drażnił. Zawsze tak było z jego komplementami, może dlatego, że mówił je jej tak rzadko. – Idealna kochanka – dodał, a ona natychmiast przeszła od radosnego odurzenia do paskudnego kaca. Wcale się nie zmienił. Pochyliła się ku niemu i usłyszała, jak szepce: – Nigdy nie zadawałaś niewygodnych pytań. – To wyjaśniało, jak wyglądała jego definicja ideału.

Nie, nigdy się tak nie upokorzyła, żeby postawić go pytaniami w niezręcznej sytuacji. Nigdy nie spytała, czy jest obecnie jego jedyną kochanką, czy nadal sypia z żoną. Kiedy z biurowych plotek dowiedziała się, że jego żona jest w ciąży z drugim dzieckiem, miała wrażenie, że umrze, że

za chwilę zabije ją zazdrość, która bezlitośnie szarpała i dręczyła jej ciało. Wpadła do jego biura i cisnęła w niego dziurkaczem. Wcześniej nigdy nie dała mu poznać, co do niego czuje. Do jakiego stopnia do niego należy. Nigdy nawet mu nie powiedziała, że go kocha, choć on mówił jej to dość często. Nie ufała mu; uważała, że należy do mężczyzn, którym nie sprawia trudności mówienie takich rzeczy kobietom.

Fascynowała go jej obojętność, ale jej zazdrość urzekła go zupełnie. Po raz pierwszy w życiu chciał zadowolić kobietę bardziej niż samego siebie. Zatrzasnął drzwi do biura, uciszył jej wściekłe okrzyki namiętym pocałunkiem, a potem ją wziął, przy ścianie, zaledwie kilka metrów od biurka kolegów.

– Byłeś okropny – powiedziała z uśmiechem.

– Tak? – spytał z wyraźną przyjemnością.

– W żadnym razie nie idealny – starała się to powiedzieć tak, żeby zabrzmiało jak żart, i zawsze tak postępowała wobec niego, ale gdy te słowa przebrzmiały, uświadomiła sobie, że nadal jest na niego zła. To ją zaskoczyło; wmawiała sobie, że już wiele lat temu osiągnęła stan obojętności. Że jest na niego uodporniona. Ten list obnażył jej zakłamanie. Wcale się na niego nie uodporniła. Ani na niego, ani na konsekwencje.

– Przez chwilę coś między nami było, prawda? – umierał; mógł nazwać rzeczy po imieniu.

– Tak, było – mogła to przyznać jako wyzwolona kobieta.

Ich romans trwał potem jeszcze półtora roku.

– Mogliśmy mieć więcej – Eddie ścisnął jej palce, ale nie było w tym namiętności. Chciał jej zadać ból. Do pewnego stopnia mu się udało, ale zabrakło mu siły. Czy on też czuł złość? Większą niż ona? A może po prostu był zły, że sprawy nie ułożyły się po jego myśli? Nigdy nie wiedziała, czy pociąg, który Eddie do niej czuje, to prawdziwa miłość czy mieszanka wygody, żądzy i egocentryzmu.

Usiłował z nią rozmawiać o wspólnym życiu, ale nie pozwoliła mu odejść od żony. Powtarzała mu raz za razem, że tego nie chce, ale on oczywiście nie słuchał. Nie uwierzył jej. Był pewny, że ona go kocha. Sądził, że żadna mu się nie oprze. Ale przecież nie chodziło tylko o nich dwoje, prawda? Ani nawet nie o nich i ich partnerów. Kiedy Eddie Taylor mówił o ich wspólnej przyszłości, miał tyle planów i marzeń. Mogliby zamieszkać za granicą –

w Ameryce, we Francji albo nawet w Australii. Mogliby się przenieść do Hollywood i żyć z jego scenariuszy; albo podróżować po Europie wozem kempingowym; albo po prostu wynająć mieszkanie w Londynie i kochać się codziennie. Ale nigdy, ani razu, nie wspomniał o dzieciach.

Nie chciała opuścić dziewczynek.

To było straszne. Zjawił się u niej w domu w Wimbledonie. Dziewczynki jeszcze nawet nie były w łózkach. To Lisa mu otworzyła, a Clara otrzeźwiała w jednej chwili. Zupełnie jakby ktoś wrzucił ją do lodowatej wody. Najpierw poczuła przerażenie, a potem pogardę. Zaskoczyła ją jego samolubność. Dlaczego nie słuchał, kiedy mu mówiła, że nigdy nie opuści rodziny? Jak mógł opuścić własną? Ogarnął ją wstyd. Głęboki, mroczny wstyd. Powiedziała sobie, że nigdy go nie kochała; że to była tylko kwestia żądzy cielesnej i okazji, no bo jak mogłaby kochać takiego samolubnego i bezwzględного człowieka? Prosiła, żeby sobie poszedł, a kiedy to nie zadziało, wyrzuciła go za drzwi.

– Wątpię, żebyśmy mogli mieć więcej – stwierdziła. Wyraz jego oczu zmienił się odrobinę. Miłe wspomnienia uleciały, zastąpiło je coś na kształt lodu, pokrywającego powierzchnię strumienia. Nie każdy by to zauważył, ale Clara zawsze wyczuwała niuanse jego nastrojów. Przypuszczała, że między innymi dlatego była dla niego taka atrakcyjna; ponieważ uważała, że jest interesujący. Zawsze się obawiała, że w ostatecznym rozrachunku jego uczucia do niej tak naprawdę sprowadzały się do tego, co czuł do samego siebie. To było okropne, ponieważ podejrzewała, że tak samo jest w przypadku Tima.

– Więc co Clara zrobiła? – spytał Eddie. W jego ciekawości pobrzmiwała nuta sarkazmu. Najwyraźniej nadal uważał, że nie powinna mieć żadnej przyszłości, a przynajmniej takiej, która nie ma związku z nim.

Tim był bardzo wyrozumiały, przyjął jej wyjaśnienia i przeprosiny. Wspaniałomyślnie uznał nawet swoją rolę w spowodowaniu kryzysu; przyznał, że nie do końca spełnia się jako mąż.

– Zostałam. – Eddie chrząknął. Clara nie była pewna, czy to z powodu trudności z oddychaniem, czy ponieważ jej odpowiedź wzbudziła w nim niesmak. – Zawsze ci to powtarzałam – dodała.

Ustaliła z Timem, że nie będą rozbijać rodziny. Zachowali się bardzo dorośle, bardzo rozsądnie. Tim zaczął jej okazywać więcej względów

w sypialni. Nie był to namiętny seks – nie pochłaniał jej, nie wpełzał pod jej skórę – ale delikatny, poprawny, a co najważniejsze, owocny. Wkrótce poczęli Marka. – Urodziłam jeszcze jedno dziecko, syna.

– To miło.

Kiedy Mark miał trzy miesiące, Tim powiedział Clarze, że bardzo mu przykro, ale wątpi, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie uprawiać z nią seks. Wyjaśnił, że jest gejem, że wreszcie doszedł z tym aspektem siebie do porozumienia i że chce, by ona też się z tym pogodziła. Usłyszała wówczas, jak zatraskują się za nią drzwi. Została uwięziona. Nie mogła zabrać trójki dzieci i pobiec za Eddiem Taylorem. Nie chciał jej dzieci. Wtedy zapewne nie chciałby również jej; bez wątpienia poszedł własną drogą. A ona nie chciała nikogo innego.

Ogarnął ją bezwład. Po długim okresie wyczerpania i zagubienia oraz intensywnej, acz krótkiej depresji, zgodziła się na propozycję Tima, że będą po prostu żyli tak jak wcześniej. Jak duża i szczęśliwa rodzina.

I byli szczęśliwi. Darzyli się miłością. Tim był jej najlepszym przyjacielem. Nie każda żona mogła to samo powiedzieć o swoim mężu. Dzieci miały bezpieczny dom, oddanych i kochających rodziców, prywatne szkoły, wakacje za granicą, pikniki w słoneczne dni, wyprawy nad morze, szczęśliwe wspomnienia. Clara miała poczucie spełnionego obowiązku, bycia na swoim miejscu; wszystko prócz tego, czego pożądała. Ale nie ma rzeczy doskonałych.

Dean

– Opowiedz mi więcej o Martinie – poprosił Dean. Jo popatrzyła na niego i zamrugła szybko. – Nie wspomniałaś o nim, kiedy mówiłaś o najlepszych chwilach swojego życia.

– Nie rozumiem?

– Kiedy w samolocie wymieniałaś najszcześniejsze chwile swojego życia, nie wspomniałaś o Martinie.

– Czy dziewczyna nie może być niezależna? – zjeżyła się Jo. Wyraźnie grała na czas.

– Może i tak, ale ty nie jesteś taką dziewczyną. Więc dlaczego zabrakło tam Martina? – Dean naprawdę chciał to wiedzieć. Chciał, żeby wreszcie zaczęła myśleć.

– O Boże, nie wiem dlaczego – odparła z wyraźną udręką. Odłożyła hot doga na talerz; choć był pyszny, ewidentnie utknął jej w gardle. – No wiesz, przeżyliśmy swój wspaniały okres. Oczywiście. Chodziliśmy do kina, do modnych barów i restauracji. Jadaliśmy kolacje z przyjaciółmi, to były cudowne wieczory. Wyjeżdżaliśmy na długie weekendy i układaliśmy listę prezentów ślubnych. Świetne czasy, świetna zabawa – powtórzyła stanowczo. – Przecież inaczej by mnie tu nie było, prawda? – Uniosła rękę i wskazała otaczające ich miasto.

– Tak? – Dean pochylił się lekko w jej stronę. Grzywka opadła mu na oczy, a jednak wytrzymał jej spojrzenie. Wiedział, jak to działa na kobiety. Słyszał wiele razy, że ma niesamowite oczy; pewna kobieta powiedziała nawet, że są jak „konstelacja odcieni jasnego błękitu”. Bez wątpienia Jo, z tą swoją rozpaczliwie romantyczną wyobraźnią, myślała już o skoku w ich błękitną toń. Choć akurat teraz wołałby, żeby przemyślała pytanie, które właśnie jej zadał.

– Nie, nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie wierzyła, że to mój jedyny. O to chodzi. To jest moja wielka romantyczna chwila – powiedziała cicho.

Nie uwierzył jej, a sądząc po nerwowej zabawie serwetką, ona również

sobie nie wierzyła.

- No to powiedz mi, w jaki sposób zrozumiałaś, że Martin to ten jedyny.
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Inaczej bym nie pytał.

Jo odetchnęła głęboko i zastanowiła się. Będzie się starała powiedzieć całą prawdę, tego Dean mógł być pewien. Rzecz polegała więc raczej na tym, czy będzie szczerą wobec siebie samej.

- Widzisz, poczułam to, kiedy rozmawiałam z Lisą w barze, a potem znowu, podczas spotkania z mamą.
- No tak.
- To była pewność, że muszę powstrzymać Martina przed ożenkiem z kimś innym. Że muszę go mieć dla siebie.
- Hmm.

Widział, jak ta pewność teraz jej się wymyka. Kiedy rozglądała się po ogródku restauracji, przyglądając się rozbawionym parom przy sąsiednich stolikach, na jej twarzy malował się strach, niemal panika. Deanowi prawie zrobiło się jej żal.

– No wiesz, Martin jest porządny i miły, w przeciwieństwie do większości mężczyzn. Sam to przed chwilą powiedziałeś o sobie. A on nigdy mnie nie zdradzał. Ani razu nawet nie spojrzął na inną kobietę. Kiedy ze sobą chodziliśmy, brałam to za coś oczywistego, ale pięć lat w roli singielki nauczyło mnie, że wierność nie jest niczym oczywistym. – Westchnęła. – Właściwie to jest dokładnie odwrotnie. Wierność jest równie rzadka jak kwiat paproci. Nie wyobrażasz sobie, ile razy mężczyźni prosili mnie, żebym była dyskretna.

– A konkretnie?

– Chcieli, żebym została ich kochanką, a czasami nawet i nie to. Czasami to miał być tylko jeden szybki numer.

– A to nie jest kuszące? – Dean znał masę kobiet, które chciały być jednym albo drugim; czasami w nadziei, że wyniknie z tego coś większego, a czasami traktując rzecz jako ostatnią deskę ratunku. Korzystał z tego – odganiało na trochę samotność – ale stwierdził, że nie chce, by Jo należała do takich kobiet.

– Nie – uspokoiła go. – Takim mówię, żeby się odczepili. Nigdy nie byłam tą drugą. – Urwała, a na jej twarzy pojawił się wstyd.

– No a ta sprawa, o której wspomniałaś w samolocie? Facet, który okazał się żonaty?

Wzięła szklankę z koktajlem i pociągnęła duży łyk.

– Dobra, nigdy świadomie nie byłam tą drugą. Oni czasami nie mówią, że są żonaci, póki nie zdejmą prezerwatywy.

– Czarujące.

– Prawda? – spytała Jo ze znużeniem.

Dean poczuł się rozdarty między sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony poczuł ulgę, że Jo nie należy do kobiet, które są gotowe dzielić się facetem, a z drugiej irytowało go, a nawet oburzało jej rozumowanie. Czy nie był to kolejny dowód, że to, w co wierzy, po prostu nie istnieje? Żonaci mężczyźni sypiają z kim się da, a samotne kobiety się na to godzą. Gdzie tu miejsce na „i żyli długo i szczęśliwie”? Zresztą sprawy potrafiły się skomplikować jeszcze bardziej. Kochanka jego ojca – ta ważna, ta, dla której Eddie Taylor porzucił rodzinę – też była zamężna, a zatem niemoralność nie była związana z płcią. Właściwie to właśnie ta jej powszechność przygnębiała Deana najbardziej. Jak Jo mogła wiedzieć to wszystko, a jednak sądzić, że odwróci trend, że zakocha się prawdziwie, szaleńczo i głęboko? Jak mogła myśleć, że to się stanie z mężczyzną, który planował ożenić się z inną? Była ślepa jak kret. I żyła złudzeniami. Była taka niemożliwa i taka... pełna nadziei. Dean pokręcił głową. Nadzieja nigdy nie wzbudzała w nim podziwu, a już na pewno sam nigdy jej nie żywił. Mieć nadzieję wobec tak jednoznacznych dowodów wydawało się po prostu idiotyczne. Czuł, że musi jej to wszystko wyjaśnić. To jego obowiązek.

– I sądzisz, że skoro facet był ci wierny, to na pewno ten jedyny?

– Po części.

– W jakim byliście wieku, kiedy ze sobą chodziliście?

– Tuż przed trzydziestką.

– Więc pewnie bez przerwy to robiliście.

– Nie rozumiem?

– No wiesz, większość par przed trzydziestką często uprawia seks, więc ten twój Martin pewnie po prostu nie musiał się rozglądać na boki.

– No cudnie. Chcesz mi powiedzieć, że jedyny sposób na zapewnienie sobie wierności faceta to pieprzyć się z nim, aż mu uszami wyjdzie i nie będzie miał siły rozglądać się za inną? – Jo była wyraźnie obrażona.

– Nie, no tego nie twierdzę. Chcę cię tylko ostrzec, że on nie był jeszcze sprawdzony. Sprawa inaczej by wyglądała, gdyby był po czterdziestce.

– Nie, myślę, że on po prostu należy do tych wiernych.

– Więc jak zamierzasz go skłonić, żeby porzucił swoją obecną narzeczoną?

Jo zagapiła się na niego, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Najwyraźniej nie przemyślała do końca swojego planu. Zaczerwieniła się i zaczęła pospiesznie wymieniać inne zalety swego byłego.

– Jest przystojny. Przynajmniej dość przystojny. Może nie należy do facetów, za którymi kobiety oglądają się na ulicy, ale jest wysoki.

– Już mówiłaś – stwierdził Dean i napił się. Roztaczał wokół siebie aurę mężczyzny, który dobrze wie, że kobiety się za nim oglądają. I że wiele na niego poluje.

– Chciałabym mieć wysokie dzieci. No i ma dobrą pracę. Nie zależy mi specjalnie na pieniądzach, ale chciałabym być z kimś wypłacalnym. – Jo westchnęła. – Wiem, że wychodzę na interesowną, ale wcale taka nie jestem. Powody, dla których chcę wyjść za Martina, są złożone. – Znow pociągnęła potężny łyk drinka; Dean wąpił, by poczuła smak. Zapewne światła miasta rozmazały jej się przed oczami, ponieważ z całych sił próbowała powstrzymać łzy, kręcące się już w jej oczach. Dean nie zamierzał poddawać się współczuciu czy litości, które dla niej czuł. Ta kobieta musiała się ocknąć.

– Daj mi przykład – zażądał.

– A muszę?

– A potrafisz? – czekając na jej odpowiedź, pomyślał, że miał z nią zabijać czas, a nie doprowadzać ją do płaczu. Wiatr wzmagął się, ciepły dzień zmieniał się w chłodny wieczór. Dean cieszył się z tego. Czuł, że oboje muszą się wyciszyć, ale nie bardzo wiedział dlaczego. Zawsze miał świadomość ogromu miasta, w którym mieszkał. Świat był wielki, on mały. Rozumiał to, a nawet czerpał z tego jakąś przewrotną pociechę. Nie oszukiwał się, że jest kimś ważnym, więc mógł postępować nierozważnie bez poczucia winy. Jo też była mała. Podobnie jak ten cały Martin, ale najwyraźniej wcale tego nie rozumiała. W gruncie rzeczy wszyscy byli tylko statystami. Nie istniało coś takiego jak przeznaczenie. Ona i Martin nie byli sobie pisani. Życie to chaos. Jak mogła pokładać tyle wiary w jednym człowieku, jak mogła przeżyć pół świata dla jakiejś mrzonki? Zastanawiał się, jak bardzo trzeba być pewnym

siebie, by żywić taką bezmyślną nadzieję i ślełą wiare.

– Myślę, że prawda jest taka, że mam trzydzieści pięć lat i jestem samotna – Jo pozwoliła, by to słowo osiadło na stole między nimi. Było upokarzające, ale bardzo prawdziwe i szczere. Dean sądził, że już jako nastolatka zdusiła w sobie wszelkie załączki samokrytyki, więc zdumiała go jej odpowiedź. – Czy miałeś kiedyś ochotę zgnieść swoje życie jak kulę z papieru i cisnąć gdzieś daleko? – spojrzała na niego spod rzęs. Nie było w tym kokieterii, jedynie nieśmiałość. Nawet ta dziwnie prostolinijna kobieta z zamiłowaniem do zwierzania się obcym miała kłopoty z przyznaniem się do czegoś takiego.

Myślał tak samo przy wielu, wielu okazjach, ale nigdy nie słyszał, żeby ktoś powiedział to na głos. Nie śmiał się poruszyć w obawie, że Jo uzna to za potwierdzenie; empatia mogłaby go obnażyć. Spróbowała się uśmiechnąć, ale wiedział, że to jeden z tych bolesnych, wymuszonych uśmiechów, w których chodzi wyłącznie o pozory, a nie o prawdziwe uczucia.

– Myślałeś kiedyś, że jedyne, co możesz zrobić, to zacząć od początku, ale że to tak naprawdę niemożliwe, ponieważ niewielu z nas dostaje drugą szansę?

– Wyjąwszy buddystów – stwierdził Dean z lekkim uśmiechem. Nigdy w życiu nie przyznałby się do takich myśli; nigdy ich nie wyjawiał, wiecznie kryjąc się za żartami. Jo też uchwyciła się tej brzytwy, którą jej rzucił, i spróbowała żartować.

– No owszem, ale nie mają nad tym kontroli. Nie chcę zaczynać od początku jako karaluch albo pastuch kóz na Alasce. Poza tym oni nie piją. – Sięgnęła po swój koktajl i napiła się, jakby chciała podkreślić swoje słowa. Znow zapadła między nimi cisza, trudniejsza niż te, przez które przebrnęli wcześniej; ta miała ostre zęby. Jo jeszcze nie skończyła, miała do powiedzenia coś więcej: – Na pewno myślisz, że zależy mi tylko na wystawnym ślubie, że chodzi mi tylko o ten jeden dzień.

– No wiesz... – był na tyle uczciwy, żeby nie dokończyć tego zdania, gdyż musiałby albo skłamać, albo zranić jej uczucia.

– Wszyscy tak myślą. Jestem przedmiotem żartów dla przyjaciół i siostry, i pewnie rodziców też. Uważają mnie za jakąś żądną męża Oblubierzycę, całkowicie wypraną z rozsądku. Ale tu nie chodzi o ten dzień.

– Nie?

– Tak naprawdę to wcale mi na nim nie zależy. Wspominałam ci, że moi rodzice są ze sobą od zawsze?

– Tak.

– A mówiłam ci, że moim zdaniem rodzina jest najważniejsza, bo daje wsparcie?

– Tak.

– Tego właśnie chcę. – Urwała i odprężyła się wyraźnie. Upoiła ją prostota tego stwierdzenia, a równocześnie z całych sił musiała walczyć z ogarniającą ją rozpaczą, że być może nigdy nie zrealizuje swojej ambicji. – Chcę mieć własną rodzinę. Męża, którego będę kochać i który będzie kochał mnie. Nawet wtedy, kiedy będę zmęczona albo zła, albo kiedy będę się głupio upierać. Kiedy będę stara. Ja też będę go kochać, bezwarunkowo. I będziemy mieli dzieci. Dwoje, może troje. Nasz dom będzie hałaśliwy, bałaganiarski, ale szczęśliwy. W niedziele będą do nas przychodzić na lunch przyjaciele i rodzina, a czasami będziemy się chować pod kołdrę i oglądać film w telewizji. Będę w tym dobra. Mam w sobie tyle miłości. Właśnie za tym tęsknię.

Tęsknota była słowem tak nagim, że na jego dźwięk Dean poczuł niemal fizyczny ból. Nie odrywał od niej wzroku przez całą przemowę; po prostu nie mógł. Jakby go zahipnotyzowała swoją szczerością, zaskakującą samoświadomością i staroświeckimi marzeniami. Jego uwaga podniosła ją na duchu i dała jej odwagę, by mówić dalej.

– Popełniłam masę błędów. Miałam szansę i nie tyle pozwoliłam jej się wymknąć, co po prostu świadomie ją odrzuciłam, spuściłam w sedesie, uciekłam od niej z krzykiem. Nienawidzę oglądać się za siebie. Lubię patrzeć w przód. To dla mnie konieczność. – Znów spróbowała się uśmiechnąć, ale jego ten uśmiech nadal nie przekonywał. – Martin był tą szansą. Wielką szansą, metr osiemdziesiąt wzrostu, jasne włosy, brązowe oczy i miły uśmiech. Dyplom z matematyki z Bristolu i kariera w firmie consultingowej. I miał świetne nogi. Genetycznie należał do zwycięzców i co więcej, chciał mnie. Naprawdę. Kochał mnie. Uwierz mi.

– Nie wątpię – Dean bez trudu mógł sobie wyobrazić, że taki facet pokochał tę kobietę. Nagle przyszło mu do głowy, że większość mężczyzn by ją pokochała, gdyby ją poznali. – Na pewno spotkasz kogoś innego – bąknął. Nie był to pusty frazes; naprawdę tak uważał. Wprawdzie sam nie wierzył

w tę całą prawdziwą miłość i szczęśliwe zakończenia, niemniej sądził, że ktoś na pewno się dla niej nada lepiej niż Martin.

Pokręciła głową.

– Nie, już próbowałam. Nikogo takiego nie ma. Szukałam, naprawdę – machnęła ręką w stronę oświetlonych sylwetek budynków, mostów i torów kolejowych. Ciemność przenikały śmiech i muzyka, ale Dean wiedział, że Jo nie dostrzega w tej chwili żadnych innych możliwości. Jakby chcąc potwierdzić jego myśli, dodała: – Ja już tego w sobie nie mam. Walczę od tak dawna. Od lat. To mnie wyczerpało. Starać się przez cały czas na wypadek, że zwrócę na siebie czyjąś uwagę i ten ktoś poczuje się przy mnie dobrze, to naprawdę wyczerpujące, wierz mi. Oczywiście boli mnie, że jestem taką porażką, ale jeszcze bardziej boli mnie to, że miałam swoją szansę. Czy lepiej kochać i stracić miłość, czy nigdy nie kochać? Często zastanawiam się nad tym dylematem, a odpowiedź brzmi „nigdy”. Kategorycznie, definitywnie nigdy. Dużo lepiej jest żyć w rozkosznej niewiedzy, niż wiedzieć, jak wielkie szczęście można osiągnąć i go nie dostąpić. Martin i ja mieliśmy coś, co być może da się odzyskać. Mówię, że on jest tym moim jedynym, ponieważ, z ręką na sercu, jest moją najlepszą szansą. – Odsunęła talerz. Ledwie tknęła hot doga i frytki. Dean wiedział, że te hot dogi są pyszne, więc widać nie znalazła w sobie dość energii, by jeść. To wszystko, to było dla niej za wiele. Urwała i zaczęła przesuwając palcami po nóżce kieliszka.

– Może poprosimy o rachunek? – spytała przegranym głosem.

Dean kiwnął głową i sprawnie przywołał wzrokiem kelnerkę. Położył pieniądze na małym srebrnym talerzyku i zwrócił się do Jo.

– Wiesz co? Myślę, że się mylisz. Martin nie jest twoją najlepszą szansą. On jest jedynie twoją najlepszą szansą jak do tej pory. – Nie była to jakaś wielka pociecha, ale tylko tyle potrafił jej ofiarować. Wzruszyła ramionami i nie spojrzała mu w oczy.

Deana wzruszyła jej szczerłość. Wzruszyła i trochę zawstydziła. Zamierzał wsadzić ją do taksówki i odesłać do hotelu; w końcu, wedle wszelkich standardów, okazał jej już ogromnie dużo uwagi. Zabrał ją na zakupy, nakarmił, załatwił jej hotel; jego zadanie było skończone. Ale nagle ogarnął go niepokój i złe przeczucia. Nie był pewien, czy odesłanie jej samej taksówką do hotelu to najlepszy plan. Trudno było stwierdzić, czy jej nadwrażliwość jest wynikiem zmęczenia podróży, wypitego alkoholu czy

zwykłego smutku. Bez względu na przyczynę, doszedł do wniosku, że mogą jej nie wpuścić do hotelu, jeśli nie będzie jej towarzyszył. Nie chciał nawet myśleć o takiej możliwości, że krąży sama po nocy po ulicach Chicago, więc wezwał taksówkę dla nich obojga.

Prawie nie rozmawiali, siedząc obok siebie w ciemności. Zadrzała, więc Dean dał jej swoją marynarkę. Nie zarzuciła jej delikatnie na ramiona, jak zwykły to robić kobiety; włożyła ją normalnie, jak zakiet, grzała się jego ciepłem, nie zastanawiając się, czy wygląda uroczo i wdzięcznie. Oboje wyglądali przez okna, patrzyli na jasne światła, na ludzi na ulicach, dobrze ubranych, agresywnych, pijanych. Miasto wibrowało życiem. Dean chciał, by Jo dostrzegła okazje, które on dostrzegał – ludzi, z którymi mogła się zaprzyjaźnić, karierę, którą mogła rozwinąć, rozmowy, które mogła odbyć, miejsca, które mogła odwiedzić – ale uznał, że najprawdopodobniej nadal myśli o Martinie i jego ślubie. To był jej jedyny cel i ambicja.

Zaczekał, aż się zamelduje w hotelu, a potem nadszedł moment pożegnania. Stali w eleganckim hotelowym lobby, starając się mówić cicho, ale mieli świadomość, że znudzony i zmęczony mężczyzna w recepcji słucha każdego słowa.

– Bardzo ci dziękuję za pomoc. Za ten sklep, kolację, za hotel... – Jo urwała. Było tego trochę za dużo, jeśli wszystko zsumować. Dean machnął ręką, powstrzymując jej podziękowania, jakby taka troskliwość była czymś normalnym; udawał również, że nie widzi, jak wiele wysiłku wkłada w wyraźne wymawianie słów. Usiłowała się nie zdradzić, że zaczyna bełkotać, ale prawda była taka, że się wstawiła i jej wysiłki przynosiły dokładnie odwrotny skutek.

– Daj spokój, to było... – zawahał się – ...urocze – dokończył, zapożyczając od niej słowo.

– Prawda? – rozpromieniła się. – Chociaż przez cały dzień musiałam sobie stawiać pytanie, dlaczego w ogóle tu jesteś.

– To znaczy?

– No ze mną. Nie miałeś nic lepszego do roboty?

Dean się zastanowił.

– Nie mam pojęcia. Może mam fatalną skłonność do obrony przegranych spraw.

– To nie jest przegrana sprawa – dźgnęła go żartobliwie palcem

w brzuch. Musiała zauważyć, jak twarde ma mięśnie.

– Ta sprawa umarła i jest pochowana tak głęboko, że nawet ty nie zdołasz jej odkopać – stwierdził Dean. – A może kupić ci łopate?

– Ha, ha, bardzo śmieszne – Jo urwała, a potem wyartykułowała prośbę, której Dean się spodziewał i której bardzo nie chciał usłyszeć. – Chodź ze mną.

– Nie. Nie mogę.

– Owszem, możesz. Czemu nie? Będę się czuła pewniej, jeśli tam ze mną wejdiesz, bo jesteś taki przystojny.

Ten komplement Dean słyszał już wcześniej miliony razy. W dodatku Jo wypowiedziała go bełkotliwie; tak bardzo chciała być szczerą, że przestała nawet udawać trzeźwą. Zareagował jak zwykle w takiej sytuacji: uśmiechnął się uroczo i obojętnie.

– Dziękuję.

– Rany – Jo była wyraźnie zdumiona. – Ależ cię zaskoczyłam.

Jej podrabiany amerykański akcent ociekał sarkazmem; wcześniej go u niej nie zauważył. Po sposobie, w jaki przyjął komplement, zorientowała się, że często go słyszał. Czasami niemal się wstydził swojego wyglądu, był mu on w najlepszym razie obojętny. Jasne, pomagał mu zwabić do łóżka tabuny kobiet, ale nie uważał tych zdobyczy za cenne.

– Czy jesteś podobny do ojca? – spytała nagle Jo.

– Myślałem, że już raz uzgodniliśmy, że nie będziemy rozmawiać o moim ojcu.

– Ja niczego nie uzgadniałam. Ty to zaproponowałeś i uznałeś, że pójde za twoją sugestią. Jesteś, jak by to ująć, nieco wyniosły.

– Albo może uznałem, że mnie posłuchasz, ponieważ jesteś nieco uległa.

– Uch, to nie było miłe. Nie powinienes mylić uległości z dobrym wychowaniem – Jo pogroziła mu palcem jak nauczycielka w szkole. Dean uznał, że to przez alkohol w ich rozmowie pojawił się zadziorny, niebezpiecznie bliski flirtowi ton. – Dobrze, że jesteś bystry, co? Więc nie musisz polegać na wyglądzie, który wyraźnie cię irytuje – dodała.

– Oho, ostra jesteś.

– Często bywam niedoceniana.

– A czyja to wina?

– Zawsze jesteś taki niegrzeczny?

– Nie jestem niegrzeczny, tylko cię sprawdzam.

– Chodź ze mną – poprosiła znowu. – Zaproszenie jest dla dwóch osób, a na pewno zaserwują jakieś pyszne dania. Nawet jeśli to będzie kurczak, to na pewno szalenie elegancki. No wiesz, kurczak supreme, nadziewany brie i jabłkami, zawinięty w bekon i oblany sosem z białego wina.

– Jeśli twój plan się powiedzie, nie będzie ślubu, a tym bardziej wesela – wytknął jej Dean.

– A tak, rzeczywiście – na chwilę Jo jakby oklapła, z jej twarzy odpłynął kolor i nagle jakby zniknęła na tle marmurowej ściany recepcji. Czyżby wreszcie pojęła, co chce zrobić? Czy naprawdę jest zdolna zepsuć ślub innej kobiecie? Małżeństwo innej kobiety? Nie chodzi tylko o Martina. Oczywiście, że nie. Dean westchnął. Ta cała Jo stanowiła prawdziwą zagadkę. Była szalona i strasznie irytująca pod wieloma względami, to fakt, a jednak go do niej ciągnęło. Choć był jej dokładnym przeciwieństwem, nie mógł zaprzeczyć, że jej współczuje. Trzydziestokilkuletnia kobieta, która za wszelką cenę chce wyjść za mąż i daje się ogłupić całemu temu cyrkowi nazywanemu romanssem. On też miał trzydzieści kilka lat, ale odnosił się bardzo cynicznie do tej propagandy, która sprzedawała fałszywą nadzieję (przewiązaną wstążką z napisem „i żyli długo i szczęśliwie”). Coś takiego po prostu nie istniało. Wielka szkoda, że Jo marnowała sobie życie, uganiając się za taką chimera. Gdyby mówiła ludziom, że poluje na leprechauny albo szuka garnców złota na końcu tęczy, zamknęliby ją po prostu w domu wariatów; ale tych urojeń nie traktowano równie serio.

Mimo to ją rozumiał. Była samotna. Chciała mieć rodzinę.

Rozumiał, co to znaczy.

– Nie – pokręcił głową z prawdziwym żalem, że nie może jej w tym pomóc. – Przykro mi, Jo, ale nie mogę patrzeć, jak sobie robisz coś takiego. To będzie straszna katastrofa.

Jo kiwnęła głową, ledwie-ledwie. Wiedział, że stara się być dzielna, ukrywa swoje rozczarowanie.

– Oczywiście. Dlaczego miałbyś się dać wciągnąć w moje kłopoty?

– Dlaczego miałabyś tego chcieć?

– Nie powinnam była pytać. Potrafię to zrobić sama.

– Owszem, skoro musisz.

– Muszę, jeśli mogę. – Jo zmusiła się do szerokiego uśmiechu i dodała: –

Martin się ucieszy z mojego przyjazdu. Będzie zachwycony. Chce, żebym go uratowała. Dlatego wysłał mi zaproszenie.

– Skoro tak twierdzisz.

– A ja chcę go uratować.

– Już mi to mówiłaś.

– Chcę Martina.

Dean pokiwał głową. Nagle opanowało go znużenie. Pochylił się do jej ucha, żeby recepcjonista nie słyszał.

– Jo, wiesz, że on cię odrząci, prawda? – Usiłował powiedzieć te słowa tonem wyrażającym żal i współczucie, ale przede wszystkim chciał wypaść przekonująco.

– Nie, nie wiem. Wysłał mi zaproszenie z jakiegoś powodu.

– Tak, żeby ci utrząć nosa. On jest szczęśliwy, a ty nie.

– On nie jest taki – zaprotestowała. Dean cofnął się i wzruszył ramionami. Był pewien, że Jo się myli. – Słuchaj, ten ślub jest o szóstej po południu w Luxar, w East Walton. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, to bardzo elegancki hotel.

Jo westchnęła. Niezbyt ją ucieszyła ta wiadomość. Dean poczuł zadowolenie, że nie rozwinął myśli i nie powiedział, że to hotel z wielkimi i eleganckimi pokojami i apartamentami, wspaniałą obsługą i wyrafinowanym wystrojem; zimą palono w kominkach, a latem można było posiedzieć na wielkich tarasach. Co najmniej dwa razy uprawiał tam seks.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć – powiedziała.

– Jo, idź lepiej do Muzeum Sztuki Współczesnej – przysunął się odrobinę bliżej; nadszedł czas na pożegnanie. Postanowił zrezygnować ze zwyczajowych dwóch pocałunków w powietrze, preferując jeden, ale za to prawdziwy. Złożył go na jej czole i wargi go zapiekły.

– To pożegnanie, prawda?

– Tak, Jo. Uważaj na siebie.

– Będziesz mi życzył szczęścia?

Pomyślał przez chwilę. Nie bardzo wierzył w szczęście. Ale ona wierzyła.

– Tak. Życzę ci szczęścia.

A potem wyszedł szybko z hotelu, nie oglądając się za siebie.

Sobota, 23 kwietnia 2005 roku

Jo

Miałam nadzieję, że kiedy się obudzę, pogoda da mi jakiś znak co do powodzenia mojego przedsięwzięcia, a przynajmniej dostarczy mu dramatycznej oprawy. W Anglii, w nocy przed wylotem, miałam masę czasu, żeby sobie dobrze wyobrazić ten dzień. Widziałam siebie w rozkloszowanej sukience do kolan (zapewne w kolorze sorbetowym – róż albo limonka) i butach na obcasach, jak w upalny dzień zmierzam do kościoła. Ta fantazja nie zmieniła się zasadniczo nawet wtedy, kiedy doczytałam się na zaproszeniu, że ślub nie odbędzie się w kościele, tylko w hotelu; po prostu nie zdołałam zmienić swojej wizji. Martin będzie stał na zewnątrz, przystojny, w jasnym fraku, z dwoma lub trzema dystyngowanymi, acz nieco mniej przystojnymi drużbami; będą się na mnie gapić z wyraźnym podziwem, pod wrażeniem mojego *joie de vivre*, mojej pewności siebie i niezwyklej urody.

W tych fantazjach wyglądałam jak Reese Witherspoon; to trochę dziwne, bo nawet nie jestem blondynką.

Ale jestem realistką. Nawet w wyobraźni uwzględniłam fakt, że nasza rozmowa odbędzie się w Chicago, gdzie nie ma gwarancji upałów pod koniec kwietnia. Dlatego opracowałam również wariant na złą pogodę. W tej drugiej wersji niebo jest ciężkie od sinych chmur, a ja mam na sobie obcisłą czarną suknię z wielkim dekoltem. Kiedy wchodzę do kościoła, rozlega się grom; atmosfera jest niezwykle gotycka i pełna napiętności. Przy Martinie nadal stoi dwóch czy trzech przystojnych drużbów, na których robię piorunujące wrażenie niebanalną urodą i seksapilem. Wyobraźcie sobie coś *à la* Angelina Jolie. W fantazjach rzadko widzę siebie jako siebie. Ku mojemu rozczarowaniu jednak, kiedy odsłaniam zasłony, wita mnie szare niebo, które być może później trochę się rozjaśni. Jest ponuro i bardzo zwyczajnie. Niemal mi żal narzeczonej Martina. Nie takiej pogody panna młoda spodziewa się w dzień swego ślubu. Chociaż to nie będzie dzień jej ślubu, napominam się w myślach.

Z zaskoczeniem odkrywam, że jest już trzecia po południu. Zmiana strefy czasowej mnie dobija, nie mam pojęcia, czy powinnam zjeść śniadanie czy lunch; na szczęście okazuje się, że jestem zbyt podniecona (albo zdenerwowana), żeby coś przełknąć. Próbuję sobie zaparzyć kawę, ale ekspres należy do tych skomplikowanych, z całą masą guziczków, więc wypijam tylko szklankę wody z kranu, żałując, że nie zjadłam wczoraj więcej. I że nie wypłam mniej. Zasłużyłam na kaca, ale na szczęście najgorsze objawy minęły, kiedy spałam. Ostrożnie wyjmuję swój strój z kartonowej torby. Szczerze mówiąc, powinnam była to zrobić wczoraj, żeby się rozprostował, ale byłam zbyt zmęczona. Na szczęście materiał nie należy do gniotących się. Wybraliśmy klasyczną makową sukienkę bez rękawów od Calvina Kleina. Jest schludna. Skromna, ale przez to jeszcze bardziej sexy. Dean zniechęcił mnie do dziewczęcych sukienek – „Za słodkie, dla grzecznych córeczek. Jeśli naprawdę zamierzasz to zrobić, musisz wyglądać poważnie” – zawetował również te co bardziej uwodzicielskie – „Jezu, pastor dostanie ataku serca na twój widok”. Jego głos dźwięczy mi w uszach. Był taki zdecydowany i męski, ale kiedy wyszłam z przymierzalni w makowej sukience od Calvina Kleina, zrobił się słodki jak melasa. Musiałam się do niego przysunąć, żeby usłyszeć, co mówi: „Nokaut!”. Mam nadzieję, że ma rację, bo właśnie nokaut jest mi dziś potrzebny. Kupiliśmy do niej zamshowe sandaalki na potwornie wysokim obcasie, z paskiem wokół kostki.

Biorę prysznic, używając pachnącego zmysłowo hotelowego żelu. Potem nakładam z dziesięć warstw mleczka nawilżającego. Minęło pięć lat, odkąd ostatni raz widziałam Martina. Nie były to szczególnie dobre lata, a moja skóra zaczęła się godzić z nieuchronnością pewnych procesów i poddawać działaniu grawitacji. Mój umysł nie jest do tego równie skłonny, dlatego ciągle z nadzieją stosuję mleczka nawilżające. Czy Martin pomyśli, że strasznie się zestarzałam? Patrząc w lustro i ku swojemu zaskoczeniu nie widzę w nim skacowanej niewyspanej czarownicy; wyglądam... kwitnąco. Uśmiecham się do swojego odbicia, co uwydatnia moje kości policzkowe. Próbuję innego uśmiechu. Ten jest mniej radosny, raczej pełen wahania. Moje oczy błyszczą. Robię makijaż, cały czas ćwicząc miny. Zaskakuje mnie, że wyglądam aż tak dobrze. To takie łatwe. Wystarczy uśmiechając się, pomyśleć o Deanie: o minie Deana, kiedy oblałam go szampanem, zirytowanej, ale nie odpychającej; o Deanie czekającym na mnie przy wyjściu

na postój taksówek; o Deanie wgrzającym się w hot doga. Zastanawiam się, co będzie dzisiaj robił. Mówił, że zwykle w sobotę spędza dwie godziny na siłowni, a czasami idzie z kolegami do parku i grają w siatkówkę. Jest okropnie aktywny. Oczywiście wiem, że gra jest warta świeczki – jego mięśnie to naprawdę mięśnie – ale już na samą myśl o takich zajęciach czuję się zmęczona. Zmęczona i podniecona. Zastanawiam się, co on robi dokładnie w tej chwili. Zapewne sięga po telefon i przegląda numery tych swoich dziewczyn niedziewczyn. Na pewno nie spędzi sobotniego wieczoru samotnie. Wyobrażam sobie tę jakąś blondynkę czy rudą, jak bierze telefon, widzi jego imię na wyświetlaczu i uśmiecha się szeroko; każda kobieta ucieszy się z telefonu od niego.

Na szczęście wreszcie się nauczyłam, że zwykła seksualna chemia nie jest wstępem do poważnego związku. Pogodziłam się, że to, jak bardzo ktoś mi się podoba, jest odwrotnie proporcjonalne do tego, jak się przy nim czuję. Martin to moja najlepsza szansa. Ale kiedy zaczyna dzwonić mój telefon, ogarnia mnie nadzieja, że to Dean. Głupia nadzieja, ponieważ nie zrobiliśmy nawet czegoś tak konwencjonalnego jak wymienienie się numerami telefonów. Na wyświetlaczu widzę numer siostry; rozczarowanie, że to nie Dean, jest ogromne i zupełnie niezrozumiałe. Apatycznie czekam, aż włączy się poczta głosowa.

No dobrze, jestem gotowa. Ostatnie spojrzenie w lustro. Nieźle, mówię do swojego odbicia. Muszę powiedzieć to sobie sama, ponieważ jak zwykle nikogo przy mnie nie ma.

Eddie

Została przez całe popołudnie. Nie spodziewałem się tego. Z mojego doświadczenia wynika, że kochankowie zwykle oczekują od siebie zbyt wiele; to pułapka, której zawsze starałem się unikać. Wpadłem w nią tylko raz. Oczywiście z nią. Jeden jedyny raz. Prawdę powiedziawszy, myślałem, że ona też wpadła. Wtedy. Tak dawno temu. Myślałem, że opuści dla mnie męża; nigdy w to nie wątpiłem. Wczoraj, kiedy to powiedziałem, spytała o dzieci.

– A co z dziećmi, Eddie? Jak mogłeś się spodziewać, że porzucę dzieci?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – musiałem być z nią szczery. Tak samo jak w przypadku mojego syna, nie ma sensu zaczynać kłamać. Westchnęła rozczarowana. Nudzi mnie, kiedy ludzie próbują wyrazić swoje rozczarowanie moją osobą. To ich wina, a nie moja; są beznadziejni, że tego nie wiedzą. Nie byłaby mną rozczarowana, gdyby czegoś ode mnie nie oczekiwała. Czegoś lepszego. Dlaczego? Nigdy nie stałem się lepszy. I nigdy nie udawałem.

– Może rozwiążemy krzyżówkę? – spytała, jak zawsze kiedy chciała zmienić temat. Pochyliła się, żeby sięgnąć do torebki stojącej na podłodze i niechcący pokazała mi dekolt. Zestarzał się bardziej niż twarz – spędzała za wiele czasu na słońcu, zapewne podczas częstych wakacji za granicą – i jej piersi przypominają teraz raczej suszone śliwki niż brzoskwinie. A mimo to aż sapię z zachwytu na widok jej obojczyków; nadal są piękne. Na chwilę zapominam o bólu i czuję tylko przyjemność. To prawdziwa gratka po szpitalnej pościeli, kąpielach w łóżku, kroplówkach, transfuzjach krwi i chemioterapii, poczuć coś, co powinni czuć mężczyźni.

Nasza przeszłość to były kradzione chwile, które ewentualnie mogły uchodzić za coś w rodzaju związku, ale gdybyśmy kiedykolwiek mieli czas, palilibyśmy papierosy w łóżku i rozwiązywali krzyżówki. Była świetna w anagramach i niezła w odgadywaniu zaszyfrowanych haseł. Ja byłem lepszy w jednym i drugim.

Ta wczorajsza gazeta to była darmowa gazetka rozdawana w metrze. Nie znoszę takich. Uważam, że to one odpowiadają za upadek prawdziwego dziennikarstwa i czytelnictwa w ogóle. Powiedziałem jej o tym. Odparła, że to plotkarskie pisemko i pomaga zabić czas, ale skarżyła się, że krzyżówka jest łatwa. Tak? Dla mnie nie była łatwa. Coraz trudniej mi się skupić, skoncentrować. To praktycznie niemożliwe. Ale ona cierpliwie odczytywała hasła dwa, a nawet trzy razy, jeśli było trzeba, i naprowadzała mnie na odpowiedzi. Udawała, że idzie mi lepiej, niż mi szło, a potem pochylała się nad łóżkiem, żebym widział, jak starannie wpisuje litery w kratki. Pamiętam jej pismo. Dziwne. Nie sądziłem, że byłbym w stanie je rozpoznać, ale rozpoznałem. Widać nadal potrafię zaskoczyć sam siebie.

Zastanawiam się, kto przyjdzie dzisiaj. Mój syn? Któreś z pozostałych dzieci? Nie jest to znowu takie niemożliwe. To całe umieranie okazało się bardziej interesujące, niż sądziłem. Powinienem był zrobić to wcześniej. Ha, ha. Dobrze, że nadal potrafię czuć rozbawienie. Mimo wszystko. Zwiększyli dawkę leków przeciwbólowych. Nie dość. Nadal czuję ból. Kości, zupełnie jakby coś je zgniatało, miażdżyło. Jakby je pożerało. Plecy, głowa, szczęka, boli mnie wszystko. Jak cholera. Ile jeszcze musi znieść moje ciało?

Czy ona wróci? Tego chciałbym najbardziej. Jej. Chyba zawsze chodziło o nią. O ile w ogóle o kogoś chodziło, bo wcale nie jestem pewien. Czy chodziło o kogoś oprócz mnie. Ale jeśli chodziło, to właśnie o nią.

Dean

W przeciwieństwie do Jo, Dean nie spał dobrze. Przeleżał, czuwając, większość nocy i zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Zoe. Byłaby zadowolona, że zostawił Eddiego Taylora sam na sam ze śmiercią. Wściekła się, że w ogóle do niego pojechał. Uważała, że głupio zrobił, i miała całkowitą rację. Był idiotą. Eddie nawet nie prosił go o przyjazd. Chociaż umierał. Dean zupełnie się dla niego nie liczył. Ta myśl była okropna.

Ogarnęła go fala zimna. Paskudne uczucie, jakby głodu. Pojawiło się z tą dawno zapomnianą gwałtownością. Nie było to nowe uczucie; zawsze tak czuł, niemal zaakceptował je jako część siebie. Gdy dorósł, zwykle potrafił sobie poradzić z tym głodem; potrafił go zmienić w bolesne pulsowanie, w ponure poczucie braku. Ale jako nastolatek nie potrafił kontrolować tego drapieżnego poczucia straty. Przytłaczało go, pożerało jego pewność siebie i ufność wobec ludzi, niszczyło poczucie równowagi i wszelką nadzieję na związek w przyszłości. Nigdy nie nadał nazwy temu cierpieniu. Gdyby to zrobił, zyskałoby większą moc. Lepiej pozostawić je bezimiennym przekleństwem. Tymczasem Jo mówiła o tym tak swobodnie. Cierpiała na nieco inną mutację tej pustki, ale o tych samych korzeniach.

Od tak dawna był samotny.

Opuszczony przez ojca i zaniewany przez matkę musiał sobie radzić sam, nie miał wyboru. Musiał. Przynajmniej tyle był winien Zoe. Nie chciał się nad tym rozwodzić. Jaki sens ma wracanie do tego bólu? Dobrze mu się teraz wiodło. Lepiej niż dobrze. Oboje z Zoe przetrwali i wzniesli się ponad to wszystko. Radził sobie świetnie. Po prostu świetnie. Jego jedynym błędem był powrót. Uchylenie zasłony i rzut oka w zakurzone kąty. Kiedy teraz myślał o ojcu, nie widział już czarnowłosego drania, który odszedł od nich dla jakiejś podrywki. Słyszał furczący oddech, widział popękane wargi, zamglone oczy. Niemniej nadal uważał go za drania. Ojciec potrafił go upokorzyć, odrzucić, dzień po dniu, rok po roku. Jak się okazało, do samego końca. Tego wszystkiego było po prostu za wiele. Omal się nie rozplakał przy

tym sukinsynu.

Poderwał się z miejsca i z całej siły walnął pięścią w ścianę bawialni.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa! Jezu, ależ to zabolalo! Pobiegł do ciemnoszarej, przeraźliwie modnej kuchni, otworzył drzwiczki (pustej) wielkiej lodówki i wsadził rękę do zamrażalnika. Kiedyś, kiedy był dzieckiem, bez przerwy w coś walił albo bił się z innymi dzieciakami. Żeby chronić Zoe, żeby pozbyć się bólu, żeby trochę go złagodzić. Ale od tamtej pory minęło sporo czasu. Nabral ogłady. Zapomniał, jak to cholernie boli – walnąć pięścią w ścianę.

Ojciec stwierdził, że „dziwne, ale się cieszy”, że Dean się zjawił. Co to właściwie miało znaczyć? Na pewno nie dość. Eddie Taylor nie zadzwonił do niego. Zadzwoniła jakaś pielęgniarka z agencji. Obca osoba. Jakaś dobra duszka. Jakaś mądralińska, która wzięła sobie do serca cierpienie pacjenta. Wsadziła nos w nie swoje sprawy i to przez nią Dean poczuł się na chwilę chciany. Właśnie na tym polegał ten koszmar. Przez jej telefon gdzieś w głębi duży Dean poczuł, że jest kochany.

Ale nie był.

Eddie go nie chciał. Nigdy go nie chciał i nigdy nie zechce. Ta myśl bolała. Jak cholera. Jak myśl może powodować fizyczny ból? I jak w związku z tym miał przeżyć ten weekend? Następny tydzień? Resztę życia? Na chwilę oślepiła go furia i dosłownie nie widział nic. Puls przyspieszył, oddech uwiązł w gardle. Czy to atak paniki? Mój Boże, nie mógł oddychać! W piersi go kłuło, nie potrafił wciągać powietrza. Nie mógł odetchnąć. Nagle przed oczami zamajaczyła mu twarz Jo. Uśmiechała się szeroko. Miała niewielką szparę między siekaczami. Ludzie mówią, że to na szczęście. Na pewno przydawało jej to uroku. Miała taki zabawny zwyczaj marszczenia brwi, kiedy się na czymś skupiała. Nie było to urocze ani zabawne, ale zapadało w pamięć. Rozczulało. No i może jednak było trochę urocze i trochę sexy; chyba mógł się do tego przyznać sam przed sobą. Poczuł, że znów może oddychać, troszeczkę.

Wyrzucił trochę lodu na ścierkę i obwiązał nią rękę, jak twardziele na siłowni. Właśnie w takich chwilach rozumiał, dlaczego ludzie zaczynają pić. Przeszukał szafki i znalazł batonik Hershey. Wgryzł się w niego zachłannie, połykał, nie czekając, aż czekolada roztopi mu się na języku. Był niezły, ale nic nie dorówna angielskiej czekoladzie. Powinien był sobie kupić zapas na

lotnisku, miałby chociaż taką korzyść z tej podróży, ale nie wpadło mu to wtedy do głowy. Nie pojmował, dlaczego myśli o czekoladzie. To przecież śmieszne. Spróbował w ogóle nie myśleć.

Spojrzał na zegar. Co teraz robi Jo? Zapewne się ubiera. Wkłada tę czerwoną sukienkę i seksowne buty, które razem wybrali. I wzywa taksówkę, chyba że odzyskała jednak zdrowe zmysły. Mało prawdopodobne. To będzie krwawa jatka. Właśnie taki jest problem z ludźmi. Pieprzą sobie nawzajem życie. Miłość boli.

Ale co on może zrobić w tej sprawie? Jest, jak jest.

Uprzejmy i energiczny portier informuje mnie, że hotel Luxar znajduje się w odległości spaceru, ale kiedy pokazuję mu buty i wyjaśniam, że idę na ślub byłego, zaraz proponuje taksówkę.

– Ale musi się pani spodziewać, że obwiezie panią kilka razy w kółko, żeby coś zarobić – ostrzega.

– Czy to legalne?

– Nie, proszę pani, ale uzasadnione. Każdy próbuje jakoś zarobić na życie.

Nie chcę się przyznać, że nie stać mnie na coś takiego, choć cieszę się, że portier uważa inaczej. To znaczy, że przynajmniej wyglądam odpowiednio.

Taksówka mijają eleganckie bary i restauracje, a ja z radością rozpoznaję kilka domów towarowych na Cudownej Mili, choć wczoraj z Deanem nie zatrzymaliśmy się tam na długo. Nerwowo bawię się brzegiem spódnicy, kiedy taksówka mijają Muzeum Sztuki Współczesnej. Przypominam sobie radę Deana, żebym raczej poszła tam, a nie na ślub. To głupie; przede wszystkim dlatego, że muzeum jest już zamknięte.

Mijamy dobrze zachowane dziewiętnastowieczne kamienice stojące przy ocienionych drzewami chodnikach i wreszcie taksówka zatrzymuje się przed wspaniałym hotelem we francuskim stylu. Namiętność moich rodziców do architektury i dekoracji wnętrz dała mi dobre wyczucie tego, co jest w dobrym guście, a co nie jest. Od razu się orientuję, że ten mansardowy dach, wapienne ściany i szerokie kamienne framugi okien wręcz ociekają dobrym gustem. Wysiadając z taksówki, mam wrażenie, że znalazłam się na paryskim bulwarze. Przyznaję z ciężkim sercem, że narzeczona Martina dobrze wybrała; wolałabym, żeby miała okropny gust, żeby połaszczyła się na coś tandetnego i oczywistego: łatwiej byłoby mi przerwać ślub wampirów udzielany przez Elvisa niż tę przemyślaną, elegancką ceremonię. Nie mam jednak podstaw zakładać, że ta kobieta ma zły gust. W końcu wybrała Martina, prawda?

Pan młody nie stoi z друзbami przed wejściem do hotelu, co w moich wyobrazeniach było kluczowym elementem powodzenia całego planu. Zakładałam, że odciągnę go na bok i odbędziemy szybką rozmowę; myśl, że będę musiała go znaleźć w tym wielkim hotelu, jest dużo bardziej przerażająca. Wchodzę do eleganckiego foyer, rozglądając się, czy gdzieś nie stoi, zajęty dopinaniem ostatnich szczegółów ceremonii, ale nigdzie go nie widać. Poniewczasie dochodzę do wniosku, że to żadna niespodzianka; takie ostatnie szczegóły to domena panny młodej albo jej matki. Martin zapewne siedzi w barze z друзbami, napawając się ostatnimi chwilami kawalerskiego życia. Zaczyna mnie ogarniać lekka panika. A jeśli Martin się spóźni i nie będę miała czasu z nim porozmawiać? Przecież nie zdobędę się na taką odwagę, żeby publicznie przerwać samą ceremonię. Nagle ogarnia mnie irracjonalny lęk, że to niewłaściwy hotel albo niewłaściwa data. Gwałtownie przeszukuję torebkę i wreszcie znajduję zaproszenie; jakiś boy hotelowy zatrzymuje się obok mnie.

– Pani na ślub Kenwood-Paige?

– W zasadzie tak.

– Przyszła pani trochę za wcześnie, ale dzięki temu będzie pani miała dobre miejsce, prawda? To tam. Wynajęli dwie sale. Sala recepcyjna, w której odbędzie się ślub, jest za schodami, tamto łukowate przejście. Przyjęcie odbędzie się w sali balowej, na prawo.

Ponieważ nie sądzę, żeby uroczystość potrwała tak długo, by goście zdążyli się przenieść do sali balowej, postanawiam zajrzeć tam najpierw i przekonać się, jaki wybrali wystrój. Przez całe lata pracowałam dla pisma dla panien młodych; oczywiście, że muszę wiedzieć, czy narzeczona Martina wybrała białe obrusy, czy kolorowe.

Sala balowa jest okazała i po prostu zapiera mi dech w piersiach. Panna młoda postanowiła zaufać tradycyjnej elegancji; wszystko jest białe i srebrne. I wspaniałe, bez żadnych wyjątków. Gustowne wazony z różami na każdym okrągłym stole, karteczki z nazwiskami gości dyskretne i bez wątplenia wykonane ręcznie, drewniane gołębie; świece (w błyszczących lichtarzach) jeszcze nie zostały zapalone, ale kiedy zostaną, ich światło będzie się odbijać w kryształach porozstawianych już na stołach. Oparcia krzesel pokryto romantyczną organzą, ściany zasłonięte są jedwabiem, a z kasetonowego sufitu zwisają kryształowe kandelabry, z pewnością ze

szkła, a nie z taniego plastiku. Wyglądają, jakby były wzorowane na starej biżuterii. Przy wielkich oknach na całą wysokość pomieszczenia wiszą jasne, obfite zasłony; sugerują, że za nimi znajduje się zaciszny taras, miejsce, gdzie państwo młodzi będą mogli usiąść na chwilę sam na sam podczas przyjęcia. Wszystko jest proste, piękne i przemyślane. Idealna oprawa dla idealnego dnia.

Z jakichś przyczyn do oczu napływają mi łzy. Oczywiście zawsze płacę na ślubach. Każdy ma takie tendencje, jeśli był druhną dziewięć razy, ale zwykle czekam z tym, aż panna młoda wypowie słowa przysięgi. Mrugam gwałtownie. Nie chcę sobie rozmazać tuszu do rzęs, naprawdę nie chcę. Rozglądam się wokoło. Jestem tu sama, wyjąwszy trzech czy czterech kelnerów, którzy polerują kieliszki i poprawiają sztucce. Zastanawiam się, gdzie się wszyscy podziali. Czy druhnny są na górze, z panną młodą, popijają szampana i duszą się w oparach lakieru do włosów? Ciekawe, czy narzeczona Martina brała tu dziś prysznic. A może, przygotowując się na swój wielki dzień, skorzystała z tutejszego spa? Niewątpliwie zrobiono jej analizę cery i wykonano próbny makijaż; a Martin pewnie został ogolony przez fachowca. Wiem z zaproszenia, że na jutro planują pożegnalny brunch dla gości, tuż przed wyjazdem w podróż poślubną. Całą uroczystość zaplanowano z rozwagą, precyzją i nie szczędząc pieniędzy.

Biorę do ręki menu ozdobione imionami państwa młodych. Martin i Gloria. Ona ma na imię Gloria. Oczywiście wiedziałam o tym, figurowało na zaproszeniu. Po prostu nie chciałam uznać, że ta kobieta ma imię. I twarz. Ciało. Serce. Imiona wpisane są w szlaczek z symbolicznie splecionych srebrnych serduszek i tłoczone, Martina na matowo, Glorii na błyszcząco. Przesuwam palcem po literach i po raz pierwszy pozwalam sobie na myśli o dziewczynie, która się kryje za imieniem Gloria. Takie wspaniałe, świetliste i pełne nadziei imię nadali jej rodzice. Czyli ma rodziców i nadzieję; ta myśl sprawia, że kolana uginają się pode mną. Jak ona wygląda? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Rozmyślałam o dziewczynach Deana, wyobrażałam je sobie, ale narzeczona Martina nigdy nie wzbudziła mojej ciekawości. Kiedy myślę o Martinie, zawsze widzę go samego. Na meczu piłki nożnej, ubłoconego, wściekłego i zrozpaczonego. Z mojego powodu.

– Jo? Jo, czy to naprawdę ty? – Martin staje przede mną, zupełnie jakbym

go wywołała myślami, ale to nie jest facet z mojej fantazji. Nie ma na sobie fraka ani ubłoconego stroju do piłki nożnej, jak przy naszym ostatnim spotkaniu. Nie ma nawet smokingu z muszką, którego nie mogłam wykluczyć, ponieważ wiem, że noszą takie na amerykańskich ślubach. Ubrany jest w ciemnoszary garnitur, białą koszulę i jasnoszary krawat. Wygląda elegancko i zamożnie. Jest nieco bardziej wyrafinowany niż kiedyś. Ostrzygł się i tak, zapewne ogolił go profesjonalista. Jest taki pewny siebie, szczęśliwy i bardzo wysoki. Czuję, jak łamie mi się serce.

– A więc jednak udało ci się przyjechać – mówi, podchodząc do mnie z szerokim uśmiechem.

– Przecież mówiłam, że przyjadę – staję na palcach i całuję go w policzki. Lewy pocałunek w ogóle nie dotyka jego skóry, przy prawym Martin jakby sobie przypomina, co powinien zrobić i muska wargami mój policzek. Są suche. Czekam na iskrę. Na gwałtowne przyspieszenie pulsu. Na potwierdzenie i usprawiedliwienie tego, co chcę zrobić.

Nic.

– Świetnie wyglądasz – mówię.

– Dziękuję. Ty również.

Uśmiecham się do niego, chwytam spódnicę i kołyszę się na boki, jak mała dziewczynka. To chyba nerwy zmuszają mnie do tej śmiesznej parodii flirtu i nienawidzę siebie za to. Pewną ulgę sprawia mi fakt, że Martin w ogóle na mnie nie patrzy; patrzy na coś ponad moim ramieniem (pewnie na kompozycję z kwiatów) i nie widzi, jak robię z siebie idiotkę.

– Te kwiaty są niezwykle, prawda? – Klaszcze podeksycytowany, a potem zaciera dłonie, jakby chciał je rozgrzać. Pamiętam ten gest. Czasami tak robił, kiedy był czymś strasznie podniecony, na przykład kiedy jego drużyna wygrała mistrzostwa albo kiedy dostał awans.

To trudniejsze niż sądziłam. Teraz, kiedy stoję z nim twarzą w twarz, mój plan się rozmywa jak fatamorgana. To z pewnością najtrudniejsza rozmowa, jaką odbędę w życiu, zapewne jeszcze trudniejsza niż odwołanie naszego ślubu; przyjechałam poprosić go, żeby odwołał ślub innej dziewczyny.

– Mamy czas na drinka?

– Wiesz... nie wiem – Martin patrzy na zegarek. – Gloria prosiła mnie, żebym nie pił przed ślubem. Jej rodzice są abstynentami, a choć Gee i ja

lubimy wypić kieliszek czy dwa...

– Oczywiście.

– ...nie chcemy, żeby odczuli to jako brak szacunku.

Nagle staje się dla mnie bardzo ważne, żebyśmy wypili razem tego drinka. Jeśli skłonię Martina do złamania słowa danego Glorii w tak drobnej sprawie, mam szansę skłonić go również do uczynienia tego na – jak by to ująć – większą skalę.

Na całe życie.

Nie wygląda to szczególnie szlachetnie w tym ujęciu, ale czas ma tu zasadnicze znaczenie.

– Jeden mały drink nie zaszkodzi. To przecież tradycja. Pan młody i jego drużba idą na drinka przed ślubem.

– Ale ty nie jesteś moim drużbą.

– Nie, ale i tak możemy wyskoczyć na jednego.

Martin patrzy na mnie dziwnie, a ja czuję, jak na szyję wpełza mi rumieniec. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to dwuznacznie.

– A w ogóle to gdzie jest Harry? – pytam, żeby zmienić temat. Harry to najlepszy przyjaciel Martina, już od szkoły średniej. Miał być naszym drużbą. Wątpię, żeby tak drobny szczegół jak inna panna młoda zmienił coś w tej kwestii.

– Harry nie jest moim drużbą, tylko brat Gee.

Aha! Zaczynam wyczuwać przebojową Oblubierzycę, która zawetowała wybór drużby.

– Dwa lata temu Harry wyjechał do Australii. Mieliśmy nadzieję, że przyjedzie na ślub, ale w zeszłym tygodniu złamał nogę i nie może podróżować – wyjaśnia Martin.

– Och, rozumiem. – A więc to nie wina panny młodej.

– Brat Gee był jednym z drużbów, więc po prostu awansował na pierwszego. Jestem mu za to bardzo wdzięczny.

– Założę się, że Gee to bardzo odpowiada.

– Prawdę powiedziawszy, jest wściekła. Od dawna chciała poznać Harry'ego.

– Och.

– Chciała nawet odłożyć ślub do czasu, aż będzie mógł podróżować.

Czyżby zaczęła się rozmyślać? Która panna młoda zgodziłaby się odłożyć

ślub, jeśli jest szaleńczo zakochana w narzeczonym?

– Naprawdę? – bąkam cicho.

– To bardzo miłe z jej strony, nie uważasz? Ale doszliśmy do wniosku, że byłby to za duży kłopot. Poza tym po ostatnim razie nie chcę, żeby ktoś... – urywa, nieco zakłopotany. Widać, że z trudem odzyskuje równowagę. – Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że narzeczone mi się rozmyśliła. Po raz drugi.

– Na pewno nikt by tak nie pomyślał – mówię pełna poczucia winy. Nienawidzę sama siebie. Nienawidzę się za to, że zgotowałam mu takie piekło i że obawiał się (choćby przez chwilę) powtórki. Nie chcę, żeby Gloria rzuciła Martina. Chcę mu powiedzieć, że to ja popełniłam błąd. Że miał rację, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Ale właściwe słowa wciąż mi się wymykają.

Martin jest wyraźnie skrepowany; wspomnienie o naszym odwołanym ślubie nadal jest dla niego trudne.

– Może jednak ten drink to dobry pomysł – stwierdza nagle.

Siadamy we dwoje w hotelowym barze. Zamawiamy sherry; chociaż żadne z nas za nim nie przepada, zgadzamy się ze śmiechem, że to właśnie powinno pić dwoje Anglików przed ślubem.

– Do dna – mówi Martin i wlewa w siebie drinka, jakby chciał uniknąć kłopotów z wyborem toastu. I dobrze. Nie mam ochoty proponować, żebyśmy wypili za zdrowie młodej pary, a inny toast byłby dziś niestosowny. W dzień ślubu można pić wyłącznie za to. Nie potrafię zachowywać się niestosownie. Zawsze staram się być bardzo taktowna; prawdziwy wzór dobrych manier. Myśl o tym, jak niegrzeczne i niestosowne jest niedopuszczanie do cudzego ślubu, wywołuje we mnie falę mdłości. Wypijam drinka, ale jeszcze nim sherry dociera do żołądka, wiem, że tyle alkoholu mi nie wystarczy. Martin wyraźnie dochodzi do tego samego wniosku, ponieważ daje znak barmanowi, by przygotował drugą kolejkę. Tym razem oboje wypijamy sherry powoli.

Nie stać mnie na ucieczkę w rozmowę o niczym. To byłaby zwykła strata czasu, a poza tym poniżyłabym w ten sposób nas oboje. Martin na pewno wie, że nie przyjechałam spytać go o zdrowie ani dyskutować o pogodzie.

Biorę orzeszka z małej srebrnej miseczki stojącej na barze, a potem przypominam sobie artykuł o tym, ile w takich orzeszkach jest zarazków i wrzucam go z powrotem.

– Czy jesteś naprawdę szczęśliwy? – pytam. Jeśli Martin zechce, będzie

mógł udać, że było to zwykłe pytanie, odpowiednie w dniu ślubu. Na szczęście rozumie, że pytam poważnie. Ale i tak niewiele wynika z jego odpowiedzi.

– Ogromnie.

– Nigdy nie byłeś szczęśliwszy? – Ta zagrywka jest trochę poniżej pasa, bo w zasadzie proszę go, by porównał to, jak się czuje teraz, z tym, jak czuł się przy mnie. Niezręczne pytanie, no ale czy sama moja obecność tutaj nie jest niezręczna? Niestety musi się połączyć krew, nim sprawy przybiorą dobry obrót. Martin twierdził kiedyś, że go uszczęśliwiam, że jest przy mnie szczęśliwy i że nie może sobie wyobrazić większego szczęścia. Muszę się dowiedzieć, czy mówił szczerze. Patrzy na mnie znad drinka.

– To inny rodzaj szczęścia, Jo.

Co to może znaczyć? Stałabym na pewniejszym gruncie, gdyby powiedział po prostu, że tak, nigdy nie był szczęśliwszy, choć z pewnością by mnie to zabolowało. Ale tego nie powiedział. Ani że jest nieszczęśliwy. Jest bardziej rozważny, bardziej szczerzy. Patrzę na niego i zastanawiam się, co powiedzieć. Zmienił się. Nie chodzi tylko o elegancki garnitur i porządną fryzurę, zmienił się na głębszym poziomie. Wydoroślał. To bardzo atrakcyjne, ale równocześnie oddała mnie od niego. Nagle tracę pewność, czy naprawdę znam tego Martina. Martina, który jest mężczyzną. Byłam zaręczona z Martinem chłopcem. Ostrożnie sięgam po stare sztuczki. Patrzę na niego spod rzęs.

– Nie zastanawiasz się czasami, jak by to było? – pytam.

Martin to dobry człowiek, więc nie udaje, że nie rozumie, o co mi chodzi. Nigdy nie uciekał się do takich gier. Czy to nie dlatego tu jestem? Ponieważ mam dość gier? I szukam kogoś godnego zaufania? Opiekuna? Fatalnie, że nie uznawałam go wtedy za kogoś takiego.

– Nie, już nie – odpowiada spokojnie.

– Ale zastanawiałeś się? – naciskam.

– Oczywiście. Przez jakiś czas – sięga do miseczki i bierze garść orzeszków. Wrzuca je do ust; wyraźnie nie przejmuje się zarazkami. To taki drobny gest, ale dostrzegam jego odwagę. Podnosi mnie nią na duchu. Jeśli mam być ze sobą szczerą, odwaga to nie jest cecha, którą z nim łączyłam: zawsze uważałam, że jest miły, szlachetny i prosty, ale nie, że jest odważny. – Złamałaś mi serce Jo. Oczywiście, że dużo myślałam nad naszą niedoszlą

przyszłością. Że się zastanawiałem, jak to by mogło być.

– Naprawdę? – nie potrafię całkiem ukryć zadowolenia.

– Owszem, ale więcej czasu poświęciłem na rozważania, co się, u licha ciężkiego, stało.

– Och.

– Głównie nie mogłem się pogodzić z nagłością naszego zerwania. Z tym szokiem, jakim było zakończenie naszego związku. – A więc teraz jest odważny, a przedtem nigdy nie grał w gierki i oto są skutki: szczerza rozmowa. No ale czego innego się spodziewałam? Poprawiam się na stołku. Trudno jest mi myśleć o jego rozczarowaniu, zagubieniu i cierpieniu. Nie tędy chciałam go podejść. Wolałabym mu przypomnieć dobre czasy, ale nim mam czas otworzyć usta, Martin mówi: – Hej, po co właściwie o tym rozmawiamy? To do niczego nie prowadzi i w dodatku jest niestosowne w dniu mojego ślubu. – Ma tak wiele racji, że zaciska mi się gardło, a na skórze na głowie czuję mrówki. Te uczucia dziwnie przypominają wstyd.

– Myślę, że właśnie dziś musimy o tym porozmawiać. Teraz albo nigdy – mówię niepewnie.

– Wolę tę opcję z nigdy. Jo, minęło już pięć lat. Mogliśmy odbyć tę rozmowę w dowolnym momencie. Dlaczego właśnie dzisiaj?

Nie jestem jeszcze gotowa na odpowiedź na to pytanie, więc rzucam własne, które moim zdaniem powinno skierować rozmowę w pożądanym kierunku.

– Dlaczego zaprosiłeś mnie na ślub?

– Gee uznała, że to dobry pomysł.

– Słucham? – Nie tego się spodziewałam. – Dlaczego Gee chciała, żebym tu była?

Martin wzdycha.

– Uznała, że ludzie przestaną wtedy wracać do ślubu, którego nie było. Czasami przyjaciele dokuczają mi z tego powodu.

– Naprawdę? Do tej pory?

– Do tej pory. – Dostaję gęsiej skórki na całym ciele. Oczywiście, że ludzie mu dokuczają. Powinnam się była tego domyślić. – Nieczęsto. Czasami. Gloria jest na to wyczulona. Głównie ze względu na mnie. No i chciała zobaczyć dziewczynę, która mnie wystawiła do wiatru. „Tę idiotkę, która cię wypuściła z rąk”, tak to chyba ujęła. Mam wrażenie, że jest po prostu

ciekawa. Chciała ci wysłać zaproszenie, a ja się zgodziłem. Nie chcę jej niczego odmawiać.

– Rozumiem.

– Prawdę powiedziawszy, nie sądziłem, że przyjedziesz.

– Ale przyjechałam.

– No tak. I teraz tu jesteś. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić, ale chcę cię prosić o przysługę. – Cóż, chyba ma do tego prawo. Jestem mu coś winna, a poza tym to jest dzień jego ślubu, ten jeden jedyny dzień, kiedy wszystko musi iść po jego myśli. Chyba oczekuje ode mnie, że mu nie odmówię. I ma rację. Nie odmówię mu. Ta jego nowa pewność siebie w połączeniu z dawną szczerością sprawiają, że nawet nie chcę. – Jo, nie możemy dziś myśleć o nas. W żadnym momencie. To jest dzień Gee. Mój i Gee.

Słowa padają miękko w moje uszy, wywołując mniejszy niepokój czy urazę, niżbym się spodziewała. Chyba oczekiwałam, że właśnie to powie. Miałam nadzieję uzyskać od niego deklarację dozgonnej miłości, ale czy choć przez chwilę naprawdę się jej spodziewałam? Czy kiedykolwiek pomyślałam, że ja, Joanna Russell, znajdę wreszcie swoje szczęśliwe zakończenie? I to tutaj, na ślubie innej kobiety? Nie, prawie na pewno nie. Oddycham głęboko.

– Rozumiem, o co prosisz, ale chodzi o to, że muszę ci coś powiedzieć – zaczynam. – Po prostu muszę. Ja...

– Chciała cię uprzedzić, że przyprowadziła osobę towarzyszącą.

Co?

– Osobę towarzyszącą? Wspaniale! – wykrzykuje Martin i odwraca się w stronę mówiącego. Ja również. Obok nas stoi Dean, niesamowicie przystojny w ciemnogrnatowym garniturze i starannie ogolony.

– Właśnie. To ja – oznajmia uprzejmie. Podaje Martinowi rękę, a on nią potrząsa serdecznie. Potem Dean pochyla się i całuje mnie w policzek. Przesuwa usta niżej. Nie zachowuje się jakoś szczególnie intymnie, pocałunek nie jest pełen znaczeń; to po prostu gra. Po tym powitaniu z Martinem, szerokim uśmiechem, pospiesznym, ale niezwykle czułym pocałunku domyślałam się, jaki scenariusz wybrał. Postanowił, że zagramy szczęśliwą, zgraną i kochającą się parę, która przeszła już przez pierwszą fazę namiętności, a jednak... Jego pocałunek pali. Dotykam policzka, skóra

pulsuje mi pod palcami.

– No proszę. Jak miło – Martin wyraźnie się cieszy. Cieszy się i (muszę to przyznać sama przed sobą) czuje ulgę. – Wiesz co? To pewnie głupio zabrzmiało, ale... – urywa.

– Co? – pyta Dean. Chyba zdaje sobie sprawę, że jego nagłe wkroczenie do akcji ogłuszyło mnie do tego stopnia, że nie jestem w stanie mówić. I wykorzystuje okazję.

– Och, nic takiego – Martin śmieje się nerwowo.

– No co? Mów – nalega Dean.

– Przez chwilę myślałem, że Jo przyjechała tutaj, żeby... Nie, nie mogę tego powiedzieć!

Dean znów mu przerywa.

– Myślałeś, że powie „nie zeń się z nią, ożeń się ze mną”? – pyta i śmieje się głośno. Martin też się śmieje, ale nie zaprzecza.

– Wariactwo, prawda?

Dean obejmuje mnie ramieniem i całuje w czubek głowy.

– Zupełnie. Ale nie masz się czego bać, ta mała jest moja.

Odsuwam się od niego, co przychodzi mi z większym trudem, niż powinno. Ten drugi pocałunek, w głowę, był taki miły. Podziałał jak balsam, uspokoił mnie na chwilę. Ale zaraz potem poczułam zdumienie. Przecież nie powinno go tu być! Wiem, że go zaprosiłam, ale przecież odmówił! Poza tym miał mi służyć moralnym wsparciem, a nie udawać narzeczonego! Tymczasem wcale mi nie pomaga. Byłam właśnie w środku akcji, kiedy mi przerwał. To nie on miał dzisiaj robić niespodzianki!

Obaj patrzą na mnie. Martin promienieje czystym szczęściem i życzliwością. Teraz, kiedy ma pewność, że nie przyjechałam popsuć mu ślubu, może się odprężyć. Zapewne już myśli o tym, jak o mnie wspomnieć w przemówieniu pana młodego. Ludzie uwielbiają chwalić się, że ich goście przebyli pół świata, żeby być na ich ślubie. W ten sposób udowadniają, jacy są popularni i doceniani. Dean jest niespokojny. Jego oczy są nieufne, ich wyraz ostrzegawczy. Mierzę go niechętnym spojrzeniem. Co on tu u diabła robi? Wszystko szło zgodnie z planem – no prawie. Nie, nieprawda. W ogóle.

Co ja miałam właśnie powiedzieć Martinowi? Że co do niego czuję? Kiedy widzę go obok Deana, nagle tracę całą pewność. Szczera i jasna uroda Martina kontrastuje mocno z mroczną i kapryśną aparycją Deana. Dean jest

kobieciarzem, sam mi to wyznał. Reprezentuje sobą wszystko, czego powinnam się wystrzegać. Oszukuje, nie chce się angażować. Nie mam wprawdzie powodu przypuszczać, że zdradza kobiety, z którymi się umawia, ale jestem w zasadzie pewna, że je rani. Wiem, że niewątpliwie czuły rozpacz, kiedy po upojnym seksie prosił je, by zgasiły światło, wychodząc. Należy do tych mężczyzn, na których kobiety lecą bez opamiętania; jest piękny i zamknięty w sobie, a to czyni z niego nieodpartą pokusę. Z kolei Martin jest porządny, przystojny i poczciwy. Po prostu wiem, że mam rację, chcąc się z nim związać. To idealny kandydat na męża. Będzie świetnym ojcem rodziny. I będzie wierny, czego nie można nie doceniać.

Ale wiem, i mam tu absolutną pewność, że nigdy nie będzie moim mężem. Należy do Glorii.

Odchrząkuję.

– Więc, jak właśnie mówiłam, nim nam przerwano, muszę ci coś powiedzieć... – rzucam szybkie spojrzenie na Deana, który zdradza objawy paniki. Zaczyna coś mówić o drinkach i muzyce na ślubie. Jestem pewna, że gdyby nie dobre maniery, własnoręcznie by mnie zakneblował. Przerywam mu. – Przyjechałam, bo chcę ci powiedzieć, że Gloria ma rację: byłam idiotką, że wypuściłam cię z rąk, ale moja strata to jej zysk, prawda? – uśmiecham się szeroko, dając do zrozumienia, że to tylko taki komplement, coś, czego należy się spodziewać po zaprzyjaźnionej i zrównoważonej byłej narzeczonej w dniu ślubu. Wyraz twarzy Martina jest niezwykle: maluje się na niej coś pomiędzy zdumieniem a wybaczeniem. – Bardzo mi przykro, że tak to schrząniłam. Ale cieszę się ogromnie, że znalazłeś szczęście. Po prostu chciałam tu być w twój wielki dzień.

– Tym razem. Chciała tu być tym razem – Dean po prostu nie może się oprzeć. Ewidentnie chce pozować na żartownisia. Może myśli, że taka rola pasuje do fałszywego narzeczonego.

Obejmuję Martina. To czysto przyjacielski gest. Nie próbuję przyciskać biustu do jego piersi, nie szepczę mu niczego do ucha. Nie utrudniam tego jeszcze bardziej. A kiedy go puszczam, próbuję nie myśleć o słowach Glorii. Próbuję nie myśleć o tym, że moja ostatnia szansa na szczęście właśnie wymyka mi się z rąk.

Dean

– Więc zostajesz? – spytał Dean Jo, gdy tylko Martin ich opuścił, usprawiedliwiając się, że musi coś sprawdzić. Ponuro pokiwała głową. – To dobrze. Gdybyśmy teraz wyszli, dziwnie by to wyglądało.

Zaprowadził ją do sali, gdzie miał się odbyć ślub. Część gości już przysła, rozmawiali ze sobą cicho albo słuchali lecących w tle ballad miłosnych z lat pięćdziesiątych. Dean zastanawiał się, czy wiązanka przebojów Elli Fitzgerald, The Platters i Deana Martina, opowiadających o romansach z czasów, kiedy świat był łatwiejszy i weselszy, uspokoi Jo, czy pobudzi ją jeszcze bardziej. Usiedli mniej więcej w połowie sali, po stronie pana młodego. Jo natychmiast wzięła plan ceremonii i udawała, że go czyta. Dean widział, że to nieprawda. Była zagubiona i wyraźnie opadła z sił.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała cicho; widać było, że próbuje dojść do siebie, wycofawszy się z samego skraju przepaści.

– Nie chciałem przegapić przedstawienia – odparł Dean, wzruszając ramionami.

– Mam wrażenie, że raczej zapobiec przedstawieniu.

Właściwie nie miał pojęcia, dlaczego przyszedł na ten ślub. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Postąpiłaś właściwie.

– Więc dlaczego to tak boli? – Jo pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Rozpuszczone włosy zasłoniły ją przed wzrokiem Deana. – Jestem totalną porażką. Nie mam pracy, domu ani przyszłości – jęknęła, jakby nagle to do niej dotarło. – O Boże, co ja powiem rodzicom?

– Rodzicom? – Obawa przed reakcją rodziców była zjawiskiem całkowicie Deanowi nieznanym. Aż do tej chwili nie dostrzegął żadnych zalet faktu, że go opuścili; nagle zrozumiał, że ponieważ byli tacy beznadziejni, przynajmniej nie prześladuje go myśl, że ich zawiódł.

– Moi rodzice są tacy spełnieni. Tacy szczęśliwi i idealni. Nie rozumieją, jak można zrobić coś takiego ze swoim życiem – Dean nie był przekonany.

Nie wierzył w szczęście i doskonałość, ale skoro podobno byli tacy szczęśliwi, dlaczego mieliby żywić pretensje do córki? Na pewno jej współczują. – Powinnam była wyjść za niego pięć lat temu – ciągnęła Jo. – Dlaczego tego nie zrobiłam? – Rozejrzała się po sali, wypełnionej po brzegi zapachem lilii i liryzmem piosenek. Ten ślub będzie z pewnością przepiękny, będzie spełnieniem nadziei Glorii i obaw Jo. Z takim trudem przychodziło jej zrezygnować.

Dean wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy za ucho, żeby widzieć jej twarz. Zaskoczył ją tym gestem.

– On nie jest twoim jedynym, Jo.

– Przecież nawet nie wierzysz w tych jedynych!

Owszem, nie wierzył, ale widział, że ona potrzebuje pociechy. Nie chciał widzieć jej w tym stanie.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział po chwili zastanowienia.

– Ze mnie? Jak możesz być ze mnie dumny? – spytała z wyraźnym niedowierzaniem.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że odwołałaś ślub pięć lat temu.

– To było po prostu głupie – jęknęła Jo.

– Moim zdaniem nie głupie, tylko odważne. Większość ludzi by się na to nie zdobyła, ale ty to zrobiłaś, ponieważ wierzysz w tego jedynego i zdawałaś sobie sprawę, że Martin nim nie jest. Czy jesteś gotowa to przyznać czy nie, wtedy chciałaś czegoś więcej.

– Ale nie miałam racji!

– Niekoniecznie. Może jest coś więcej. Może to ty masz rację, a ja się mylę.

Jo podniosła nieco głowę. Widać było, że usiłuje zrozumieć, co on mówi. Nigdy nie uważała odwołania ślubu za akt odwagi. Uważała, że to głupota, coś, czego należy się wstydzić, a wyjąwszy jeden jedyny moment, nigdy nawet nie myślała, że jej decyzja była usprawiedliwiona. Szczególnie zważywszy skutki: wydatki poniesione przez rodziców, cierpienie Martina i własne późniejsze rozczarowania.

Ale teraz, rozglądając się po sali, widziała ludzi, którzy przyszli dzielić szczęście młodej pary, która być może (och, powiedzmy sobie szczerze – zapewne) była o wiele lepiej dobrana niż ona i Martin. Więc to

niewykluczone, że rzeczywiście miała rację. Rozpromieniła się lekko i wyprostowała odrobinę plecy.

– Nie spieprzyłaś im ślubu. Odzyskałaś rozsądek. Brawo. Zapewne postąpiłabyś właściwie nawet, gdyby mnie tu nie było.

– Ale i tak się cieszę, że jesteś – odparła z tą swoją charakterystyczną szczerością, która wywołała uśmiech na jego twarzy. Potem wzięła jego dłoń, splótła palce z jego palcami i uścisnęła. – Co ci się stało w rękę?

– Walnąłem pięścią w ścianę.

– Rozumiem – uniosła jego spuchniętą i obolałą dłoń do ust i pocałowała. Jej wargi były gorące i miękkie. Na chwilę pozostały na jego skórze. Ten gest wyrażał nieskończoną wdzięczność i (choć tego Dean nie mógłby przysiąc) wskazywał na coś więcej. Zauważyła zaskoczenie na jego twarzy. – Trzymam się roli – wyjaśniła.

Po raz pierwszy odkąd się poznali, Dean nie miał pewności, czy mówi prawdę, ale nim miał czas wnikać w temat, odezwała się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i westchnęła.

– Moja siostra. Dzwoni już czwarty raz dzisiaj.

– Nie odbierzesz?

– Po co? Wiem, co chce mi powiedzieć.

– Zakładam, że była przeciwna pomysłowi z powstrzymaniem ślubu?

– Zapewne. Nie powiedziałam jej, co zamierzam zrobić, ale mama zrobiła to na pewno. Nie sądzę, żeby uznała to za dobry pomysł.

– No to zadzwoń do niej. Uspokój ją. Powiedz jej, że wszystko w porządku. Martwi się o ciebie.

– Nie mogę dzwonić stąd.

Dean spojrział na zegarek.

– Mamy jeszcze piętnaście minut. Chodź, wyjdziemy przed hotel. Tam zadzwonisz.

Na dworze zebrała się mała grupka palaczy, uzupełniających przed uroczystością zapasy nikotyny w organizmie. Wysoka długonoga blondynka uśmiechnęła się do Deana i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Dean odpowiedział jej uśmiechem, a Jo przewróciła oczami i odwróciła się tyłem do nich, żeby zadzwonić. Blondynka była śliczna. Od lat chyba nawet nie spojrzała na żaden węglowodan; miała wystające kości policzkowe i niezwykle wysoko uniesione piersi, sterczące z chudego tułowia. Dean

odruchowo zaczął się zastanawiać, czy to efekt naprawdę dobrego biustonosza, czy chirurgii plastycznej. Zwykle potrafił to określić na pierwszy rzut oka, ale dziś nie przyjrzał się wystarczająco uważnie; jego wzrok wciąż wracał do Jo. Rozmawiała przez telefon. Początkowo na jej twarzy widział ulgę, ale nagle zamilkła i otworzyła usta ze zdumienia. A potem zbladła gwałtownie i zaczęła się trząść.

Jo

– Gdzieś ty się u licha podziewała? Próbuję cię złapać przez cały dzień – oskarżycielski ton Lisy przedarł się przez tysiące kilometrów odległości i wylał na ulicę Chicago. Patrę na niebo. Chmury się rozeszły, pojawił się pasek błękitu. Oddycham głęboko i przez chwilę flirtuję z myślą, że jednak zrobi się ładnie, nie zwracając uwagi na furię mojej siostry.

– Jestem w Chicago – wyjaśniam.

– Na ślubie Martina? – pyta z niedowierzaniem.

– Tak.

– O Boże. Mama wspominała, że chcesz jechać, ale nie sądziłam, że to zrobisz.

– Mama mnie do tego przekonała.

– Mama cię przekonała?

– Tak.

– Zapewne chciała się ciebie pozbyć.

Nie jestem pewna, co Lisa ma na myśli. Wiem, że nie zawsze jestem mile widzianym gościem na imprezach rodziców, ale nie sądzę, żeby aktywnie chcieli mnie spławić. Postanawiam nie drażnić Lisy, tylko uspokoić ją, że nie zrobiłam niczego szalonego.

– To była zwykła burza w szklance wody. Nie ma się czym przejmować.

– Jo, dzwonię, ponieważ...

– Nie panikuj. Wszystko jest w porządku. Domyślam się, dlaczego dzwonicz, ale nie zamierzam przerywać jego ślubu.

– Nie, Jo, ja...

– Chyba trochę mnie poniosło. Wiesz co? Czasami – tylko proszę, nie bierz tego do siebie – jest mi z wami ciężko. Jesteś taka szczęśliwa. Mark i Katie tak samo. Rodzice obchodzą w weekend kolejną rocznicę ślubu. Wszyscy upajacie się szczęściem małżeńskim, a ja zostałam z niczym. – Rzucam okiem na Deana, żeby sprawdzić, czy już flirtuje z biuściastą blondynką, która wbiła w niego wzrok, gdy tylko wyszliśmy na zewnątrz, ale

patrzy na mnie, jakbym to ja była interesująca. Uśmiecham się. On również. Na chwilę tracę wątek. Co ja właśnie mówiłam? Coś o samotności, o tym, że jestem sama. Nie czuję się taka znów samotna, kiedy Dean uśmiecha się do mnie. Z wysiłkiem skupiam się na rozmowie z Lisą. – Nie chodzi o sam ślub. W końcu pracowałam w piśmie dla panien młodych. OK, może mam lekką obsesję na tym punkcie, ale mylicie się, jeśli uważacie, że tylko na tym mi zależy.

– Jo...

– To coś więcej. Po prostu wpadłam w panikę. Czułam się smutna, trochę samotna.

– Jo...

– Mówiąc wprost, chcę tego, co wy wszyscy już macie.

– Jo, zamknij się na chwilę! Pozwól mi coś powiedzieć! Mama właśnie porzuciła tatę.

– Co? – Musiałam się przesłyszeć. Albo źle zrozumieć.

– Mama zostawiła tatę.

Świat wokół mnie zaczyna się kołysać. Jakby nagle ktoś wyłączył grawitację. Mam wrażenie, że się unoszę w powietrzu, ale nie jest to miłe uczucie; czuję się tak, jakbym straciła nagle oparcie, zaczyna mnie boleć brzuch, w głowie mam watek. To po prostu nie ma sensu. Nie potrafię ogarnąć umysłem tej wiadomości. Słyszę słowa, ale nie rozumiem treści.

– To niemożliwe.

– Miała romans.

– Co?

– Wiele lat temu. Ale ten facet napisał do niej z łoża śmierci i wszystko poszło w diabły.

– Miała romans?

– Nieważne. Chodzi o to, że ten facet napisał jej, że myśli o niej łagodnie jego cierpienia, a musisz wiedzieć, że umiera na raka. Mama najwyraźniej doznała olśnienia i uznała, że miłość taty jej nie wystarcza.

– Jak to nie? To o co jej chodzi? Co jest nie tak z jego miłością? – jąkam się.

– Widzisz Jo, to nie wszystko...

– Nie wszystko?

Lisa bierze głęboki wdech, słyszę to nawet przez Atlantyk. Moja starsza

siostra wyraźnie nie wie, jak mi to coś powiedzieć. Jej świat też się wali. –
Tata jest gejem.

Clara

Clara wróciła do szpitala. W równym stopniu przerażało ją i fascynowało, że Eddie wciąż ma nad nią taką przerażającą władzę, ale nie mogła nie wrócić. Dziś rano ubrała się w pośpiechu i pojechała taksówką na dworzec, żeby jak najszybciej dotrzeć do szpitala. Upijała się nim, jak człowiek spragniony po suszy. Nie był już tym pełnym życia mężczyzną, który uwiódł ją tak bezwzględnie. Stracił urodę, zdrowie i wszelką nadzieję, jaką mogli mieć na wspólną przyszłość. Mieli tylko przeszłość. Wtedy chodziło o jej ciało. Brak jego dotyku sprawiał jej ból; naprawdę czuła ból, jeśli przez kilka dni nie mogli się spotkać. Bolały ją piersi, krocze. On sprawiał, że ten ból znikał; jego niecierpliwe ręce i pocałunki, czy to było na tylnym siedzeniu samochodu, czy w czyimś biurze, czy w łóżku w dyskretnym hotelu. Teraz natomiast chodziło o jej duszę. Musiała zrozumieć tego mężczyznę, ponieważ ukształtował jej życie i ponieważ ciągle czuła ból. Już nie w piersiach ani w kroczu; ten ból tkwił w jej głowie i sercu.

Od czwartku Tim zdążył już zadzwonić do niej kilka razy na komórkę. Oczywiście odebrała jego telefony. Nie byli jakimiś zakochanymi dziećmi, które się na siebie obrażają. Nigdy tacy nie byli. W tym rzecz. Zadzwonił, żeby spytać, czy dobrze się czuje w spa. Ich zerwanie było szczególnego rodzaju, ponieważ poinformowała Tima o swoich planach na przyszłość. Uważała, że tak będzie właściwie; w końcu przecież to on płacił za jej pobyt.

– Tu jest bardzo miło. Tak, rozgościłam się. Dziękuję za pamięć – odpowiedziała grzecznie, a potem, ponieważ zapadła niezręczna cisza, dodała: – Jest mniej więcej tak samo, jak podczas moich poprzednich pobytów.

– Wątpię – stwierdził z irytacją.

Clara pożałowała swego braku taktu.

– Masz rację, nie jest tak samo. Po prostu pokoje są takie same, to chciałam powiedzieć.

Poradził jej, żeby zjadła porządną kolację i odpoczęła. Uważał najwyraźniej, że przeżyła załamanie nerwowe. Tak jak wtedy. Ale to nie było tak. Teraz była bardzo spokojna, pozbierana. Jednak kiedy spróbowała mu to wyjaśnić, Tim wpadł w jeszcze większą panikę, więc poddała się i pozwoliła mu wierzyć, że odchodzi od zmysłów. Zadzwoił ponownie w piątek rano. Spytał, czy dobrze spała. Rozmawiali o jajecznicę, którą jadła na śniadanie; stwierdziła, że była trochę dla niej za rzadka, czyli w sam raz dla niego.

– Może następnym razem jak pojedziesz do spa, wybiorę się z tobą – zaproponował. – Skoro uważasz, że by mi smakowała. Powinniśmy robić razem więcej rzeczy. Może to jest przyczyna całego problemu.

Clara rzeczywiście uważała, że choć mąż i żona powinni robić razem wiele rzeczy – na przykład dzielić zainteresowania – ich obecnej sytuacji nie zmieni wspólne poddanie się pedikiurowi.

Trzeci raz Tim zadzwonił, kiedy była w szpitalu u Eddiego. Odebrała to połączenie, ale skłamała. Chciała mu powiedzieć, że jest na zakupach, ale obawiała się, że odgłosy szpitalne ją zdradzą, więc wyjaśniła mu, że poszła do lekarza, ponieważ chce się poradzić w kwestii psychologa. Uwierzył jej i z całego serca poparł ten pomysł.

– Ja też mogę chodzić na sesje, kochanie, jeśli będzie trzeba.

– Jeszcze nie wiadomo – odparła wymijająco, szybko przeprosiła i obiecała oddzwonić później.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – wychrypiał z trudem Eddie i uśmiechnął się przebiegle.

– Tak? – Clara wyłączyła telefon i schowała do torebki, żeby o nim zapomnieć.

– Ja leżę w łóżku, ty kłamiesz mężowi.

Pamiętała tamten wstyd i poczucie winy, a także niemożność zwalczania tych uczuć.

– Niezupełnie. Po pierwsze, nie mieliśmy komórek – stwierdziła pogodnie.

– To prawda. Łatwiej było wtedy grzeszyć.

– Teraz każdego można namierzyć i wysledzić. Nie mam pojęcia, jak komuś udaje się ukryć romans. – Clara udawała, że się oburza w imieniu cudzołóżników, ale wcale tak o sobie nie myślała. Woląca uważać, że jest cudzołóżnicą z przypadku. Nie szukała celowo kłopotów, a dramatyzm

nielegalnego związkuomal jej nie zabił.

– Mnie się udawało – stwierdził Eddie. Czyli jednak były jakieś kobiety. Przed nią. I równoległe do niej. Kobiety inne niż jego żona. Dlaczego to nadal bolało? Oczywiście nie tak bardzo jak kiedyś, ale jednak. Wówczas to była udręka, jakby ktoś jej wyrywał serce; teraz to było raczej mrowienie, jak wtedy, kiedy uderzysz się w to szczególne miejsce na łokciu.

– Nie wróciłeś do żony? – często się zastanawiała, czy to zrobił.

– Nie.

– A dzieci?

– Ożeniłem się drugi raz, mam więcej dzieci. Dwie dziewczynki.

– Och, no to wszystko w porządku – Clara nie mogła ukryć sarkazmu. Zresztą nawet nie próbowała.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Nasłuchiwali odgłosów szpitala: rozmów odwiedzających, o pogodzie i o tym na kogo będą głosować w sobotnim *Tańcu z gwiazdami*, szmeru urządzeń monitorujących stan pacjentów i jego ciężkiego oddechu. Eddie przerwał wreszcie milczenie.

– Nie bądź taka, Claro. Wiem, że nie jest idealnie, ale jest, jak jest.

– Więc gdzie jest twoja druga żona? – Clara rozejrzała się po sali, jakby się spodziewała, że druga żona nagle zmaterializuje się za plastikową zasłoną albo pod jednym z łóżek.

– Rozwiodła się ze mną.

– Z powodu? Tego samego co zawsze? – Clara nienawidziła się za to, że znajduje się na długiej liście jego kobiet. Widziała je w myślach, aż nazbyt wyraźnie. Paradowały przez pokój ubrane wyłącznie w skąpe majteczki, tak samo jak paradowały przez życie Eddiego Taylora: pulchne, chude, młode, dojrzałe, rozsądne, szalone, czarne, białe i złociste. Czowała się obdarta z godności. A przecież była pewna, że jest za stara na zazdrość.

– Nie, nie chodziło o inną kobietę, tylko o pieniądze. Taka różnica zdań.
– Eddie wskazał dzbanek z wodą. Clara poderwała się i napełniła plastikowy kubek z dzióbkiem; zamierzała mu go podać, ale nagle uświadomiła sobie, że on nie da rady go utrzymać. Że jest zupełnie bezradny. Usiadła na łóżku, ostrożnie uniosła mu głowę lewą ręką i przysunęła dzióbek do ust. Jego skóra była gorąca. Poczwała mrowienie w palcach. Opuściła go na poduszkę, odstawiła kubek na szafkę, ale nie mogła wstać z łóżka. Przełknąwszy trochę wody, Eddie był w stanie dokończyć zdanie. – Ja ich nie miałem, ona chciała

je mieć. Dotarło do niej, że nigdy nie będę wielkim scenarzystą z Hollywoodu. Moja ambicja szybko się wyczerpała.

– Och, przykro mi – Clarze wcale nie było przykro. Ten rozwód wydał jej się mniej brudny niż ten pierwszy i poczuła irracjonalną ulgę, że lista jego kobiet nie jest jednak nieskończona. – Masz dobry kontakt z dziećmi?

– Nie.

– Z żadnym?

– Z żadnym.

– Och.

– No, chłopak... – na twarzy Eddiego pojawił się na chwilę wyraz zagubienia. Clara zastanawiała się, czy zapomniał, jak mu na imię. Czy to wynik choroby, czy obojętności?

– Dean – odpowiedziała, ponieważ sama pamiętała wszystkie szczegóły.

– Przyszedł tu.

– To dobrze.

– Niezupełnie. Przyszedł mi powiedzieć, jaki jest wściekły. Jest popieprzony. – Eddie oddychał z tak wielkim trudem, że Clara nie była pewna, czy to Dean jest popieprzony, czy to Eddie spieprzył sprawę. Nie miało to większego znaczenia: dla Clary oznaczało jedno i to samo. – Wściekły, cyniczny. Bardziej cyniczny niż ja. Samotny. A ty? Jak twoje dzieci?

Clarę zaswędziało nos i nagle zorientowała się, że walczy ze łzami. Nie chciała poddać się emocjom; zawsze wołała się im opierać. Zwykle była bardzo opanowana, aż stawało się to krępujące, ale dziś Eddie Taylor po raz pierwszy w życiu wspomniał o jej dzieciach i spytał, jak się miewają.

– Och, świetnie, cudownie.

– Są dorosłe?

– Tak, oczywiście.

– Uniwersytet i te sprawy? – machnął ręką, wskazując, że jego pytanie dotyczy wszystkiego, co można dać dzieciom.

– Owszem. Moja najstarsza córka skończyła Cambridge, średnia studiowała w Leeds, a syn w Bristolu.

– Imponujące.

– Dwoje założyło już rodziny. Są szczęśliwi.

– A trzecie?

– Nie, to romantyczka – Clara i Eddie wymienili konspiracyjne spojrzenia; uniósł lekko brew, słysząc jej żart. Kiedyś powtarzali sobie, że małżeństwo nie jest przystanią namiętności czy romansu; wierzyli, że jest to możliwe tylko poza oficjalnym związkiem. Trochę smutny żart, jeśli się nad nim zastanowić. – Poważnie, myślę, że źle ją wychowałam. Byłam nadopiekuńcza. Nie jest realistką, jeśli chodzi o związki. – Wbrew sobie Clara zwierzyła się Eddiemu ze swoich lęków. Martwiła się o Jo.

– A kto jest? – rzucił jej kolejne wymowne spojrzenie. No tak, pomyślała Clara. Eddie Taylor też nie jest realistą, jeśli chodzi o związki. Jego cynizm i wyniosła obojętność wcale go przed tym nie zabezpieczyły; po prostu cierpiał na inny rodzaj braku realizmu niż jej córka. Jo była zbyt romantyczna, zbyt pełna nadziei; wierzyła szczerze w doskonałość i spodziewała się ją znaleźć w każdej spotkanej osobie. Dlatego zawsze angażowała się całą sobą i często kończyło się to dla niej boleśnie. Eddie nie oczekiwał od nikogo niczego dobrego i nie spodziewał się, że będzie musiał coś dać. Clara uważała, że sama jest realistką. Prawdziwą królową kompromisu. – Cieszę się, że tobie się udało – powiedział Eddie. Zapewne szczerze.

– O tak, to udane dzieci. Im się udało. Chociaż mój mąż jest gejem – dodała.

– Co? Od kiedy?

– Od zawsze, jak sędzę. Ale powiedział mi dopiero po urodzeniu Marka.

– Cholera.

– Właśnie.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie.

– Ale zostałeś z nim?

– Tak.

Clarze zachciało się śmiać. Miała wrażenie, że znów rozmawia z Eddiem, którego pamiętała, mimo tego ciała starca. Był wstrząśnięty, poruszony, ale też trochę rozbawiony.

– Claro?

– Tak?

– Dlaczego mnie nie odszukałaś?

– Eddie, ty nie chciałeś nawet własnych dzieci. Nie przyszłoby mi do

głowy, że mógłbyś wychować moje.

– Mógłbym spróbować. Gdybyś poprosiła.

Dean

– Muszę się czegoś napić – powiedziała Jo.

Choć Dean sam nie pił, potrafił rozpoznać tę potrzebę u innych; czegoś takiego nie załatwi batonik Hershey. Nie było mowy o tym, żeby wrócili na ślub. Nim zadzwoniła, ten ślub reprezentował wszystko, w co wierzyła, i czego sama nie miała. Teraz ta bańka pękła. Okazało się, że wierzy w coś, czego nie ma, co jak Dean wiedział z doświadczenia, było znacznie trudniejsze.

Zabrał ją do pierwszej knajpki, jaka rzuciła mu się w oczy. Była ponura, mieściła się w suterenie i nie miała szans na zmianę wizerunku. Krzesła były rozchwiane, podłoga lepiała się do butów, ale Dean postanowił nie zwracać na to uwagi pod warunkiem, że szejki będą naprawdę pyszne. Instynktownie wiedział, czego trzeba Jo, i nie była to modna restauracja. Musiała odreagować, ukryć się przed słońcem i najeść się na pociechę.

Streściła mu fakty. Matka miała romans. Ojciec był gejem. A więc ich związek nie był bajką, jak dotąd wierzyła. Oczywiście kiedyś musiała zejść na ziemię, ale obawiał się, że przebudzenie okazało się zbyt nagłe i zbyt bolesne; chyba poruszyło w niej każdą strunę. Poprosiła o kieliszek czerwonego wina, a on posłusznie go zamówił, ale uparł się, żeby najpierw wypić bananowego szejka. Uznał, że potrzebuje cukru. Była w szoku. Posłusznie wypić gęsty napój. Nie należała do kobiet, które protestują, żeby protestować, a zresztą w tej chwili była tak zgnębiona, że zwyczajnie nie było jej stać na żadne protesty. Potrzebowała opieki i ufała, że on jej ją zapewni, a on, choć nie padło na ten temat ani jedno słowo, zaakceptował tę odpowiedzialność. Położył zdrową dłoń na jej ręce i uściśnił mocno.

Milczenie rozciągnęło się na dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut. Dean generalnie nie miał nic przeciwko milczeniu, ale fakt, że Jo nie odzywała się aż tak długo, zupełnie go rozstroił. Wczoraj nie była w stanie zamilknąć nawet na trzydzieści sekund. Martwił się o nią. Zamówił łososia z frytkami i sałatką z pomidorów, ponieważ w samolocie zwierzyła mu się,

że to jej ukochana potrawa. Kiedy przyniesiono talerze, automatycznie podziękowała, najpierw jemu, a potem kelnerce, ale nawet nie wzięła widelca.

– Daj spokój, Jo. Musisz coś zjeść. – Jej wzrok opadł na talerz i widać było, że jest szczerze zaskoczona widokiem jedzenia. Zastanawiał się, dokąd odeszła, gdzie zaprowadziły ją myśli. Chciał, żeby wróciła do niego. Nabrał na widelec trochę ryby i podał jej do ust. W milczeniu rozchyliła wargi i pozwoliła się karmić.

– Nienawidzę moich rodziców – powiedziała po jakichś pięciu kęsach.

– Nieprawda.

Odebrała mu widelec, wzięła nóż i niechętnie zaczęła jeść. Dean zajął się własnym posiłkiem, hamburgerem, ale z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest tak głodny jak zwykle.

Udzielił mu się nastrój Jo.

– Jak oni mogli?

– Jak mogli co? – Jak jej matka mogła opuścić męża-geja? Deanowi nie wydawało się to szczególnie trudne. Raczej zastanawiało go, jak zdołali przeżyć w kłamstwie aż tyle lat. Dlaczego to zrobili? Nie był do końca pewien, co Jo ma na myśli, więc zaczął ostrożnie badać grunt.

– Jak mogli się tak bardzo różnić od moich wyobrażeń? – powiedziała z głębokim westchnieniem.

– Och, to proste. Są ludźmi.

– Na ulicy trzymali się za ręce. Uważasz, że to było udawane?

– Nie, niekoniecznie.

– A ich sypialnia! – jęknęła z rozpaczą. – To ogromne łóżko. Myślałam, że to nieco krępujące, taka manifestacja życia intymnego, tymczasem mieli takie wielkie łóżko, żeby nie musieć się dotykać. Jestem taką idiotką. Nie mam już nic. Absolutnie nic. Nie mam pracy, domu, żadnego kandydata na męża, a teraz nawet żadnej przeszłości. A przynajmniej takiej prawdziwej, na której można polegać. Wszystko, czym jestem, wszystko, czym chciałabym być, oparłam na swoich wyobrażeniach o rodzicach, a oni nigdy tacy nie byli. – Jo wyglądała na szczerze przerażoną. – Masz rację, Dean, nie ma czegoś takiego jak prawdziwa miłość. Nie ma szczęśliwych zakończeń, nie ma pokrewnych dusz, nie ma żadnego długo i szczęśliwie – dwie wielkie łzy spłynęły po jej twarzy i spadły prosto w łososia.

– Cii, nie mów tak, Jo.

– Bo co? Tym razem nie mam racji, ponieważ zgadzam się z tobą? – poderwała gwałtownie głowę i po raz pierwszy zauważył u niej przeblysłk prawdziwego gniewu. Nie była to dla niego żadna nowość; rozczarowanie zwykle prowadziło do gniewu, a potem do goryczy. Wiedział o tym od zawsze. Czy nie próbował jej tego powiedzieć, ostrzec jej? Ale nawet on nie spodziewał się, że spotka ją takie rozczarowanie. Był pewien, że dostanie kosza od tego wysokiego, nudnego faceta, z którym kiedyś chodziła. Czy nie dlatego się tu zjawiał – żeby posprzątać, jeśli zajdzie taka potrzeba? Sądził, że Jo przekona się, że ten wysoki facet nie jest dla niej i że będzie przez chwilę bardzo smutna z tego powodu, ale w końcu się pozbiera, otrząśnie i znów zakocha. W pewnym sensie polegał na tym.

Dziwne było to, że choć nie spodziewał się tak całkowitego załamania, jakie spowodowało u niej rozczarowanie co do rodziców, przewidywał, a właściwie był pewien, że pewnego dnia ta dziwna kobieta, która żyła w świecie marzeń, obudzi się w koszmarze, kiedy zaś to się stało, nie chciał tego oglądać. Upadek wiary Jo był katastrofą również dla niego. Nagle uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością, że bardzo chciałby się mylić.

W głębi duszy, mimo bólu i rozczarowań, których nie szczędziło mu życie, z całych sił pragnął się mylić. To dlatego tak się cieszył, że jego siostra wyszła za mąż. Publicznie zawsze udawał lekko sceptycznego, kpił z niej troszeczkę. Żartował, że jej małżeństwo to wyraz nadziei, która przeważała nad doświadczeniem, ale w głębi duszy – tak głęboko, że sam nie zdawał sobie z tego sprawy – był szczęśliwy, że Zoe zachowała dość nadziei, by ta rozkwitła w całkowicie funkcjonalny związek.

Jo była przypadkiem ekstremalnym. Wierzyła w lepszy świat, tak błyszczący od złota, że Deana bolały oczy od samego patrzenia. Wyśmiewał jej fantazje, a jednak uwiodła go jej wiara i serce mu się krajało, gdy widział, jak jej świat się rozpada. Musi się rozpaść, skoro Jo już w niego nie wierzy, ponieważ tylko ona mogła go utrzymać w całości. Dean pomyślał, że to trochę jak z historią o Piotrusiu Panu: za każdym razem kiedy dziecko mówi, że nie wierzy we wróżki, jedna z nich umiera. Miał wrażenie, że jeśli Jo przestanie wierzyć w swoje długo i szczęśliwie, to nikt już nie będzie w nie wierzyć.

On nie mógł odbudować tego świata. Mógł to zrobić tylko ktoś, kto

pokładał w nim wiarę. On nie miał tam wstępu. Nie mógł pomóc.

Łzy Jo płynęły coraz szybciej i spadały na talerz, tworząc kałużę wśród ości i srebrzystej rybiej skóry. Tusz do rzęs, dzięki któremu wcześniej wyglądała tak uwodzicielsko, teraz ściekał jej strużkami po policzkach. Nie zwracała na to uwagi; albo nic nie zauważyła, albo było jej wszystko jedno.

Nagle Dean poczuł rozpacz. Jej ból, co niewiarygodne, stał się jego bólem. Obchodził go. Obchodziła go, choć początkowo uważał, że jest stuknięta. Wczoraj wieczorem doszedł do wniosku, że jest interesująca, ale w taki sposób, w jaki interesujące jest egzotyczne zwierzę w zoo; chciał ją obserwować, żeby zobaczyć, co zrobi. Tymczasem teraz pragnął ją uratować. Nie chciał, żeby wiecznie ukrywała się w wymyślnym świecie – to nie miało sensu – ale chciał, by zachowała wiarę w dobre rzeczy, nawet jeśli on tej wiary nie miał. Właściwie było mu to niezbędne, choć nie rozumiał, dlaczego tyle to dla niego znaczy. Miał wrażenie, że coś w jego duszy pochyla się, chwytając sztangę i z ogromnym wysiłkiem unosi w górę.

– Chciałabyś, żeby nadal żyli w kłamstwie?

– Chciałabym, żeby nie musieli kłamać.

– Twój ojciec jest gejem, Jo. Nie sądzę, żeby miał tu jakiś wybór. Jest, jak jest. Wołałabyś, żeby ci nie powiedzieli? Żeby nadal traktowali cię jak dziecko? To chcesz powiedzieć?

Jo spiorunowała go wzrokiem, ponieważ tak naprawdę nie miała pojęcia, czego chce. Życie w kłamstwie nie było takie złe. Wcale nie. Przynajmniej nie dla niej i jej rodzeństwa. Jednak po chwili zastanowienia dojdzie na pewno do wniosku, że to wszystko musiało być trudne dla jej rodziców. Bardzo trudne.

Knajpka była praktycznie pusta. Oprócz nich siedział tu tylko jeden klient: chuda, mocno wytatuowana kobieta, która pochylała się nad kawą. Wstała, żeby wrzucić monetę do szafy grającej, i rozległa się piosenka, której Dean nie znał. Beznadziejna piosenka o miłości, zupełnie nie w jego guście, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Zmierzył niechętnym spojrzeniem wytatuowaną kobietę, ale zignorowała go, bez wątpienia zajęta własnym dramatem. Nie powinno tak być, pomyślał. To wszystko jest nie do wytrzymania. Chciał, żeby było dobrze. Ale nie takie dobrze, jakie można osiągnąć za pomocą regularnych wizyt na siłowni, ciężkiej pracy czy wypełnienia mieszkania kosztownymi gadżetami. Takie większe dobrze.

Chciał takiego dobrze, w które wierzyła Jo.

– Czy gdybyś nigdy się nie dowiedziała o dawnym romansie matki i o preferencjach seksualnych ojca, kochałabyś ich dziś tak samo jak w zeszłym tygodniu? – spytał sfrustrowany.

– Tak, oczywiście, ale wiem to wszystko. W tym rzecz.

– Ale nie są przecież dla ciebie gorszymi rodzicami tylko dlatego, że wiesz o nich trochę więcej jako o ludziach? Twoja matka to nadal ta sama kobieta, która trzymała cię za rękę, gdy płakałaś, podnosiła cię, gdy się przewróciłaś, zmieniała ci pościel, gotowała posiłki, ocierała czoło, walczyła o ciebie z innymi matkami pod szkołą. Robiła wszystko, co powinna robić matka – Dean urwał i zaczekał na odpowiedź Jo, ale ona milczała. – Nie możesz być na nią zła – przekonywał. – A twój ojciec to nadal ten sam facet, który zaharowywał się, żebyś mogła chodzić do prywatnej szkoły i brać lekcje tenisa. Ten sam, który czytał ci przed snem, który woził cię na przyjęcia dla dzieci i nie znosił twoich przyszczatych chłopaków, ponieważ zadawali ci ból. Występowali we wszystkim, co mi opowiadałaś o swoim dzieciństwie, o kolorowych owocach, o gryzącym kocu piknikowym i tak dalej.

– I zapewne powinnam im wybaczyć?

– Tu nie ma nic do wybaczenia. Oni ci tego nie zrobili.

– Ty nienawidzisz swojego ojca – zauważyła Jo jadownicę. – I nigdy nie mówisz o swojej matce. Dlaczego tobie wolno nienawidzić, a mnie nie?

– W moim przypadku jest inaczej – Dean odwrócił głowę. Wziął laminowane menu z wyblakłymi fotografiami deserów.

– Doprawdy. A dlaczego? – zapytała ze złością. Nagle miała dość bycia tą, która dzieli się wszystkimi swoimi myślami i sekretami, nie dostając nic w zamian. Sądziła zawsze, że lubi, jak ktoś jej słucha, ale teraz miała wrażenie, że siedzi na miejscu dla świadków, w krzyżowym ogniu pytań.

– Nie lubię o tym mówić – odparł Dean spokojnie.

– To już wiem – warknęła. Sięgnęła po kieliszek i pociągnęła duży łyk wina.

Dean nagle wyrwał jej kieliszek i odstawił z hukiem na stół. Część wina wychlapała mu się na rękę. Wytarł ją ze złością, a potem gniewnie zanurzył w kieszeni, wyjął portfel i rzucił na stół kilka banknotów. Mimo zdenerwowania Jo i tak zauważyła, że przepłacił o co najmniej sto procent.

– Chodź. Wychodzimy stąd. Dość tego siedzenia i biadania. Idziemy na

spacer.

Dean wywleka mnie z boksu. Dotąd trzymał mnie za rękę, co było miłe i nawet odrobinę podniecające – no może trochę bardziej niż odrobinę, jeśli mam być zupełnie szczerą. Mimo szoku zauważyłam, jak dobrze się czuję, kiedy ten facet ściska moją dłoń albo delikatnie gładzi kciukiem. Nie czuję tego samego teraz, kiedy wlecze mnie za rękę przez ulicę, ściskając ją tak mocno, że zadaje mi ból. Drobię za nim na tych idiotycznie wysokich obcasach, obcisła spódnica sukienki nie pozwala mi nadażyć za jego wielkimi krokami.

Idzie zatłoczonymi ulicami, nie zwracając najmniejszej uwagi na kolorowe graffiti i innych przechodniów. Przecina ruchliwe ulice, nie oglądając się na samochody, które trąbią i skręcają gwałtownie, żeby nas nie potrącić. W ogóle nie dociera do niego, że wywołuje zamieszanie: to facet, który ma misję, jakiś cel. Truchtam za nim, zbyt zajęta rozczulaniem się nad sobą, by się obawiać wypadku. Przechodzimy spieszenie przez Millennium Park, nie zwracając uwagi na pary na trawnikach, całujące się i śmiejące w przedwieczornym słońcu. Dean lekceważy zupełnie rolników i rowerzystów, którzy z trudem unikają kolizji z nami, nie zauważa wykończonych młodych rodziców walczących z energicznymi maluchami, ciągle przebiegającymi nam drogę niczym pociski, nad którymi stracono zdalną kontrolę. Nie zwalnia kroku, póki nie docieramy do tej części parku, która według tabliczki nazywa się Lurie Garden.

W przeciwieństwie do reszty parku – który jest czysty, dobrze utrzymany, nowoczesny i pełen rzeźb w równym stopniu zaskakujących, co cieszących oko – Lurie Garden jest dziki. To oaza kolorów, która daje natychmiastowe wytchnienie od zgiełku miasta. Purpurowa miłka i koralowe dzwonki drżą od trzepotu skrzydeł motyli i małych ptaszeków, powietrze przesycza zapach mięty i wielkich hyzopów. Natychmiast się uspokajam. To żywa sztuka: ruchoma, oddychająca paleta barw i zapachów. Czuję się odrobinę lepiej. Patrzę na Deana, ale on wygląda jeszcze gorzej.

Jest pobudzony. Rozdarty. Zdenerwowany.

– No dobra, więc chcesz poznać moją historię?

Siadam na ławce, a Dean chodzi przede mną w kółko.

– Tak.

– Świetnie, księżniczko, sama chciałaś. – Po raz pierwszy nazywa mnie inaczej niż Jo. Wyczuwam, że „księżniczka” to nie jest pieszczotliwe imię wskazujące na osiągnięcie nowego poziomu intymności; to nie jest komplement. – Od czego mam zacząć? – przez chwilę wydaje się naprawdę zagubiony. Odkąd się poznaliśmy, był taki niesamowicie opanowany, że naprawdę nie wiem, jak zareagować. Uświadamiam sobie, że on potrzebuje czegoś ode mnie. Jakiegoś punktu oparcia.

– Powiedz mi, skąd pochodzisz. Kiedy mówiliśmy o marzeniach, wspomniałeś, że chciałeś być piłkarzem, strażakiem albo kowbojem. I że najbardziej ze wszystkiego chciałeś być bogaty i uciec. Uciec skąd?

– Z każdego miejsca, w którym mnie umieścili.

– Kto cię umieścił? – pytam ostrożnie.

– Służby socjalne. Wiele czasu spędziłem pod tą ich tak zwaną opieką. Ta nazwa jest myląca, wierz mi. Mojemu dzieciństwu brakowało opieki – mówi Dean ostro. Przestaje chodzić, ale stoi odwrócony do mnie tyłem.

– Przykro mi. – To szczerą prawdą. Strasznie, strasznie mu współczuję i nie wiem, co powiedzieć. Słowa są zawsze żałośnie niewłaściwe w obliczu prawdziwego nieszczęścia. „Przykro mi” to zwrot nadużywany przez gwiazdorów wobec żon i fanów; mówią tak po kolejnym paskudnym skandalu seksualnym. Mówią tak też politycy, kiedy obetną kilka milionów z budżetu programu ochrony zdrowia. Ten zwrot stracił swoje znaczenie. Chciałabym wymyślić coś lepszego.

– Mój ojciec odszedł. Tyle już wiesz, prawda?

– Tak, kiedy byłeś jeszcze mały.

– Miałem pięć lat. Odszedł, a potem zniknął. Nigdy więcej o nim nie usłyszeliśmy. Nigdy, ani słowa. – Brzmi to strasznie ponuro. – Najpierw sobie radziliśmy. Nie byliśmy zamożni, ale no wiesz, radziliśmy sobie – Dean siada obok mnie na ławce, nadal na mnie nie patrzy. Patrzy prosto przed siebie, unikając mojego wzroku. – Matka starała się trzymać. Zdarzały się okresy, kiedy przez kilka tygodni z rzędu prała i prasowała nam ubrania, pamiętała, żeby kupić coś do jedzenia, a nawet żeby to ugotować, i wtedy

było dobrze. Nie świetnie, ale dobrze. Nigdy nie byliśmy szczęśliwi, nigdy nie potrafiliśmy się odprężyć i bawić jak inne dzieci, ponieważ taka sytuacja nigdy nie trwała długo, ale tak było dobrze. Jak mówiłem... radziłem sobie. – Wypowiedzenie tych słów nie przychodzi mu łatwo. Wyczuwam, jak trudno mu o tym opowiadać. To nie jest kwestia dumy czy potrzeby skrytości; to jest piekło. – Ale w końcu zawsze coś się musiało zdarzyć. Jakaś jej przyjaciółka wychodziła za mąż albo rodziła dziecko, jej najnowszy facet rzucał ją albo miała właśnie urodziny. I wybuchał kryzys. Uświadamiała sobie na nowo, jak wielka przepaść panuje między życiem, które sobie wymarzyła, a tym, jakie ono jest. Więc zagłębiała się do butelki. – Wzrusza ramionami. Drobny, zrezygnowany gest, który wskazuje, że pogodził się z faktami i że został przez nie ukształtowany. – Staraliśmy się robić to, o czym zapomniała. Nauczyliśmy się wkładać ubrania do pralki i wieszać je na sznurze. A we wtorki prowadziliśmy ją na pocztę, żeby spieniężyła czek z zasiłkiem na dzieci, wszystko jedno, czy miała kaca, czy śmierdziała wódką. Często kupowała potem butelkę wódki albo dwie i wracaliśmy do domu. We wtorki wieczorem, kiedy się upijała, wykradałem jej z torebki to, co zostało z czeku. Nie kradłem. To były nasze pieniądze. – Mówi to obronnym tonem, a ja chcę mu powiedzieć, że przecież rozumiem, ale nie śmiem mu przerwać. Obawiam się, że jeśli to zrobię, nigdy nie zdoła dokończyć tej opowieści. – Jak za pierwszym razem spróbowaliśmy z Zoe zrobić zakupy, nakupowaliśmy różnych bzdur. Cztery puszki coca-coli, Cherry Lips, lody i niezliczone paczki Kola Kubes – wylicza na palcach, uśmiechając się lekko na wspomnienie tych zakupów. – Oczywiście pochorowaliśmy się po tym, więc w następnym tygodniu kupiliśmy paluszki rybne, naleśniki i roladę lodową. Nie był to szczególnie zdrowy posiłek, ale zaznaczył się pewien postęp. Z czasem facet w sklepie na rogu zaczął nam wybierać zakupy, zdrowe jedzenie po okazyjnych cenach. Dawał nam zniżki na żywność, której kończył się termin przydatności do spożycia. Ludzie widzieli, co się dzieje, ale nie chcieli się wtrącać. W tamtych czasach nikt się nie wtrącał. I dzięki Bogu. Chcieliśmy, żeby tak zostało.

Mam ochotę wziąć go za rękę, tak jak on niedawno brał mnie, ale kiedy się poruszam, wyczuwa, co chcę zrobić i przezornie krzyżuje ręce na piersi. Zamieram. Czuję się odrzucona.

– Chodzenie do szkoły w niewyprasowanych ciuchach to nie był koniec

świata – ciągnie. – Oczywiście matka się nie udzielała, nie chodziła na szkolne przedstawienia i zawody sportowe, a nawet na wywiady, ale nikt się tym zbytnio nie przejmował. Przynajmniej nikt prócz mnie i Zoe. Czasami jakaś nauczycielka narzekała, że rodzice nie podpisali nam zgody na wycieczkę szkolną, ale dopiero jak jedna paskudna biurwa nie pozwoliła Zoe pojechać na wycieczkę do zoo, nauczyliśmy się fałszować podpis mamy, jeśli była zbyt pijana, żeby utrzymać długopis w ręku. – Dean wzdycha. Nie jestem pewna, czy z powodu tego wspomnienia, czy tego, co jeszcze musi mi opowiedzieć. – Ale kiedy przestało chodzić wyłącznie o zaniedbanie, zrobiło się trudniej. Weszła w okres, jak to nazywają, przemocy domowej.

– Biła was? – Gardło mi się ściska i walczę ze łzami. Nie mam prawa płakać. On nie płacze.

– Nie, nas nie. Rozbijała tylko rzeczy. Początkowo wyłącznie rzeczy taty. Podarła i podeptała książki, które zostawił. Pocięła nożem kuchennym jego ubrania. To były pozbawione znaczenia gesty. Zabrał ze sobą wszystko, na czym mu zależało. Zostawił tylko to, co było zbyt niemodne, żeby się w tym pokazywać. – Dean wzrusza ramionami i wydaje zimny, ostry dźwięk, który chyba ma być śmiechem. – Tak jak rodzina, już niepotrzebne. Podarła jego zdjęcia, a jak już nic po nim nie zostało, dobrała się do naszych rzeczy, swoich rzeczy i do siebie. Krzyczała, wyła i klęła. Zakradaliśmy się na dół po takiej strasznej nocy, nie wiedząc, czego się spodziewać. Mogła zasnąć wśród szczątków szkła i plastiku. Czasami krwawiła, bo kładła się na stłuczce. Czasami udawało jej się dotrzeć do łóżka albo do łazienki i tam zwymiotować. Nie zawsze. Musiałem ścierać jej rzygi z wanny, z łóżka, ze schodów. Ale kiedy zesrała się w majtki, nie chciałem jej tknąć i nie pozwoliłem Zoe jej umyć. Zostawiłem ją w tym smrodzie, poszedłem do szkoły, powiedziałem o wszystkim nauczycielce i tamtego wieczoru nas od niej zabrali.

Myślę o małym chłopcu, za małym na to, by być mężczyzną – a co dopiero bohaterem – który walczy w obronie siostry. I musi się pogodzić z tym, że nie zdoła już obronić matki, że jest zmuszony ją zdradzić.

Dean siedzi tak nieruchomo, że żółty motyl ląduje mu na ramieniu. Nie mogę oderwać od niego wzroku, mam wrażenie, że cały świat skurczył się do nas trojga, na tej ławce, do Deana, mnie i motyla. Myślę o swoich niezdarnych dziecięcych próbach łapania motyli w siatkę. Razem

z rodzeństwem i rodzicami biegałam po łąkach, za bardzo hałasując i skacząc, żeby coś złapać. Zresztą szczerze wątpię, żeby rodzicom zależało na moim sukcesie pod tym względem.

W moich wspomnieniach jest masa słońca. Błyszczą odbite w sadzawce, w której się chlapaliśmy, na lukrze pieczonych w domu tortów urodzinowych. Migoczą na nich świece: sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, trzydzieści pięć, ponieważ tak, nawet w zeszłym roku mama upiekła mi tort na urodziny, a tata zapalił świece. W moim dzieciństwie jest światło i piosenki, śmiech i miłość. Ledwie śmiem oddychać.

– Domy dziecka to była katastrofa. Choć pewnie ja też się do tego przyczyniałem. – Dean przygryza paznokcie kciuka. Czekam. – Też zacząłem niszczyć rzeczy. Rozbijać, palić, bazgrać nieprzyzwoite słowa na drzwiach łazienki dla dziewczynek. Żeby złagodzić choć trochę...

– Ból?

Wzrusza ramionami.

– Gniew.

Tak bardzo mi już zaufał, ale nie potrafi okazać słabości, nawet tej, którą czuł jako dziecko.

– Uciekłeś kiedyś? – pytam.

– Nie. Chciałem, ale zawsze była Zoe. Ona uważała, że powinniśmy przeczekać. Że w końcu będzie lepiej. No i wreszcie zrobiło się lepiej, prawda?

Odwraca się do mnie i po raz pierwszy, odkąd zaczął mówić, patrzy mi w oczy. Zmienił się podczas tej rozmowy. Nie widzę już zadziornego uwodziciela, który może obiecać kobiecie tylko jedno – że do niej nie zadzwoni. Teraz widzę chłopca, który przeżył niewyobrażalne zaniedbanie, który musiał być tak silny i samodzielny, że stał się zimny i zamknięty w sobie. Ale widzę też mężczyznę, który chce mi pomóc zachować marzenie, mężczyznę, który zaryzykował wyjawienie swej wstydlivej, bolesnej przeszłości, żebym nadal mogła cenić swoje wspaniałe, szczęśliwe dzieciństwo.

– Prawda. Zoe wiedziała, co mówi. – Zgadza się z nim, ponieważ wiem, że tego mu teraz potrzeba. Oczywiście widać, że jest lepiej, ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek jest naprawdę dobrze po tym wszystkim, co przeszli. Czy Dean kiedykolwiek przestanie odczuwać brak tego, co mu odebrano,

gdy był dzieckiem? Ręce ma nadal założone na piersi, ale zmuszam go, żeby objął mnie ramieniem, a sama obejmuję go w pasie. Pół godziny temu myślałam, że mój świat się zawalił, że już nigdy nie dojdę do siebie. Straszliwie rozczułam się nad sobą. Teraz wiem, że się otrząsnę, a może nawet stanę się lepszą osobą, tak jak Dean. To teraz bez znaczenia. Nic się w tej chwili nie liczy prócz Deana. Nagle, tak jak Alicja, kiedy ugryzła ciastko z napisem *Zjedz Mnie*, rosnę. A właściwie dorastam.

– No dobrze, przyjacielu. To był trudny dzień. Więc teraz możemy zrobić tylko jedno.

– Czyli co? – Dean patrzy na mnie, jakbym znała wszystkie odpowiedzi świata. I w tym momencie naprawdę znam.

– Iść potańczyć.

Dean patrzy na zegarek. Parę minut po siódmej, trochę za wcześnie, żeby iść potańczyć w sobotę wieczorem, ale wiem, że zaraz coś wymyśli. Nie zawiedzie nas. To jest mężczyzna, który zostawił za sobą trudne dzieciństwo i skakał na bungee z Altavilla Tower w Brazylii; na pewno znajdzie jakiś klub, gdzie będziemy mogli pozbyć się naszego bagażu emocjonalnego. Zgodnie z moimi oczekiwaniami nagle rozjaśnia się, jakby ktoś zapalił w jego oczach światło.

– Wiesz co? Wiem! Wykorzystamy twoje lekcje salsy. Pójdziemy do klubu latynoskiego.

Nie jest to chwila, w której stać by mnie było na utratę pewności siebie. Uśmiecham się szeroko i kiwam z zapalem głową.

Klub w centrum jest dokładnie taki, jak powinien być. Błyszczący parkiet porysowały tysiące obcasów, co świadczy o dobrej zabawie. Panuje tu półmrok, gdyż w oknach wiszą ciężkie czerwone zasłony ze złotymi frędzlami, nie wpuszczając światła dziennego. Jednakże atmosfera jest radosna, wszędzie widać opalone i blade nogi, balansujące na absurdalnie wysokich obcasach. Piękne kobiety o obfitych biustach wirują wokół sali, równocześnie namiętnie i finezyjnie. Mało przyjemni faceci w czarnych podkoszulkach i džinsach zmieniają się na moich oczach w bogów, kiedy wychodzą na parkiet i zaczynają krążyć i przytupywać ze swymi barwnie odzianymi partnerkami. Cały klub aż wibruje życiem.

– Na parkiecie jest gorąco.

– Fakt – zgadza się Dean. Wydaje się jeszcze bardziej zadowolony niż ja.
– Zobacz, jak oni się ruszają.

Nic tu nie pozostawia się domysłom. Mężczyźni są potężnie zbudowani i namiętni, kobiety zmysłowe. To ludzie, którzy żyją na całego. Zastanawiam się, co powinnam zrobić, kim powinnam być. Kim teraz jestem? Czy jestem Jo, beznadziejną romantyczką? Wiem, że tam w parku Dean chciał, żebym zachowała swoją wiarę. Choć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny

przekonywał mnie, że uważa moje poglądy za idiotyczne, nagle rozpaczliwie chciał wierzyć w świat nieco lepszy niż ten, w którym jego zdaniem żyjemy, a przynajmniej chciał, żebym ja w niego wierzyła. Po jego szokującym, ale szczerym wyznaniu wiem, że muszę udawać, że nic mi nie jest. Podejmuję to wyzwanie. Ale czy nadal wierzę? Wydaje się to mało prawdopodobne, a nawet niemożliwe w świetle rewelacji o moich rodzicach i tego, że Martin (moja ostatnia szansa) właśnie się ożenił. Jednakże...

Podnoszę wzrok. Zgodnie z moimi podejrzeniami Dean jest już na parkiecie. Nie należy do tych, którzy tracą czas. Zdjął krawat i marynarkę; bez wątpienia cisnął je niefrasobliwie pod stół albo na krzesło. Rozpiął guzik pod szyją i słucha, jak grupka gorliwych ochotniczek wyjaśnia mu *blasero*. Wygląda wspaniale. Gula, która tkwiła mi dotąd w gardle, bynajmniej nie zniknęła. Gorzej, zaczyna puchnąć. Ale w tej chwili nie ma nic wspólnego ze smutkiem lub żalem; karmi się podziwem i – równie dobrze mogę to przyznać sama przed sobą – wielką tęsknotą. Nagle ściska mi się żołądek. To dobre uczucie. Daję się porwać fali emocji, która napełnia moje ciało podnieceniem. Nagle, być może po raz pierwszy w życiu, wiem, kim jestem.

Naprawdę jestem Jo romantyczką.

To dziwne, ale w jakiś sposób ojciec gej i wiarołomna matka utwierdzili mnie w tym, zamiast zniechęcić. Kiedy wrócę do Anglii, dowiem się wszystkiego od obu stron. Spróbuję zrozumieć wybory, których dokonali, i wesprzeć ich oboje, ponieważ choć cała sytuacja jest dziwaczna, jestem pewna, że w swoim mniemaniu postąpili słusznie. Uważali, że robią to, co najlepsze dla nas, dzieci. Na tym polega miłość. Nieskładna, nieprzewidywalna miłość. Nawet to, co usłyszałam o dzieciństwie Deana, nie odebrało mi wiary w szczęśliwe zakończenie, no bo spojrzcie tylko na niego. Jest niesamowity. Jest najbardziej zdeterminowanym, pełnym werwy, pozytywnie myślącym i najpiękniejszym mężczyzną, jakiego dane mi było poznać. A nawet jeśli on nie wierzy w swoje szczęśliwe zakończenie, ja w nie wierzę. Bardziej niż kiedykolwiek.

Patrzę na parkiet. Wygląda zachęcająco. Oszalałamijąco.

Choć brałam lekcje salsy, nigdy nie byłam w takim klubie. To śmieszne, wiem. Nikt mnie nigdy nie zaprosił, a nie miałam odwagi iść sama. Obecnie rzadko tańczę, chyba że na cudzych weselach, ale wtedy jestem zwykle paskudnie pijana, więc wiruję beznadziejnie z dwiema czy trzema

samotnymi dziewczynami nie tyle może wokół naszych torebek, ile podeptanego poczucia godności. Postanawiam, że dziś nie będę już piła. Byłoby to okrutne po opowieści Deana. Poza tym kiedy piję, szczegóły zamazują mi się w pamięci, a mam wrażenie, że będę chciała zapamiętać każdą sekundę tego wieczoru. Dean szuka mojego wzroku, a ja bez wahania biegnę do niego.

I zaczynamy tańczyć. Obracam się, potrząsam biustem i biodrami. Tańczę na całego. Muzyka przenika moje ciało, bierze mnie w posiadanie. Nie przeszkadzam jej, martwiąc się o to, czy opanowałam właściwe kroki, czy głupio wyglądam i czy bardzo się spociłam. Po prostu tańczę. Zatracam się w tańcu.

W klubie jest gorąco i tłoczno, co sprawia, że czuję się młodsza niż zwykle, młodsza niż kiedykolwiek wcześniej. Tańczę, aż cała jestem lepka od potu, aż wilgotne włosy przylepiają mi się do szyi, a makijaż spływa z twarzy. Na palcu robi mi się pęcherz, ale nie przestaję tańczyć; po prostu zdejmuję buty. Chcę poczuć wyczerpanie; chcę, żeby wszystko mnie bolało, żeby mnie ogarnęło to niesamowite, rozkoszne zmęczenie.

Dean ma salsę we krwi, a choć nie zna wszystkich kroków, niezwykle efektownie kręci biodrami, i tańczy z takim zapałem, że już wkrótce otacza go wianuszek kobiet, walczących o jego uwagę i usiłujących naciągnąć go na taniec. A on patrzy obojętnie na ich wspaniałe ciemne włosy opadające na plecy, na ich muskularne nogi, które sięgają do samej szyi. Nie zauważa ich głębokich dekoltów, ciężkich piersi i promiennych uśmiechów. Widzi tylko mnie. Nie odrywa ode mnie wzroku. Próbuję nie patrzeć, ale bez powodzenia. Jestem go świadoma w najczystszy, najbardziej absolutnym znaczeniu tego słowa. Jestem świadoma każdego mięśnia w jego ciele, kiedy kurczy się i rozpręża. Widzę każdy por na jego skórze, każdy włos na jego głowie. Czuję jego oddech. Czuję, że jest tutaj, ze mną. A pod jego spojrzeniem staję się najlepszą wersją samej siebie. Nieskrępowana, pulsuję wraz z rytmem, bezmyślnie, beztrosko. Znajduję miejsce, które rzadko zdarza mi się odwiedzać na jawie. Potrząsam włosami i poruszam rękami jak wesół, szczęśliwa osoba; ktoś, kto ma nadzieje i perspektywy, i przyszłość. Jestem pewna siebie, wyższa, szczuplejsza i zapewne mam bardziej błyszczące włosy. Inni ludzie tańczą wokół nas. Jestem częścią tego wszystkiego, nie widzem.

Noc upływa. Tańczymy przez cały czas, a Dean interesuje się tylko mną. Od czasu do czasu przystajemy, żeby napić się wody, ale potem natychmiast wracamy na parkiet. Nie rozmawiamy wiele; ograniczamy się do głupich komentarzy i żartów. Dość już wymieniliśmy poważnych słów.

– Siedź w rytmie – wykrzykuje Dean. Śmieję się. To zwariowana fraza, jak nie z tego świata, ale w jego ustach jest po prostu zabawna.

– Jestem pijana tańcem – przekrzykuję muzykę.

– Uważaj, możesz stracić nad sobą kontrolę – śmieje się Dean. Jego uśmiech wskazuje, że właśnie tego by chciał.

– Gorzej, mogłabym ją przejąć – odpowiadam.

– Albo idź na całego, albo do domu, Jo – zachęca.

Instynktownie ujmuję jego twarz w obie dłonie. Przyciągam go do siebie, nic nie myśląc, i całuję mocno, namiętnie w usta. To nie jest długi pocałunek. Nie jest nawet szczególnie zmysłowy. Tak mogliby się pocałować przyjaciele. Dobrzy i bardzo szczęśliwi przyjaciele. To mocny, ciepły pocałunek. Puszczam Deana, nim zaczyna się wycofywać. Tak na wszelki wypadek. A potem znów wiruję, kręcę się i tańczę.

– Ekstra! – krzyczy jakiś facet, który tańczy obok nas. Dean zamienia z nim od czasu do czasu kilka słów, przekrzykując muzykę. Słyszałam, jak się śmieją. Dean chyba postawił mu drinka. Jest wysoki i przystojny, jego hebanowa skóra błyszczy od potu, a mięśnie mu aż grają. Łapie mnie za rękę i obraca, jakbym była lalką.

– Umiesz się ruszać – stwierdza. – Świetnie tańczysz.

– Chyba cię kocham – śmieję się. Od razu się orientuje, że to był żart, nie propozycja. Dziś wieczorem nie ma we mnie nic z kuguarzycy.

Mój nowy przyjaciel wskazuje głową Deana.

– Ten twój facet nie jest zdrowy – ma to znaczyć, że szanuje Deana, a nie że Dean powinien się leczyć. – Niesamowity facet. Kupa śmiechu.

– Właśnie. Ale to nie jest mój facet. To tylko przyjaciel – wyjaśniam.

– Daj spokój, lalunia. Nie próbuj kłamać Rudiemu. Ja tam wiem swoje. To twój facet. – Patrząc zaskoczona na Rudiego i mam wrażenie, że powiedział na głos coś, co wiedziałam, ale czego nie chciałam przyznać. Dean to mój facet. A przynajmniej powinien nim być. Czy mógłby? Prawda jest taka, że cały czas kiedy planowałam przerwanie ślubu, do głowy cisnęły mi się fantazje na temat Deana. Ale on jest niebezpieczny. Tak często szłam

już tą ścieżką. Jest zbyt przystojny, żeby potrafił zostać. Nie powinno tak być, ale niestety często jest.

Nagle Dean znów zjawia się u mego boku. Czuję to, jeszcze nim się do niego odwracam, ponieważ dziś wieczorem – choć tańczę w samym środku tłumu – cały czas wiem, gdzie on jest. Wiem, czy siedzi, stoi czy tańczy. Wiem, kiedy pije albo się śmieje, albo milczy. Albo na mnie patrzy. Znowu to robi.

– Jo, chcę już iść.

– Tak? – Widzę, że narzucił na ramiona marynarkę, wetknął krawat do kieszeni spodni.

– W końcu dopadła mnie zmiana czasu – wyjaśnia.

Serce mi zamiera. Dobrze, że muzyka jest taka głośna, inaczej ludzie usłyszeliby, jak mi pęka.

– Ja też powinnam już iść. Muszę sprawdzić, czy będą mieli wolny pokój w hotelu na dzisiejszą noc. Zarezerwowałam tylko jeden nocleg, bo myślałam... No wiesz dobrze, co myślałam. Zostawiłam torbę u portiera.

Dean patrzy na mnie dziwnie.

– Po drodze do mnie zaczepimy o hotel i zabierzemy twoje rzeczy – mówi stanowczo.

Moje serce znów zaczyna bić, z całych sił. Czuję je w gardle. Jestem szalona, nieodpowiedzialna, zauroczona. Uwielbiam tego faceta.

Dean

Dean pożałował, że nie ma w domu nic do jedzenia. Jo wyraźnie postanowiła zachować trzeźwość, odkąd jej opowiedział o swojej matce alkoholiczce, co było słodkie z jej strony, ale kiedy znaleźli się u niego, byłoby łatwiej, gdyby zgodziła się na drinka. Nie dlatego, że chciał ją upić, ale dlatego, że nie miał jej do zaproponowania nic innego. Nie zjedli do końca posiłku w knajpcie; właściwie odkąd się poznali, pozostawiali za sobą ślad z niedojedzonych posiłków. Przyciemnił światła i włączył modny, wbudowany w ścianę gazowy komin, który natychmiast zapłonął jasnym płomieniem. Pokój wyglądał tak, jak chciał, żeby wyglądał – gniazdko odpowiednie do uwodzenia kobiet – ale nagle zaczął się zastanawiać, czy to aby właściwy nastrój na dzisiejszy wieczór.

– Możemy zamówić coś do domu – zaproponował.

– Właściwie to nie jestem za specjalnie głodna. – Jo wzruszyła ramionami i padła na jego ogromną, narożną kanapę. Nie kryjąc ulgi, zsunęła ze stóp buty na wysokim obcasie i natychmiast zmieniła się z flirciary w kociaka.

Dean poczuł lekkie zdumienie, gdy uświadomił sobie, że jest nią równie oczarowany, kiedy ogląda sobie pęcherze na stopach, jak wtedy, gdy buty na wysokim obcasie podkreślają jej łydki.

– Mam mleko i może kilka herbatników – powiedział.

– Świetnie – odparła z uśmiechem.

Poszedł do kuchni i zaczął szukać. Zwykle gdy przyprowadzał tu kobietę, przez cały czas prowadził z nią pełną podtekstów rozmowę – był dumny ze swoich dowcipnych, dwuznacznych uwag – ale dziś nie miał dość energii na coś takiego, a zresztą nie czuł nawet takiej potrzeby. Zachował milczenie, póki nie usiadł obok niej z tacą. Jak blisko powinien usiąść? Czy będą uprawiać seks? Zwykle było to coś oczywistego, ale nie przy Jo. Bo z Jo to nie będzie numerek na jedną noc. Czy był gotowy na więcej? Czy miał dość odwagi? Miała jeden niepokorny włos w poza tym idealnie wyskubanych

brwiach. Włos był szary i sztywny, i odróżniał się od reszty; zdawał się symbolizować wszystko, co było w Jo dziwaczne i bezbronne; nie była tak młoda ani tak idealna, jak chciałyby być. Podobało mu się to, podobnie jak mały pieprzyk na jej uchu. Udało mu się wygrzebać dużą paczkę M&M z orzeszkami i kilka ciasteczek oreo. Uśmiechnęła się szeroko, jakby jego gościnność była warta trzech gwiazdek w przewodniku Michelin.

– Więc nie jesteś smutna? – spytał ostrożnie. Jo spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Z powodu udanego ślubu Martina – wyjaśnił.

– O Boże, nie – machnęła ręką, jakby mówili o jakiejś starej historii. W gruncie rzeczy tak było, choć ślub odbył się zaledwie kilka godzin temu. – Nie, Gloria była mile widziana na swoim ślubie – Jo spojrzała na zegarek. – Wiesz co? Nigdy tak naprawdę nie myślałam o nocy poślubnej.

– Nie rozumiem?

– O seksie. – Pochyliła się ku niemu i wyszeptała to słowo z chichotem, trącając go łokciem, jakby czytała mu sprośną pocztówkę albo jakby oglądali film z cyklu *Cała naprzód*. – No wiesz, w tej chwili zapewne tarzają się zgrzani i spoceni po wielkim łożu, owinięci w prześcieradła utkane z dwóch milionów nitek osnowy.

– Albo właśnie otwierają prezenty ślubne.

– Masz rację. W każdym razie nic mnie to nie obchodzi – Jo urwała. – Chyba powinnam o tym pomyśleć, nim wydałam ostatnie pieniądze na lot tutaj. Nie jestem o nią zazdrosna. Aż tak mi na nim nie zależało. A chyba powinno.

Dean pokiwał głową. Powinno. Jednak w tej chwili nie żałował, że Joanna Russell wydała swoje ostatnie dziesięć funtów na lot, podczas którego się poznali.

– Ach, czyli znów uważasz, że tu chodzi o chemię, ten skurcz w podbrzuszu? – Ponownie trąciła go łokciem w żebra, ponieważ wiedziała, że z niej kpi. – Wzrok spotykający się w tłumie – zauważył, że Jo nagle przestała mu patrzeć w oczy, choć siedzieli obok siebie i dzieliła ich ledwie odległość linijki.

– Chemia jest potrzebna, ale sama nie wystarczy – mruknęła. – Potrzebne są jeszcze inne rzeczy.

– Masz wąsy.

Spojrzała na niego przerażona.

– O Boże, nie. Przecież depiluję. – Jej ręka natychmiast powędrowała do twarzy.

– Od mleka – pospieszył z wyjaśnieniem Dean, nim zdążyła mu wyjawić więcej sekretów swojej urody.

– Och – wytarła wargi. Po tej wymianie zdań nie spojrzała mu znowu w oczy.

W milczeniu patrzyli na płomień w kominku. Dean zastanawiał się, czy włączyć telewizor, ale uznał, że zbyt to zmieniliby nastrój. Zupełnie jakby zaprosił więcej osób na przyjęcie i przerwał jego intymność; stwierdził, że wcale tego nie chce. Mógł włączyć jakąś muzykę, ale przy balladach miłosnych czy nawet spokojnym ambiencie nie mogliby już udawać, że są tylko przyjaciółmi, a nie był pewien, czy tego właśnie chce. Zawędrował gdzieś, gdzie nie był nigdy wcześniej.

– Między nami jest chemia – stwierdziła nagle Jo. Odwróciła się do niego i popatrzyła mu prosto w oczy. – Prawda? Ty też ją poczułeś. W samolocie i wczoraj wieczorem w restauracji, za każdym razem, kiedy się dotykaliśmy. I dziś, kiedy mnie pocałowałeś w obecności Martina. I kiedy cię pocałowałam w klubie.

– Tak, poczułem – powiedział i dodał szeptem: – Słuchaj Jo, chcę, żebyś wiedziała, że w zwykłych okolicznościach właśnie bym cię nakłaniał do seksu.

Jo się uśmiechnęła.

– Zwykle nie musiałbyś się zbyt starać, żeby mnie nakłonić.

– Ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Więc nie możemy tego zrobić.

– Tak. Jesteśmy przyjaciółmi – potwierdziła.

– Tylko przyjaciółmi.

– No cóż, przyjaciółmi, którzy mówią sobie wszystko i pomagają sobie w trudnych chwilach i...

Dean nie miał pojęcia, co jeszcze chciała powiedzieć, bo nie dał jej szansy dokończyć. Przycisnął wargi do jej ust i tym razem nie było już wątpliwości: to nie był pocałunek przyjaciół. Jej usta były ciepłe i miękkie; poddawały się i idealnie pasowały do jego ust. Delikatnie dotknęła jego policzka, a choć było to właściwie muśnięcie, miał wrażenie, że został przyspawany do jej palców. Położył rękę na jej karku i przyciągnął ją do siebie mocniej. Całował ją, a ona z równym entuzjazmem i wprawą całowała jego, żarłocznie i zaborczo.

Podczas tego pocałunku walczył cały czas z myślą, że to wszystko znaczy coś więcej, że ma większe konsekwencje; zwykle pozostawiał takie przemyślenia kobietom podobnym do Jo. Jej pocałunki były zaskakujące, bardziej erotyczne i natarczywe niż jakiegokolwiek inne.

Przesuwał dłońmi po jej ciele, wsuwał je wszędzie, gdzie tylko mógł: szybko, z wprawą, naturalnie. Wiedział, jak dotykać kobiet, jak je przytulać i uspokajać, a tym razem przekroczył wszelkie granice. Cieszył się jej ciałem, jej karkiem, łopatkami, żebrami i piersiami. Poznawał ją całą. Byli jak ogłuszeni, nie pozostawało im nic prócz wzajemnego pożądania. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek zbliżenie wydawało mu się tak nieuchronne i jednoznaczne. Zrozumiał, że ona czuje tak samo, kiedy wstała i spytała po prostu:

– Gdzie jest sypialnia?

Przez chwilę zastanawiał się, czy taka romantyczka wymaga czystej pościeli i świec. Wiedział, że jego łóżko jest rozgrzebane, a pościel skotłowana po bezsennej nocy. Nie opuścił żaluzji, więc pokój zalała poświata rzucana przez drapacze chmur – oświetlała go jak gwiazdy i tyle im wystarczyło. Praktycznie rzucił ją na łóżko. Spódnica jej sukienki zadarła się wysoko, kiedy to zrobił, a wówczas Jo pospiesznie ściągnęła koronkowe majtki. Rozpiął rozporek, a potem po prostu w niej zniknął. Jej ciało przyjęło go, jakby od dawna na niego czekało. Może rzeczywiście tak było. Patrzył na nią, a ona na niego. Oboje byli świadomi tego, co robią i z kim. To było niesamowite. Takie cholernie ważne.

Takie prawdziwe.

Jęknęła i zadrżała, a on wykrzyknął głośno z rozkoszy i wytrysnął. Ten stosunek był taki krótki, taki niesamowity. Miał wrażenie, że jego ciało stapia się z ciałem Jo, pasowała do niego tak idealnie, że przestał rozpoznawać, które z nich jest które. Nie wiedział już, którą rozkosz odczuwa, a którą daje, nie wiedział, czyj ból powstrzymuje.

Dojmujące uczucie samotności nagle jakby lekko zelżało.

Niedziela, 24 kwietnia 2005 roku

Clara

Clara przysłała do szpitala już o dziewiątej rano. Młoda pielęgniarka, pulchna i różowa, próbowała się jej pozbyć, informując, że godziny odwiedzin zaczynają się o jedenastej. Clara wbiła wzrok w jej cieniutki pierścionek zaręczynowy; grupka małych szafirów niemal ginąca w fałdach jej ciała. Wyczuła, że ten pierścionek jest dla dziewczyny bardzo ważny.

– Jestem jego żoną – skłamała.

– Och, nie wiedzieliśmy. – Policzki pielęgniarki zaróżowiły się, zażenowanie zalało falą rumieńca również jej szyję. – Nie widzieliśmy pani wcześniej, nie ma też wzmianki o pani w jego dokumentach.

– Rozstaliśmy się, ale... – Clara urwała; chciała, żeby pielęgniarka doszła do wniosku, że trudno jej o tym mówić. Nie obchodziło jej, że takie postępowanie jest niemoralne, a może nawet nielegalne. – Zostało nam tak niewiele czasu – dodała. Była zawsze nienagannie uprzejma i miała piękny, acz zimny głos, który onieśmielał większość ludzi, dlatego jej prośby w pociągach, teatrach, sklepach czy pralniach zwykle były spełniane. Tak samo stało się i tym razem. Pielęgniarka najwyraźniej uznała, że ktoś taki jak ona nie może kłamać w żywe oczy; widać nie uważała na lekcjach historii. Bez dalszych problemów Clara została wpuszczona do Eddiego.

Ale dla niego nie miało to znaczenia. Był nieprzytomny, nie obudził się nawet, kiedy powtarzała jego imię, delikatnie potrząsając go za ramię, a nawet z wahaniem pocałowała go w czoło. Postanowiła zostać. Nie chciała, żeby był sam, kiedy się obudzi. Uznała, że przynajmniej tyle jest mu winna. Nie była pewna, dlaczego tak uważa, ale zawsze tak było; ludzie po prostu brali odpowiedzialność za Eddiego Taylora; wzbudzał większą lojalność, niż na to zasługiwał. Clara nie była w stanie tu nie przyjść, a jednak te wizyty nie przynosiły jej zadowolenia. Znowu ją rozczarował. Głęboko, niewybaczalnie. Fizycznie zmienił się nie do poznania, ale emocjonalnie pozostał taki sam jak zawsze.

Pozostał mężczyzną, którego nigdy nie powinna wybrać. Nadal na nią

nie zasługiwał, nie dałby jej szczęścia ani by o nią nie dbał. To ją dobijało. Choć z drugiej strony zapewne byłoby jeszcze gorzej, gdyby się zmienił; wówczas musiałaby sobie poradzić ze świadomością, że gdyby go wtedy wybrała, mógłby, ale tylko mógłby, być tym, czego jej było trzeba. Że mogliby być razem szczęśliwi. Jednak pozostał równie samolubny, brutalny i niewrażliwy jak kiedyś. Musiała pogodzić się z tym, że całe jej życie ukształtował mężczyzna, który na nią nie zasługiwał, który nigdy by jej nie uszczęśliwił, który nawet by nie spróbował. Źle to wszystko rozegrała.

Wczoraj opowiedział jej trochę o sobie. Dwoje młodszych dzieci wysyłało mu kartki na święta i czasami na urodziny; on okazywał im troskę na podobnym poziomie, choć wspominał z uczuciem czasy, kiedy były małe i uczyły się jeździć konno albo wiązać sznurowadła i zaplatać warkocze. Zaangażował się wtedy, do pewnego stopnia; żywił uczucia do swoich dzieci, ale w ograniczonym stopniu, który nie obejmował jednak odpowiedzialności. U Eddiego Taylora takie granice zawsze były wyraźne. Z jego słów wynikało, że dwie młodsze dziewczynki były wesołe i miewały się dość dobrze. Miały matkę na tyle rozsądną, że zbudowała sobie nowe życie, kiedy rozczarowanie Eddieem Taylorem stało się niemożliwe do zaakceptowania. Wyszła ponownie za mąż. Eddie mówił, że jej mąż „był dość uczciwym facetem i dziewczynki go lubiły, chociaż podawał rękę jak baba. Zapewne na niewiele go było stać”.

Natomiast ta starsza dwójka, Dean i Zoe...

Clarze zrobiło się zimno z przerażenia, kiedy słuchała relacji Eddiego z wizyty syna. Podobno był pełen gniewu, nieustępliwy. „Zajadły”, podsumował Eddie. Clara domyśliła się, że musiał mieć trudne dzieciństwo.

– Zraniłeś go głęboko – powiedziała z wahaniem.

– No tak. Ale to było dawno – Eddie nie wstydził się nawet przyznać, że jego dzieci trafiły do domu dziecka. – Powinni byli mnie zawiadomić – stwierdził. Zamrugął dwa razy, a potem zamknął oczy.

Clara miała wobec tych dwojga dzieci ogromne poczucie winy i było jej ich żal, a to wszystko zestawiło się w paskudny ciężar w żołądku. Dziś rano nie była w stanie zjeść śniadania. Nie знаła ich, nigdy ich nie widziała, nawet na zdjęciu – Eddie nie należał do mężczyzn, którzy stawiają na biurku rodzinne fotografie – niemniej czuła się odpowiedzialna. Miała w życiu dość czasu i pieniędzy, by oddawać się dobroczynności; teraz zaczęła się martwić,

że były to zwykłe pozory. Organizowała coroczny bal w Mayfair; jej przyjaciele wydawali fortunę na nowe stroje i fryzury, a nawet przekazywali pewne sumy na cel, który przyświecał organizacji balu – pomoc głodującym dzieciom w Afryce. Regularnie organizowała też konkursy pieczenia ciast, a jej bogate, ambitne koleżanki płaciły astronomiczne sumy, żeby publicznie zaprezentować swoje umiejętności. Zebrane pieniądze wykorzystywano na zakup bielizny dla dzieci w krajach targanych wojną; ich rzeczy przepadły razem z domami, ponieważ jakiś dorosły postanowił zdetonować bombę. Zbierała fundusze energicznie i z uporem i dwukrotnie została zaproszona do Izby Lordów, gdzie jej i innym podobnym jej kobietom podziękowano za ich wysiłki. Pomyślała, że może następnym razem powinna kwestować na cel brytyjski; na schronisko dla bezdomnych dzieci albo na kampanię społeczną wspierającą rodziny zastępcze. Westchnęła, uświadomiwszy sobie, że nie mogła pomóc osobiście ani Deanowi, ani Zoe. Na to było już za późno.

– No dobrze, teraz to umieram z głodu. Będziemy musieli coś zamówić – mówi Dean.

– Mnie wystarczą herbatniki i cukierki, jeśli jeszcze ci coś zostało. Chyba mogę sobie na nie pozwolić, spaliliśmy masę kalorii – śmieję się.

Przed oczami pojawiają mi się przebłyski wspomnień z poprzedniej nocy, ogarnia mnie rozkosz i bezwstydne podniecenie.

– Chodzi ci o taniec? – pyta Dean, pochylając się i skubiąc ustami moje ucho. Kiedy to robi, czuję ciężar w podbrzuszu.

– Świetnie się bawiłam na tańcach – przyznaję ze śmiechem, choć oczywiście nie to miałam na myśli i Dean dobrze o tym wie. Kochaliśmy się już trzy razy. Trzy! Po tym pierwszym, gorączkowym i bajecznym, powtórzyliśmy wszystko od początku, delikatnie i czule. Za trzecim razem było jeszcze spokojniej, ale podejrzewam, że wynikało to głównie z biologii. Dean całował mnie i pieścił z nieudawaną czułością. Jego dotyk dodawał mi pewności siebie, rozpalał mnie i podniecał w stopniu, jakiego dotąd nie znałam. Pościel pachnie naszymi zgrzanymi ciałami, czuję oddech Deana na czole, kiedy zwijam się w kłębek pod jego ramieniem. Jest rozkosznie. Jest inaczej. Zdaję sobie sprawę, że wcześniej popełniałam błędy. Słyszę z błędnych ocen, przedwczesnych ocen, a nawet z całkowitego braku ocen, ale tym razem po prostu wiem, że jest inaczej. Nie z powodu uczuć, które Dean we mnie wzbudza, ale ze względu na uczucia, które ja wywołuję w nim. Jestem w zasadzie pewna, że w tej chwili ten podniecający, seksowny, nieosiągalny i zraniony mężczyzna świata poza mną nie widzi.

– Salsa była lepsza niż w londyńskich klubach?

– Nigdy nie byłam w takim klubie w Londynie – wyznaję.

– Ale podobno uczyłaś się salsy?

– Owszem, ale tańczyłam ją tylko w tej zakurzonej sali w ratuszu.

Dean odsuwa się lekko, żeby na mnie spojrzeć. Na jego twarzy maluje się niedowierzanie. Z trudem wytrzymuję jego spojrzenie. Nie muszę mu

niczego wyjaśniać, wiem, że on rozumie, dlaczego nie miałam okazji tańczyć gdzieś poza zajęciami.

– Jo, musisz przestać żyć na pół gwizdka – mówi cicho.

Oboje wiemy, o co mu chodzi. O życie, w którym interesuję się czymś tylko, jeśli moim zdaniem prowadzi to do znalezienia faceta, w którym wszędzie chodzę jedynie z facetami, czy będą to zatłoczone nocne kluby, czy galerie malarstwa.

– Wiem. Wiem. Spróbuję. Widzisz, że zaczęłam. – Dean nie wygląda na przekonanego, ale ja naprawdę zaczęłam żyć pełnią życia. Wsiadłam do samolotu do Chicago, a był to czyn odważny i impulsywny. No dobrze, motywy, które mi przyświecały, nie były szczególnie szlachetne, ale wynik okazał się wart zachodu. Wiem, że poświęciłam w życiu nieproporcjonalnie wiele czasu na szukanie miłości, ale w tej chwili, kiedy leżę zwinięta pod ciężkim, muskularnym ramieniem Deana, trudno mi uwierzyć, że był to taki zły pomysł.

– Ponieważ nie możesz utożsamiać swojego szczęścia z obecnością drugiej osoby – dodaje.

Zamieram. Kurczę się odrobinę, ponieważ w moich uszach brzmi to trochę jak ostrzeżenie. Słyszałam w życiu dość takich ostrzeżeń, żeby natychmiast je rozpoznać. Takie poranne dystansowanie się to bardzo, bardzo znajoma sytuacja. „Ten tydzień mam cały zajęty, nie mogę umawiać się konkretnie”, „Staram się o awans i nie wiem, czy w tej chwili stać mnie na związek” albo najgorsza sytuacja z możliwych, kiedy facet nie daje mi swojego numeru telefonu, tylko bierze mój i mówi: „Zadzwoń”. I oczywiście nie dzwoni.

Nie mam numeru Deana.

Nie poprosił nawet o mój numer. Serce mi zamiera. Ciekawe, wysłuchałam w życiu wielu porannych wymówek, ale po raz pierwszy naprawdę do mnie dotarła. Może odkrycie, że małżeństwo moich rodziców nie było usłane różami, sprawiło, że ocknęłam się i zostałam nieco większą realistką? Patrzę na Deana; uśmiecha się do mnie. To szczery uśmiech, który rozjaśnia całą jego twarz i sięga nawet oczu. To taki ostateczny test. Znikają gdzieś panika, obawy i wątpliwości. Tak, słyszę w jego głosie ostrożność i rezerwę, ale potrafię je zrozumieć. Ten mężczyzna przez całe życie trzymał się na dystans, żeby nikt nie mógł go zranić. Nie usiłuje stworzyć porannego

dystansu, ponieważ kawał z niego kutasa; robi to, ponieważ usiłuje się bronić, ponieważ się boi. Ja jednak, mimo tych prób zdystansowania się, cenię sobie sposób, w jaki się przede mną otworzył, to, że mi zaufał i że mi się zwierzył. Coś takiego musi się liczyć. Musi coś znaczyć.

Mogę przejąć kontrolę. Mogę go nauczyć ufać. Wiem, że potrafię. Mam w sobie dość optymizmu za nas dwoje. Nie chcę się za nim uganiać, zdobywać go i posiadać, jak to robiłam w przeszłości; chcę go ze sobą związać, akceptując fakt, że ma powody, by wątpić i zachowywać ostrożność. Nigdy nie spodziewał się wiele po miłości, ale potrafię to zmienić.

– Uważasz, że największym błędem twojej mamy było utożsamienie szczęścia z obecnością twojego ojca?

– Można tak to ująć – mówi i urywa. Nie próbuję wypełnić ciszy, która zalega między nami. I wkrótce zostaję nagrodzona, ponieważ Dean mówi: – Pozwoliła, żeby ta przepaść się pogłębiała, ta pomiędzy życiem, jakie prowadziła, a życiem, jakie sobie zaplanowała, aż urosła tak strasznie, że ją zniszczyła... – milknie na chwilę. – Słuchaj, chcę powiedzieć, że moim zdaniem powinniśmy być odpowiedzialni za własne szczęście i że z mojego punktu widzenia to bez sensu, że bierzesz lekcje salsy, ale nie chodzisz do klubów, chyba że cię ktoś zaprosi. Wybacz ten wykład, ale mi zależy.

Całuję go. Bez skrępowania. Lekko (ale ocierając się o niego pierściami, więc nie jest to znowu tak niewinny pocałunek). Zależy mu! Jest przerażony, ostrożny, ale mu zależy. To wystarczy. Przynajmniej chwilowo. Ja stałam się większą realistką, on usiłuje zaufać; być może spotkamy się gdzieś w połowie drogi i postaramy się, żeby nam się udało. Wyczuwam, że chce, żebym zmieniła temat. Motyla łapie się powoli, mawia mój tata. Nie mogę szarżować jak nosorożec.

– Dzięki – mówię i odsuwam się nieco. Chyba rozumiem, dlaczego Dean wygłasza mi kazanie o odpowiedzialności za własne szczęście. Moi rodzice się rozstali, mój ojciec się ujawnił, nie mam domu ani pracy i tylko jeden krok dzieli mnie od zupy dla bezdomnych, za to mam wielką kolekcję zaproszeń na cudze śluby. Zapewne powinnam się tym martwić, ale dziś rano nie mogę się opędzić od myśli, że to nie jest koniec świata, tylko okazja na zmianę. W Deanie jest coś, co sprawia, że zaczynam w to wierzyć. Że będzie lepiej. Bo jest chodzącym dowodem na to, że jesteśmy kowalami swojego losu.

– No dobrze, więc zrobmy listę – mówię pogodnie.

– Zakupów? Potrzebujemy właściwie wszystkiego: jajek, soku, bekonu...

– Nie, chodzi mi o listę rzeczy, które powinnam zrobić, nim umrę.

Dean jest wyraźnie zaskoczony, ale po chwili uśmiecha się szeroko.

– Dobry pomysł – sięga nade mną (całując mnie przy okazji) i szuka czegoś na szafce. Wśród bilonu, pojedynczych spinek do mankietów i paczki prezerwatyw znajduje długopis. – Nie mam na czym pisać. – Widzę wyraźnie, że nie chce wstawać z łóżka. Cieszę się z tego. Chcę go czuć przy sobie i podoba mi się, że on też tego chce. – Chyba że na ulotce od prezerwatyw – proponuje.

– A jest tam miejsce?

– Margines. Będę pisał małymi literami. – Oboje kładziemy się na boku, zwróceni twarzami do siebie. Między nami Dean kładzie ulotkę. Nasze stopy są nadal splecione. – No dobra, strzelaj – mówi. Patrzy na mnie wyczekująco.

Nie chcę go rozczarować, choć zapewne tak się stanie, ponieważ nic nie przychodzi mi do głowy. Co mnie cieszy? Co chcę robić ze sobą przez następne czterdzieści kilka lat? Patrzę na Deana w nadziei, że mi pomoże.

– Jakies pomysły?

– Chciałabyś się nauczyć jeździć na nartach? – kręcę przecząco głową. – A może na nartach wodnych? Albo toczyć się w tej dmuchanej przezroczystej kuli? To teraz szaf.

– Czy to musi być takie aktywne? – pytam, zaskakując tym sama siebie; po raz pierwszy w życiu nie tracę czasu na udawanie, że interesują mnie jego hobby.

– Nie, chyba nie. Skoro tego nie chcesz.

Wysilam umysł.

– Wiem! – niemal wykrzykuję. – Chciałabym spędzić w łóżku całutki dzień i jeść same niezdrowe rzeczy. Przez cały dzień.

Mina Deana wyraża sceptycyzm.

– To raczej nie jest coś do zrobienia, tylko do nierobienia – mówi. Niemniej pisze na marginesie ulotki, zaraz obok ostrzeżenia, żeby sprawdzić datę przydatności do użytku umieszczoną na opakowaniu, nim skorzysta się z prezerwatywy: „Jo – lista rzeczy do zrobienia”, a pod spodem: „1, Leżeć w łóżku przez cały dzień i jeść niezdrowe rzeczy”.

– Chciałabym spróbować węgorza w galarecie. To znaczy nie tyle bym

chciała, ile powinnam – uściślam. – Ludzie ciągle mi powtarzają, że to przysmak East Endu, a ja w końcu mieszkam w Londynie, więc...

– Świetnie, więc powinnaś spróbować.

– I chciałabym wypić wiśniowego shake’a.

– Czy wszystkie twoje ambicje będą dotyczyły jedzenia?

– Niewykluczone.

– Więc powinnaś być dokładniejsza. Może niech to będzie wizyta w sławnej lodziarni Fosselman w Alhambre, przedmieściu Los Angeles? Podają podobno niesamowite shaki.

– Skąd wiesz?

– Wiem różne rzeczy. Staram się wiedzieć. A podwójnie czekoladowy shake od Fosselmana to mój ulubiony deser. I makaroniki od Ladurée w Paryżu.

– Co? Gdzie?

– Monsieur Ladurée otworzył piekarnię na rue Royale w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku. A jego wnuk wymyślił dwuwarstwowe makaroniki: dwa kawałki jakby bezików połączone kremem. Niesamowite. – Dean cmoka, chcąc mi pokazać, jak bardzo.

– Chętnie spróbuję. Wpisz na moją listę.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. Musisz wymyślić coś własnego, Jo. Mówisz tylko to, co twoim zdaniem chcę usłyszeć. – Chmurzę się, ale wiem, że Dean ma rację. Muszę mieć własne ambicje, własne pragnienia. Takie, które nie mają nic wspólnego z jedzeniem. Po prostu muszę.

Po chwili, która moim zdaniem trwa ze dwa i pół roku, wykrzykuję podniecona:

– Wiem! Chcę być statystką w filmie. W prawdziwym filmie, takim reżyserowanym przez Scorsese albo Spielberga, albo kogoś podobnego.

– Dobrze – Dean zapisuje.

– I zasadzić drzewo.

– Jakie?

– Wiśnię.

– Gdzie?

– We własnym ogrodzie.

– Czyli chcesz mieć ogród?

– Tak. Tak, chcę. Chcę mieć własny dom.

Dean notuje.

– Wreszcie złapałaś, o co chodzi – mówi z aprobatą. Zakładam, że mówi o liście, a nie o seksie. – Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie chciałabyś mieć dom? – Dean patrzy na ulotkę, a choć naprawdę staram się nie być taka jak zawsze – czyli planować drugie dziecko, nim jeszcze zjemy razem nasze pierwsze śniadanie – nie mogę nie dostrzec, że jego pytanie ma podtekst.

– Nie jestem pewna. Gdzieś w mieście. Lubię Londyn, ale chyba mogłabym się przenieść. Do Sydney albo Nowego Jorku. Może tutaj – dodaję, i nagle ekscytuje mnie myśl o pociągach jeżdżących po mieście i wożących ludzi w jakieś fajne i ważne miejsca. Patrzę na panoramę widoczną z łóżka – sypialnia Deana ma ogromne okno – i dochodzę do wniosku, że mogłabym mieszkać w Chicago. To miasto jest pełne iskrzących się świateł i uśmiechów.

– A co ci się podoba w Chicago? – pyta Dean, odchrząkując.

On.

– Jest takie naładowane energią. Podoba mi się jezioro Michigan. Fajne musi być mieszkanie w mieście, gdzie są kilometry plaży. Poza tym wszyscy tu mówią po angielsku. Hej, to nie znaczy, że zamierzam się tu wprowadzić. Przynajmniej nie od razu. To był żart. Chcę tylko powiedzieć, że tu mogłoby mi się udać. Tobie się udało. – Rzucam spod oka spojrzenie na Deana, żeby sprawdzić, czy wpadł już w panikę, ale nie wpadł. Nie wydaje się nawet speszony. – I chciałabym wydoić krowę – dodaję. Kiwa głową i zapisuje. – Chciałabym zamieszkać w lodowym hotelu w Szwecji. Jest cały z lodu, uwierzysz? Ściany, łóżka, talerze, toalety, wszystko! Słyszałeś o nim? – Dean kiwa głową. – Mieszkałeś tam? – Dean waha się, ale postanawia być szczery, więc znów kiwa głową. Widzę, że się obawia, że podcina mi skrzydła, ale wcale tak nie jest. Po prostu jestem pod wrażeniem. – Cholera, naprawdę dużo przeżyłeś.

– Mówiłem ci. Zaczynałem późno, ale od tamtej pory nadrabiam stracony czas.

– Chciałabym galopować na koniu po plaży. To trochę naciągane,

ponieważ nie potrafię jeździć konno i nie czuję się swobodnie w pobliżu wody.

Dean śmieje się.

– W takim razie to idealny punkt.

– Może powinnam pomyśleć o pisaniu reportażu z podróży. Potrzebuję odmiany po tych wszystkich pięciowych tortach i bukietach ślubnych.

Stworzenie listy zajmuje nam niemal dwie godziny, ale ma aż czterdzieści jeden punktów, zapisanych wokół gęstego druku wyjaśniającego, jak testuje się lateks użyty w prezerwatywach. Dean chce, żebyśmy dociągnęli do pięćdziesięciu, ponieważ lubi okrągłe liczby. Nie jest pewien, czy obranie jabłka w taki sposób, żeby nie przerwać skórki, nadaje się na taką listę, ale ogólnie chyba jest zadowolony z moich ambicji. Mnie w każdym razie wprawiają w podniecenie. Już sam proces ich spisania był ekscytujący. Nie mogę się doczekać, aż zacznę realizować poszczególne punkty. Choć jedną z przyczyn, dla których układanie listy wydawało się takie zabawne, był fakt, że Dean przez cały czas całował mnie i bawił się moimi piersiami.

– A ty? – pytam. – Masz taką listę?

– Nie potrzebuję jej – składa starannie ulotkę i wręcza mi.

– Przecież nie mogłeś zrobić już wszystkiego – protestuję, chociaż pamiętam, że lubi rafting, jeździć na snowboardzie i na nartach wodnych, skakać ze spadochronem i na bungee i pływać z rekinami.

– Nie, oczywiście, że nie. Są jeszcze dwie czy trzy rzeczy, które mógłbym wpisać na taką listę, ale kiedy trafia się okazja, nigdy się nie waham. W zasadzie sam szukam okazji, więc niepotrzebna mi lista. W tej chwili na przykład mam okazję uprawiać wspaniały seks z bardzo piękną kobietą i myślę, że powinniśmy przestać gadać i zająć się jej wykorzystaniem. – Uśmiecha się szeroko, naciąga kołdrę na głowę i zsuwa się w dół mojego ciała, znacząc swoją drogę gorącymi pocałunkami. Nie mogę się z nim nie zgodzić, i wcale nie dlatego, że mam zwyczaj dopasowywać się do planów innych ludzi i postępować zgodnie z ich sugestiami; tym razem jest to po prostu naprawdę genialny pomysł.

Dean

Dean nie bardzo wiedział, jak to się stało, że cały ten dzień przypominał montaż scen z romantycznych komedii, gatunku świetnie mu znanego, ponieważ właśnie takie filmy wybierały często kobiety, z którymi spędzał czas. Postanowili z Jo od razu zacząć pracować nad jej listą. Wyraziła zainteresowanie „zrobieniem czegoś z łodziami”. Dean wyobraził sobie, że chodzi na przykład o zdobycie uprawnień sternika, wynajęcie jachtu i przepłynięcie Oceanu Indyjskiego, ale okazało się, że chciała po prostu stanąć na dziobie statku, oprzeć się o kogoś, rozłożyć ręce i zaśpiewać *My Heart Will Go On*, więc pojechali na Navy Pier i spędzili godzinę na żaglowcu „Windy”, czterdziestopięciometrowym szkunerze, replice statku handlowego. Przewodnik był uczynnym człowiekiem i pozwolił jej odśpiewać wszystkie zapamiętane strofki, a nawet zachęcał innych pasażerów, żeby się do niej przyłączyli. Obejrzeliby panoramę Chicago z jeziora i pomogli postawić żagiel, powtarzali tradycyjne komendy żeglarskie, choć Dean wątpił, czy Jo zainteresowała się historią żeglarstwa i opowieściami o odwadze z epoki wielkich żaglowców, które przedstawiał przewodnik; odnosił wrażenie, że bardziej zajęta jest rozpamiętywaniem ich krótkiej znajomości, minuta po minucie, i składaniem jej w całość.

– Wiesz, co mnie zaskoczyło? Że jesteś w stanie pogodzić bycie kobieciarzem z silną wiarą w wierność. To z powodu ojca, prawda? Może i drzwi sypialni ci się nie zamykają, ale zawsze masz tylko jedną naraz, prawda? Bo wierność nie jest dla ciebie problemem, tylko zaangażowanie – mówiła, kiedy anielsko cierpliwy przewodnik wycieczki próbował nastraszyć turystów groteskowymi historiami o statkach widmach i nawiedzonych portach. Dean był w zasadzie pewien, że większość pasażerów statku bardziej interesowało to, co mówi Jo.

– Pewnie tak. – Jeśli nawet chciała, żeby przybliżył jej szczegóły tych niezamykających się drzwi, nie wyraziła tego wprost, więc nie musiał się nad tym rozwodzić. I dobrze, ponieważ nie był jeszcze pewien, co powinien jej

powiedzieć. Dwadzieścia dziewięć lat nieufności nie rozwiewa się w jedną noc. Nie wiedział, czy jest w stanie się zmienić. Odsunął więc od siebie trudne myśli i skupił się na chwili obecnej.

Kiedy jechali wagonikiem diabelskiego młyna, machając nogami i jedząc watę cukrową, Jo nagle westchnęła:

– Ten film. W samolocie. Wzruszyłeś się, kiedy Russell Crowe szukał pomocy, nie dlatego, że ojciec tyle jest w stanie zrobić dla swoich dzieci, ale...

– ...dlatego, że wyłączyli im prąd, tak. – Miała watę cukrową we włosach; zdjął ją delikatnie, żeby jej nie pociągnąć.

Kiedy podczas lekcji minigolfa, której jej udzielił, trafił w dołek pięć razy z rzędu i odtańczył taniec zwycięzcy, uśmiechnęła się wyrozumiale. Wiedział, że ona rozumie, dlaczego musi wygrywać. Zawsze. We wszystkim. Był tym, który przeżył, był wojownikiem, zwycięzcą. Obawiał się, że kiedy opowie Jo o swoim dzieciństwie, będzie się rozczulać i mu współczuć, ale tego dnia stało się dla niego jasne, że tak nie będzie. To, co do niego czuła, bardzo się różniło od współczucia. Patrzyła na niego z podziwem, rozumiała jego siłę i determinację, akceptowała, a może nawet wybaczała jego cynizm. Jej zainteresowanie jego osobą, choć silne, wcale nie było irytujące; dzięki niemu czuł się fascynujący, chciany. Oczywiście i wcześniej kobiety próbowały go analizować, zadrapać jego gładką zbroję, ale tylko łamały sobie paznokcie i serca; żadnej się to nie udało. Nie miały szans, ponieważ żadnej nie dał klucza do tej zagadki. Nieszczęśliwe dzieciństwo było jego tajemnicą, jego i Zoe. Aż do wczoraj. Pozwolił Jo zobaczyć, co się kryje za fasadą bogatego, seksownego mężczyzny, pozwolił jej się zbliżyć do ciemnych głębin, a ona się nie zniechęciła. Deana zaskoczyło nie tylko to, że bierze udział w scenkach rodem z romantycznych komedii, w rodzaju rejsu statkiem, diabelskiego młyna i waty cukrowej, o kursie golfa nie wspominając, ale również odkrycie, że mu się to podoba. Że lubi być tam z Jo.

Była zabawna; jej naiwność zniknęła, zastąpiona dużo mniej irytującym dziecięcym entuzjazmem, który – musiał to przyznać – był uroczy. Widziała świat w tak jasnych barwach, że człowiek po prostu musiał się rozchmurzyć w jej towarzystwie i postawić pod znakiem zapytania własne poglądy, że świat zamieszkują wyłącznie samolubne dranie i że głupotą jest ufać komukolwiek. Była bezwzględnie uczciwa; kiedy, co było nieuniknione,

rozmawiali o swoich przygodach seksualnych, szczerze opowiedziała mu zdarzenia, które świadczyły o tym, jak bardzo jest zdesperowana i oszukuje samą siebie, ale zrobiła to w sposób ujmujący. Niemal uroczy. Poza tym była inteligentna. Dużo inteligentniejsza niż to okazywała. Miała za sobą solidne klasyczne wykształcenie, więc była nie tylko odczytana, ale też interesująca. Zawsze uważał, że te dobrze wychowane i tryskające energią panny z prywatnych szkół są, mówiąc wprost, głupie; potrafiły serwować w deblu i rozpoznawać gatunki sera, ale niewiele więcej. Natomiast Jo wiedziała wiele o amerykańskiej wojnie o niepodległość, a kiedy wspomniała o Tissocie, miała na myśli francuskiego malarza, a nie markę zegarków. Dean pomyślał, że z taką kobietą interesująca mogłaby być wizyta w muzeum, chociaż zwykle nie należała do jego ulubionych rozrywek. Najbardziej podobało mu się to, że nie traciła czasu i energii na gierki. Jakby była fizycznie niezdolna do odgrywania nieprzystępnej. Widać było, że ma ochotę się na niego rzucić, ponieważ zupełnie tego nie ukrywała. Kiedy poszli do IMAX-u, obawiał się przez chwilę, że wpadnie za nim do męskiej toalety, ale ostatecznie postanowiła zostać na zewnątrz; rzuciła mu się za to na szyję, kiedy stamtąd wyszedł.

– Chodźmy do domu, żeby się kochać – zaproponowała. Jakim cudem ta kobieta zdołała tak długo zostać singielką? Dean nie mógł tego pojąć.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że w którymś momencie będziemy musieli zacząć robić zwykłe rzeczy?

– Na przykład?

– Na przykład muszę się rozpakować, włączyć pranie, zrobić zakupy.

– Naprawdę?

– Nie, nie naprawdę. Twoja propozycja bardziej mi się podoba. – Był tylko człowiekiem.

Dean uważał, że seks z Jo jest świetny. Naprawdę wyjątkowo dobry. Owszem, wcześniej miewał kobiety lepiej wysportowane, bardziej zadbane i mniej przyzwoite, ale sypiał również z kobietami o rozmiękłych ciałach i uprawiał bardzo zwyczajny, niezbyt ekscytujący seks. Rzecz w tym, że uprawiał dużo seksu, z dużą ilością kobiet i był w zasadzie pewien, że zna już wszystkie sztuczki, tymczasem seks z Jo go zaskoczył. Był (choć z trudem przyznawał się do tego nawet sam przed sobą) inny. Był czymś więcej. Czymś więcej niż po prostu seks. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu, choć

nie wiedział tego na pewno, kochał się z kobietą. Zawsze uważał, że to wyrażenie to zwykły eufemizm – że małżeństwa próbują w ten sposób udawać, iż przeżywają coś wyjątkowego, a stare panny w średnim wieku stosują go, by nie nazywać rzeczy po imieniu – ale teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił. To coś z Jo łączyło się z uczuciem. Więc była to miłość.

Dean nie powiedział, że jest zakochany. Nie, nie powiedział tego, ponieważ choć potrafił wyskoczyć z małego samolotu z wysokości tysiąca pięciuset metrów, mając za całe zabezpieczenie cienki okrągły kawałek nylonu, albo skakać w wodospad jedynie z linką asekuracyjną przywiązaną do nogi, to wszystko ani się umywało do przejścia od samotnika do partnera, do zakochania się.

A jednak.

A jednak nie potrafił myśleć o niczym prócz ust Jo. Póki nie zdjęła ubrania. Potem myślał już tylko o jej ciele. Było ładne: pełne, zapraszające piersi, tak jak sobie wyobrażał w samolocie, nieco zaokrąglony brzuch i uda, ale to wiedział, jeszcze nim się rozebrała. Podobała mu się jej figura. Była niezwykle kobieca. No i miała odrobinę cellulitu, ale wiedział, że nigdy jej tego nie powie. Nawet jeśli go zapyta wprost, skłamię, że jest gładka jak brzoskwinia. Nigdy nie przypuszczał, że żebra i łokcie mogą być takie atrakcyjne.

Kiedy skończyli się kochać, opowiedział jej o sobie jeszcze więcej. Zupełnie tak, jakby raz wyciągnął palec z tamy, nie mógł już powstrzymać powodzi; zresztą nawet nie próbował. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, zamiast po prostu podziwiać z oddali, bliski związek Zoe z mężem. To była ulga dla kogoś takiego jak on. Przez całe życie zaprzeczał koszmarom, ale teraz wywabiał potwory z cienia. Czerpał perwersyjną radość, widząc szok na twarzy Jo. Czuł, że dowiódł swej słuszności. To, co mu się przytrafiło, było okropne i złe, z tym Jo się zgadzała. Nie przesadzał, nie rozwodził się. Lubił też słuchać jej opowieści, tych radosnych, a choć zdawał sobie sprawę, że opowiadając mu je, ocenia je na nowo w świetle tego, czego dowiedziała się o rodzicach, widział, że nadal ceni sobie swoje szczęśliwe dzieciństwo. To on pomógł jej zachować te wspomnienia w stanie nienaruszonym i był z tego dumny.

– Opowiesz mi o odwiedzinach u ojca? Jak to się odbyło? – spytała. Leżała na boku, zwinięta pod jego pachą. Dean niemal słyszał, jak obracają się

trybiki w jej mózgu. Westchnął i odwrócił się twarzą do niej.

– Żle. Myślałem, że to on się ze mną skontaktował, żeby mi coś wyjaśnić, a może nawet – wiem, że to idiotyczne – jakoś to wszystko usprawiedliwić, ale okazało się, że nie potrafił. I że wcale mnie tam nie chciał, nawet na sam koniec. – Włożył rękę pod kołdrę i położył na jej pośladku. Był miękki i ciepły; w ciągu ostatniej doby Dean uzależnił się od głaskania go. Trudno mu było mówić o obojętności ojca, nawet jej. To go nadal bolało, niszczyło. Westchnął głęboko. – Nie tak wyobrażałem sobie umierającego człowieka. Spodziewałem się spokoju, rezygnacji. Jakichś odpowiedzi. Chciałem wrzasnąć na niego: „To ja mam prawo być wściekły, nie ty”. Widzisz, chciałem mu wydrukować zdjęcie dzieci Zoe, żeby mógł je sobie postawić przy łóżku. W końcu to jego wnuki. Ale on nie chciał. – Spojrzał na Jo, na jego twarzy rozlała się wściekłość.

Jo zastanawiała się przez chwilę.

– A ile to by zajęło?

– Co?

– Wydrukowanie zdjęcia. Może to była kwestia czasu, a nie obojętności. Musiałbyś wyjść ze szpitala, żeby je wydrukować. Może nie chciał tracić więcej czasu, nie chciał pozwolić ci odejść.

Dean zastanowił się nad jej słowami. Nie mógł tego wykluczyć, choć wydawało mu się mało prawdopodobne. Niemniej było możliwe. Uśmiechnął się do niej.

– Myślisz, że potrafisz mnie nauczyć tej swojej sztuczki?

– Jakiej sztuczki?

– Dostrzegania w ludziach tego, co w nich najlepsze?

– Mogę spróbować.

Dean wchłonął jej słowa. Przedtem nie dopuszczał nawet takiej możliwości, że mógłby wierzyć w lepsze, przyjemniejsze scenariusze. Czy to w ogóle było możliwe?

– Ale dowiedziałem się jednej ważnej rzeczy.

– Jakiej?

– Że mam jeszcze dwie siostry.

– Naprawdę? – Dean docenił jej powściągliwość, że nie zaczęła się rozwodzić, jakie to cudowne. Choć sama była zwolenniczką dużych rodzin, miała dość wrażliwości, by zrozumieć, że to dla niego niekoniecznie dobra

wiadomość.

– Skontaktujesz się z nimi?

– Może. Chociaż nie wiem, czy mamy ze sobą coś wspólnego. – Nie chciał dać sobie nadziei. – To dzieciaki. Jedna jeszcze studiuje, druga niedawno skończyła dwadzieścia lat.

– Ile lat ma twój ojciec?

– Nie wiem dokładnie. Mniej niż sześćdziesiąt.

– Więc nie jest stary. Pewnie nie jest gotowy odejść.

– Też tak sędzę. Na pewno chce zostać. Co za ironia. – Dean wciąż nie mógł się z tego wszystkiego otrząsnąć. – Zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie. Przecież niczego nie da się zmienić. Nawet gdyby mi wyjaśnił, dlaczego odszedł, nie oddałoby mi to normalnego, stabilnego domu. Nie sprawiłoby, żebym się stał innym człowiekiem.

Jo sapnęła.

– I dzięki Bogu. Nie chciałabym, żebyś był inny.

Czyli to jest w porządku.

– Ten wyjazd to był stracony czas.

– Nieprawda, miał swój cel.

Dean dobrze odczytał jej spojrzenie.

– Nasze spotkanie?

– Właśnie. To było zrządzenie losu i nie mów mi, że nie wierzysz w przeznaczenie.

– Nie zamierzam. – Pocałował ją. Nie wierzył w przeznaczenie, ale zawsze cenił sobie okazje. Poczł ulgę, że nie próbowała go pocieszać, że nie próbowała go przekonywać o miłości ojca. Nie uważała, że wie więcej o całej sytuacji niż on sam. Po prostu słuchała, w milczeniu i uważnie. Zakończył tę dyskusję, ale tylko dlatego, że chciał ją znów pocałować. I jeszcze raz. I jeszcze.

Kiedy przesuwiał ręką po jej talii, biodrze i udach, zaczął się zastanawiać, czy mógłby zrobić ten krok. Znał siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby kiedykolwiek spisał swoją listę rzeczy do zrobienia, takich, które zmusiłyby go do opuszczenia strefy komfortu i konfrontacji ze swoimi lękami, zapisałby tylko dwa punkty:

1. Powiedzieć komuś o mojej matce.

2. Zakochać się.

Jedynie dwie rzeczy, których nigdy nie próbował.

Przyglądał się, jak Jo niechętnie wstaje z łóżka i szuka jakiegoś ubrania, żeby iść do kuchni po coś do picia. Znalazła jego stare spodnie od dresu i rozciągnięty podkoszulek; jej seksowna czerwona sukienka, zrzucona w pośpiechu, leżała zgnieciona koło łóżka. Prócz światła w przedpokoju i blasku wpadającego przez okno panowała ciemność. Dean stracił poczucie czasu, ale rzut oka na budzik przy łóżku poinformował go, że jest prawie północ. Dzień minął niczym podmuch wietrzyka, pełen śmiechu i rozmów. Przez kilka minut cieszył się tym wspomnieniem, póki Jo nie wróciła do sypialni z dwoma kubkami.

– W czeluściach szafki znalazłam kilka torebek herbaty, ale zużyliśmy całe mleko, więc musimy wypić czarną – podała mu kubek. – Ostrożnie, gorąca. Nie poparz sobie języka, bo będziesz miał bąble, a tego byśmy nie chcieli – jej uśmiech był równocześnie pełen troski i figlarny. To było urocze połączenie; oboje wiedzieli, czego oczekuje od jego języka. Przysiadła na brzegu łóżka. Dean poznał ją już na tyle, by wiedzieć, że chce mu coś powiedzieć, ale szuka odpowiednich słów. – Wiesz, że jutro wieczorem mam lot do domu.

– Wiem.

– Wreszcie będziesz miał czas zrobić zakupy.

Dean nie wiedział, co odpowiedzieć. W gruncie rzeczy w ogóle nie zastanawiał się nad jutrzejszym dniem ani nad następnym i jeszcze następnym; nie miał takiego zwyczaju. Nagle dotarło do niego, że to się będzie musiało zmienić. Jeśli zamierzał zbudować związek z Jo, nie uniknie planowania, ponieważ mieszkała na innym kontynencie. Był właściwie pewien, że chce się z nią związać. I wiedział, że ona też tego chce; nie był szczególnie próżny, ale kobiety zawsze chciały się z nim związać, a Jo nie ukrywała swego entuzjazmu, jeśli chodzi o związki w ogóle, a z nim w szczególności. Oczywiście nie będzie to łatwe. Musi poczytać więcej o tym jak mu tam... Skype, bo inaczej zrujnują go rachunki za telefon. Zastanawiał się, czy ma zaplanowane w najbliższym czasie jakieś podróże do Europy. Nie miało to większego znaczenia; stać go było na kilka podróży, a poza tym miał wylatane tysiące mil, które mógł teraz wykorzystać. To tak na początek. Miał niejasne wrażenie, że powinni porozmawiać o logistyce, o przyszłości.

– Zastanawiałem się, czy... – odkaszlnął, nagle nie wiedząc, jak to powiedzieć. – Czy moglibyśmy się wymienić numerami telefonów – dokończył niezręcznie. Spojrzał na Jo, zastanawiając się, czy nie uzna tej propozycji za afront. To dziwne, że nagle poczuł się tak onieśmielony przez kobietę.

– Zdecydowanie. Właściwie to już dodałam swój numer do książki telefonicznej w twojej komórce, tylko widzisz, ten telefon nie należy do mnie, tylko do redakcji i zapewne wkrótce się zorientują, że go mam i zażądam zwrotu. Muszę też założyć nowe konto mailowe. A ponieważ ludzie zawsze gubią numery telefonów, wpisałam ci numer do mojej siostry do tego notesu przy lodówce. No i wiesz, hm, jej adres, na wypadek gdybyś chciał napisać w tradycyjny sposób albo wysłać kwiaty – uśmiechnęła się z zażenowaniem. – Zostawiłam ci też numer do moich rodziców i ich adres, chociaż Bóg jeden wie, które z nich teraz tam mieszka. Chcę, żebyś mógł się ze mną skontaktować, a tak łatwo stracić kontakt, jeśli się nie ma stałego adresu.

Dean zaczął się śmiać. Jego śmiech odbił się od ściany i wrócił echem przez pokój. Naprawdę kochał tę kobietę. Kto inny odśloniłby się w taki sposób? Otwierała się przed nim na oścież, stawała przed nim naga emocjonalnie, co było dużo śmielsze niż nagość fizyczna. Zdawała się na jego łaskę i niełaskę, a robiła to, ponieważ mu ufała. Jo też się zaśmiała, a ten jej uśmiech przebił się przez rumieniec; zarumieniła się, ponieważ też zadała sobie pytanie, która kobieta obnażyłaby się w ten sposób przed mężczyzną. Dean doszedł do wniosku, że nawet jeśli utrzymanie kontaktu będzie koszmarem logistycznym, jest tego warta. Pocałował ją znowu, głęboko i namiętnie.

– Więc co będziemy jutro robić? – spytał.

– Nie musisz iść do pracy? To będzie poniedziałek.

– Zadzwoń i powiem, że jestem chory.

– Nie będziesz miał kłopotów? A jak ktoś się dowie?

– No to wezmę urlop.

– Zużyjesz urlop, żeby kupować pamiątki z nową dziewczyną?

– Więc jesteś moją dziewczyną?

Jo zawahała się.

– No, raczej potencjalną nową dziewczyną.

– Potencjalną nową dziewczyną – powtórzył. – Skąd ty bierzesz te wyrażenia?

– Wiesz, że czasami jesteś niemożliwy? To jak byś mnie nazwał?

– W zasadzie odpowiada mi określenie dziewczyna – stwierdził.

– Trochę się martwię tym kupowaniem pamiątek. – Jo uśmiechnęła się szeroko. Zdjęła koszulkę i spodnie od dresu i wsunęła się pod kołdrę. Dean uświadomił sobie, że musiała się uzbroić w herbatę i ubranie, żeby odbyć tę rozmowę. Teraz wyraźnie się odprężyła i przytuliła ufnie do niego. Leżeli w milczeniu przez kilka minut, a on gładził ją lekko po włosach. Były jedwabiste, miłe w dotyku.

– Wiesz, o czym właśnie myślałam? – spytała.

– O czym?

– O twojej mamie.

– Och.

– No wiesz, twój związek z ojcem znalazł się w zasadzie w martwym punkcie...

– I to dosłownie.

– Och, przepraszam – Jo zrobiła taką minę, jakby nie wiedziała, czy się śmiać czy płakać z powodu własnego nietaktu. – Ale co z mamą? – dodała po chwili.

– Już za późno na układanie sobie stosunków z matką.

– Nie mów tak. Opowiedz mi coś o niej.

Odwróciła do niego zaróżowioną od słońca – czy raczej od wiatru – twarz. Była taka pełna życia, tryskająca zdrowiem. Miała w sobie świetlistość, jakiej wcześniej u niej nie dostrzegął. Eksperymentowała z życiem, a przecież nie było niczego lepszego, Dean dobrze o tym wiedział. Uznał, że on też powinien skoczyć na głowę w nieznaną, tak jak ona. Ciemny, ciepły i pachnący seksem pokój otaczał go jak kokon, a jej blask oświetlał mu drogę.

– Kiedyś była bardzo piękną kobietą, przynajmniej z zewnątrz. Musiała być atrakcyjna, żeby złapać Eddiego Taylora, który, jeśli wierzyć jej opowieściom, był wtedy wart grzechu. Nie pamiętam, byłem za mały, żeby pamiętać, czy bił z niej też wewnętrzny blask. Sądzę, że mogło tak kiedyś być, ale tak naprawdę nie wiem. Ojciec zgasił wszelkie jej piękno. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, wszyscy wpadliśmy w otchłań bez dna. Ale

możliwe też, że moi rodzice byli siebie warci, że dobrali się jak w korcu maku. Sam nie wiem, co byłoby gorsze.

– Nie rozumiem, dlaczego nie dostaliście żadnego wsparcia? Dlaczego nikt nie interweniował? Nie mieliście krewnych? Kogoś, kto by was przyjął albo przynajmniej pomógł, nim zrobiło się tak źle?

– Moja matka była jedynaczką, a rodziców straciła wkrótce po poślubieniu Eddiego. Chyba rozumiem, jak musiało być jej ciężko, kiedy Eddie odszedł. Czuła się odizolowana. Picie niosło pociechę i było substytutem towarzystwa. Przez jakiś czas zjawiała się cioteczna babcia. Nie wiem, co się z nią stało. Może umarła, a może mama ją przepędziła, po prostu nie wiem. Robiła tak z wieloma osobami.

– A rodzice ojca?

– Oni też nas skreślili. Nie wiem dlaczego. Może się wstydzili zachowania syna, a może go popierali i nie znosili mojej matki. A może po prostu uznali, że dwoje małych dzieci to za duży kłopot. Całe nasze stosunki sprowadzały się do dwóch paczek rocznie, na Boże Narodzenie i na urodziny. Póki nie trafiliśmy do domu dziecka. Przyjechali do nas tego pierwszego wieczoru. Musieli – opieka społeczna ich wezwwała – ale nie pamiętam, żeby odwiedzili nas kiedyś później.

– Czyli twoja mama nie otrzymała wiele pomocy.

– To prawda. Eddie musiał wiedzieć, że zostanie zupełnie sama, kiedy nas opuszczał dla tej bogatej dziwki, która jak się okazało, tak kochała męża i tak była związana z rodziną, że go nie chciała – Dean nie potrafił ukryć gorczy.

– Kiedy ostatni raz widziałeś mamę?

– Wiele lat temu, Jo.

– Kiedy?

– Jak miałem czternaście lat.

– Och, Dean. Powinieneś do niej zadzwonić – Jo była wyraźnie poruszona. Promieniała nową miłością i po prostu nie wierzyła, żeby jakiejś przeszkody nie dało się pokonać, że jest ból, którego nie da się wybaczyć i rany, których nie da się zbliżnić.

– Nie mogę – odrzekł Dean głosem bez wyrazu.

– Oczywiście, że możesz. Nie upieraj się. Na pewno się ucieszy, jak do niej zadzwonisz.

– Nie.

– Po prostu podnieś słuchawkę – Jo sięgnęła po telefon i podała mu go. Wprawdzie mało było prawdopodobne, żeby znał na pamięć numer do matki, ale była zbyt podekscytowana, żeby się nad tym zastanawiać. – Wszystko da się naprawić. Pomyśl o ostatniej wizycie u niej. Czy było aż tak źle?

– Pamiętam ją doskonale.

Z potworną jasnością przypomniał sobie wnętrze małej czerwonej toyoty, którą prowadziła pracownica socjalna. Samochód był stary, ale czysty; pachniał sosnowym odświeżaczem powietrza, a w schowku zawsze leżała miętowa guma do żucia. Opiekunka ich nią częstowała. Zoe brała gumę, ale Dean odmawiał. Nie chciał niczego od opieki społecznej, nawet cholernej gummy do żucia i nie chciał, żeby opiekunka sądziła, że poczuł się odrobinę lepiej. Jakby guma mogła coś zmienić. Kiedy jeździli na rzadkie wizyty u matki, zawsze odbywane w obecności pracowników socjalnych, przez całą drogę trzymał rękę na klamce, a gdy tylko samochód zaczynał zwalniać przed małym mieszkaniem socjalnym, gdzie mieszkała, pospiesznie otwierał drzwi i wyskakiwał. Zrobił dokładnie tak samo przy ostatniej wizycie.

Jego matka przeprowadziła się wtedy do Epping, do obskurnego mieszkania bez wyrazu. Przepiła ich dom w Clapham, a także wszystko co w nim było. Miała szczęście: do nowego mieszkania należała mała, zapuszczona przestrzeń, której nikt nie śmiał nazwać ogrodem. Dostała to mieszkanie dlatego, że miała dzieci. Chodziło o to, żeby uprzyjemnić ich wizyty. Dean pamiętał swoje przekonanie, że trzeba czegoś więcej niż kilku krzaków i kawałka wyłysiałego trawnika, żeby te wizyty stały się znośne. Za tym ostatnim razem zauważył, że „ogród” został wybetonowany; najwyraźniej rada miasta poddała się i przestała wierzyć, że on czy Zoe odniosą korzyści ze świeżego powietrza. Zauważył też, że chwasty zdążyły już wyrosnąć w szczelinach w betonie i podziwiał ich wytrzymałość. Nad wejściem do mieszkania znajdowało się coś w rodzaju daszka, dzieło poprzedniego lokatora. Dach z plastiku, który pożółkł ze starości. Stały pod nim jakieś śmieci, sięgające do pasa wieże z kartonów i tanich pism. Pamiętał również, że o ścianę opierały się połamane plastikowe sanki. Ciekawiło go, do kogo należą; na pewno nie należały do niego. Zauważył też

pogięty wózek na zakupy i ucieszył się, że matka przynajmniej coś je, ale potem uświadomił sobie, że równie dobrze może w nim przywozić wódkę. W ogrodzie stał szkielet choinki, choć był już maj. Zapewne należała do któregoś z sąsiadów, bo matka od lat nie obchodziła Bożego Narodzenia. Pobiegł ścieżką, nim Zoe zdążyła choć odpiąć pas. Opiekunka sądziła, że to dlatego, że tak bardzo chce zobaczyć matkę. Nie podejrzewała, że chce po prostu sprawdzić, w jakim stanie jest i ona, i mieszkanie, nim przyjdzie Zoe. Zwykle wystarczał mu ułamek sekundy, żeby rozpoznać, czy Diane jest pijana czy trzeźwa, czy mieszkanie jest tylko brudne, czy też panuje w nim prawdziwy chlew. Nienawidził tej chwili, kiedy otwierał drzwi. Matka nie należała do osób towarzyskich. Zdradzał to jej porozciągnany sweter, brak makijażu i wyraźne skrepowanie w obecności ludzi. W mieszkaniu zawsze panował zaduch, czuć było potem i dymem papierosowym.

– Ona nie żyje, Jo.

Milczenie. Co odpowiedzieć na coś takiego?

– Zabiła się. Koktajl z tabletek nasennych, wódki i własnych wymiocin. Zastanawiali się, czy to było samobójstwo, czy wypadek, ale tak naprawdę to bez znaczenia, prawda? To ja ją znalazłem, podczas tej ostatniej wizyty.

Często zapominała zamknąć drzwi na klucz, kiedy była zbyt pijana, żeby sobie zawracać głowę podobnymi szczegółami. Zresztą była tak biedna, że nie było jej czego ukraść. Dean otworzył drzwi z rozmachem, na jaki stać tylko czternastolatka. Uderzyły w jej głowę, ponieważ leżała na podłodze. Natychmiast wyczuł odór wymiocin i śmierci.

– Nie – Jo sięgnęła po jego rękę i przycisnęła do ust. Delikatnie całowała jego palce, kiedy walczył ze wspomnieniami. Pamiętał, jak próbował zasłonić Zoe widok swoim ciałem, ale był za chudy i nie miał dość szerokich ramion.

– Początkowo prawie za nią tęskniłem, choć była słaba i żałosna. Prawie – Dean wyglądał, jakby się wstydził, wyznając aż tyle. – Potem pojawił się gniew, ale w końcu przestałem ją winić za wszystko. Już nie budziła we mnie nienawiści. Zrozumiałem, że była po prostu bezradna i niesamodzielną. Bardziej winiłem ojca. Gardziłem nim. Ale on teraz też umiera.

– Czyli to już koniec – stwierdziła Jo. Czy był teraz wolny i mógł kochać, ponieważ nie musiał już nienawidzić?

– Nie, niezupełnie. Ojciec opowiedział mi o tej zamożnej suce, dla której nas opuścił i wtedy to ona stała się nowym czarnym charakterem w tej

opowieści. Okazuje się, że nawet jako dorosły facet noszę w sobie tę wściekłość. Odkąd mój ojciec wspomniał o tej kobiecie, nie mogę opanować nienawiści. Nienawidzę kogoś, kogo nigdy nie widziałem nawet na oczy, wyobrazasz sobie? Kogoś, o czym istnieniu do zeszłego tygodnia nie miałem pojęcia. To idiotyczne. To... – urwał; nie potrafił powiedzieć „to niesprawiedliwe” w taki sposób, żeby nie zabrzmiało dziecinnie. Pozwolił, by Jo powoli całowała jego ramię, szyję i podbródek, usiłując odciąć się od wspomnienia histerycznych krzyków Zoe, kiedy wziął ją na ręce i zabrał sprzed domu; wierzgała i płakała, i biła go, chociaż tak naprawdę nie chodziło jej o niego, tylko o to bezsensowne okrucieństwo. Pozwolił Jo delikatnie, czule, całować swoją pierś, brzuch i członek. Pozwolił jej wspiąć się na siebie, usiłując usunąć sprzed oczu wspomnienie muchy, która usiadła na zimnych, niebieskich, pokrytych wymiocinami wargach matki.

I pozwolił, żeby zobaczyła jego łzy.

Kiedy skończyli się kochać, leżeli zmęczeni na wznak, wpatrując się w sufit i trzymając za ręce, zbyt spoceni, by się do siebie przytulać. Dean miał powieki jak z ołowiu i zaczął odpływać w głęboki sen. Wyczerpały go wspomnienia i uczucia, ale w pewnym sensie czuł się lżejszy, bezpieczniejszy, bardziej wolny niż przedtem.

Jo nie była śpiąca. W głowie tłoczyły jej się myśli. Im więcej słyszała o dzieciństwie Deana, tym większy czuła dla niego podziw i szacunek i tym bardziej była wdzięczna za własne szczęśliwe dzieciństwo. Oczywiście nadal czuła się zaszokowana i zagubiona zmianą relacji rodziców, ale zdawała sobie sprawę, że rozpad ich związku ani się umywa do koszmaru, jaki przeżył Dean, i że nie ma nic wspólnego z tym, co zaczęła z nim tworzyć. Docierało do niej powoli, że przeszłość się nie liczy; liczyło się to, co będzie dalej.

Przypomniała sobie coś, co powiedział jej w samolocie.

– Wszystkie twoje ulubione książki są o osieroconych chłopcach, którym się udało – wymruczała w ciemność. – Kim Kiplinga, Pip z *Wielkich nadziei*, Harry Potter...

– To prawda.

Słyszała, jaki jest senny.

– Wiesz co? Myślę, że od początku miałam rację.

– Hmm.

– Myślę, że chodzi właśnie o te dramatyczne chwile, o przyspieszony puls, o rezygnację z rozsądku. Myślałam, że miłość jest taka jak w poezji, piosenkach i filmach i ona właśnie taka jest. A nawet bardziej – wyszeptała w ciemność. – Wiesz co, Dean? Myślę, że zaczynam cię kochać. W zasadzie jestem tego pewna. Kocham cię, Deanie Taylorze.

Czekała na jego reakcję, ale odpowiedziała jej cisza. Chwilę później zaczął pochrapywać. Jo nie wiedziała, czy ją usłyszał i wołał nie odpowiadać, czy po prostu już spał, kiedy to powiedziała. Nie miało to większego znaczenia; będzie miała jeszcze wiele okazji, żeby mu to powiedzieć, ponieważ ich związek był dobry, szczery i uczciwy. I miał przed sobą przyszłość.

Eddie

Umieranie okazało się bardziej interesujące, niż się spodziewałem. Oczywiście ból był do chrzantu; kiedy udaje mi się opanować jeden rodzaj, pojawia się inny. Ale nie w tej chwili. W tej chwili jest dobrze. Te nowe środki, które mi podają, to strzał z grubej rury. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu. To już prawie koniec.

Przynajmniej mam jakąś rozrywkę. Mam wspomnienia, które dotrzymują mi towarzystwa. I prawdziwych ludzi. Syna. Nie był taki zły. I Clare. Taką cierpliwą. Pamiętała o mnie. Okazało się, że nadal coś dla niej znacę. Zawsze znacylem. To pociecha. Miło o tym myśleć. Przychodzi tu od wielu dni, przynajmniej takie mam wrażenie. Milcząca, elegancka. Mówi zawsze przyciszonym głosem. Choć już nie mogę odpowiadać. Pytała, czy pamiętam ten weekend w Manchesterze. Ten nasz jedyny wspólny wyjazd. Oczywiście, że pamiętam. Pamiętam wszystko. Pociąg w piątek po południu, pełen głośnych ludzi, którzy pracują w Londynie, ale wracają na weekend na północ, do rodzin i chcą się upić, nim oddadzą żonie pensję. Wypiliśmy z nimi, z butelki ukrytej w papierowej torbie, choć oczywiście nikt by się tym nie dał zwieść. Na stacji były tłumy. Poszliśmy na piechotę do hotelu, a na chodniku tańczyło słońce. Niosłem jej torbę. Potem wypiliśmy koktajle przed kolacją: mocne, nowe. Przynajmniej dla niej. Znała się na koktajlach, na winach, na francuskim menu i nazwach tych mięs na zimno, które serwowali na śniadanie. Żartowałem, że z niej taka wykwinna laska. Miała to w sobie. Klasę. To mi się podobało. Tego chciałem. Jechałem do Manchesteru do pracy, musiałem zebrać informacje do tego, co właśnie pisałem; powiedziała mężowi, że jedzie na wyprawę na zakupy z przyjaciółkami. Pisałem wtedy dokument o kryzysie, który dotknął przemysł północno-zachodniej Anglii. To była paskudna sprawa. Ze śródmieścia znikaly rzesze mieszkańców, szalało bezrobocie. Wszędzie zaniedbane domy. Przemysłowa pustynia, fabryki porzucone jak stare żony. Pełno rąk bez pracy. Nie rozmawialiśmy o tym, ale sądzę, że wołałaby Paryż.

Powiedziała, że nie chce, żeby to był po prostu pokój z łóżkiem, więc zarezerwowałem nam apartament w Palace. Na koszt firmy. I stolik w... och, nie pamiętam nazwy. Włoska knajpa. Autentyczna. Porządna. Szybko się upiliśmy, nie dokończyliśmy posiłku. Upoiła nas świadomość, że jesteśmy sami, że nie musimy przez cały czas oglądać się przez ramię, że nie musimy sprawdzać, która godzina. Nie mogliśmy się doczekać powrotu do hotelu, więc wziąłem ją w jakimś zaułku. Wtedy nie było wszędzie kamer. Te kamery monitoringu mogą zrujnować facetowi życie, naprawdę. Cieszę się, że byłem młody wtedy, a nie teraz. W końcu nie był to nawet cały weekend. Tylko jedna noc. Za bardzo tęskniła za dziećmi. I czuła się winna. W sobotę rano zrobiła się humorzasta. Zjedliśmy razem śniadanie, ale narzekała, że kawa jest za słaba. Uparła się, żebyśmy wrócili wcześniej do Londynu. Powinienem był wiedzieć już wtedy.

Mimo to cieszę się, że tu przyszła, że rzuciła mnie z powrotem w tę pogniecioną rozrzuconą pościel, zamiast pozwolić mi uschnąć w szpitalnym łóżku.

Poniedziałek, 25 kwietnia 2005 roku

Clara

Clara wiedziała, że musi zadzwonić do Joanny. Rozmawiała już z pozostałymi dziećmi, a ich reakcja na wieść, że opuściła ojca, była mniej więcej taka, jakiej się spodziewała: byli równocześnie przerażeni i zranieni. Lisa popierała Tima, to dawało się wyczuć. Uważała, że Clara cierpi na załamanie nerwowe. Mówiła coś o silnym stresie, ale potem dodała, że nie ma pojęcia, czym Clara mogłaby się stresować. Ledwie zwróciła uwagę na informację, że Tim jest gejem. Clara nie potrafiła określić, czy córka już dawno się tego domyśliła i odpowiadała jej atmosfera tajemnicy, czy po prostu nie dopuszczała do siebie tej niewygodnej prawdy. Nie mogła jej za to winić, jeśli właśnie tak było; w końcu czyż sama nie robiła tego od lat? Lisa pytała raz za razem: „Ale poradzisz sobie?”, a potem wyjaśniła, że ponieważ ma troje dzieci, wymagającą pracę i młodszą siostrę, która śpi u niej na kanapie, nie bardzo może zaoferować jej pomoc. Clara uznała, że to bardzo szczerze i trochę samolubne z jej strony. Lisa należała do osób, które zawsze oceniają sytuację z praktycznego punktu widzenia. Mark okazał jej jeszcze mniej zrozumienia: wyraźnie uznał całą sytuację za bardzo krępującą i powiedział wprost, że chce przywrócenia *status quo* tak szybko, jak to tylko możliwe. Pocieszał sam siebie, powtarzając Clarze raz za razem, że wkrótce na pewno zmieni zdanie i wróci do domu, oszczędzając ojcu i całej rodzinie „masy niepotrzebnych problemów”. Clara nie zgodziła się z nim – odejście wymagało od niej tak wielkiego wysiłku, że nie sądziła, by stać ją było na powrót – ale nie zaprzeczała. Mimo braku poparcia ze strony dzieci, rozumiała ich reakcje: byli sfrustrowani i przestraszeni. Oboje kochali rodziców i oczywiście chcieli, żeby byli szczęśliwi, ale wychowała ich w taki sposób, by czuli, że mają prawo do własnego szczęścia. Czy nie to chciała osiągnąć? Zdawała sobie sprawę, że jej decyzja jest dla nich bardzo niewygodna. Przyszło jej do głowy, że kiedy byli mali, powinna była większy nacisk kłaść na obowiązki niż na uczucia.

Czego może się spodziewać od Joanny? Lisa dzwoniła do niej

i powiedziała jej w skrócie, co zaszło, choć Clara prosiła ją, by tego nie robiła. Wolałaby, żeby córka pozwoliła siostrze cieszyć się wyjazdem do Chicago; po jej powrocie Clara wyjaśniłaby jej wszystko twarzą w twarz. Joanna nawet w najbardziej sprzyjającej sytuacji nie myślała racjonalnie, była na to zbyt wielką idealistką i romantyczką, a Clara nie chciała, żeby musiała sobie radzić z tak niezwykłą sytuacją sama, w obcym mieście. Lisa przekazała jej, że Joanna była załamana. Te słowa zabolęły Clarę – dokładnie tego chciała Lisa – ale znała swą starszą córkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że to nie mściwość kazała jej zadzwonić do Joanny; uważała po prostu, że siostra ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Lisa nigdy nie zgadzała się z Clarą, że trzeba chronić Joannę przed rzeczywistością.

Więc teraz Clara musiała sama zadzwonić do Joanny. Wyszła z sali Eddiego i poszła do świetlicy przeznaczonej dla odwiedzających i pacjentów, którzy mogli chodzić. Pomieszczenie pomalowano na beżowo, a sądziła, że ten kolor zniknął z powierzchni ziemi, a przynajmniej z wystroju wewnątrz, dobre dziesięć lat temu. Sosnowe wyściełane krzesła z zielonymi siedzeniami nie wyglądały na wygodne, ale i tak nie zamierzała na nich siadać, powstrzymała ją myśl, ilu chorych musiało na nich siedzieć przed nią. Czy krzesła mogą przenosić choroby? Choć od co najmniej dwudziestu lat w szpitalu obowiązywał zakaz palenia, świetlica przesiąknięta była zapachem starego dymu tytoniowego, papierosów palonych z rozpacz, nudy albo strachu. Telewizor był włączony na stałe, dźwięk ustawiony dość głośno, by słyszeli go pacjenci z kłopotami ze słuchem. Clarę ogarnęło obrzydzenie, więc wyszła na zewnątrz. Postanowiła zadzwonić do córki z ruchliwej, londyńskiej ulicy.

Wybrała numer jej komórki i zaledwie po trzech dzwonekach Joanna odebrała. Clara poczuła ulgę; obawiała się, że córka nie będzie chciała z nią rozmawiać.

– Witaj, kochanie. Jak się miewasz? – spytała bez tchu.

– Dobrze – odparła Joanna, a choć mówiła szeptem, Clara wyczuła uśmiech w jej głosie. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. – Zaczekaj, przejdę do kuchni.

Clara czekała, zastanawiając się, gdzie jest jej córka. Czyja to kuchnia? Zakładała, że Joanna zatrzymała się w hotelu. Nie miała w Chicago przyjaciół poza Martinem, a bez względu na to, jak przyjazna i opiekuńcza była jego

narzeczona, wątpiła, by przyjęła do domu swoją rywalkę, a sama wyjechała w podróż poślubną.

– Gdzie jesteś? – spytała równocześnie z niepokojem i zaciekawieniem. Choć córka była dorosłą osobą, a ona zadzwoniła, by rozmawiać o sobie, wyczuwała, że Joanna znów dała się porwać uczuciom, jak to się zdarzało wielokrotnie wcześniej, i odruchowo przygotowała się na komplikacje i problemy.

– W kuchni u przyjaciela.

– Przyjaciela? Jakiego przyjaciela? To mężczyzna?

– Tak, jestem w kuchni mężczyzny – zaśmiała się Joanna. – Ale nie masz się czym przejmować, jest bardzo porządny. To niesamowicie czysta kuchnia.

– A są tam noże, jakaś broń? Kto to jest, Joanno? – niepokój Clary wzrósł.
– Nie możesz ufać obcym, w dodatku Amerykanom.

– To Anglik, chociaż jego narodowość nie ma chyba znaczenia.

– A czytałaś *American Psycho*?

– Nie. A ty?

– Tak. Okropna książka. Straszna. O bogatym nowojorskim bankierze, który ukrywa swoje psychopatyczne drugie ja przed współpracownikami i przyjaciółmi. Musisz wiedzieć, że na końcu było wiele martwych kobiet.

– No wiesz, ten mój jest wspaniały, a poza tym jesteśmy w Chicago, a nie w Nowym Jorku i on pracuje w reklamie, a nie w banku i nie sądzę, żeby coś przede mną ukrywał. – Clara znów usłyszała uśmiech w głosie córki. – Poza tym mówisz o literaturze, a ja o rzeczywistości.

Rzeczywistości? Joanna zwykle nie przywiązywała zbytnej wagi do rzeczywistości.

– Bądź ostrożna, kochanie – Clara zawsze się obawiała, że jedna z eskapad Joanny skończy się czymś gorszym niż złamane serce.

– Mamo, jest dobrze. Poznałam go w samolocie. Bardzo mi pomógł. Powstrzymał mnie od zrobienia głupoty na ślubie Martina.

– Chciałam tylko zaznaczyć, że nie namawiałam cię do udaremniania jego ślubu. Chyba mnie nie słuchałaś. Chciałam tylko, żebyś sobie zrobiła przerwę, oderwała się od wszystkiego. I poczuła, że to już zamknięty rozdział.

– I tak się stało, dzięki mojemu nowemu przyjacielowi.

– Och, Joanno, znowu się zakochałaś? – Clara nie mogła stłumić lęku w głosie.

– Naprawdę świetnie się bawię. On jest niezwykle interesującym i odważnym mężczyzną. Nigdy jeszcze takiego nie znałam. Świetnie się bawimy.

Clara była zdumiona. Spodziewała się, że Joanna będzie załamana (w najlepszym razie) albo wściekła (w najgorszym), a tymczasem córka była pewna siebie i zadowolona. Zastanawiała się, czy wzięła może narkotyki; istniała taka możliwość. Zdecydowanie zachowywała się jak nie ona. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mówiła wyłącznie o zaletach umysłowych mężczyzny. Przyszedł jej do głowy tylko jeden powód takiego zachowania. – Joanno, kochanie, nie mów mi tylko, że zrobiłaś coś śmiesznego, na przykład, że za niego wyszłaś. Nie jesteś w Vegas, prawda?

– Nie, nie jestem w Vegas – zaśmiała się Joanna. – Nie pomyślałam o tym.

Joanna, która nie pomyślała o małżeństwie w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin znajomości z mężczyzną?

– Czy on wygląda jak Quasimodo?

– Nie, jest naprawdę... – Clara niemal widziała, jak córka spogląda na zdjęcie Deana przypięte na lodówce. Był na jachcie, obejmował za szyje dwóch innych facetów i wszyscy trzej śmiali się jak szaleni. Powód ich radości był oczywisty: jeden z facetów trzymał rybę wielkości worka ziemniaków. Clara nie mogła wiedzieć, co czuła Jo, gładząc policzek Deana na zdjęciu. – Jest naprawdę przystojny.

Clara uznała ten dobór przymiotnika za podejrzany.

– Zatem jest stary?

– Nie, jest młodszy ode mnie.

– Ale pełnoletni? – przerażenie ogarniało Clarę falami.

– Mamo, jest ode mnie młodszy tylko o rok!

– Żonaty?

– Mamo! Jest piękny, pełnoletni i wolny. Jest idealny. Po prostu idealny.

Spędziwszy trzy dni przy łóżku Eddiego Taylora, Clara wątpiła w możliwość istnienia doskonałego mężczyzny. Kręciło jej się w głowie, więc szybko uznała, że są trzy możliwe wyjaśnienia tego, że Joanna nie opowiada jej histerycznie o sukniach ślubnych. Po pierwsze, mogła uznać, że ten

mężczyzna to nie jej liga i po prostu cieszyła się dzikim, hedonistycznym weekendowym seksem. Po drugie, mógł być gejem; żadna z nich nie mogła w tej chwili ignorować takiego wyjaśnienia. Albo, po trzecie, nie wyszła jeszcze z szoku po wiadomości o rozstaniu rodziców i stąd takie dziwne zachowanie. Żadna z tych możliwości nie ułatwiała rozmowy, więc Clara powiedziała po prostu:

– No cóż, to dobrze, że jest idealny.

Joanna zaczęła się śmiać.

– To prawda. – Clara usłyszała, jak córka bierze głęboki oddech. – Ale chyba nie dzwonicz po to, żeby rozmawiać o moim życiu uczuciowym?

– To prawda – Clara powtórzyła słowa Joanny i zawahała się. – Wiem, że Lisa ci powiedziała.

– Tak – na drugim końcu połączenia zapadła cisza. Clara zatęskniła za bliskością, jaką czuła z córką ledwie chwilę temu. Chciałaby porozmawiać dłużej o tym idealnym facecie albo o Martinie, albo nawet o posiłkach w samolocie, jednak wiedziała, że nie może.

– Tak mi przykro, kochanie. Wiem, że to dla ciebie trudne.

– Nie sądzę, żeby dla kogoś z was było łatwe. – Clara omal się nie zakrztusiła z zaskoczenia i ulgi. To były pierwsze słowa od bliskich, które w jakimkolwiek stopniu uznawały jej ból i poświęcenie. Zupełnie jakby Joanna rozumiała, jak trudna była dla niej decyzja o odejściu. – Myślałam, że będziesz zła.

– Raczej smutna.

– Ja też jestem smutna – wyznała Clara. Powiedziała to cicho, jakby nie miała prawa do tych słów. Ale i tak miały swoją moc. Zastanawiała się, czy Joanna w ogóle je usłyszała.

Odniosła wrażenie, że nie tylko usłyszała, ale również zrozumiała.

– Jesteś pewna?

– Że wasz ojciec jest gejem? Tak.

– Chodziło mi raczej o to, czy jesteś pewna, że będziesz szczęśliwsza bez niego.

– Boże, nie wiem – wyznała Clara. – Tak, myślę, że może, w końcu – wiedziała, że nie brzmi to przekonująco. Niczego nie była pewna. – Mieszkam w Bluecolt Spa, chociaż nie spędzam tam wiele czasu. Głównie przebywam w Londynie. – Joanna nie zapytała, co robi w mieście, a Clara

stwierdziła, że nie jest w stanie wyznać, że czuwa przy łóżku dawnego kochanka, choć córka okazała jej tyle zrozumienia. – Dziwnie się tam czuję bez koleżanek i diety. Zarezerwowałam tygodniowy pobyt, ale nie jestem pewna, czy tyle wytrzymam. Tak naprawdę niczego nie planowałam. Potrzebuję czasu, żeby się z tym uporać.

– A co myśli tata? Rozmawiacie ze sobą?

– Tak, nawet często, przez telefon. Wczoraj wieczorem powiedział, że jego zdaniem powinnam wrócić do domu. Uważa, że jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. Mówi, że to wystarczy, szczególnie w naszym wieku.

– Ale ty się z nim nie zgadzasz?

– Długo myślałam, że to wystarczy. W końcu tak mało jest dobrych małżeństw. Ale potem dostałam ten list.

– Od dawnego kochanka? – Jo trudno było wypowiedzieć to słowo, a Clarze usłyszeć je z ust córki. Ścisnęła z całych sił telefon, aż pobladły jej knykie, i zacisnęła powieki. Po takim czasie nadal czuła wstyd i ból z powodu tej przygody, a równocześnie usiłowała zatrzymać jej ogromne, niezrównane i przejmujące piękno. To było takie trudne. Czy robiła zamieszanie bez powodu? Czy nie było na wszystko za późno? – Kochałaś go? – spytała Joanna.

Clara nadal nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy nie wiedziała.

– Nie mogłam zostawić ciebie i Lisy – odpowiedziała. To było najuczciwsze wyjaśnienie, jakie może jej oferować.

– Masz nadzieję zbudować coś z tym człowiekiem, po tylu latach? – Clara słyszała niedowierzanie w głosie córki. Zdumiewająca była ta zamiana ról: Joanna wyraźnie sądziła, że Clara straciła poczucie rzeczywistości i że trzeba jej przemówić do rozsądku. W mniej dramatycznych okolicznościach Clara poczułaby rozbawienie. – Lisa mówiła, że jest chory. Że umiera. No wiesz, mam, zadajesz sobie niepotrzebny ból.

Pomyślała o starym, szarym człowieku, któremu zapewne zostały tylko dni, a może nawet godziny życia.

– Nie, nie mam żadnych nadziei w tej kwestii. Chodzi nie tyle o niego, ile o to, jaka byłam dla niego ważna. Napisał w tym liście, że mniej cierpi, kiedy o mnie myśli, a umiera na raka. Możesz to sobie wyobrazić, Joanno?

– Tak.

– To cudowna świadomość wiedzieć, że było się dla kogoś tak ważnym.

– Ale przecież jesteś ważna, mamó. Dla mnie, dla Lisy i Marka.

Clara pomyślała, że to miło ze strony córki, że próbuje ją pocieszać.

– To nie to samo. Zrozum, nagle poczułam żal, że całe moje życie minęło, a odkąd się z nim rozstałam, nigdy nie doświadczyłam czegoś równie intensywnego – Clara nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że nagle obchodzą ją tylko uczucia; zawsze bardziej ją interesowało, co powinna zrobić, co należy zrobić. Czuła się zdezorientowana.

– Tata cię kocha.

– Tak, wiem. Ale nie w ten sposób. A odpowiadając na twoje pytanie, nie mam zamiaru zaczynać czegokolwiek z Eddiem Taylorem. Natomiast nie chcę spędzić reszty życia, okłamując sama siebie.

– Powiedziałaś, że jak się nazywa? Powiedziałaś: Eddie Taylor? – przerwała jej Joanna.

– Tak, kochanie.

– Był żonaty? – dopytywała się Joanna.

– Co?

– Czy mężczyzna, z którym miałaś ten swój głupi romans, był żonaty? – Clara nie rozumiała nagłej zmiany w tonie córki. Do tej pory Joanna okazywała jej tyle zrozumienia i współczucia, ale nagle, w ułamku sekundy, jakby wpadła w straszną wściekłość.

– No... tak. – To nigdy nie brzmiało dobrze.

– Czy zostawił dla ciebie żonę?

– Przyszedł raz do mnie, to była taka szalona propozycja, że...

– Miał dzieci?

– Tak – Clara mówiła to niechętnie, nawet teraz. Szczególnie teraz.

– O kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. – Joanna, zwykle taka łagodna i miła, wypowiadająca się bardzo poprawnie, nagle przerwała matce serią przekleństw. Po czym rozłączyła się, a Clara stała zdumiona na ulicy, nie mając pojęcia, co się stało.

Dean

Dean obudził się i automatycznie sięgnął po Jo. W pierwszym odruchu chciał ją przytulić do siebie, ale jego ręka trafiła na zgniecione, zimne prześcieradło. Przetarł oczy, a potem wyciągnął ramiona nad głowę. Czuł się taki odprężony. Rzucił okiem na zegarek przy łóżku i stwierdził, że jest już po jedenastej. Widać jego ciało domagało się snu po tak wyczerpującym emocjonalnie i fizycznie dniu, ale poczuł lekką irytację. Usiadł na łóżku. Nie zamierzał dziś odsypiać. Chciał przeżyć każdą chwilę tego dnia z Jo. Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka, nawołując ją po imieniu. Nie tracił czasu na szukanie szlafroka, tylko chodził nagi po mieszkaniu. Nie było jej w kuchni ani w salonie. Nie było jej w łazience. Zapukał do drzwi toalety.

– Jo?

Żadnej odpowiedzi. Nie poczuł niepokoju. Uznał, że pewnie poszła kupić coś na śniadanie i zapewne właśnie usiłuje się zdecydować, jaki smak jogurtu wybrać: kokos, marakuja czy tradycyjna truskawka. A jeśli chodzi o croissanty, to z pewnością nie zdoła się zdecydować, tylko kupi i zwykłe, i te z czekoladą. To do niej podobne. Jest taka troskliwa. Chciał, żeby już wróciła; był głodny, ale głównie jej ciała, chciał je znów czuć przy sobie. Powąchał się pod pachą i aż się skrzywił. To naprawdę była wyczerpująca noc. Postanowił, że weźmie szybki prysznic i będzie czekał świeży na jej powrót.

Spędził pod prysznicem dużo czasu. Nie planował tego, ale gorąca woda była taka rozkoszna. Nucił coś bez słów, jakiś przebój, który puszczała bez przerwy w radiu. Ogolił się starannie, ponieważ doszedł do wniosku, że Jo się to spodoba, a potem wyszorował zęby, wyczyścił nitką i nawet przyciął paznokcie u nóg. Kiedy wyszedł z łazienki i wrócił do sypialni poszukać czystej bielizny, znów spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest prawie południe. Dopiero wtedy poczuł niepokój. Ile może trwać kupowanie rogalika i gazety? Zgubiła się? Zadzwoił na jej komórkę, ale włączyła się poczta głosowa. Nie chciał okazywać niepokoju, więc zostawił jej wesołą

wiadomość, prosząc, by zechciała już wrócić. Rozłączył się i odczekał kolejne dziesięć minut, ale zimne palce paniki zaczęły się już zaciskać na jego piersi. Może wpadła pod samochód albo ktoś ją napadł? Może leżała na noszach na szpitalnym korytarzu, a lekarze usiłowali ustalić, kim ona jest i czy ma ubezpieczenie? Wątpił, żeby miała. Czy pamiętała, żeby zabrać ze sobą paszport, kiedy wychodziła z mieszkania, żeby można ją było zidentyfikować? Powinien jej o tym przypomnieć. Czuł się niezwykle opiekuńczy wobec Jo. O Boże, a jeśli nie leży na szpitalnym korytarzu, tylko w kostnicy? To była straszna myśl. Potrząsnął głową, usiłując się jej pozbyć. Starał się nie myśleć czarno, ale nic nie mógł na to poradzić. Jo była obecna w jego życiu zaledwie od dwóch dni, ale kiedy rozglądał się po swoim pustym mieszkaniu, już teraz miał pewność, że nie może jej sobie wyobrazić nigdzie indziej.

Zaczął przeszukiwać pokoje. Nie był pewien, czego szuka. Listu? Torebki? Gdzie zostawiła bagaże? Czas płynął. Miała lot powrotny dziś wieczorem: będzie musiała pojechać na lotnisko za dwie godziny. Nie mogła przecież sama iść po prezenty i po prostu stracić poczucia czasu, prawda? Przecież tak się cieszyła, że zrobią to razem; chciała z nim spędzić każdą chwilę tego dnia, tak samo jak on z nią. Dlaczego go nie obudziła? Nie, nie mogła iść na zakupy bez niego, nie miała przecież pieniędzy. Wczoraj w nocy spytała, czy może trochę od niego pożyczyć na prezenty i pamiątki. Obiecała, że zostawi mu antydatowany czek; żartowali na temat daty, jaką powinna na niego wpisać. Proponowała 25 grudnia 2050 roku, kawał czasu. W sam raz na prezenty gwiazdkowe, coś, na co warto czekać. Powiedziała, że ma nadzieję, że wtedy jej czeki będą miały pokrycie. Dean pobiegł po portfel; wiedział, że zostawił go w marynarce, a marynarkę rzucił na stół w kuchni. Gdy tylko wszedł, zauważył na stole otwarty portfel. Nie był pewien, dlaczego nie zwrócił na niego uwagi wcześniej; zapewne dlatego, że nie spodziewał się go zobaczyć. Portfel był pusty, a obok leżał czek na sto czterdzieści dolarów, dokładnie na sumę, jaką miał w gotówce. Nie był datowany na Boże Narodzenie 2050 roku; miał datę z przyszłego tygodnia. Jo najwyraźniej miała nadzieję, że do tego czasu zdoła zasilić konto, żeby miał pokrycie. Co to miało znaczyć? Czy poszła sama na zakupy? A skoro tak, to dlaczego zostawiła czek teraz, zamiast dać mu go po powrocie? W tym czeku było coś niepokojącego. Zupełnie jakby to była kropka kończąca

zdanie.

Dopiero kiedy uważnie obejrzał jej podpis, a przyglądał mu się dość długo, zauważył trzeci przedmiot na blacie – obrączkę ojca.

Och, nie. Nie. Nie! Uderzył się ręką w czoło, w dramatycznym (i dość bolesnym) geście. Nie, nie, nie! Natychmiast uzmysłowił sobie, co się musiało stać. Widział to z przeraźliwą jasnością. Jo szukała jego portfela, zapewne po to, żeby kupić coś na śniadanie i w kieszeni marynarki znalazła obrączkę ojca. Po czym wyciągnęła błędny wniosek, że był kolejnym szczurem, który zdjął obrączkę, żeby wślizgnąć się między jej nogi. To było okropne. Dean miał wrażenie, że nagle opuściły go siły. Ciało odpłynęło od niego, czuł się jak stopiona świeca, bezkształtny, bezsilny. Miał wrażenie, że kręgosłup mu się zapada, a organy wewnętrzne pływają w krwawej bezkształtnej masie. Jeśli znów zostanie porzucony, złamie się zupełnie. Na chwilę, choć zwykle był taki silny, zupełnie się rozsypał. Jo mu nie ufała. Nie dotrzymała wiary. Nie była taka, jak sądził. Jego cholerny ojciec znowu mu wszystko zepsuł.

Znów do niej zadzwonił i zostawił drugą wiadomość.

Ta nie była wesoła i zabawna. Poprosił po prostu, żeby do niego oddzwoniła.

A potem zadzwonił do Zoe.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Musiał jej powiedzieć, że zostawił w szpitalu umierającego ojca, że nie zaczekał do końca, ponieważ miała rację, że strony Eddiego Taylora nie można było oczekiwać pociechy. Czy powinna wiedzieć, że mają dwie siostry? Nie miał pojęcia, jak Zoe przyjmie taką wiadomość. Wiedział jedno: chce z nią porozmawiać o kobiecie, którą poznał w samolocie. Kobiecie, której zaufał na tyle, żeby podzielić się z nią trudną przeszłością, kobiecie, która właśnie opuściła w pośpiechu jego mieszkanie, pozostawiając po sobie straszną pustkę.

Ponieważ jednak trudno mu było poruszyć któryś z tych tematów, grał na zwłokę, pytając o dzieci, udając, że jak zwykle interesuje się ich drobnymi sukcesami w grze w piłkę i rysunkach; spytał Zoe o zdrowie jej, jej męża i nawet psa, ale siostra знаła go zbyt dobrze, żeby dać się oszukać.

– No dobra, a tak naprawdę to po co dzwonicz? Umarł?

– Niewykluczone. Nie wiem – odparł, nieco zawstydzony jej bezpośredniością, ale w gruncie rzeczy wcale nią nie zaskoczony.

– Nie zostałeś z nim?

– Nie.

– Nie zamierzam iść na pogrzeb, jak już umrze, jeśli po to dzwoniysz.

– Nie, nie po to. Uważam tak samo jak ty. Miałaś rację, dla nas nie ma szczęśliwego zakończenia. Nasz związek z ojcem jest, jaki jest.

– Prawie go nie ma.

– Właśnie.

– Przykro mi.

Chciał ją uściskać.

– Mnie również. – Oboje wiedzieli, że przykro im z powodu kłótni. – Ale nie dlatego dzwonię.

– Więc dlaczego?

– To długa historia. Masz czas?

– Dla ciebie? Zawsze.

Dean nie ukrywał niczego. Opowiedział siostrze o spotkaniu z Jo w samolocie. Wyjaśnił, jak go irytowała swoją naiwnością i śmiesznym, głupim planem, żeby przerwać ślub byłego narzeczonego, ponieważ uważała, że on jest jej ostatnią szansą na szczęście. Opowiedział jej o zakupach, o hot dogach w Millennium Park, o jazzbandzie grającym w tle i o zaskakująco ciepłym wieczorze, który zdawał się istnieć tylko dla nich. Wyznał, że nie mógł dopuścić, żeby Jo skompromitowała się na ślubie.

– No wiesz, to byłby wielki błąd.

– Rozumiem.

– Więc zjawilem się w tym hotelu i udawałem, że z nią jestem. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ sama podjęła właściwą decyzję. Że to byłoby niewłaściwe. Wie wszystko o właściwych i niewłaściwych zachowaniach. Jest bardzo zasadnicza. Bardzo słodka.

– Rozumiem – powtórzyła Zoe.

Potem opowiedział o romansie jej matki, o tym, że jej ojciec jest gejem i o tym, jak poszli tańczyć salsę.

– Nie wiedziałam, że potrafisz – stwierdziła Zoe, nie próbując ukryć rozbawienia.

– Znasz mnie siostrzyczko, wszystkiego muszę spróbować. Więc kiedy...
– urwał. Jak miał to wyjaśnić?

– Uprawialiście seks?

- Kilka razy.
- Jest coś jeszcze?
- Tak. Diabelski młyn, wata cukrowa i minigolf.
- Ty ją lubisz – w ustach Zoe te słowa miały równie wielką wagę, jak bagaż podręczny pasażera tanich linii lotniczych. Wydawała się równocześnie pełna niedowierzania i zachwycona.
- Nie wybiegaj naprzód – powiedział Dean i wyznał, że wyjawiał Jo okoliczności śmierci matki. Zoe aż zamilkła z wrażenia.
- Rany, Dean, ty nie tylko ją lubisz, ty się w niej zakochałeś. Nie zaprzeczyl.
- Odeszła – powiedział po prostu.
- Słucham?
- Opowiedział jej, co się stało dziś rano. Zoe nie kryła zdumienia.
- Uważasz, że cię wykorzystała?
- Dean pomyślał o tych wszystkich okazjach, kiedy sam ulotnił się po cichu z mieszkań kobiet, nie czekając na śniadanie i rozmowę, ponieważ mu na nich nie zależało. Ogarnęło go poczucie winy, ale pomimo własnych doświadczeń nie uważał, że został wykorzystany.
- Nie, nie sądzę. Choć pewnie uznasz mnie za aroganta, jestem pewien, że jej na mnie zależało.
- Może to z powodu naszej matki. Ludzie boją się alkoholizmu, samobójstw i tak dalej – powiedziała Zoe tonem bez wyrazu. Wiedzieli, że to prawda.
- Ona się nie bała. Okazała mi współczucie. Ale wiesz, nie litowała się nade mną. – Oboje z Zoe nienawidzili litości.
- Ale nie zostawiła ci wiadomości?
- Nie. Tylko... – Dean zawahał się. – Eddie Taylor dał mi swoją obrączkę.
- Nie potrafił nazywać go ojcem w rozmowach z Zoe.
- Ślubną obrączkę?
- Z małżeństwa z naszą matką. Zachował ją. Miałem ją w kieszeni marynarki, a Jo ją znalazła.
- Przeszukała ci kieszenie?
- Szukała pieniędzy.
- Pieniędzy? Jesteś pewien, że to nie była oszustka?
- Jestem. Mówiłem ci, jest słodka. I szczerą. – Dean pomyślał o smukłych

palcach Jo przeszukujących jego portfel. Lubił jej paznokcie. Obcinała je krótko i malowała na jasny kolor. – Mówiłem ci, jest bardzo romantyczna i bardzo uczciwa. W dobrym znaczeniu tych słów. Wiesz, że ona szczerze wierzy w rycerzy na białych koniach i że miłość zwycięży wszystko? Nie okradała mnie, pewnie chciała iść kupić coś na śniadanie, ale znalazła obrączkę i teraz sądzi, że jestem żonaty. Uwierzysz, że Eddie Taylor wciąż potrafi zrujnować mi życie?

– Jestem raczej ostatnią osobą, która by go broniła, ale szczerze mówiąc, nie uważam, żeby to była jego wina. Nie tym razem – stwierdziła Zoe. – Dlaczego cię nie obudziła i nie spytała o obrączkę? To raczej jej wina, że wyciągnęła niewłaściwe wnioski.

– Wiem, ale ona jest samotną, trzydziestopięcioletnią kobietą mieszkającą w Londynie. Podejrzewanie mężczyzn o zdradzanie żony to u niej odruch.

– Może masz rację, nie wiem. Moim zdaniem coś się tu nie zgadza.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Jaka?

– Wczoraj w nocy powiedziała mi, że mnie kocha.

– A ty co na to?

– Udawałem, że śpię.

– Och, braciszku, jestem z ciebie taka dumna. – Dean wiedział, że siostra przewraca oczami, jak często to robiła, kiedy rozmawiali o jego życiu uczuciowym.

– Bo to wszystko szło tak szybko.

– Aha.

– Boli mnie, że mogła o mnie źle pomyśleć.

– Spójrz na to z jej punktu widzenia, Dean. Facet, który przyznaje się otwarcie, że jest związkofobem, pieprzy ją do utraty tchu, ignoruje jej wyznanie miłości i ukrywa obrączkę.

– Jeśli tak to ująć, to istotnie sprawa nie wygląda dobrze. Co powinienem zrobić?

– Wiesz dobrze, co powinieneś zrobić. Odszukać ją. Wyjaśnić, że nie jesteś żonaty, jeśli tak właśnie sądzi. Musisz to załatwić – stwierdziła Zoe, traktując jego problem ze zwykłą sobie praktycznością. Właśnie takie podejście pozwoliło jej zostać dobrą księgową, wierną, kochającą żoną

i oddaną, godną zaufania matką.

– Ale jeśli polecę za nią przez Atlantyk, to czy się w ten sposób nie zdeklaruję? No wiesz, trudno się wtedy będzie wycofać. To jakbym się angażował.

– Odniosłam wrażenie, że już się zaangażowałeś. – Dean milczał. Zoe westchnęła. Głęboko. Jakby to westchnienie wypełniło tysiące kilometrów, które oddzielały jej hałaśliwą, ciasną kuchnię w Winchesterze od jego sztywnego, czystego, ale pustego loftu w Chicago. – Musisz po prostu zdecydować: kochasz ją czy nie? – Dean zachował milczenie, choć wiedział, że siostra oczekuje jasnej deklaracji. – Wiesz, że byłam zła, że poszedłeś do Eddiego Taylora do szpitala, ale pomyślałam, że to oznacza, że się czegoś nauczyłeś.

– Czego mianowicie?

– Że jesteś zdolny do miłości i że na nią zasługujesz.

Lot powrotny do Anglii bardzo się różni od tego do Chicago. Tym razem nie siedzę w klasie biznes i nie mam fascynującego towarzysza podróży, a poza tym nie mam na nic nadziei i niczego nie oczekuję. Czuję się zupełnie załamana. Jak to możliwe, że w weekend, kiedy wreszcie zrozumiałam, czym jest miłość i poznałam kogoś, kto mógłby mnie kochać, musiałam przeżyć coś takiego? Ten niesprawiedliwy i nieprawdopodobny zbieg okoliczności sprawia mi fizyczny ból. Nie mogę oddychać. Jestem przytłoczona ciężarem tej świadomości. Wreszcie rozumiem, co oznacza to wyrażenie. Czuję się rozdeptana. Rozpłaszczona. Ściśnięta. Ponieważ bez Deana jest mnie mniej. Znikam.

Naprawdę wierzę, że Dean zaczynał coś do mnie czuć. Coś dużego i prawdziwego. Tym razem na pewno nie okłamuję sama siebie. Bo czy inaczej opowiedziałby mi o swoim dzieciństwie i o tym, jak stracił matkę? Mieliśmy szansę, a nawet więcej, była dla nas nadzieja. Oczywiście teraz się to nie liczy. Nie ma znaczenia, co czuł, jak mógł się czuć, ponieważ kobietą, której nienawidzi najbardziej na świecie – kobietą, która wprawdzie nie bezpośrednio, ale jednak, ponosi odpowiedzialność za śmierć jego matki i jego straszne dzieciństwo – jest moja matka.

On się nigdy z tego nie otrząśnie. Odejście od Deana było najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu. Mam wrażenie, że tym jednym strasznym czynem płacę za każdą chwilę szczęśliwego i beztrudnego dzieciństwa. Kiedy zorientowałam się, że moja matka była kochanką Eddiego, usiłowałam sobie wyobrazić, w jaki sposób moglibyśmy przez to przejść. Stałam nad łóżkiem Deana, napawałam się jego widokiem i pragnęłam, pragnęłam każdą komórką swego ciała, żeby było inaczej. Żeby Eddie Taylor i moja matka nigdy się nie spotkali. Żeby Eddie nie postanowił porzucić żony. Żeby matka Deana nie była alkoholiczką. Każda z tych rzeczy mogła ocalić Deana od tej straszliwej traumy. A skoro to wszystko musiało się stać, pragnęłam, byśmy się nigdy o tym nie dowiedzieli. Tak, jestem właśnie taka płytka

i samolubna. Pozwoliłabym Deanowi i mojej matce spotykać się do końca życia pod warunkiem, że robiliby to nieświadomi tego, kim są. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy mogłabym to po prostu przed nim ukryć. Jestem pewna, że moja matka nie będzie rozpowiadać na prawo i lewo o swoim romansie, a co do ojca, no cóż, widać, że jest bardzo dobry w ukrywaniu sekretów. Ale ja nie. Nie mogłabym zdradzić Deana w taki sposób. Szanuję go za bardzo, żeby to zrobić. Był ze mną uczciwy od chwili, kiedy się poznaliśmy, i w zamian oczekuje prawdy. Gdybym mu nie powiedziała, czego się dowiedziałam, wiem co byłoby dalej. Kiedyś, później, gdy stalibyśmy się sobie jeszcze bliżsi, jeszcze bardziej ze sobą związani, nadeszłaby chwila prawdy i on by się domyślił, że ja od początku wiedziałam. Nie mogę go zdradzić w taki sposób.

Zastanawiałam się, czy go nie obudzić i nie powiedzieć mu, kim jest moja matka, ale nie miałam odwagi. Nie chciałam patrzeć, jak tracę w jego oczach. Bo przez ostatnie dni widziałam w nich prawdziwą miłość. Wiem, choć wcześniej nigdy nie miałam tej pewności – nawet spędziwszy cztery lata u boku Martina – że to jest właśnie to. To jest to, o czym mówią ludzie. Ta nieuchwytna różnica. Kiedy czujesz się przy kimś lepiej, a on czuje się lepiej przy tobie, kiedy ufacie sobie i pragniecie się nawzajem. Kiedy fascynują cię i wzruszają nawet włoski na jego ręku, jego opowieści, nadzieje i obawy. Kocham Deana Taylora, a on kocha mnie. Byłam gotowa na to, że ta intensywna nowa miłość zmieni się z czasem w coś bardziej prozaicznego i spokojniejszego, w starą miłość; czekałam nawet na ten czas. Nie chciałam zobaczyć, jak miłość w jego oczach zmienia się w nienawiść. Gardziłby mną. Jak moglibyśmy zbudować sobie przyszłość, skoro każde moje wspomnienie z dzieciństwa byłoby dla niego torturą? Za każdym razem, gdy opowiadałabym mu o piknikach i trzmielach brzęczących mi nad uchem, on myślałby o musze, która usiadła na zimnych wargach jego nieżyjącej matki. Gdybym opowiadała o rodzinnych wycieczkach, o tym, jak wbiegaliśmy na wzgórze, ścigając się, kto będzie pierwszy przy bramie zamku, on myślałby o Zoe, która tak bała się świata, że moczyła się w nocy jeszcze jako nastolatka i spała przy włączonym świetle. A gdy ja mówiłabym o wtulaniu twarzy w fartuch matki i szukaniu pociechy, on myślałby o dniu, kiedy zabrano go wraz z siostrą do domu dziecka.

To zbyt okrutne.

Nie da się tego puścić w niepamięć. Nie mogę być dla niego ciągłym przypomnieniem tego koszmaru, skoro tak ciężko pracował, żeby zostawić za sobą to wszystko. Nie będę tą, która niszczy jego świat.

Dlatego odeszłam od mojego pięknego mężczyzny, kiedy spał. Godząc się z tym, że właśnie to jest moja prawdziwa miłość. Okazuje się, że przez cały czas miałam rację. O tak, wszyscy się ze mnie śmiali, ale ja miałam rację. Przy Deanie serce zaczynało mi bić szybciej, czułam łaskotanie w żołądku i ten rozkoszny ciężar w podbrzuszu; i inne rzeczy: lojalność, uczciwość i przyjaźń. Nie miałam pojęcia tylko o jednym, że miłość łączy się z poświęceniem. Ale teraz już o tym wiem i mam wrażenie, że ktoś wbił mi nóż prosto w serce.

Zaraz po wylądowaniu dzwonię do siostry i dowiaduję się, że mama wyniosła się ze spa. Czuła się samotnie wśród tych bogatych kobiet, choć wcześniej sama się do nich zaliczała, więc teraz śpi u Lisy.

– Na mojej kanapie? – pytam.

– Właściwie to jest moja kanapa – odpowiada Lisa z odrobiną irytacji. – Ale nie, daliśmy jej łóżko jednego z dzieci. Charlie sypia teraz z nami. I żadne z nas się nie wysypia – dodaje ze znużeniem. – Zrobiło się straszne zamieszanie.

– Co ty powiesz – wzdycham.

– A jak ty się czujesz?

– Dobrze – kłamię. Nic jej nie mówię. W przeszłości za dużo opowiadałam o swoich problemach, szczególnie tych romantycznej natury, natomiast tym razem nie potrafię znaleźć właściwych słów. Ta sprawa jest za duża. Za świeża.

Lisa zapewne usłyszała przygnębienie w moim głosie, ponieważ mówi, starannie ukrywając niechęć:

– No wiesz, kanapa nadal tu jest. Jeśli chcesz, może być twoja.

Myśl o przebywaniu tak blisko matki to dla mnie zbyt wiele. Nie chcę jej tego wyjaśniać.

– Chyba pojedę do taty. Pewnie czuje się samotny. Pojadę prosto do domu.

– Świetny pomysł – zgadza się Lisa z nieco zbyt dużym entuzjazmem. – Tam jest masa wolnych łóżek.

Nie mogę się doczekać, aż wydam się z lotniska. Dochodzę do

wniosku, że nienawidzę lotnisk. Złości mnie podniecenie innych ludzi, jadą sobie na cudowne wakacje i ważne spotkania, a ja tkwię w samym środku prawdziwego dramatu. Nie widzę nic pociągającego w radosnych powitaniach, w trudnych pożegnaniach. Kiedy rozglądam się po terminalu, nie widzę sklepów i nie interesuje mnie, ile w tej chwili zachodzi tu zdarzeń. Huk, z jakim łamie mi się serce, zagłusza wszystkie wyznania miłości.

47

Eddie

Teraz zamknę oczy. Już dość.

Wtorek, 26 kwietnia 2005 roku

Dean

Postanowił wynająć samochód, bo do Islington był kawał drogi. Bez wątpienia szybciej i taniej dojechałby tam metrem, ale miał wrażenie, że nie stać go na wysiłek konieczny, żeby poruszać się w labiryncie kolejki podziemnej, a potem pieszo szukać domu siostry Jo. Nie znał tej części Londynu, a poza tym był zupełnie wykończony; trzy loty przez Atlantyk w ciągu sześciu dni to szaleństwo. Powiedział w pracy, że musi się zająć niecierpiącymi zwłoki sprawami rodzinnymi; nie było to tak do końca kłamstwo. Nie miał pojęcia, w której strefie czasowej funkcjonuje jego ciało, nie miał też pewności, czy ból, który czuje, jest wynikiem zmęczenia, głodu czy straty. Obawiał się, że straty. Podszytej gniewem, jak większość strat w życiu Deana. Irytacja i rozczarowanie, że Jo jest aż taką idiotką, zalewały go falami. Powinna mu bardziej ufać, a przynajmniej okazać więcej rozsądku. Gdyby tylko go obudziła! Jak mogła pomyśleć, że jest żonaty? Po tym wszystkim, co sobie powiedzieli, po tym wszystkim, co zrobili? Przez myśli przemknęły mu wspomnienia. Myśli o jej uśmiechu i jej paznokciach, jej zgrabnej pupie i jej optymizmie mieszały się i zderzały w jego umyśle. Przez gniew przebijały się obrazy tego, jak ją pieścił i całował, jak w nią wchodził. Powinna była bardziej mu ufać, ale on to załatwi. Wyjaśni jej wszystko i w końcu oboje będą się z tego śmiali, prawda? Czuł wielką pewność siebie. Choć Jo zniknęła, wątpił, żeby po prostu przestała go kochać. Kobiety mu tego nie robiły. Jo mu tego nie robi.

Dom był – Dean mógłby się tego domyślić, gdyby się zastanowił – dwupiętrowy, z wczesnej epoki wiktoriańskiej. Zbudowano go z szarego kamienia i w swoich czasach zapewne był imponujący. Teraz sprawiał nieco zaniedbane, ale przytulne wrażenie. Wszedł po trzech stopniach i zapukał do drzwi wielką srebrną kołatką. Załomotała w błyszczącą granatową farbę.

Spodziewał się, że Jo będzie w domu sama, że jej siostra i szwagier są w pracy, a dzieci w szkole albo w przedszkolu, więc poczuł zaskoczenie, kiedy drzwi otworzyła mu kobieta pod sześćdziesiątkę. Jej twarz,

w pierwszej chwili pełna nadziei, na jego widok zmieniła wyraz; przez chwilę malowało się na niej rozczarowanie, ale szybko zastąpił je uprzejmy spokój. Dean domyślił się, że to matka Jo. Słyszał o niej dość, by wiedzieć, że jest mistrzynią w przybieraniu takich min. Uśmiechnął się, ale po raz pierwszy w życiu jego uśmiech nie wywarł pożądanego efektu. Zamiast ulec jego czarowi, pani Russell nagle pobladła.

– W czym mogę pomóc? – spytała ostrożnie.

– Szukam Jo Russell.

– Joanna Russell tu nie mieszka.

– Tak, wiem. Wiem, że to jest dom jej siostry, Lisy. Sądziłem, że może się tu zatrzymała. – Matka Jo pozostała sztywna i nieufna. Dean to rozumiał; ludzie, którzy mieszkają w wielkich miastach, generalnie są nieufni wobec niespodziewanych gości. Spróbował rozluźnić nieco atmosferę, przywołując na pomoc swoje najlepsze maniery. – Pani Russell, prawda? Jak się pani miewa? – wyciągnął do niej rękę. – Jestem przyjacielem Jo z Chicago. – Uśmiechnął się, dokładając starań, żeby to na pewno był jego najlepszy uśmiech. – Nazywam się Dean Taylor.

Pani Russell zaczęła już wyciągać do niego rękę na powitanie, ale kiedy usłyszała jego nazwisko, przycisnęła dłoń do piersi, jakby ktoś właśnie do niej strzelił. Dean domyślił się, że Jo jej wszystko opowiedziała i że ona również sądzi, że jest żonatym draniem.

– Nie jestem żonaty, pani Russell. Proszę, niech mi pani pozwoli wszystko wyjaśnić.

– Czy powiedział pan, że nazywa się Dean Taylor?

– Tak. Ale mogę wyjaśnić sprawę obrączki. – Dean postawił stopę na progu, żeby nie mogła mu zamknąć drzwi przed nosem; wyglądała, jakby miała na to ochotę. – To nie była moja obrączka, tylko mojego ojca. – Na twarzy matki Jo odmalowało się jeszcze większe oszołomienie. – Wiem, że Jo sądzi, że jestem żonaty i dlatego wyjechała w takim pośpiechu, ale to nieprawda. Proszę mi pozwolić wszystko wyjaśnić. Przyleciałem po to aż z Ameryki.

Pani Russell zbladła teraz tak bardzo, że jej twarz zrobiła się niemal przezroczysta. Był pewien, że zatrzaśnie drzwi, ale tego nie zrobiła; otworzyła je szeroko i westchnęła.

– Lepiej niech pan wejdzie – powiedziała cicho.

Clara

Clara zaparzyła herbatę. Była Angielką, w samym środku kryzysu, więc oczywiście musiała zrobić herbatę. Potrzebowała czasu do namysłu, potrzebowała czasu, żeby to wszystko pojąć, więc zostawiła przystojnego młodego człowieka samego w salonie Lisy. Usiadł na brzegu fotela, niecierpliwie czekając na okazję do wyjaśnień. Clara wiedziała, że to do niej należą wyjaśnienia i wcale się do nich nie paliła.

Zaczekała w kuchni, aż woda się zagotuje, od czasu do czasu rzucając okiem przez otwarte drzwi bawialni na gościa. Dean Taylor był taki piękny. Bardziej podobny do Eddiego niż ten szary, umierający człowiek, którego odwiedzała w szpitalu przez ostatnie dni. Miał takie same oczy, które w jednej chwili potrafią obnażyć duszę kobiety. Głębokie, nieskończenie głębokie oczy, iskrzące się możliwościami. I ten sam mroczny, złowieszczy wygląd, jak kiedyś Eddie. Był wysoki, barczysty, muskularny. A jednak nie był wierną kopią Eddiego. Był pewny siebie, ale nie arogancki. Tkwiła w nim jakaś ostrożność i kruchość, coś, czego starszy Taylor był zupełnie pozbawiony. Nie dostrzegła w jego oczach żądzy i braku odpowiedzialności; raczej była w nich nadzieja i nerwowe podniecenie. Nie sądziła, że coś takiego jest możliwe, ale ten mężczyzna był bardziej atrakcyjny niż Eddie Taylor. Rozumiała w pełni, dlaczego jej córka się w nim zakochała.

Pożałowała, że Lisa nie ma filiżanek, tylko same kubki; kubki były zbyt intymne w tej sytuacji, a jej zależało na utrzymaniu formalnej atmosfery, choć obawiała się, że za kilka minut wszystko utonie w bagnie emocji. Zaparzyła więc liściastą herbatę w dzbanku, zamiast wrzucić do kubków zaprojektowane z matematyczną precyzją torebki, postawiła na tacy, dodała dzbanek z mlekiem, cukiernicę i łyżeczki (ludzie zaczynają zapominać, że jedna jest potrzebna do cukru, a druga do mieszania). Przeszukała kuchnię i znalazła paczkę czekoladowych ciasteczek; wyłożyła kilka na talerzyk, uznała, że wyglądają żałośnie, i dołożyła jeszcze dwa. Pożałowała, że niczego dziś nie upiekła. Lisa nigdy nie piekła, ale Clara nie lubiła podawać kupnych

przekąsek.

Kiedy niosła tacę do bawialni, zdała sobie sprawę, że drży, ponieważ łyżeczki grzechotały zdradziecko. Dean Taylor musiał uznać, że walczy z jej ciężarem; poderwał się z fotela, żeby jej pomóc.

– Proszę siedzieć, poradzę sobie – powiedziała stanowczo, ostrzej niż zamierzała. To nerwy sprawiały, że zachowywała się wyniośle.

Usiedli naprzeciwko siebie, ale na siebie nie patrzyli.

– Herbaty?

– Z chęcią, poproszę.

– Z mlekiem?

– Tak.

– Cukier?

– Nie, dziękuję.

Powstrzymali się od tradycyjnej uwagi, że widać Dean jest już wystarczająco słodki. Clara rzuciła na niego okiem spod rzęs. Był słodki, co do tego nie było wątpliwości.

– Ciasteczko?

– Nie, dziękuję. – A potem: – A może jednak się skuszę. Chyba jestem głodny.

Wziął ciasteczko, ale Clara zauważyła, że nie próbuje go zjeść. Zastanawiała się, czy zrobił to z uprzejmości, czy żeby mieć czym zająć ręce. Ona nigdy nie jadła między posiłkami, ale teraz też wzięła ciastko.

Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Czyli to pan jest tym młodym człowiekiem, którego moja córka poznała w Chicago? – równie dobrze mogła to zrobić w ten sposób.

– Tak, poznaliśmy się w samolocie.

– I zostaliście kochankami?

Dean właśnie pił gorącą herbatę, więc wypluł ją sobie na kolano i trochę na dywan. Bezpośredniość Clary wyraźnie nim wstrząsnęła. Nie to miała na celu; po prostu chciała postawić sprawy jasno.

Dean wyraźnie nie był gotowy na taką szczerość.

– Staliśmy się sobie bliscy, bardzo – powiedział tylko. – Ale w poniedziałek rano znalazła w mojej kieszeni to. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął grubą złotą obrączkę. Trzymał ją między kciukiem a palcem wskazującym, przyglądając jej się, jakby to był jakiś dziwny obiekt,

a potem upuścił na stół między nimi. Clara aż wstrzymała oddech na jej widok. Obrączka obracała się przez chwilę, a potem upadła z brzękiem. Zamigotała w słońcu. Żadne z nich nie mogło oderwać od niej wzroku. Clary zawsze fascynowała obrączka Eddiego. Dean znów się odezwał. – Myślała, że jest moja, ale to nieprawda. Należy do mojego ojca. Dał mi ją. Umiera i dał mi swoją obrączkę.

Clara zamknęła oczy, ale było już za późno. Nie mogła się odciąć od prawdy. Jego wygląd, ta znajoma obrączka, umierający ojciec; nie było miejsca na wątpliwości. Chciała, żeby to był zwykły zbieg okoliczności, ale wiedziała, że to niemożliwe. To był dowód. Poczuli łyżki pod powiekami. Przypomniała sobie swój telefon do Jo w poniedziałek rano, gwałtowny sposób, w jaki córka przerwała połączenie; kiedy wymieniła nazwisko swego kochanka, Jo zaczęła kłąć. Clara miała ochotę płakać nad nią i Deanem. Co najlepszego im zrobiła? Pociągnęła głośno nosem; to było do niej zupełnie niepodobne.

– Przykro mi z powodu pańskiego ojca – powiedziała ostrożnie.

– Dziękuję, ale nie byliśmy sobie bliscy – Dean wysunął lekko podbródek. Widać było wyraźnie, że nie chce nieproszonego współczucia. Odstawił kubek, podniósł z podłogi mały samochodzik i bezmyślnie zaczął obracać jego kółka. – Prawdę powiedziawszy, jeszcze do niedawna go nienawidziłem – powiedział nagle.

– Rozumiem. – Czekolada na ciasteczku Clary zaczęła się rozpuszczać. Odłożyła nietknięte ciasteczko na tacę i ostrożnie spytała: – Już go pan nie nienawidzi?

– Nie jestem pewien. Chyba nie można nienawidzić umierającej osoby. Raczej czuję obojętność.

– Tak jest lepiej. – Miała na myśli, że lepiej dla Deana. Nie chciała, żeby pałał nienawiścią. Sytuacja była skomplikowana i bez tego. Miała nadzieję, że nie uznał jej za wścibską starą babę, która próbuje oceniać jego kręgosłup moralny.

Wyraźnie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Nie do końca – wyznał smutno. – Myślę, że po prostu przeniosłem nienawiść na inną osobę.

– Na jego kochankę? – zaryzykowała Clara. Dean poderwał głowę i popatrzył na nią z podziwem; zapewne uznał, że ma niesamowitą intuicję.

Jak inaczej mogłaby wyciągnąć właściwy wniosek? – To ja byłam jego kochanką – wyjaśniła.

Podziw w oczach Deana zmienił się w strach i zaskoczenie.

– Słucham?

– To ja jestem kobietą, dla której pański ojciec was zostawił. A przynajmniej tak mi się wydaje. Pański ojciec nazywa się Eddie Taylor, prawda?

– Tak.

– I opuścił rodzinę dwadzieścia dziewięć lat temu? – Tym razem Dean nie zdołał nic powiedzieć i tylko kiwnął głową. Wszelkie wątpliwości zostały rozwiane. A wraz z nimi nadzieja. – Bardzo mi przykro – zakończyła Clara.

Oczywiście to nie wystarczało. Clara wcale tego nie oczekiwała. Dean już nie był przerażony i zaskoczony; wyglądał, jakby miał ochotę ją uderzyć, ale człowiek, jakim się stał, nigdy w życiu nie podniósłby ręki na kobietę. Więc po prostu patrzył na nią, a w jego oczach widziała ślełą furię i wielkie cierpienie. To drugie trudniej jej było znieść. Zaczął mu drgać mięsień na policzku.

– Przypuszczam, że Jo się tego domyśliła i dlatego odeszła. Wcale nie uważa, że jest pan żonaty. Myślę, że po prostu uznała, że nie macie przed sobą przyszłości. Więc odeszła.

– Z pani powodu.

– Tak sędzę. – Clara wzruszyła ramionami. Jej gest nie wynikał z obojętności czy apatii; wynikał z rozpacz. Jak mogło do tego dojść? Przez całe życie starała się oszczędzić bólu dzieciom, a tu teraz coś takiego. Pomyślała, że zapewne ma rację. Och, jej biedna córka. I ten nieszczęsny młody człowiek. W jakim byli teraz stanie? Clarę ogarnęła nowa fala wstydu i rozpacz. Kiedy to się skończy? Kiedy konsekwencje jej czynów przestaną wywierać wpływ na innych ludzi? Cisnęła w wodę kamyczek i wywołała tsunami, które może utopić ich wszystkich.

– Z pani powodu moja matka zapiła się na śmierć, a ja z siostrą wychowywaliśmy się w domach dziecka – powiedział Dean zimno.

– Wiem. To znaczy wiem, że byliście w domu dziecka.

– Skąd? Skąd pani wie? – wykrzyknął Dean z gniewem.

– Widziałam się z pańskim ojcem. Rozmawialiśmy o panu – po twarzy Clary popłynęły wielkie łzy.

– Dlaczego? Dlaczego nie mogła go pani zostawić w spokoju? – Clara nie była pewna, czy Deanowi chodzi o czas teraźniejszy, czy o przeszłość, kiedy zaczął się ten romans. W sumie nie miało to znaczenia; i tak nie знаła odpowiedzi. Sama zadawała sobie to pytanie wiele razy.

Odważnie spojrzała Deanowi w oczy.

– Jest mi niezmiernie przykro z powodu bólu, jaki panu zadałam. – Ostrożnie dobierała słowa. Ćwiczyła je przez całe życie; mimo to wątpiła, by były adekwatne. Dean wyraźnie nie ufał sobie na tyle, by się odezwać, więc kiwnął tylko gwałtownie głową. Clara nie sądziła, by było to wybaczenie; uznała, że po prostu daje znak, że usłyszał jej słowa. Widziała, jak jej śladem składa fakty w jedną całość. – Bardzo przypomina pan ojca. – Dean rzucił jej takie spojrzenie, jakby właśnie pokazał jej palec. Zająknęła się. – Chciałam po prostu powiedzieć, że kiedy pana zobaczyłam w progu, natychmiast skojarzyłam pana z Eddiem, ale byłam pewna, że tylko mi się wydaje. Dopiero kiedy się pan przedstawił, przestałam mieć wątpliwości.

– Więc ta cała cholerna podróż na próżno – warknął Dean. – Ponieważ Jo w jednym miała rację. Nie mamy przed sobą przyszłości.

Na twarzy Clary odmalowało się przerażenie. Rozpacz. Resztki urody, jakie zachowała, znikły; zastąpiła ją brzydka nienawiść do samej siebie.

– Dlaczego? Z powodu mojej przeszłości?

– Właśnie.

– Przecież to szalone. Wcale nie musi tak być – zaprotestowała.

– Ale jest. Po prostu jest. Nigdy nie mógłbym spojrzeć na panią, nie myśląc o nim. Jak moglibyśmy jadać razem obiady w niedziele albo w Boże Narodzenie czy na Wielkanoc? Jak mógłbym się ożenić z dziewczyną, której matka zrujnowała mi życie, żeby sama móc samolubnie żyć w spokoju? – Dean wypluł te słowa z wściekłością.

Clarę zaskoczyło, że wspomniał o małżeństwie, choć zrobił to w tym kontekście, że nigdy do niego nie dojdzie. Widać było, że myślał bardzo poważnie o jej córce. Clara tylko raz rozmawiała z Jo od jej powrotu z Chicago, przez telefon wczoraj wieczorem. Jo była bardzo spokojna, jakby zadumana, zupełnie jak nie ona. Jakby nagle przestała być dzieckiem. Jakby wyjechała do Chicago jako pełna nadziei dziewczyna, a wróciła jako kobieta ze złamanym sercem. Sądziła, że powodem jest ślub Martina i świadomość, że zamknęła się przed nią kolejna droga. To prawda, że Jo mówiła

o „idealnym” nowym znajomym, ale wcześniej stosowała to określenie do wielu naprawdę bardzo nieodpowiednich mężczyzn, nim objawili swą prawdziwą naturę dłużników, kobieciarzy czy transwestytów. Nie przypuszczała, że Jo opłakuje idealnego mężczyznę, którego właśnie porzuciła, ale teraz pojęła to w całej rozciągłości, a wiedziała z własnego doświadczenia, jak trudno się odchodzi od Taylorów, mrocznych, groźnych i silnych mężczyzn, którzy wpełzają kobiecie pod skórę. Potem przypomniała sobie inne słowa Jo: że Dean jest najbardziej interesującym i najodważniejszym mężczyzną, jakiego zna. Nigdy nie słyszała, żeby córka określała kogoś w ten sposób. Coś się zmieniło. Być może ten wykluwający się romans był zaczątkiem czegoś dużego. Może miał znaczenie. W końcu Dean przyjechał tu za Jo aż z Chicago, a Jo opuściła go, ponieważ uznała, że jeśli z nim zostanie, sprawi mu jeszcze większy ból. Ich zachowanie bardzo przypominało miłość.

Clara aż ścierpła na samą myśl o tym i desperacko szukała sposobu, jak to wszystko naprawić. Czy to w ogóle leżało w jej mocy? Patrzyła na ścianę pomalowaną na klasyczny odcień czerwieni. Kolor kojarzył jej się z krwią krążącą w jej ciele. Szkoda, że Lisa nie wybrała jakiegoś uspokajającego koloru ziemi. Clara zawsze najpierw starannie rozważała, co zamierza powiedzieć. Tym razem zrobiła to jeszcze uważniej.

– Rozumiem, że jest pan zły, ponieważ miałam romans z pańskim ojcem. Oczywiście, było to z mojej strony niewybaczalne. Przykro mi z tego powodu. Ale musi pan wiedzieć, że nigdy nie prosiłam pańskiego ojca, żeby zostawił dla mnie żonę. Nie chciałam tego.

– Właśnie. Dla pani to była zabawa, taki skok w bok bez konsekwencji, ale mnie zmieniło to całe życie.

– To nie była sprawa bez konsekwencji. – Wiedziała, że nie ma prawa się usprawiedliwiać ani bronić swoich motywów. – Po prostu nie mogłam odejść od Tima.

– Ale teraz pani odeszła.

– Tak.

– Dlaczego teraz? Dlaczego nie wtedy? – spytał Dean wyzywająco.

– Ponieważ wtedy nie mogłam porzucić dziewczynek – słowa spadły na pokój jak lekki letni deszczyk. Dean skinął sztywno głową. Że zrozumiał i szanuje jej decyzję. Clara wyczuła, że do niego trafiła. – Oboje wiemy, że

w niczym by to nie pomogło, gdybym wtedy opuściła męża. Po prostu ucierpiałyby więcej osób. Czy to w czymś panu pomoże, jeśli powiem, że chciałam odejść? Pragnęłam bardzo pańskiego ojca, ale nie ponad wszystko, nie ponad moje dzieci. Przykro mi, że was porzucił. Nie proszę o wybaczenie za rolę, jaką odegrałam w pańskiej przeszłości, ale chcę, żeby pan wiedział, że za to zapłaciłam. Zapłaciłam każdym dniem mojego życia, ponieważ pragnęłam go tak bardzo. – Dean milczał. Clara miała nadzieję, że zastanawia się nad jej słowami. Oboje nasłuchiwali domowych dźwięków: tykania zegara, szumu lodówki.

– Dokonała pani właściwego wyboru – powiedział wreszcie.

Przez weekend Jo zabawiała Deana opowieściami o swoim szczęśliwym dzieciństwie i prawie mógł sobie wyobrazić to szczęście. Jednakże dopiero teraz, kiedy rozmawiał z Clarą, zaczął do niego docierać prawdziwy sens tego wszystkiego. Jo naprawdę miała wszystko; oprócz lekcji muzyki i obozów tenisowych, wakacji za granicą i zdrowego domowego jedzenia, miała matkę, która na pierwszym miejscu stawiała potrzeby swoich dzieci. Coś się zmieniło w jego twarzy. Jakby jego wściekłość odrobinę opadła.

Clara zastanawiała się, czy zdołała do niego dotrzeć. Czy zaczynał rozumieć, że jej obecność w jego życiu nie musi oznaczać, że zawsze będzie czuł złość i nienawiść? Teściowie (ponieważ być może tym się dla niego któregoś dnia staną) mogli kochać i jego, mogli go chronić i cenić. Wreszcie miałby rodziców, na jakich zasługiwał i za jakimi tęsknił. A jego dzieci miałyby kochających dziadków. To była dobra myśl. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy zdoła się uporać ze swoim gniewem. Czy miłość Jo wystarczy. Czy jego wiara w nią i w siebie się nie zachwieje.

– Wiele czasu poświęciłam na zastanawianie się, czy fakt, że poznałam pańskiego ojca, był dobry czy zły – odezwała się Clara.

– I do jakich wniosków pani doszła?

– Nadal nie wiem. Mam wrażenie, że życie nigdy nie jest jednoznaczne. – Miała nadzieję, że Dean dostrzeże, że nie jest samym wcieleniem diabła; była starą kobietą, która popełniała błędy. Eddie Taylor ukształtował również jej życie. Był żywiołem, to pewne. Dean westchnął. Wydawał się taki znużony.

– O czym rozmawialiście, kiedy go pani odwiedzała? Czy dał pani to, czego pani pragnęła?

– Nie padły żadne wyznania miłosne, jeśli o to panu chodzi – odparła ostrożnie.

– Czy tego pani chciała?

– Nie wiem. A pan?

– Z pewnością nie wyznania miłości – Dean nie do końca opanował pełną goryczy furję. Clara bardzo chciałaby go zapewnić, że Eddie był z niego dumny, że żałował, że go porzucił i że każda chwila rozstania z synem była dla niego piekłem, ale za bardzo szanowała Deana, by mu skłamać. Nie mogła go uleczyć w ten sposób.

– Ojciec powiedział mi, że chciał czegoś więcej, niż mogło mu dać życie z moją matką – Dean westchnął, oparł się na fotelu i spojrzał w sufit. – Powiedział mi, że to pani była tym jego więcej.

Zrozumiała, że Dean ofiarowuje jej coś, dzieląc się swoją wiedzą. Mogła z tym zrobić, co chciała. Może sądził, że znajdzie w tym pociechę, ale ona zbyt dobrze знаła Eddiego Taylora.

– Niewykluczone, że gdybym z nim odeszła, pewnego dnia by się mną znudził.

– Zapewne.

Postanowiła zaryzykować. Miała nadzieję, że trafi do niego w ten sposób, ale nie była pewna. Nie miała pojęcia, ile musi przebaczyć i zapomnieć, ale miłość do Jo i ogromne współczucie, które budził w niej ten mężczyzna, dały jej potrzebną odwagę.

– Czy Jo to pańskie więcej?

Dean spojrzał na nią niepewnie.

– Martwi mnie, że to wszystko dzieje się tak szybko. Może wcale nie jesteśmy dla siebie stworzeni? Poznaliśmy się zaledwie kilka dni temu, a ona leciała do Stanów, żeby walczyć o innego faceta.

– Ale z tego zrezygnowała. Zakochała się w panu.

– Wiem. Powiedziała mi. Nie miałem pojęcia, jak zareagować, więc udawałem, że śpię.

– Nie może pan dłużej udawać.

– Jej życie tak bardzo różni się od mojego. Podchodzi do miłości z zupełnie innej strony.

– To prawda. Ale może pan się z nią spotkać w pół drogi. To pańskie przeznaczenie.

Na twarzy Deana pojawiła się panika.

– Skąd pani wie, że się nią w końcu nie znudzę? Że nie złamię jej serca? Skąd ja mam to wiedzieć? Jak może mi pani ufać? Ja nie ufam sam sobie. A jeśli jestem taki jak on?

– Jest pan od niego lepszy. Jest pan jego synem, ale jest pan innym człowiekiem.

Dean ukrył twarz w dłoniach, a instynkt macierzyński Clary kazał jej obejść stół, który ich oddzielał. Przysiadła na poręczu fotela i ostrożnie położyła rękę na jego ramieniu. Chciała go objąć i przytulić, ale wiedziała, że nie ma do tego prawa. Nagle zapragnęła je zdobyć, chciała, żeby ten mężczyzna stał się częścią jej życia, żeby kochał jej córkę, przychodził w niedzielę na obiad. Chciała dostać szansę na naprawienie czegoś, choćby w ten sposób. Ucieszyła się, że Dean nie odtrącił jej ręki.

– Wyruszyłem w tę podróż, żeby się dowiedzieć, dlaczego ojciec mnie opuścił.

– I uzyskał pan odpowiedź?

– Nie od niego.

– Ale ją pan znalazł?

– Uświadomiłem sobie, że to nie miało nic wspólnego ze mną. Że to nie była moja wina.

– Oczywiście.

Dean odsłonił twarz i spojrzał na nią.

– Myślę, że to nie była również pani wina. To była – westchnął – po prostu zła decyzja. Jego zła decyzja.

Clara pomyślała, że to odważny i szlachetny człowiek. Zredukowanie trudnych doświadczeń własnego życia do jednej złej decyzji – żeby ona mogła się uwolnić od prześladowającego ją poczucia winy – to było coś więcej niż wspaniałomyślność.

– Przed tym wszystkim – machnęła ręką – przed listem, wyjazdem Jo do Chicago i moim odejściem od Tima usiłowałam zdecydować, czy jestem już stara. – Na jego twarzy zauważyła cień zaskoczenia; zaraz je ukrył, ale ten moment go zdradził. – Oczywiście pan zna odpowiedź: jestem stara. Nie rozumie pan, dlaczego walczę z czymś tak oczywistym – zachciało jej się śmiać. – Chodzi mi o to, że nie zawsze czuję się stara. Czasami czuję się jak młoda kobieta, którą byłam, kiedy rodziłam dzieci, albo jak dziewczyna

zaraz po szkole. Ale muszę przyznać, że czasami czuję się strasznie stara. Czas mija tak szybko. Niemal trudno za nim nadążyć. Proponowałabym go panu nie tracić.

– Wróci pani do męża? – Dean zauważył coś, czego jeszcze nie zauważyły nawet jej dzieci. Jej wątpliwości i zdrowy rozsądek.

– Tak, myślę, że tak.

– To dobrze – uśmiechnął się lekko. – Nie chcę, żeby mój ojciec zniszczył coś jeszcze.

– Tak. Tak będzie dobrze. Potrafiliśmy z mężem dać sobie szczęście, oczywiście na swój sposób, a dla mnie już za późno, żeby zaczynać od początku. Karałam się codziennie od tamtej pory. Nigdy sobie nie wybaczyłam, nigdy nie prowadziłam życia, jakiego pragnęłam. Pański ojciec był moim dokładnym przeciwieństwem; zupełnie nie zwracał uwagi na innych. Należał do tych, którzy stawiają kropkę i idą dalej. Musi istnieć jakiś złoty środek. Powinien pan zacząć żyć tak, jak pan na to zasługuje. Dzisiaj. Teraz. Proszę sobie zaufać. Jeśli okaże się to konieczne, będę się trzymać z daleka, obiecuję. Dam wam obojgu przestrzeń. Nie będę wiecznym przypomnieniem, ale nie pozwolę panu tego zniszczyć. Zasługujecie na siebie w taki sposób, w jaki pański ojciec i ja nigdy na siebie nie zasługiwaliśmy. Możecie żyć razem. Naprawdę. Nic nie stoi na przeszkodzie, prócz pańskiego strachu. – Clara wątpiła, by kiedykolwiek wcześniej wygłosiła równie długą i uczuciową przemowę; urwała, żeby sprawdzić, czy odniosła ona jakikolwiek skutek.

Dean

Dean wpatrywał się w Clare Russell w całkowitej ciszy, rozważając sytuację. Powiedziała, że jedyne, co może go powstrzymać, to własny strach. Zdawał sobie sprawę, że próbuje go zmotywować, ale i tak poczuł zimny dreszcz niechęci. Zastanawiał się, czy to uczucie kiedyś zniknie. Co ta kobieta mogła wiedzieć o jego strachu? A może wiedziała i rozumiała więcej, niż sądził? Może próbowała go sprowokować, ponieważ wyczuła, że należy do mężczyzn, którzy cieszą się podbojami i żyją chwilą?

Ale to było coś innego. Dokonał właśnie największego skoku emocjonalnego w całym swoim życiu. Zdecydował się kogoś pokochać. Komuś zaufać... i popatrzcie tylko, co się stało, niemal natychmiast: choć nie było w tym winy Jo, pokochanie jej przysporzyło mu ogromnego bólu. Miłość była ryzykiem. Strasznie się bał, że nie zdoła kochać jej dostatecznie. Miłość rodzi miłość, ale jego nie nauczono tego tak jak ją. I jak nauczono Clare Russell. Nie otrzymał w życiu dość miłości, by być czegokolwiek pewnym. Wbrew jego oczekiwaniom Clara nie okazała się jędzą; był dość dojrzały, by to przyznać. I nie tylko ona odpowiadała za jego koszmarnie dzieciństwo. Ale czy byłby w stanie jej wybaczyć, tak do końca? Zapomnieć o wszystkim?

Przecież równie możliwa – i całkiem logiczna – była inna sytuacja: że z czasem jego niechęć by rosła, aż wreszcie zmieniłaby się w nienawiść. Ile minęłoby czasu, nim znienawidziłby również Jo? Wyobraził sobie ten moment. On i Jo są małżeństwem i mają troje dzieci, tak jak sobie wymarzyła, a czemu on byłby nawet przychylny. Wszystko idzie dobrze i są szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi. A potem, pewnego dnia, wcale nie jakiegoś szczególnego, wpadłaby do nich Clara i przyniosła jakiś drobny, ale przemyślany smakołyk dla dzieci – na przykład żelki Cherry Lips albo Kola Kubes. Otworzyłaby tylne wejście i zawołała radośnie „Ju-hu!”, ale Dean nie usłyszałby „Ju-hu”, tylko trzask, z którym drzwi uderzyły w głowę jego martwej matki. Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze.

Ale potem pomyślał o Jo – o jej optymizmie, jej troskliwości, jej

inteligencji, jej łózkowych talentach – i poczuł się mniej samotny. Mniej niepewny.

Niemal znalazł pociechę. Niemal miał pewność.

Czy mogło im się udać? Czy to była taka właśnie chwila? Chwila przed skokiem w głęboką, spienioną wodę albo w ogromną pustkę nieba? Ten moment był zawsze najbardziej przerażający, ale doświadczenie nauczyło go, że zaraz potem następuje niesamowity wyrzut adrenaliny i wiążące się z nim poczucie ogromnego triumfu. Spytał Clare, gdzie znajdzie Jo. Rozpromieniła się natychmiast, widząc, że zmienił zdanie.

– Jest w domu. W Wimbledonie. Ma pan adres?

– Tak, mam.

– Pojedzie pan do niej?

– OK.

– OK?

– OK! – Dean nagle zrozumiał, czym tak naprawdę jest ta chwila. To ta, którą musi złapać. Więc nie oglądając się za siebie, wybiegł z domu.

Ruch był duży, samochody pełzły ulicami w irytująco powolnym tempie. Jechał z nimi zderzak w zderzak. Opuścił okno i próbował wymyślić jakiś skrót. Przejazd przez Clerkenwell, Waterloo i Clapham do Wimbledonu zabierze co najmniej godzinę. Chciał się jak najszybciej dostać do Jo, póki ma w sobie tę pewność. Przez cały czas tej podróży nie mogą mu przyjść do głowy żadne wątpliwości, to najważniejsze. Nie wolno mu myśleć o tym, jak bardzo się różnią z Jo, ale raczej o tym, co mają ze sobą wspólnego. Więc będzie sobie po prostu wyobrażać jej twarz, kiedy otworzy mu drzwi.

Włączył radio, żeby dotrzymało mu towarzystwa. Stwierdził, że jak zwykle sprawdza się zasada, że samochody z wypożyczalni mają radio ustawione na stacje lokalne, takie, które grają przeboje dla emerytów i pań domu w średnim wieku. Dean nienawidził muzyki tego rodzaju. Wolał słuchać Radio 1, nadającego aktualne przeboje, albo Radio 4, które podawało wiadomości ze świata. Zaczął się bawić przyciskami na panelu, żeby zmienić stację, ale nim mu się to udało, rozległy się pierwsze takty piosenki *There Must Be an Angel* grupy Eurythmics. To był taki zwykły popkulturowy banał, niemniej zaczął słuchać słów piosenki, chyba pierwszy raz w życiu. Potem umiejscowił ją sobie w czasie: przebój lata roku 1985. Przypomniało mu o tym tych kilka pierwszych taktów. To było takie typowe angielskie lato,

w tym sensie, że w maju i czerwcu było zimno i mokro, ale w lipcu londyńczycy doczekali się kilku tygodni słońca. Mniej więcej wtedy świat poznał Kelly LeBrock, kobietę idealną. Zagrała w filmie *Dziewczyna z komputera*, sztuczną dziewczynę stworzoną przez dwóch maniaków komputerowych. O ile *There Must Be an Angel* było piosenką lata 1985 roku, o tyle Kelly LeBrock była jego twarzą. Jej plakaty sprawiały, że lody topniały szybciej. Dziewczyny chciały wyglądać tak jak ona i być takie jak ona, chłopcy chcieli ją mieć. Występowała we wszystkich nastoletnich fantazjach Deana; pamiętał, że miał na ścianie w pokoju jej plakat, ale zwinął mu go jakiś kretyn, spuścił się na niego i zostawił mu pod poduszką lepką kulę papieru. Czternastoletni Dean nigdy potem nie czuł już tego samego do Kelly LeBrock; dla niego była stracona. Mniej więcej wtedy niektórzy chłopcy zaczęli nosić obcisłe spodnie, koszule z falbankami, asymetryczne fryzury i podkreślać oczy kreskami z tuszu. Dean nie eksperymentował z tym stylem; coś takiego nie byłoby rozsądne w domu dziecka, gdzie takie wybryki osądzano surowo. Jeden chłopak popełnił ten błąd, że odtworzył w świetlicy kasetę z Culture Club; pomijając już fakt, że nigdy więcej nie zdołał wziąć prysznic w spokoju, stał się na zawsze znany jako gej.

Lipiec 1985 roku to był miesiąc, kiedy Live Aid zebrało miliony na pomoc dla głodujących dzieci w Afryce, a *Powrót do przyszłości* zarobił miliony dla Hollywood. To był miesiąc, kiedy jego matka połknęła fiolkę tabletek nasennych i popiła dwiema butelkami wódki. Potem Deanowi bardzo trudno przychodziła wiara w anioły.

Clara

Clara weszła na górę i ponownie spakowała walizkę. Zapakowała ją, kiedy odchodziła od Tima, rozpakowała w spa, zapakowała ponownie i znów rozpakowała u Lisy. Tym razem miała pewność, że pakuje się ostatni raz. Wracała do domu. Jej małżeństwo z Timem nie było może konwencjonalne, a z pewnością nie takie, jak je sobie wyobrażała na początku, ale okazało się trwałe, wartościowe i kochające.

Mieli troje dzieci i jak na razie troje wnucząt (miała nadzieję, że będzie ich więcej, jeśli Mark i Katie oraz Jo i – czy odważy się to chociaż pomyśleć? – Dean wezmą się do roboty). Mieli z Timem wspólne wspomnienia. Chciała wrócić do domu, do niego, ale nie mogła tam jechać od razu. Jo i Dean potrzebowali czasu, żeby wszystko sobie wyjaśnić. Postanowiła, że zostanie jeszcze trochę u Lisy i upiecze coś dobrego na podwieczorek dla niej, Henry’ego i dzieci. Zjedzą razem, a potem ogłosi, że jej mały bunt dobiegł końca, że wszystko sobie przemyślała i że wraca do Tima. Będzie w domu około dziewiątej. W lodówce będzie szampan – zawsze był – więc wreszcie zaczną z Timem świętować rocznicę ślubu, a Dean i Jo swój nowy początek.

Musiała się powstrzymać, żeby nie zadzwonić do Jo. Tak bardzo chciała położyć kres traumie i niepewności córki, ale wiedziała, że jeśli ją uprzedzi, zmieni się dynamika jej ponownego spotkania z Deanem. Przez całe popołudnie wyobrażała sobie romantyczne pojednanie tych dwojga i szykowała lazanie z ekologicznej wołowiny. Zadzwoniła natomiast do Tima, żeby mu powiedzieć o planowanym powrocie.

– Cudowna wiadomość. Cieszę się. – Doceniała nieugiętą dobrą wolę Tima. Dobra wola i dobre maniery pomagają w małżeństwie. Kolacja była wesoła. Lisa i Henry nie szczędzili okazywania gościnności, dowiedziawszy się, że ich gość zamierza wyjechać. Byli również zachwyceni, że Jo wreszcie znalazła swoje szczęśliwe zakończenie i wypytywali Clarę o Deana. Powiedziała im, że jest bardzo szlachetny, uczciwy i „cudownie wygląda”. Nie powiedziała im, że jest synem człowieka, z którym miała kiedyś romans;

w końcu to zrobi, ale na wszystko był właściwy czas i właściwe miejsce, a dzisiejsza kolacja przy wielkim rodzinnym stole nie była ani jednym, ani drugim.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed domem w Wimbledonie, Clara odetchnęła głęboko, napawając się zapachem trawy i ogrodu. Jak mogła kiedykolwiek chcieć opuścić to miejsce? Nie zaskoczyło jej, że na dole jest ciemno. Gabinet Tima, gdzie zapewne pracował, czekając na nią, znajdował się na tyłach domu, jego okna wychodziły na ogród, a Jo i Dean zapewne poszli coś zjeść. Otworzyła frontowe drzwi i pozwoliła, by wokół niej zamknęła się przestrzeń. Dom. Odetchnęła z zadowoleniem, zdjęła buty i zapaliła światło.

– O Boże, Joanno, przestraszyłaś mnie!

Joanna siedziała na dole schodów, w całkowitych ciemnościach.

– Przepraszam, mamó. Siedzę tu od kilku godzin. Chyba zrobiło się ciemno. Nie zauważyłam.

Clarę zaskoczyła rozpacz malująca się na twarzy córki.

– Gdzie jest Dean? – spytała.

– Dean? – zdumiała się Jo. – Dean jest w Ameryce.

– Nie, był tutaj. To znaczy u Lisy.

– Kiedy?

– Dziś po południu. Jest w Anglii. Przyjechał dla ciebie. – Clara uśmiechnęła się szeroko, zachwycona, że może jej przekazać taką cudowną nowinę.

– Poznałaś go? – ton Jo nie był równie radosny.

– Tak. Jest cudowny.

– Zatem wiesz, kim on jest.

– Tak – Clara poczuła się trochę niezręcznie. Trzeba będzie do tego przywyknąć. – On też wie, kim jestem, ale wszystko już w porządku – usiadła na schodach obok córki. Miała ochotę objąć ją i przytulić, ale zrezygnowała z tego. – On cię kocha.

– Powiedział ci to?

– Nie słowami, ale miał tu przyjechać, żeby powiedzieć tobie.

– Nie przyjechał, mamó. – Skonsternowana Clara rozejrzała się po holu, jakby spodziewała się, że Dean nagle zmaterializuje się w kącie. – Nigdy nie zdołałby być ze mną szczęśliwy, wiedząc o tobie i swoim ojcu.

- Ależ rozmawialiśmy o tym. Pogodził się z tym.
- Jo rozejrzała się po pustym holu.
- Najwyraźniej nie.

2013

Epilog

Początkowo Jo sądziła, że się przesłyszała. Dean to nie było pospolite imię. Ale kobieta, która siedziała obok niej na ławce w parku, co chwila wołała do syna:

– Dean, uważaj. Huśtasz się za wysoko!

Jo poszła za jej wzrokiem i zobaczyła może sześciolatniego chłopca huśtającego się energicznie i aż piszczącego z radości.

Uśmiechnęła się do niespokojnej matki.

– Mój syn też ma na imię Dean – powiedziała wesoło.

– Naprawdę? – niepokój natychmiast zniknął z twarzy nieznajomej; odpowiedziała Jo uśmiechem. – Który to? – spytała. Jo wskazała swojego dwuletniego synka o złocistych loczkach, bawiącego się w piaskownicy. Zdawała sobie sprawę, że z piasku zapewne korzystały wszystkie okoliczne bezdomne koty, traktując piaskownicę jak kuwetę, ale nie miała w tej chwili siły reagować. Potarła napięty brzuch.

– Sprawia wrażenie spokojniejszego niż mój – stwierdziła nieznajoma, uśmiechając się krzywo.

– To pozory – zaśmiała się Jo. – Chociaż w gruncie rzeczy jest grzeczny.

– Kiedy poród? – kobieta wskazała wielki brzuch Jo.

– W każdej chwili. – Jej nowa znajoma poruszyła się niespokojnie, więc Jo dodała z rozbawieniem: – Proszę się nie przejmować, nie mam skurczów. Termin mam na przyszły tydzień.

– Wymyśliliście już z mężem imię?

– To dziewczynka i wciąż jeszcze nie możemy się zdecydować, czy będzie się nazywała Eva czy Frances.

– Oba imiona są bardzo ładne.

– Dziękuję. Myślę, że po prostu zaczekamy i zobaczymy, na kogo będzie wyglądała. – Jo spodziewała się, że rozmowa na tym się urwie. To była miła, ale pozbawiona znaczenia wymiana zdań; wiele takich odbyła w parkach, kawiarniach i na placach zabaw, odkąd jej pierwsza ciąża stała się widoczna. Kobiety lubiły rozmawiać o terminach porodu i imionach dzieci. Przez chwilę obie siedziały w milczeniu, słuchając śmiechu i sprzeczek dzieci, które wspinały się, huśtały i biegały po placu zabaw. Tupot i szuranie

dziecięcych butów na żwirze tworzyły miły rytm.

– Dlaczego wybrała pani imię Dean? Wtedy też miała pani dwa do wyboru? – spytała matka starszego Deana.

– Nie. On zawsze miał się nazywać Dean. Po moim dawnym przyjacielu – odparła Jo.

– Ja nazwałam syna po swoim bracie.

– To miło – Jo urwała. Nie była pewna, co nią kierowało. Może to był zwykły przypadek – zainteresowała ją kobieta, która miała dziecko o tym samym imieniu co ona – albo może łagodna, szczerą twarz kobiety wydała jej się znajoma i dziwnie zachęcała do zwierzeń. A może po prostu hormony zaburzyły jej zdrowy rozsądek. Bez względu na przyczynę nagle wyrzuciła z siebie: – Właściwie to Dean dostał imię po miłości mojego życia. – Okrasiała te górnolotne słowa uśmiechem, który jak miała nadzieję, złagodził wagę wyznania. – Oczywiście nigdy nie zdradziłam tego mężowi – dodała ze śmiechem.

Kobieta uśmiechnęła się ze współczuciem. Większość kobiet rozumiała takie rzeczy.

– I co się stało z miłością pani życia?

– To co zwykle, rzucił mnie. To była skomplikowana sprawa. Wiązała się z masą bagażu z przeszłości. Po prostu nie było nam pisane. Tak naprawdę to był chyba najkrótszy z moich związków. – Jo poczuła, że musi się wycofać z tego górnolotnego określenia „miłość mojego życia”. Miała wrażenie, że mówiąc w ten sposób o Deanie, jest nielojalna w stosunku Andy’ego; w końcu знаła go tylko cztery dni, a żoną Andy’ego była już od czterech lat. Mimo to nadal właśnie tak myślała. Nawet teraz. Miłość jej życia. – Jesteśmy z mężem cztery lata po ślubie i proszę mnie źle nie zrozumieć, bardzo się kochamy. Jesteśmy szczęśliwi, ale czasami wciąż myślę o Deanie. Z sympatią. Był dla mnie dobry. – Nie mogła się oprzeć pokusie nazwania syna po mężczyźnie, który nauczył ją kochać, tak naprawdę. Mężczyźnie, który pomógł jej przebrnąć przez najgorszy weekend jej życia. Mężczyźnie, za którym płakała przez całe miesiące. Tym, za którym tęskniła od lat.

Kobieta poprawiła się na ławce, poszperała w torbie i wyciągnęła miętowe pastylki. Poczęstowała Jo, która wzięła jedną. W dziewiątym miesiącu ciąży przyjęłaby każdy poczęstunek, nawet miętowy pył z dna torebki po cukierkach.

– Poza tym, gdybym nie spotkała Deana, nigdy nie poznałabym Andy'ego. Dziwnie się to wszystko ułożyło.

– Byli przyjaciółmi?

– Nie, nic z tych rzeczy. Dean był człowiekiem żądnym przygód. No wie pani, jeździł na nartach, nurkował, skakał ze spadochronem. Uważał, że brakuje mi zainteresowań, celu w życiu, więc zmusił mnie, żebym spisała rzeczy, które chciałabym zrobić przed śmiercią. Poznałam Andy'ego na planie.

– Na planie?

– Filmowym. Andy jest aktorem. Ja byłam statystką. Więc, chociaż niebezpośrednio, Dean jest odpowiedzialny za nasze spotkanie. Nauczył mnie pewności siebie. Od tamtej pory noszę ze sobą tę listę. Zrealizowałam większość punktów, które spisaliśmy razem, i dodałam jeszcze więcej.

– Mamusiu, spójrz na mnie! – Obie kobiety spojrzały w samą porę, żeby zobaczyć, jak starszy Dean puszcza łańcuch huśtawki i wylatuje w powietrze. O dziwo, wylądował na nogach. Zaśmiał się histerycznie, dumny i naładowany adrenaliną.

– Jest dokładnie taki sam jak jego wujek – stwierdziła jego matka.

– A tak przy okazji, mam na imię Jo.

– Zoe. – Kobieta pomachała do niej, choć Jo siedziała tuż obok; dziwnie byłoby podawać sobie ręce w parku. Mózg Jo nie pracował ostatnimi czasy na wszystkich cylindrach, wymęczony ciężką, więc zajęło jej dłuższą chwilę połączenie faktów. A kiedy je połączyła, uznała, że to niemożliwe.

– Twój brat nie mieszkał przypadkiem w Chicago?

Zoe spojrzała na nią zaskoczona.

– Owszem, skąd wiesz?

– O Boże, nie wierzę. Dean Taylor?

– Tak, zgadza się.

– W takim razie twój brat Dean to miłość mojego życia – radość Jo z tego przypadkowego spotkania niemal przeważała nad zażenowaniem, że zdradziła to wszystko jego siostrze, i to po tylu latach. Uśmiechnęła się szeroko, uradowana, że znów go odnalazła, choć niebezpośrednio. – Jak on się miewa? Ożenił się? Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ale po prostu nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo go kochałam. – Zaczerwieniła się. – Myślałam, że nigdy nie dojdę do siebie. Nie mów mu o tym, dobrze? –

urwała. Gadała bez chwili przerwy, ponieważ w głębi duszy nadal nie była gotowa usłyszeć tego, co nieuniknione. Bez wątpienia Dean ożenił się z jakąś amerykańską modelką, mieli czworo pięknych dzieci i nawet nie pamiętał jej imienia. „Jo? Jaka Jo?“, spyta, kiedy Zoe opowie mu tę historię podczas następnej rozmowy. Albo jeszcze gorzej, Zoe powie jej, że jej brat nigdy się nie ożenił, że nadal jest wściekły na jej matkę i ich ojca, że nie potrafi z tym żyć. To byłoby jeszcze gorsze.

Kiedy matka wróciła wtedy do Wimbledonu z wiadomością, że poznała Deana i że przyleciał do Anglii odszukać Jo, pozwoliła sobie na nadzieję. Przez jakiś tydzień wyobrażała sobie, że w każdej chwili może nadejść podjazdem, wyjaśnić, że potrzebował czasu, ale teraz jest już gotowy i że mogą zacząć jeszcze raz.

Ale nigdy nie przyszedł.

Dzwoniła na jego komórkę dziesiątki razy, ale zawsze jej połączenie trafiało prosto na pocztę głosową. Z początku zostawiała spokojne, żartobliwe wiadomości, pod koniec były to już zwykłe błaganie. Co nie miało znaczenia, bo Dean nie oddzwonił. Wiele miesięcy zajęło jej pogodzenie się z faktem, że nigdy tego nie zrobi. A całe lata minęły, nim przestała tego żałować. Ku zaskoczeniu wszystkich nie załamała się zupełnie. Postanowiła, że będzie szanować swoją znajomość z Deanem, że zbuduje wokół niej swoje życie, więc zaczęła żmudne poszukiwania pracy. Po jakimś czasie udało jej się dostać posadę reporterki w piśmie branżowym poświęconym podróżom. Od tamtej pory podróżowała wiele; odwiedziła Afrykę Południową, Australię, Kanadę, Indie, Bali, Kubę i większość krajów europejskich. Podczas podróży zdarzyło jej się niańczyć małe gepardy, grać na didgeridoo i jeździć na łyżwach na zamarznętym jeziorze; pomalowano jej twarz henną, spała na plaży w hamaku i zwiedziła najwspanialsze europejskie muzea. Nauczyła się podejmować wyzwania i chwytac okazje. Początkowo robiąc to, wyobrażała sobie, jak pewnego dnia będzie opowiadać Deanowi o swoich przygodach, ale w miarę upływu lat po prostu polubiła to wszystko. Pozwoliła, by jej tęsknota za Deanem zbladła, ale skorzystała z lekcji, której jej udzielił.

Miłość do Andy'ego, aktora posiadającego nieidentycznego brata bliźniaka i niepewne dochody oraz wspaniałe poczucie humoru, to była jedna z takich okazji, a zostanie matką jej największym i najbardziej znaczącym doświadczeniem. Zgodnie z oczekiwaniami, Jo uwielbiała być

żoną i matką i cieszyła się, że ma na tyle elastyczną pracę, że nie musi z niej rezygnować. W zeszłym roku zasadziła wiśnię w swoim małym, ale dobrze utrzymanym ogrodzie, zawsze obierała jabłka, nie przerywając skórki, nocowała w lodowym hotelu i jadła makaroniki u Ladurée w Paryżu, choć Dean nie pozwolił jej tego wpisać na listę.

Zawdzięczała Deanowi bardzo wiele. Nie było im pisane być razem, ale i tak zawsze był przy niej. Wyliczała sobie to wszystko w myślach, przygotowując się na wieści o jego niewątpliwie pełnym sukcesów i szczęśliwym życiu. Ciekawiło ją, czy jego żona jest blondynką czy brunetką.

– Więc jak on się miewa? – spytała ponownie.

– On nie żyje, Jo. – Zoe ścisnęła jej ramię. – Czy ty jesteś... – urwała. – Czy ty jesteś Jo Russell?

Jo nie mogła mówić. Świat zatrzymał się nagle, nie mogąc się obracać bez Deana. Nie była w stanie odetchnąć, nie potrafiła pobrać z powietrza tlenu, ponieważ wiedziała, że on go już nie potrzebuje. Serce tłukło się jej o żebra, wstrząsało całym jej ciałem. Czuła uderzenia pulsu za oczami, w uszach, w nozdrzach. Głęboko między nogami, tam gdzie zawsze go czuła i zawsze będzie go czuć. W ustach miała smak metalu. Nie mogła skupić wzroku.

Słyszała słowa Zoe, rozumiała je, ale nie potrafiła przyjąć ich do wiadomości. Zoe myliła się, na pewno. Nigdy nie знаła nikogo bardziej pełnego życia niż Dean. To on nauczył ją żyć. To niemożliwe, że umarł. Był nieśmiertelny. Słowa jego siostry po prostu nie miały sensu; krążyły nad Jo jak muchy, ale nie mogła ich ani odpędzić, ani złapać, żeby je uporządkować i zrozumieć. Wymykały się jej, a równocześnie wiedziała, że zostały na zawsze wdrukowane w jej serce.

– Czy ty się nazywasz Jo Russell? – powtórzyła Zoe.

Jo kiwnęła głową.

– Tak. Tak się nazywałam. Teraz nazywam się Jo Doyle. Po mężu. Zmieniłam nie tylko pracę, ale wszystko... – urwała. Nie wiedziała, jakim cudem w ogóle była w stanie coś powiedzieć. Jak mogła mówić, skoro jego już nie było.

– Och, Jo, on jechał do ciebie. Miał wypadek samochodowy. Dziecko wbiegło na jezdnię za piłką... – Zoe urwała. Choć opowiadała tę historię setki razy, nadal było to dla niej trudne. Jo pragnęła, by zamilkła zupełnie. Nie

chciała tego słyszeć. Dlaczego przyszła dziś do tego parku? Gdyby Zoe wybrała inny plac zabaw, Jo nigdy by się nie dowiedziała o tym koszmarze. Gdyby choć usiadła kawałek dalej albo mały Dean nie huśtał się tak wysoko i nie musiała go napominać, nie zaczęłyby rozmawiać. Jo nie chciała jej słuchać. Choć Zoe mówiła z wyraźnym trudem, jej jeszcze trudniej przychodziło słuchanie. Chciała uciszyć siostrę Deana, zakneblować ją albo wsadzić sobie palce w uszy. Zachwiała się. Siedziała, więc nie miała gdzie upaść, a jednak miała wrażenie, że spada. W dół, w dół, ciągle w dół.

Usta Zoe się poruszały. Jo patrzyła na nie, ale nie wiedziała, o co Zoe ją pyta. Czy chce wody? Zoe po raz drugi sięgnęła do torby i wyjęła plastikową butelkę z wodą mineralną. Jo wzięła ją od niej, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak się ją odkręca. Jak się pije. Butelka spadła jej na kolana, a potem na ziemię. W oczach Zoe pojawiła się troska.

– Jego samochód dosłownie zawinął się na latarni. Trafił na korek i próbował go objechać bocznymi ulicami. Prowadził trochę za szybko, jak zwykle. Powiedzieli mi, że śmierć nastąpiła natychmiast – Zoe westchnęła, a na jej twarzy pojawiło się powątpiewanie. Jo zastanawiała się, ile razy nocą siostra Deana rozmyślała o tym wszystkim. Czy to naprawdę stało się szybko, czy cierpiał? Proszę, Boże, tylko nie to.

Głowa Jo implodowała. Miała wrażenie, że zapadła się w siebie, że spada na szyję, powodując straszny ból kręgosłupa. To dobrze, że implodowała. Rozpuszczała się i zniknęła, ponieważ on zniknął. Choć nie rozmawiali z Deanem od lat, nauczyła się żyć lepiej, ponieważ wiedziała, że on jest gdzieś tam, na świecie, dzieląc z nią niebo, słońce, księżyc. Teraz natomiast miała wrażenie, że pęknie, połamie się, zniknie.

– Tak mi przykro, Jo. Nie mogliśmy cię znaleźć – głos Zoe był łagodny i spokojny. Jo nienawidziła go ze względu na okrutne słowa, a równocześnie kochała, ponieważ Dean często go słuchał. Siedząc obok jego siostry, czuła się w jakimś sensie bliżej Deana, choć zdawała sobie sprawę, że to ich ostateczne pożegnanie. – Obdzwoniliśmy wszystkie numery zapisane w jego telefonie, ale to zajęło kilka dni, a kiedy doszliśmy do ciebie, twój numer był wyłączony.

– To był telefon służbowy – Jo pamiętała o tym, ponieważ kiedy oddawała niechętnie komórkę w redakcji, miała świadomość, że mogą w ten sposób na zawsze stracić kontakt. Uważała, że to najgorsze, co by się mogło zdarzyć.

Nie miała pojęcia, że najgorsze już się zdarzyło. – Miał adresy mojej rodziny w notatniku w kuchni – powiedziała żałośnie. To był fakt, którym się w równym stopniu zadręczała, jak i pocieszała w pierwszych miesiącach rozstania.

– Nie likwidowałam jego mieszkania, nie zdołałam się na to zdobyć. Zrobili to za mnie jego przyjaciele. Zapewne pomyśleli...

Jo drgnęła, zrozumiała natychmiast.

– Że jestem jedną z tych kobiet, które mu się narzucały, a których on unikał. Jakąś nieistotną podrywka.

– Ale ty nie byłaś nieistotną podrywką – Zoe ścisnęła jej rękę. Jo spojrzała na nią z nadzieją.

– Nie?

– Nie.

– Więc kim byłam? – Myślała, że wie. Zawsze starała się w to wierzyć, ale po prostu musiała to usłyszeć.

– Raz o tobie rozmawialiśmy. Od razu wiedziałam, że jesteś dla niego kimś wyjątkowym. Złagodziłaś gniew w jego duszy. Nauczyłaś go ufać i wybaczać. Udowodniłaś mu, że zasługuje na miłość i że może ją mieć. – Zoe objęła ramiona Jo, a ona w odpowiedzi objęła ją w talii. – Ty, Jo, byłaś miłością jego życia.

Ciii...

W jednej chwili zakochaliśmy się w tej wyjątkowej książce i mamy nadzieję, że wy również.

Jej zakończenie jest bardzo piękne i niezwykle, więc wszyscy czytelnicy powinni mieć szansę przeżyć je po swojemu. Dlatego prosimy, zachowajcie tajemnicę i nikomu nie zdradzajcie sekretu.

Wiemy, że chcecie pisać o tej książce i bardzo nas to cieszy. Ale pamiętajcie, nie ujawniajcie zakończenia.

Dziękujemy

Headline x

#KeepTheSecret

Podziękowania

Bardzo, bardzo dziękuję mojej fantastycznej i wspaniałomyślnej redaktorce, Jane Morpeth oraz całemu zespołowi z Headline; jesteście wszyscy – bez wyjątku – świetni, oddani pracy i po prostu wspaniali! Przykro mi, że doprowadziłam was do łez. Dziękuję też fantastycznej Georginie Moore, Vicky Palmer, Barbarze Ronan i Kate Byrne, które pracowały bez wytchnienia nad moim tekstem. Oraz wspaniałej Jamie Hodder-Williams.

Dziękuję Jonny'emu Gellerowi za kolejny wspaniały rok – to mówi samo za siebie. Reszcie zespołu Curtis Brown należą się podziękowania za wspaniałą promocję mojej pracy, w kraju i za granicą. Jeszcze raz chciałabym też podziękować moim czytelnikom; mam nadzieję, że zawsze będę Was bawić i zaskakiwać. Dziękuję rodzinie i przyjaciołom, kolegom po piórze, a także księgarzom, organizatorom targów książki, recenzentom, wydawcom pism o książkach, producentom telewizyjnym i prezenterom, The Reading Agency oraz bibliotekarzom, którzy wciąż wspierają mnie i moje książki. I wreszcie, na koniec, chciałabym podziękować Jimmy'emu i Conradowi – wciąż chodzi właśnie o Was.

Spis treści

Dedykacja

Prolog

1976

1. Eddie

1982

2. Clara

Środa, 20 kwietnia 2005 roku

3. Dean

4. Jo

Czwartek, 21 kwietnia 2005 roku

5. Dean

6. Jo

7. Eddie

8. Jo

9. Dean

10. Jo

11. Dean

12. Clara

Piątek, 22 kwietnia 2005 roku

13. Jo

14. Dean

15. Eddie

16. Jo

17. Clara

18. Dean

19. Eddie

20. Jo

21. Clara

22. Dean

23. Jo

24. Eddie

25. Dean

26. Jo

27. Clara

28. Dean

Sobota, 23 kwietnia 2005 roku

29. Jo

30. Eddie

31. Dean

32. Jo

33. Dean

34. Jo

35. Clara

36. Dean

37. Jo

38. Jo

39. Dean

Niedziela, 24 kwietnia 2005 roku

40. Clara

41. Jo

42. Dean

43. Eddie

Poniedziałek, 25 kwietnia 2005 roku

44. Clara

45. Dean

46. Jo

47. Eddie

Wtorek, 26 kwietnia 2005 roku

48. Dean

49. Clara

50. Dean

51. Clara

2013

Epilog

Podziękowania